



**Josie Lloyd, Emlyn Rees**

**CHODŹMY RAZEM**

*Tytuł oryginału COME TOGETHER*



## PODZIĘKOWANIA

Serdeczne podziękowania zechcą przyjąć Vivienne Schuster i Jonny Geller — najlepsi agenci w mieście. Dziękujemy też wszystkim innym z Curtis Brown za ich nieocenione wsparcie. ;

Wyrazy podziękowania kierujemy także do wszystkich pracowników Random House za to, że od samego początku, b'yli tak wspaniali. Szczególna wdzięczność należy się „Drużynie A”: 'Àndy'emu McKillopowi, naszemu wydawcy, oraz Lynne Drew, redaktor, za ich przyjaźń i fachową pomoc, lecz przede wszystkim za to, że dzięki nim nasza współpraca była wspaniałą zabawą i przygodą. Odnosi się to także do ich pomocników (Thomasa i Jo). Dziękujemy również Susan i Rachael, Markowi i Grainne, Ronowi, całemu działowi sprzedaży oraz Glenn. Nie wolno nam także tu pominąć Simona (on wie, że to o niego chodzi) i pokłonić mu się za sprowadzanie nas na ziemię, a także za skuteczną pomoc w opróżnianiu barku...

Gorące podziękowania składamy też jedynej i wyjątkowej Dawn Fozard za towarzyszenie nam przez cały czas.

Chcielibyśmy również podziękować wszystkim naszym znajomym i przyjaciółom, za wyznania, anegdoty i wsparcie, których nam nie szczędzili. Są to szczególnie: James & Helen, Paddy, Harriet & Matt, Lozza, Katy, Ruth, Lok, Tim & Danni, Mark & Charlie, Lucy, Emma, George, Daniel, „Barry” C-G, Kirsti, Henny & Alan, Mands & Chas, Anna, Phil & the Mollster, Kate, Carol, Vicks, Ali, Jonny P., Lorna, Chris & Paula, Rupert & Toni, Ray & Anna, Simon & Caroline, a także Lizzie.

Dziękujemy z całego serca — co chyba zrozumiałe — naszym rodzinom, które tak bardzo nam pomogły, rozpowiadając o naszym przedsięwzięciu wszem wobec. Chylimy głowy zwłaszcza przed naszymi cudownymi rodzicami, którzy ani na chwilę nie przestali nas wspierać.

Podziękowania składamy także Johnowi Eminsonowi i Davidowi Proudlockowi, najlepszym nauczycielom angielskiego, jakich mogliśmy kiedykolwiek mieć.

# 1

## JACK

### IDEAŁ

Powiedzmy, że jesteś dziewczyną. Powiedzmy, że jesteś dziewczyną i przysłaś właśnie na imprezę, do pubu, może do jakiegoś klubu. Powiedzmy, że jesteś dziewczyną, jesteś na imprezie, w pubie, a może klubie, i ja cię zaczepiłem.

Powiedzmy, że nigdy dotąd mnie nie widziałaś.

Niektóre rzeczy będą dla ciebie oczywiste od samego początku. Bez trudu zauważysz, że mam prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i jestem średniej budowy ciała. Jeżeli podamy sobie ręce, stwierdzisz, że mam mocny uścisk dłoni i czyste paznokcie. Na pewno także zobaczysz, że mam brązowe oczy i niemal identycznej barwy włosy. Prawdopodobnie też nie ujdzie twojej uwagi blizna przecinająca moją lewą brew. Dojdiesz również do wniosku, że jestem między dwudziestym piątym a trzydziestym rokiem życia.

Załóżmy, że to, co zobaczyłaś, nie odstraszy cię od nawiązania ze mną rozmowy.

Jeśli wszystko pójdzie w miarę dobrze, twoja wiedza o mnie poszerzy się jeszcze trochę. Powiem ci więc, że nazywam się Jack Rossiter. Gdyby zainteresowała cię moja blizna, opowiem ci, jak to mój najlepszy kumpel, Matt Davies, strzelił do mnie z kapiszonowca, kiedy miałem dwanaście lat. Szczęśliwie nie straciłem oka, ale i tak moja matka przez rok nie wpuszczała Matta do naszego domu. Natychmiast jednak dodam, że teraz Matt bardzo złagodniał i czuję się na tyle bezpiecznie w jego obecności, iż bez obaw dzielę z nim mieszkanie. Powiem ci też, że mój przyjaciel pracuje w jednej z firm adwokackich w City, nie powiem natomiast, że dom, w którym razem z nim mieszkam, jest jego własnością

i płacę mu czynsz. Pewnie nasz dom cię zainteresuje, opowiem ci więc, że to dawny pub w zachodniej części Londynu, z którego zachowaliśmy stół do bilardu i tablicę do rzutek, anulowaliśmy natomiast prawo do korzystania z niego pewnemu nerwowemu alkoholikowi, który z ponurym wyrazem twarzy zwykł był siadywać w rogu. Nie omieszkać też pochwalić się ogrodem, który jest wielki i zapuszczony.

Zapytasz, czym się zajmuję, a ja odpowiem, że jestem artystą, co jest prawdą, a także, że z tego się utrzymuję, co już prawdą nie jest. Na pewno się nie przyznam, że przez trzy dni w tygodniu pracuję w niewielkiej galerii w Mayfair, co pozwala mi jakoś wiązać koniec z końcem. Przyjrzyś się moim ubraniom, które zapewne jak zwykle będą pożyczone od Matta, i mylnie dojdiesz do wniosku, że jestem raczej nadziany. Ponieważ ani razu nie wspomnę o dziewczynie, prawdopodobnie słusznie zgadniesz, że aktualnie z nikim nie jestem związany. Ja cię nie zapytam o chłopaka, ale bacznie będę się przyglądał twoim dłoniom, starając się odgadnąć, czy jesteś zaręczona albo nawet zameżna.

Powiedzmy, że w końcu wylądujemy u ciebie albo u mnie.

Będziemy się kochać. Przy odrobinie szczęścia się nam spodoba, może nawet do tego stopnia, że zdecydujemy się na jeszcze jeden raz. Potem zaśniemy. Rano, jeżeli rzecz się będzie rozgrywać u ciebie, ja zapewne wyślizgnę się cichaczem, jeszcze zanim ty się obudzisz. Nie zostawię swojego numeru telefonu. Gdybym natomiast to ja był gospodarzem, wówczas ty postąpisz w ten sposób. Nie pocałujesz mnie na do widzenia. To z nas, które zostanie, w końcu się obudzi, by stwierdzić, że tej drugiej osoby nie ma. Lecz to akurat dobrze, bo na pewno żadne z nas nie chciałoby, żeby było inaczej.

*Wyznania. Nr 1. Antykoncepcja.*

Miejsce: Toaleta pomiędzy wagonami B i C pociągu InterCity 14.45 z dworca Parkway w Bristolu do londyńskiego Paddington. Czas: 15.45, 15 maja 1988 roku.

W zamkniętej toalecie młody, siedemnastoletni człowiek stał przed lustrem, z opuszczonymi do kostek spodniami i bokserkami. W jednej

ręce trzymał świeżutki kondom o zapachu curry, drugą zaś ścisnął nabrzmiąły, sterczący penis — swój penis.

Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Nie dlatego, że siedziałem w wagonie C i wpatrując się w napis TOALETA ZAJĘTA, zanosilem modły, by wypełniony po brzegi pęcherz wytrzymał, jednocześnie zastanawiając się, cóż to za sobek blokuje klop przez całe dwadzieścia minut. Nie dlatego też, że coraz gwałtowniejsze wibracje pociągu zbliżającego się do stacji Reading zmusiły mnie, bym podszedł i kopniakiem otworzył drzwi, dzięki czemu ujrzałem, co się za nimi działo. Nie, wiem to wszystko tak dokładnie stąd, że tym młodym człowiekiem byłem ja sam.

Nie ma sprawy, z powodzeniem można przyjąć, że byłem albo

a)zboceńcem,

b)amatorem curry,

c)świrem,

albo wszystkim jednocześnie.

Na podstawie dotychczas przedstawionych faktów wszystkie te założenia są słuszne i nie ma chyba sądu, który by mnie nie uznał winnym wszystkich trzech zarzutów. Zważywszy jednak na to, że nie jestem w stanie sięgnąć ustami własnych kolan, nie mówiąc już o innych częściach mego ciała, zarzut szczególnego upodobania do curry może wzbudzać uzasadnione wątpliwości.

Czas na obronę.

Siedemnastoletni chłopcy — co bez wahania poświadczy każdy mężczyzna, któremu szczęśliwie (i bez wątpienia z ulgą) udało się wiek ów jakoś przeżyć — są dość dziwacznymi stworzeniami. Zawieszeni pomiędzy dojrzewaniem a dojrzałością, prawie wyłącznie składający się z szalejących hormonów, tkwią w okresie odkrywania siebie, wypełnionym pytaniami, poszukiwaniem odpowiedzi i potajemną, lecz jakże częstą masturbacją. Ja w niczym od tego schematu nie odbiegałem. Zadawałem zwykle pytania. Czy Bóg istnieje? Czy na świecie kiedyś zapanuje pokój? Dlaczego włosy łonowe mają określoną i do tego niezmienną, długość, przez co fryzjerstwo łonowe automatycznie skazane jest na

niebył? Na próżno jednak oczekiwałem odpowiedzi na te, i podobne, pytania. A żeby jakoś sobie to oczekiwanie urozmaicić, waliłem konia. Bardzo często.

Bez wątpienia znalazłyby się krowy rekordzistki, których udój i tak nie mógł się równać z moim (biorąc jednak pod uwagę, że doilo sieje zaledwie dwa razy dziennie, nie powinno to specjalnie dziwić). Jeśli nie przeszkodził mi pożar, powódź, trzęsienie ziemi lub jakakolwiek inna siła wyższa — średnio waliłem konia trzy razy dziennie. Byłem przy tym niezwykle pomysłowy. Trzepałem kapucyna nad umywalką. Waliłem gruchę w tylnej części autobusu. Kręciłem śmigło pod kołdrą. Męczyłem ptaka w czasie podniesienia. Kręciłem fujarę, waliłem konia, glansowałem patyka, brykałem sobie, ciągnąłem małego, onanizowałem się, rozrzewniałem, masturbowałem, brandzlowałem. Nigdy jednak, przez cały ten fascynujący okres onanizujących eksperymentów nie zdarzyło mi się spróbować jednego: Trzepania Bogacza.

Gdyby komuś termin ów nic nie mówił, śpieszę wyjaśnić: TB to nic innego jak zwykłe walenie konia, tyle że w prezerwatywie. Trudno powiedzieć, co to ma wspólnego z bogaczami, choć można by przypuścić, że ci, którym nie zbywa na pieniądzech, mają też pod ręką zbyt dużo wolnego czasu (najwyraźniej nie tylko czasu). Jednak wtedy, 15 maja 1988 roku, w zupełnie nie erotycznym otoczeniu toalety Brytyjskich Kolei pomiędzy wagonami B i C, mnie chodziło o coś zgoła zupełnie innego. Mianowicie moje zainteresowanie ograniczało się wyłącznie do samej prezerwatywy, nie zaś ochrony, którą miała zapewniać.

Problem polegał na tym, że nigdy wcześniej nie miałem okazji korzystać z kondoma. Jak dotąd, raz jeden tylko zdarzyło mi się bliżej mieć z nim do czynienia, kiedy to mój szkolny kolega, Keith Rawlings, na którejś z balang dokonał sztuczki, dzisiaj będącej już swoistą legendą. Naciągnął on mianowicie prezerwatywę na głowę i tak długo ją nadmuchiwał, wypuszczając powietrze nosem, aż stała się wielka jak zeppelin, po czym, nie przymierzając jak „Hindenburg”, pękła z wielkim hukiem przy gromkim aplauzie wszystkich obecnych. Ja jednak, choć doskonale zdawałem sobie sprawę z teatralności podobnego wyczynu, nie uczest-

ników imprezy chciałem tego dnia zadziwić. Moim zamiarem było wywarcie niezatartego wrażenia na Mary Rayner, dziewczynie poznanej na przyjęciu w domu rodziców Matta tydzień wcześniej, która mieszkała w Londynie i zaprosiła mnie do siebie, w czasie gdy jej rodzice bawili na wakacjach na Majorce. Jednym słowem na dziewczynie, co do której miałem wielkie nadzieje, iż okaże się na tyle łaskawa, by uwolnić mnie od dziewictwa. Stąd prezerwatywa o zapachu curry. Stąd toaleta. W po-  
ciągu.

Istniało spore prawdopodobieństwo, że za dwie godziny będę musiał z prezerwatywy skorzystać naprawdę. Chwila, do której psychicznie i fizycznie się przygotowywałem, prawą ręką ćwicząc zapaśniczy uścisk, była tuż-tuż. I cóż uczyniłem? To, co robią wszyscy napaleni, pewni siebie siedemnastoletni mężczyźni: spanikowałem. Całkowicie i bez reszty. Siedziałem w wagonie C, bębniłem palcami o portfel, myśląc o trzech zapakowanych prezerwatywach, które w takim pośpiechu kupiłem w automacie, w jakimś pubie. Co zrobię, jeśli nie będą pasowały? Na przykład okażą się za małe lub — o zgrozo! — za duże? Pękną albo się ześlizgną? Będę leżał obok Mary, tłumacząc się gęsto — oto, co mnie czeka! A gdyby moje przewidywania się sprawdziły, Mary mogłaby mi już nie dać następnej szansy i zostanę prawiczkiem. Chryste, mogę nawet prawiczkiem umrzeć. Wierciłem się na siedzeniu, przerażony wizją mojego epitafium: ZMARŁ W WIEKU STU JEDEN LAT, ANI RAZU NIE ZAZNAWSZY KO-BIETY. RIV — REQUIESCAT IN VIRGINITATI, spoczywaj w dziewictwie. Zerwałem się więc i z portfelem w ręku pognałem do toalety na suchą zaprawę przed głównym występem. Na tym opierała się obrona.

Mary przeciwnie, nie opierała się wcale, o czym śpieszę donieść z radością. Z chwilą, gdy dotarliśmy do sypialni i potykając się, runęliśmy na łóżko, opieranie się było chyba ostatnią rzeczą, o jakiej mogła pomyśleć. Wtedy po raz pierwszy przeżyłem to, co z czasem zacząłem określać mianem „bycia”. „Byłem” z nią. „Byłem” w łóżku. W niej także „byłem”. Uczucie „bycia” przypominało falę, która rosła i potężniała, aż osiągnęła punkt, w którym musiała się przelać.

## POCZĄTEK

Jest czerwiec, rok 1998, piątkowy poranek, a ja mam kłopot.

Co gorsza, nie pamiętam, jak kłopot ma na imię.

Pogrążona we śnie wzdycha i mruczy coś niezrozumiale, obraca się twarzą ku mnie, kładzie mi rękę na brzuchu i zostawia ją tam, mokrą i lepka od potu. Spoglądam na wyświetlacz stojącego na nocnym stoliku budzika: 07.31. Potem patrzę na nią: zasłona z brązowych włosów, przez którą trudno cokolwiek dostrzec poza nosem. Wśród znanych mi nosów, ten prezentuje się nie najgorzej. Miotany krzyżowym ogniem sprzecznych myśli przenoszę wzrok na sufit.

Z jednej strony sytuacja, w której się znalazłem, wygląda całkiem miło. Oto ja, heteroseksualny, samotny mężczyzna, leżę w łóżku obok nagiej kobiety, która — chociaż posiadane przeze mnie informacje ograniczają się jedynie do kształtu jej nosa i paru przymglonych oparami alkoholu wspomnień — okazała się w miarę dobrym towarzystwem na wieczór i do łóżka. O ile pamiętam, miniona noc przebiegła nadzwyczaj spokojnie: obyło się bez kajdanek, ataków hysterii czy wyznań dozgonnej miłości.

Spotkaliśmy się w klubie, tańczyliśmy i flirtowaliśmy, na koniec późną nocą przyjechaliśmy taksówką do mnie.

Seks był dobry. Spocone ciała, wznoszone ku niebu oczy, głębokie westchnienia. Zważywszy, że robiliśmy to po raz pierwszy, byliśmy całkiem nieźle zgrani. Nie mówiliśmy nic. Czasem mi to odpowiada: żadnej wymiany słów, myśli, wyłącznie nagi, jak my sami, seks. Żadnego udawania, że to, co robimy, nie jest czysto fizyczne. A po wszystkim, kiedy spoceni popijaliśmy z dwóch szklanek do piwa wodę, którą nalałem z kranu w łazience, Ideał nadal tkwił na swym piedestale.

Dowodem na to niech będzie, że:



- a)nie ścisnęła mnie za rękę
- b)nie spoglądała mi tęsknie w oczy
- c)nie pytała, czy czuję się samotny, nie mając dziewczyny
- d)nie spoufalala się, zaciągając się moim papierosem
- e)nie proponowała, żebyśmy się wkrótce spotkali znowu Zamiast tego:

- a) rękę trzymała przy sobie
- b)patrzyła w sufit
- c)powiedziała, że w sypianiu z kim popadnie najbardziej podoba jej się to, że za każdym razem jest inaczej
- d)zapaliła własnego papierosa
- e)powiedziała, że wyjeżdża w trzymiesięczną podróż do Australii.

Następnie dopaliliśmy papierosy — każde swojego — ja zgasilem światło i poszliśmy spać.

Jak dotąd wszystko szło świetnie. Idealny, jednorazowy numer. Kiedy przed kilkoma minutami się obudziłem, byłem bardzo dumny. Albo raczej zadowolony z siebie. Na chwilę zapomniałem o dręczących mnie typowych Strachach Samotnego. Tak jest, wciąż jeszcze potrafię wy-rwać dziewczynę. I wciąż jeszcze potrafię uprawiać seks z nieznajomą. Innymi słowy, na razie wszystko jest ze mną w porządku.

Z drugiej jednak strony sytuacja wcale nie przedstawiała się tak różowo. Jest piątek rano i — znowu spojrzalem na zegar, by stwierdzić, że upłynęły kolejne dwie minuty — mam parę spraw do załatwienia. Oczywiście najprościej byłoby trwać jeszcze w błogim, postkoitalnym rozleniwieniu, może nawet ująć jej spoczywającą na mym brzuchu dłoń i chwilę przytrzymać, przedłużając złudzenie intymności; niestety jednak nadeszła pora, byśmy oboje wstali i zajęli się swoimi sprawami.

Ostrożnie, starając się jej nie zbudzić, zsuwam bezwładną i ciężką jak ołów rękę na prześcieradło i siadam. Od razu dostrzegam jej ubranie rzucone na kupkę koło łóżka. Chwilę jeszcze siedzę bez ruchu, by zdobyć pewność, że dziewczyna śpi naprawdę, po czym wyslizguję się spod

kołdry i ostrożnie przeszukuję jej rzeczy, by w końcu w kieszeni żakietu znaleźć portfel. Nakładam slipy i wędruję do kuchni.

W kuchni siedzi Matt, ubrany i obuty, z czarnymi włosami wciąż jeszcze połyskującymi wilgocią po niedawnym prysznicu, nachylony nad miską suchych płatków i kubkiem parującej kawy. Już chce coś powiedzieć, ubiegam go jednak, znacząco przykładając palec do ust. Siadam naprzeciwko niego i upijam łyk z jego kubka.

—Wciąż jeszcze tu jest? — pyta szeptem.

—Owszem.

—Jak-jej-tam? Sąsiadka Chloe?

Chloe to dziewczyna, z którą chodziliśmy do szkoły, ale z którą nigdy nie chodziliśmy. W związku z czym udało jej się z potencjalnej dziewczyny awansować na przyjaciela.

— No właśnie, jak-jej-tam. To ona.

Kiwa głową, przyjmując to do wiadomości, po czym pyta:

—Bzykanko w porządku?

—Niczego sobie. Uśmiecha się. — Głośne.

Ja też się uśmiecham. — Opowiedz mi.—Wznoszę toast jego kubkiem z kawą. — A propos, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

—Pamiętałeś? Bóg ci zapłać, stary.

—Mam nawet dla ciebie prezent.

—Co to takiego?

—Będziesz musiał z tym poczekać do wieczora.

—To znaczy, że jeszcze nie kupiłeś.

— To znaczy, że poczekaj i się, kurwa, przekonasz. — Oddaję mu kubek. — Kto dzisiaj przychodzi?

Zapala papierosa, zaciąga się.

—Ci sami co zwykle, plus parę ekstratów.

—Samotne ekstrakty rodzaju żeńskiego?

—Być może.

—Więcej danych, proszę.

—Poczekaj i się, kurwa, przekonasz.

—To znaczy same psychole i świry... Nie daje się jednak wypuścić.

— Jak zwał, tak zwał. Może nie. A może jedni i drudzy. — Stuka palcem w portfel. — Zanik pamięci?

Otwieram portfel i oglądam dowód.

—Właśnie minął.

—No i?

—Co, no i?

—No i jak-jej-tam się nazywa?

—Catherine Bradshaw — czytam. — Urodzona w Oksfordzie, szesnastego października 1969. — Wyciągam jej bilet miesięczny i przyglądam się zdjęciu, potem pokazuję je Mattowi. — W skali od jeden do dziesięciu?

—Siedem. — Przygląda się dokładniej, chwilę zastanawia. — Nie, jednak sześć. Wczoraj wyglądała lepiej.

—Zawsze wyglądają lepiej, ale...

—Aparat nigdy nie kłamie — mówi, kończąc rozpoczęte przeze mnie zdanie.

—Otóż to.

—Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy może jesteś dzisiaj umówiony z S&M?

W ten sposób Matt określa, Sally McCullen, bo wie, że mózg mi się lasuje od samego myślenia o niej — powiedzieć, że jest świetna, to za mało.

—Uhm, o dziesiątej.

Patrzy na zegarek i wydaje cichy gwizd.

—Nie przeciągasz struny?

Podchodzę do termostatu i ustawiam go na maksimum.

— Plan A — oznajmiam, nalewając sobie zimnej wody z trzymanej w lodówce butelki. — Wypocimy ją.

—A jeśli się nie uda?

Wypijam wodę i ocieram usta. — Zawsze się udaje.

Kiedyś jednak musi być ten pierwszy raz.

Godzina na zegarze z 08.40 zmienia się na 08.46. Od ponad godziny ogrzewanie nastawione jest na pełną moc, a ja mogę jedynie dojść do

wniosku, że dowód Catherine Bradshaw jest sfalszowany, wątpliwe bowiem, żeby urodziła się w Oksfordzie; bardziej prawdopodobne jest, że na świat przysłała w Bombaju. Latem. W porze największych upałów. Obok kotła centralnego ogrzewania. W samo południe. Na nic zdaje się moja mrożona woda. Letnie słońce pali ogniem pozamykane okna, grzejniki wrą, a ja czuję się jak w saunie. Z czoła pot leje mi się strumieniami. Poduszka, na której spoczywa moja głowa, zamienia się w gorący termofor, a kołdra w koc elektryczny. Lecz Bradshaw dosłownie i w przenośni jest zimna jak gład. Ani razu nawet cicho nie jęknie, nie poprosi o otwarcie okna, nawet o kroplę wody. Żadnej reakcji, poza regularnym oddechem i odprężonym wyrazem głębokiego uśpienia na twarzy. Lodowa panienska.

Plan B.

—Catherine — mówię, podnosząc się do pozycji siedzącej. — Cath? — Tym razem chyba nieco głośniejszy, czemu towarzyszy lekkie potrząsanie jej za ramię. — Cathy?

—Mmmmm? — odpowiada w końcu, oczu jednak nie otwiera.

—Pora wstawać. Muszę lecieć, bo już jestem spóźniony. Trze zaciśniętymi pięściami oczy, potem spogląda na swój zegarek.

—Jeszcze nawet nie ma dziewiątej — stwierdza naburmuszona, naciąga kołdrę pod szyję i zamyka oczy. — Zdaje się, mówiłeś, że dzisiaj nie będziesz pracował... Myślałam, że oboje zrobimy sobie wolne... Zawarliśmy umowę, pamiętasz? Umowę...

To prawda. Między innymi dlatego właśnie wspólny wieczór w klubie przedłużył się o wspólną noc.

—Pamiętam — mówię — ale dzwonił z galerii. Przyjechał jakiś kolekcjoner z Ameryki i jest zainteresowany którąś z moich prac — kłamie. — Chciałby się ze mną spotkać. Dzisiaj rano, bo po południu odlataje z powrotem do Los Angeles, więc raczej nie mam wyboru.

— Dobrze już, dobrze — burczy i siada. — Słyszę cię. Zanim kończy prysznic i ubierane, robi się kwadrans po

dziewiątej. Wchodzi do kuchni, w której siedzę ja, tępo zagapiony w pusty blat stołu. Jeśli o to chodzi, nie najgorsze sobie wynalazłem zaję-

cie. Matt wpadł na pomysł, żeby zrobić blat stołu z szyldu, który niegdyś wisiał nad wejściem do pubu. Wielka szkoda, że nie mógł tam zostać, ale niektórzy dawni bywalcy „Churchill Arms” do najbystrzejszych nie należeli i nie przestawali nas nawiedzać w środku nocy. Gapiłem się więc. Winston Churchill odpowiadał pełnym dezaprobaty spojrzeniem. *Nigdy, w historii całej ludzkości...* OK, OK, nie ma co, trzeba brnąć dalej.

Nie proponuję:

a)kawy,

b)że ją podwiozę do domu,

c)rozmowy o niczym.

Odsuwam natomiast kubek, wstaję i mówię:

— Dobra, pora na nas.

Kiedy idę w stronę drzwi, a stukot jej kroków po kafelkach towarzyszy mi za plecami, pamięcią wracam do jej dowodu osobistego. Według niego mieszka w Fulham, może więc z powodzeniem wracać metrem.

— Stacja metra jest o parę minut drogi stąd — mówię, gdy wychodzimy na zewnątrz.

Zamykam za nami drzwi i wspólnie idziemy ulicą kilkanaście metrów do miejsca, gdzie stoi zaparkowany spitfire Matta.

—Twój? — pyta, gdy wspieram się ręką o dach samochodu.

— Tak — odpowiadam i nie przerywając, mówię dalej: — Idź prosto, na rogu skreć w lewo. Stacja jest jakieś trzydzieści metrów dalej.

Ona jednak, zamiast powiedzieć do widzenia i wyjść z mojego życia, wracając do własnego, lustruje wzrokiem drugą stronę ulicy, gdzie zauważa przystanek autobusowy.

—W porządku — oznajmia. — Pojadę autobusem. Tak będzie szybciej.

—Świetnie—ja na to, chociaż jest akurat wręcz odwrotnie. — W takim razie do zobaczenia.

—Serio? — Spogląda na mnie trochę niepewnie. — Zostawiłam swój numer w twoim pokoju, na paczce szlugów. Koło łóżka.

—Zdawało mi się, że wyjeżdżasz do Australii?

—Bo wyjeżdżam. Ale nie na sześć tygodni.

—Aha.

Stoimy, patrząc na siebie, i nie bardzo wiemy, co robić.

—Wychodzisz więc? — pyta.

— Jasne. Właśnie teraz. — Bez sensu chwytam za klamkę samochodu. Robię głupią minę. — Kluczyki. Zapomniałem zabrać. — Macham ręką, wciąż unikając z nią kontaktu wzrokowego. — Do zobaczenia.

—Tak, już to mówiłeś.

Wracam szybko do domu i zamykam za sobą drzwi. Patrę na zegarek: dwadzieścia po. Pomalutku skradam się do salonu. Kryjąc się za barem, który biegnie wzdłuż całej tylnej ściany, zerkam przez okno na ulicę. Catherine Bradshaw stoi właśnie na przystanku autobusowym, dokładnie naprzeciwko mojego domu. Padam na kolana i gapię się na rząd pustych miarek do nalewania alkoholu. Cholera. Jestem zmęczony. Umordowany. Sally McCullen, kobieta, na punkcie której przez ostatnie dwa tygodnie miałem istną obsesję, zjawi się tu za niecałe pół godziny. A Catherine

Bradshaw czeka sobie na jednym z najrzadziej odwiedzanych przez autobusy przystanku na całej ziemi, bez żadnej gazety, czasopisma, książki czy,choćby walkmana, wobec czego nie ma nic lepszego do roboty, jak obojętnie obserwować drzwi frontowe domu Matta i czekać, aż się w nich pojawię, żeby odjechać kabrioletem, który nawet nie jest mój, na spotkanie z nie istniejącym amerykańskim kolekcjonerem sztuki.

Jakiś wewnętrzny głos mówi mi: *No i co z tego? Nawet jeśli nie wyjdiesz z domu, potwierdzając tym samym jej podejrzenia, że całe to zamieszanie z galerią i kolekcjonerem to tylko zwykły wybieg, żeby się jej pozbyć. Cóż się stanie, jeśli o dziesiątej, kiedy ty będziesz otwierał drzwi Sally McCullen, ona wciąż jeszcze będzie czekała na autobus? Przecież dopiero co się poznaliśmy. Nie chodzimy ze sobą. Więc, głos nie daje za wygraną, dlaczego nie potrafiłeś być wobec niej uczciwy? Czy to taka sztuka powiedzieć jej po prostu: „Hej, było super, dzięki za niezłe ruchanko. Bawiłem się świetnie ”. No co, czy tak nie byłoby o wiele prościej? I przyjemniej?*

Jednak chór innych głosów jest zupełnie odmiennego zdania.

Głos samoluba: *Ona jest sąsiadką i kumpelą Chloe, a Chloe jest twoją kumpelą. Olejesz Catherine, a w związku z tym Chloe, i zostanie ci tylko przyglądać się, jak całe twoje życie towarzyskie wali się w gruzy.* Głos niepewnego siebie: *Nie chcesz, żeby ani ona, ani tym bardziej ktokolwiek inny rozgłaszał na prawo i lewo czy choćby tylko myślał, jaki z ciebie dupek.* Głos człowieka przyzwoitego: *Porządny z ciebie facet, a porządnifaceci nie lubią sprawiać przykrości porządnym dziewczynom.*

Cóż, wszystkie te głosy w zasadzie miały rację, żaden jednak nie powiedział tego, o co chodziło naprawdę. A to niewiele miało wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. Nic z tych rzeczy. Było to zwykłe, proste i czyste uwarunkowanie, a mianowicie sposób, w jakim zostałem zaprogramowany. Nie wiązało się w żaden sposób z myśleniem, lecz z tym, kim instynktownie byłem.

Oszukiwanie samego siebie jest na tyle proste, że nawyków, których nabieramy, pozostając z kimś w związku, nie pozbywamy się nawet po zakończeniu znajomości. Z Zoe Thompson zerwałem między 6 a 9 wieczorem, w sobotę, 13 maja 1995 roku, po moim powrocie z weekendu spędzonego u mamy, w całości poświęconego na płacze i rozterki serca, a przed tym, jak jej ojciec zjawił się i zabrał Ją z wynajętego mieszkania, w którym przez ostatnie piętnaście miesięcy staraliśmy się budować wspólny dom. Głodziliśmy ze sobą przez ponad dwa lata. Miesiące, które upłynęły Od czasu zerwania, obejmowały następujące zmiany emocjonalne i stylu życia:

a)Przestałem używać płynu do zmiękczenia tkanin i zwracać uwagę na dziury, które w niewytłumaczalny sposób pojawiały się w moich skarpetkach.

b)Szczoteczkę do zębów zmieniałem nie co trzy miesiące, lecz dopiero wtedy, gdy miałem wrażenie, że szoruję zęby starym, wytartym dywanem.

c)Do pielęgnacji paznokci u stóp nie używałem nożyczek, lecz rąk.

d) Co kilka tygodni, zamiast zmieniać, obracałem prześcieradło na drugą stronę.

e) Nareszcie przestało mnie gnębić poczucie winy, gdy rozmawiałem z potencjalnie niebezpieczną przedstawicielką płci przeciwnej (to znaczy kimś innym niż dziewczyna kumpla, dawna dobra koleżanka, którą Zoe zaakceptowała, albo koleżanka Zoe).

f) W czasie stosunków płciowych używałem prezerwatyw.

g) Spałem, tuląc w ramionach poduszkę, a nie ukochaną osobę.

h) Niedzielne poranki spędzałem w łóżku samotnie, żałując, że nie ma przy mnie nikogo, na kim zależałoby mi tak bardzo, że chciałbym spędzić z nim (z nią?) resztę dnia.

Były jednak inne nawyki, które weszły mi w krew, gdy byłem z Zoe, i których się nie pozbyłem, choć nie było już komu mnie pilnować — one jednak stały się już za bardzo moje. Wymienić tu należy, co następuje:



a)Wciąż sypiałem po prawej stronie łóżka, choć teraz miałem je całe wyłącznie dla siebie i mogłem się na nim układać pod dowolnym kątem.

b)Zmywałem po każdym posiłku, zamiast, jak dawniej, raz w tygodniu wypowiadać wojnę stercie talerzy, szklanek i sztućców.

c)Delektowałem się smakiem warzyw i sałatek, nie uważając ich już za przeżytek w dobie witamin w tabletkach.

d)Spuszczałem klapę sedesu.

e)Oglądałem serial *Eastenders*.

f)Starłem się, by rozmowa nie ograniczała się wyłącznie do piłki nożnej, jeżeli w towarzystwie znajdowały się przedstawicielki płci przeciwnej.

g)Zwracając, się do kobiet, patrzyłem im w oczy, a nie w dekolt.

h)Rozumiałem, że bez względu na pozory zewnętrzne, ego innych ludzi jest równie kruche i podatne na zranienia jak moje własne.

Cóż, żaden ze mnie świrolog, nie potrafię więc wyjaśnić, dlaczego niektóre z nawyków z okresu Zoe mi zostały, podczas gdy inne odeszły w zapomnienie. Wiem jedynie, że te, których się nie pozbyłem, są w tej chwili tak samo moje jak odciski palców. Dotyczy to również stosunku do cudzego ego.

Istnieje, rzecz jasna, szansa, że Catherine Bradshaw chce o mnie zapomnieć równie szybko, jak ja o niej. Być może zostawiła swój telefon po to, abym nie czuł się podle albo żeby ona nie czuła się podle, albo jedno i drugie. Bardzo prawdopodobne, że gdybym do niej zadzwonił, wyparłaby się jakiegokolwiek ze mną znajomości lub na dźwięk mojego głosu niespodziewanie objawiłaby się u niej biegła znajomość lotewskiego. Z drugiej jednak strony istnieje cień szansy, że trochę jej zależy, co z kolei oznacza, że jeśli potraktuję ją jak szmatę, summa summarum sam zacznę się jak szmata czuć. W ten sposób koło się zamyka: okaż jej trochę szacunku i nie strać szacunku dla samego siebie. Bezinteresowność i egoizm jednocześnie. Idealne połączenie, gwarantujące czystość sumienia.

Na szczęście kluczyki Matta wiszą na tablicy w kuchni, mija więc za ledwie kilka minut i już macham ręką do stojącej po drugiej stronie ulicy Bradshaw, wskakuję do spitfire'a Matta, poprawiam siedzenie i lusterko wsteczne, wkładam kluczyk do stacyjki. Skrećam za róg, zastanawiając się jednocześnie nad tym, że po pierwsze, nie jestem ubezpieczony, a po drugie, nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby Matt na wieść o tym, że ośmieliłem się przejechać obiektem jego dumy i uwielbienia, grożąc mi nożem przyłożonym do gardła, zmusił mnie do połknięcia własnych dopiero co obciętych genitaliów. Parkuję spitfire'a w bocznej uliczce, w bezpiecznej odległości od przystanku autobusowego, gaszę silnik i włączam radio.

Cztery piosenki, jeden komunikat o aktualnym stanie ruchu drogowego, wiadomości i dwa papierosy później podejmuję ryzyko: wysiadam z samochodu i ruszam ulicą, żeby ocenić sytuację. Gdy właśnie zbliżam się do rogu, zwalniając, by sprawdzić, czy moja ulica jest już strefą wolną od Bradshaw, mija mnie autobus. Zamieram, albowiem przez autobusową szybę mój wzrok napotyka spojrzenie Catherine Bradshaw. Widzę, jak potrząsa głową i w jednoznacznym geście podnosi do góry środkowy palec.

Nie trzeba zdolności telepatycznych, by odgadnąć niektóre myśli. Ty dupku, to jedna z nich.

Jest późne popołudnie. Oparty plecami o ścianę mojego atelier palę papierosa i studiuję płótno rozpięte na sztalugach, które właśnie przedstawiłem bliżej francuskiego okna wychodzącego na ogród. Pokój tonie w słonecznym świetle, jaskrawym jak blask nie osłoniętej niczym żarówki.

Atelier mieści się na tyłach domu. Jednolitą biel sufitu i ścian łamią jedynie rysunki i kolorowe szkice. Podłoga jest z surowych desek; nie zmieniałem jej, gdy wkrótce po wprowadzeniu zerwałem poplamioną piwem wykładzinę. Mattowi to nie przeszkadzało, po części dlatego, że pokój i tak pozostawiał wiele do życzenia — głównie pełnił funkcję magazynu, w którym przechowywał pudła, nigdy do końca nie opróżnione

z rzeczy przewiezionych z domu jego rodziców w Bristolu; po części zaś dlatego, że wiedział, iż i tak nie stać mnie na wynajęcie innego mieszkania. Po ściągnięciu wykładziny i odmalowaniu ścian jedynym świadectwem dawnej świetności pubu „Churchill Arms” był stół do bilardu.

Minionej nocy udało mi się jednak powiedzieć Bradshaw coś, co nie było kłamstwem: nie pracowałem w piątki. To znaczy nie chodziłem do pracy, za którą należała mi się wypłata. Tak było we wtorki, środy i czwartki, w Paulie's Gallery. Jej właściciel, Paulie, nazywał mnie swoim dyrektorem, zważywszy jednak, iż byłem jedynym pracownikiem, władza nie uderzyła mi do głowy. Głównie siedziałem za biurkiem w części wystawowej, przeglądałem czasopisma i powieści i czekałem, aż zadzwoni telefon, co . zdarzało się niezwykle rzadko — chyba że Paulie, bawiąc w kolejnym bajkowym Med-club, postanowił sprawdzić, jak się sprawuję. Od czasu do czasu zjawiał się jakiś klient, chwilę rozglądał, zadawał jedno, dwa pytania o którymś z obrazów. Jeszcze bardziej od czasu do czasu, może trzy razy na miesiąc, coś kupował, a ja uruchamiałem kasę, wręczałem paragon, organizowałem dostawę. Głównie jednak czytałem albo gapiłem się na przechodzących ulicą ludzi.

Piątki jednak — piątki i poniedziałki — należały wyłącznie do mnie. W te dwa dni mogłem zajmować się jedynie sobą. I starałem się, by nigdy nie musiało to być nic więcej. Starałem się za wszelką cenę nie wychodzić z domu, chyba że sprawa była naprawdę poważna, na przykład kupno paczki papierosów, kilku puszek pepsi max albo rozmowa z pracownikiem banku na temat Dziury Bez Dna (tj. debetu na koncie). Starałem się wstawać o tej samej porze, jak w dni, kiedy otwierałem galerię (10 rano). Brałem prysznic, chwilę gawędziłem z Mattem — jeśli akurat udało mi się złapać go przy śniadaniu. Potem szedłem do atelier i włączałem radio — do towarzystwa. Zapalałem papierosa, brałem do ręki pędzel i zaczynałem tam, gdzie ostatnio przerwałem.

Staram się, żeby tak właśnie te dni wyglądały, często jednak zdarza mi się zaspać i wtedy wszystko bierze w łeb.

Dalej wpatruję się w płótno. Jeśli nie liczyć drobnej porannej afery z Bradshaw, dzień spędziłem bardzo pracowicie. Od dziesiątej rano do czwartej po południu, z godziną przerwą na lunch. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, z wyjątkiem radia do towarzystwa; tym razem nie było mi po prostu potrzebne. To jednak było częścią innego planu.

— No i jak—pyta McCullen, która wróciła właśnie do atelier i stoi teraz pomiędzy mną a płótnem, zasłaniając mi widok. — Zadowolony?

McCullen ma około metra siedemdziesięciu pięciu i jest szczupła. Jasne włosy spływają złocistą falą do połowy pleców. Ma też wyjątkowo seksowny śmiech.

— Nie wiem — odpowiadam, nie dlatego jednak, że przesłania mi sobą płótno, ale dlatego, że zbyt długo byłem skoncentrowany. Teraz muszę się na chwilę oderwać, pozwolić oczom odpocząć, zanim znowu odzyskam zdolność obiektywnego patrzenia. — A co ty o tym sądzisz?

Obraca się i staje twarzą do mnie.

—Mnie się podoba.

Cieszę się; ona mi się też podoba. I to bardzo.

Poznaliśmy się dwa tygodnie temu na przyjęciu, które moja siostra, Kate, wydała dla uczczenia swoich dwudziestych urodzin. Kate studiuje historię i iberystykę na uniwersytecie londyńskim. Jej chłopak ma na imię Phil. On z kolei studiuje romanistykę, na tym samym co Kate uniwersytecie. To on właśnie na pierwszym roku studiów poznał McCullen, zaprzyjaźnili się, udało im się tę przyjaźń utrzymać, aż w końcu w zeszłym roku zamieszkali we wspólnie wynajmowanym domu. Kate i McCullen także się skumplowały i w ten sposób ja mogłem rozpocząć naszą znajomość od rozmowy w kuchni Kate.

Kate już zdążyła jej o mnie naopowiadać, a obraz, który podarowałem Kate na urodziny, wisiał w salonie, łatwo więc przyszło nam nawiązać rozmowę. McCullen wypytywała o moje malarstwo. W szkole chodziła na zajęcia z plastyki, trochę też rysowała w czasie weekendów. Zapytałem, dlaczego w takim razie dalej się tym nie zajmuje, na co ona stwierdziła, że z winy jej rodziców, według których malarstwo to bardzo dobre hobby, ona jednak powinna przede wszystkim nauczyć się jakiegoś za-

wodu. Ja zrewanżowałem się opowieścią o swoich dość skromnych — jak dotąd — sukcesach: trzy obrazy udało mi się sprzedać, a trochę nieoficjalna wystawa moich prac, jaką kilka miesięcy temu zorganizowałem w galerii Pauliego, zebrała całkiem niezłe recenzje. Zapytała, nad czym aktualnie pracuję, a ja — ponieważ byłem wstawiony, ona była cudowna, ignorowała niestety całkowicie wszystkie moje subtelne aluzje i nie istniał nawet cień szansy, żeby udało mi się ją namówić na wspólną kontynuację wieczoru — wyjawilem jej, że mam w planie kilka studiów z natury. zaproponowałem, żeby mi pozowała, mówiąc proszę, proszę, proszę, zgódź się.

Choć zakrawało to na cud, zgodziła się. Lub raczej zapytała:

— Za ile?

A ja odpowiedziałem:

— Miałem nadzieję, że za darmo. Na co ona:

— Nie ma mowy. zaproponowałem więc:

— Dwadzieścia funtów? Ona na to:

— Trzydzieści. A ja:

— Umowa stoi.

Właściwie czemu nie? I tak byłem już ugotowany.

McCullen podchodzi do kanapy, odsłaniając w pełni płótno. Patrząc na nią, na obraz i znowu na nią. Jedno i drugie niewiele ma ze sobą wspólnego. Nie dlatego, że obraz nie oddaje podobieństwa. Po prostu przez te wszystkie godziny, podczas których przekładałem jej ciało z trzech wymiarów na dwa, przestałem widzieć ją jako całość, lecz raczej jako zbiór konturów i cieni. A teraz na nowo odzyskiwała formę, zmartwychwstała. Nie była już obiektem moich studiów, lecz kobietą, której pragnąłem dotknąć. Wręcz się do tego paliłem.

Prawdę mówiąc, pragnienie to sporadycznie mnie ogarniało od chwili, gdy zjawiła się u mnie dzisiaj rano, dokładnie trzy minuty po tym, jak zaparkowałem spitfire'a na starym miejscu z dokładnością co do milimetra i przestawiłem siedzenie, nie zapominając o lusterku wstecznym. Zrobiłem jej kawę i zabawiając rozmową, zaprowadziłem do studia. Rozebrała się w łazience, skąd wróciła owinięta ręcznikiem. Udałem, że

bardzo jestem zajęty ustawianiem płótna, ze wszystkich sił starając się nie gapić na nią, gdy szła przez pokój. Chciałem, żeby poczuła się jak najbardziej swobodnie.

— Co mam robić? — zapytała.

Oddać mi się. Teraz. Na stole bilardowym. Pod prysznicem. Na plaży. W samolocie. Z ciałem unurzany w bitej śmietanie i oblanym czekoladą. Odpowiedzi miałem bez liku i w innych okolicznościach na pewno którąś z nich bezzwłocznie wprowadziłbym w czyn. Ale jest się w końcu profesjonalistą, no nie? Ja byłem artystą, ona moją modelką. Płaciłem jej za to, że do mnie przyszła i rozebrała się, zarówno dla sztuki, jak i dla pieniędzy. Mam rację? Mam. Koniec pieśni.

— Połóż się na kanapie — poleciłem. — Po prostu się połóż, tak żeby ci było wygodnie.

Posłusznie podeszła do kanapy i stojąc do mnie plecami, zsunęła ręcznik, porządnie go złożyła na podłodze, po czym ułożyła się na brzuchu.

— Może być?

Cóż, z estetycznego punktu widzenia ta pozycja była niezła. Z głową wspartą bokiem o skrzyżowane dłonie, ze wzrokiem skierowanym ku mnie wyglądała bardzo naturalnie, jakby właśnie budziła się z głębokiego snu. Światło także nie pozostawiało nic do życzenia. Mniej więcej przez środek jej łydek biegła smuga cienia, co dawało doskonały efekt.

— Nie — pokręciłem głową. — Niedobrze. Spróbuj może położyć się na boku, twarzą do mnie...

Cóż, artystyczna integralność jest najważniejsza, ale czyż nie należy mi się drobna rekompensata za biedę i samotność? Przewróciła się na bok, ręce krzyżując na piersiach.

— Tak lepiej?

— Troszeczkę — powiedziałem — ale wolałbym, żebyś inaczej ułożyła rękę. Spróbuj może oprzeć ją o biodro. — Zrobiła, jak prosiłem. — O, teraz dobrze. — Spojrzałem na nią, potem na płótno, zmarszczyłem czoło, znowu popatrzyłem na nią. — Zegnij lekko nogę. Jeszcze trochę.

Wspaniale. Po prostu wyśmienicie. — Kiwałem głową w naprawdę szczerym zachwycie. — Wygodnie ci?

Leżała bez ruchu.

—W porządku, dziękuję.

Patrzyłem na nią, także bez ruchu, kompletnie zauroczony.

—Cieszę się.

Cóż możemy powiedzieć o naszych obsesjach? To bardzo szczególne siły napędowe ludzkiego zachowania. Życie w pojedynkę przypomina — w co naprawdę szczerze wierzę — stan obłączenia; człowiek wymyśla sobie całe mnóstwo wymagań i jak lew broni swojej wolności do czasu, gdy pojawi się jego Wymarzona. Wtedy wszystkie obsesje, jak piąta kolumna, burzą mury obronne i wpadają drzwiami i oknami, strzelając do wszystkiego, co się rusza. Dzieje się tak najczęściej wtedy, gdy człowiek czuje się bezpieczny i pewny siebie, niestety, pod ich naporem załamuje się wszelka obrona.

Tak właśnie jest w przypadku McCullen. Odkąd ją poznałem, jej obraz oraz wizje, w których ja jestem z nią, nie opuszczają mnie właściwie ani na chwilę. Najbardziej martwi mnie, iż wiele z nich jest niemalże afrontem dla Kodeksu Samotnego, według którego postanowiłem wieść swoje życie. Wyobrażam sobie, że:

a) Idę z nią ulicą i trzymamy się za ręce.

b) Leżę obok niej w łóżku, jest świt, a ja patrzę na nią, jak śpi.

c) Siedzimy przy ustronnym stoliku w restauracji, popijamy wino i patrzymy sobie w oczy.

Innymi słowy, nie są to wersety z Biblii Samotnego Faceta, która z kolei głosiła, że są pewne cechy, którym moja Wymarzona sprostać, niestety, nie zdoła. Na przykład, nie potrafiłem sobie wyobrazić, że:

a) Po półrocznym rozstaniu z powodów ode mnie niezależnych ona wciąż na mnie czeka.

b) Mieszkamy razem.

c) Proszę ją, aby za mnie wyszła.

Mimo to jednak McCullen bliższa jest mojej Wymarzonej niż jakkolwiek inna od czasu rozstania z Zoe. A w tej chwili jest szczególnie blisko.

—Czy na dzisiaj skończyliśmy? — pyta.

—Tak. Dzięki za cierpliwość. Podnosi ręcznik i owija się nim.

—Co teraz?

Dobre pytanie. Od dobrych paru godzin zastanawiałem się, czy go nie zadać. Odpowiedź, której najchętniej bym udzielił, brzmiałaby mniej więcej tak: „Przyjęcie u Matta nie zacznie się wcześniej niż za jakieś trzy godziny, może więc byśmy zabili ten czas w łóżku?” Na moje jednak nieszczęście, w mieście Londyn, na planecie Ziemia, panna McCullen ani razu w ciągu dnia nie dała mi najmniejszej nadziei, że przystałaby na podobną propozycję. Zdecydowałem się więc na coś bardziej dwuznacznego.

—Cóż, mógłbym otworzyć butelkę wina... Uśmiecha się.

—Nie, nie, mówiąc „teraz”, nie miałam na myśli tej chwili. Chodziło mi o obraz. Jeszcze go nie skończyłeś, prawda? Chciałbyś pewnie, żebyśmy się jeszcze raz spotkali?

—Ach, tak. Jasne. Oczywiście. — Zupełnie, jakbym wiedział, że właśnie to miała na myśli. — Będziemy chyba potrzebowali jeszcze kilku sesji. Jeżeli oczywiście to wytrzymasz.

—Żaden problem. Świetnie się bawiłam. — Ręką masuje sobie ramię.  
— Trochę tylko zeszywniałam.

— Nie nudziłaś się?

— Nie, fajnie się z tobą gada. Zresztą zabawianie modeli to pewnie dla ciebie nic nowego.

Teraz lepiej. Dogadujemy się. Ona najwyraźniej mnie lubi.

— Chyba tak — zgadzam się z nią. — A wino? Mam w lodówce butelkę...

Chwilę się zastanawia, wreszcie mówi:

— Nie, lepiej już pójdę. Wieczorem mam spotkanie z teściami. Jakby mnie ktoś walnął w żołądek. Zanim zdążyłem pomyśleć, słowa same cisną mi się na usta.



—Teściowie? Nie chcesz chyba powiedzieć, że... Śmieje się, odgarnia włosy z twarzy.

—Jestem mężatką? Boże, uchwaj. Tak naprawdę to jeszcze nie teściowie, tylko rodzice mojego chłopaka. Dzisiaj są urodziny jego matki.

—Nie wiedziałem, że masz chłopaka. — Choć bardzo się staram to ukryć, wyraźnie słyhać w moim głosie rozczarowanie. — Coś poważnego?

—Chodzimy ze sobą już trzy lata.

—O, więc to nie żarty.

—Raczej nie.

W jej głosie słyhać lekkie wahanie. To mi wystarcza.

—Mam nadzieję, że twoje pozowanie nago mu nie przeszkadza?

—Przeszkadzałoby, gdyby wiedział. Uśmiechamy się oboje.

—Kapuże.

— Chodzi mi o to, że nie powinno. Przecież nic takiego się nie dzieje. Nie zdradzam go ani nic z tych rzeczy.

— Dlaczego mu w takim razie nie powiesz?

— Ponieważ poczułby się zagrożony i zazdrosny. Gra niewarta świeczki.

— Kochasz go?

— Tak — oświadcza, idąc przez pokój, żeby się ubrać. — Bardzo.

OK, typowy scenariusz uwodzenia wygląda nieco inaczej. Zupełnie jakbym zaczął czytać od ostatniej strony. Obiekt mojego pożądania najpierw był nagi, potem owinął się ręcznikiem, teraz się ubiera i wkrótce pójdzie sobie w ogóle. Co gorsza, oznajmiła mi z niezachwianą pewnością, że od trzech lat pozostaje w związku z mężczyzną, którego kocha. Do tego kocha bardzo.

To wystarczyłoby na wyleczenie z obsesji większości ludzi. Ja jednak byłem przypadkiem beznadziejnym. W skądinąd czarnej rzeczywistości dostrzegłem dla siebie iskierkę nadziei: żeby być ze mną, jest gotowa oszukać mężczyznę, którego kocha. Do tego zamierzała dopuścić się kolejnego oszustwa w przyszłym tygodniu. Cóż, można to raczej porównać do lekkiego kiwnięcia głową w pokoju pełnym ludzi niż do czerwonej

flary rozbłyskującej na ciemnym nocnym niebie. Niemniej jednak nie byłem tak całkowicie bez szans. Wniosek: fatalnie, że odrzuciła moje zaproszenie, by móc spotkać się ze swoim chłopakiem, ale jest przecież przyszły tydzień...

Jeżeli natomiast chodzi o moje ego, to na tym froncie spotykały mnie już o wiele gorsze porażki.

\* \* \*

*Wyznania. Nr 2. Dziewictwo. Miejsce: Dom rodziców Mary Rayner.*

Czas: 6 po południu, 15 maja 1988. Mary: Masz? Ja: Tak.

Mary: No to jak, nałożysz ją wreszcie czy co? Ja: Jasne.

Mary: Wygląda trochę śmiesznie.

Ja: Pachnie curry.

Mary: Obrzydliwość.

Ja: Wiem, przepraszam.

Mary: Jezu, ale śmierdzi.

Ja: Powiedziałem, przepraszam.

Mary: Nie masz innej?

Ja: Nie, w maszynie innych nie było.

Mary: No dobra. Nakładaj.

Ja: Dobra.

Mary: Dokąd idziesz? Ja: Do łazienki. Mary: Po co?

Ja: Nie martw się, zaraz wracam. Mary: Już dobrze? Ja: Uhm.

Mary: No to chodź tutaj.

Ja: Okay.

Mary: Au!

Ja: Przepraszam.

Mary: Daj, pomogę ci.

Ja: Dzięki.

Mary: Robisz to po raz pierwszy, prawda?

Ja: Coś ty, chyba ze sto razy.

Mary: Łgarz.

Ja: Wcale nie.

Mary: Tutaj, tak lepiej.

Ja: Tutaj?

Mary: Tak, dokładnie tutaj...

Opis rzeczywisty samego aktu: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście, szesnaście, siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieś...

Mary: Już?

Ja: Tak. Jak mi poszło? Mary: Beznadziejnie.

## PRZYJĘCIE URODZINOWE MATTA

Nikogo chyba nie zdziwi, że związek z Mary Rayner nie przetrwał zbyt długo. Dłużej co prawda niż te nieszczęsne dziewiętnaście i pół sekundy, lecz niewiele. Tamtą noc spędziłem u niej i rano kochaliśmy się znowu. Tym razem byłem o wiele bardziej wytrwały—zanim skończyłem, w Capital Radio zdążyli nadać jedną reklamę dietetycznej coli i trzy piosenki — choć z technicznego punktu widzenia, na co zresztą zwróciłem później uwagę Mattowi, mogę śmiało mówić o sześciu piosenkach, zważywszy na to, że jedną z nich była *Cygańska rapsodia*. Nawet Mary musiała przyznać, że pod jej genialnym przewodnictwem awansowałem z „beznadziejnie” na „w porządku” w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin. Przyszłość rysowała się świetliście. Byłem bardzo zadowolony. Moja misja zakończyła się pełnym sukcesem. Wyszliśmy z domu przed lunchem, długo obściskiwaliśmy się przy stacji metra na Ealing Broadway, po czym odjechałem do Bristolu. Zadzwońłem do niej jeszcze raz, ona jednak nie oddzwoniła. Nigdy więcej o niej nie słyszałem.

Wiedziony nostalgią lubię sobie myśleć, że rozdzieliły nas okoliczności — ona mieszkała w Londynie, ja w Bristolu, żadne z nas nie miało dość kasy na regularne odwiedziny, a poza tym oboje byliśmy zbyt zajęci przygotowaniem do matury i brakło nam czasu, żeby poznać się lepiej. Rzeczywistość jednak przedstawiała się zgoła inaczej. Tak naprawdę Mary po prostu miała lepszych ode mnie, mnie zaś nigdy wcześniej nie było tak dobrze. Każdym z nas powodowały inne motywy: Mary nie miała ochoty zostać przy czymś pomiędzy „beznadziejnie” a „w porządku”, ja natomiast wkroczyłem w nowy cudowny świat i skoro udało mi się zjednać dziewczyną (dwukrotnie), dlaczego nie miałem spróbować z innymi (tyle razy, ile się da).

Przeprawa była ciężka, ale warta zachodu. Po tym jednym weekendzie w Londynie wszystko się zmieniło. Bardzo pewny siebie wróciłem do Bristolu, zamknąłem się z telefonem w kuchni i zadzwoniłem do Matta. Opowiedziałem mu wszystko ze szczegółami, potem on kazał mi opowiadać jeszcze raz wszystko od początku. Chociaż starałem się nie dać po sobie niczego poznać, przyznaję, że delektowałem się każdym słowem.

Następnego dnia, w poniedziałek, Matt odprowadził do domu Laurę Riley, dziewczynę, z którą chodził na zajęcia z matmy i w której podkochiwał się od kilku miesięcy, nigdy jednak nie miał dość odwagi, żeby jej o tym powiedzieć. Wtedy jednak nie tylko ją odprowadził, ale jeszcze pocałował na przystanku autobusowym na ulicy, przy której mieszkała. Umówił się z nią. Dwa tygodnie później jego rodzice wyjechali do Lake District na weekend i Matt wraz z Laurą pozbawili się nawzajem dziewictwa na dolnej części piętrowego łóżka, gdzie Matt sypiał, odkąd skończył siedem lat.

Można by przypisać przypadkowi, że Matt przestał być prawiczkim w tak niedługim czasie po mnie, ja jednak w to wątpię. Bardziej odpowiada mi teoria współzawodnictwa. Albo raczej domieszka rywalizacji, która zawsze dodawała kolorytu naszej przyjaźni. Śmiało mogę powiedzieć, że okres po pokwitaniu, a przed Mary, w siedemdziesięciu procentach wypełniony był rozmowami o seksie, z tym że na poziomie czy-

sto teoretycznym. Jak to zrobimy? Jak to będzie, kiedy w końcu to zrobimy? Z chwilą, gdy uzyskałem odpowiedzi na obydwie te pytania, równowaga ignorancji, na której opierała się nasza przyjaźń, uległa zachwianiu. Huśtawka drgnęła: Matt, wciąż jeszcze chłopiec, spoglądał na mnie z dołu, a ja, w pełni mężczyzna, patrzyłem na niego z góry wzrokiem, z którego biło doświadczenie. Żeby przywrócić między nami równowagę — nazwijmy to, zremisować — nie miał Matt innego wyjścia, jak strzelić gola. Co też uczynił. Z Laurą Riley. W swoim piętrowym łóżku.

Rzecz jasna, na tym się nie skończyło. Poznałem kogoś i huśtawka znowu się zachwiała, więc Matt zerwał z Laurą i dorównał do mnie. Jeśli nie liczyć piętnastu miesięcy, kiedy to chodził z Penny Brown, co — naturalnie zupełnie przypadkowo — zbiegło się w czasie z moją znajomością z Zoe, chyba nigdy nie przestaliśmy rywalizować. I wszystko wskazuje na to, że dzisiaj — otworzyłem drzwi do „BarKing”, miejsca wybranego przez Matta na świętowanie swoich urodzin — nie będzie inaczej. Obaj nie mamy dziewczyny. Obaj kogoś szukamy. I chociaż niczego już nie musimy udowadniać, a nasza przyjaźń dawno przekroczyła pułap, na którym ważne było, komu pierwszemu się udało, sportowy duch dalej każe nam walczyć o przechylenie huśtawki na swoją stronę. Dziewczyna na jedną noc. Bez komplikacji. Po prostu jeszcze jedna kreska na tablicy. Taka sobie nieszkodliwa zabawa.

Omiotłem wzrokiem bar w poszukiwaniu twarzy znanych i tych, na które przyjemnie popatrzeć. „BarKing” to znane miejsce spotkań bogatych młodych ludzi, i dlatego Matt w nim bywa. Nie reklamuje się jako Bar Samotnych Serc, ale w zasadzie tym właśnie jest. Z założenia hałaśliwy i pełen życia, ma tylko kilka stolików, przy których jest miejsce dla jakichś dwunastu osób. Innymi słowy, na pewno nie jest to miejsce, które w *Przewodniku po romantycznych zakątkach Londynu dla zakochanych* zdobyłoby dużą liczbę gwiazdek.

Inspekcja wizualna potwierdza, że podobnie jest i dzisiaj: jeden bal samców, jeden babski comber, poza tym kilka pomniejszych skupisk przedstawicieli tej samej płci. Na palcach jednej ręki można policzyć

obrączki i pierścionki zaręczynowe, co — jestem tego całkowicie pewny — nie ja jeden na tej sali uczyniłem. Towarzystwo przedstawia się różnorodnie, lecz jedno łączy je niewątpliwie: markowe ciuchy, fryzury autorstwa najlepszych mistrzów grzebienia i wypielegnowane twarze. Ludzie tu przychodzą, żeby się dobrze sprzedać, trafić na właściwego kupca. Ja, dzięki ubraniom pożyczonym od Matta, całkiem nieźle się z tym tłum komponuję. Jak obliczyliśmy, Matt był tu już dziesięć razy i dwa razy udało mu się wyrwać panienkę, co daje mu sukces dwudziestoprocentowy. Jeżeli chodzi o mnie, dzisiaj zjawiałem się w barze po raz szósty, a dziewczynę wyrwałem raz, co stawia mnie na równi z Mattem. Jak dotąd, huśtawka jest w równowadze.

Jak dotąd...

Dostrzegam Matta przy stoliku na drugim końcu sali, nie ruszam jednak natychmiast ku niemu przez kłębowisko ciał, lecz przebijam się do baru, gdzie zamawiam piwo dla siebie, a dla Matta tradycyjny urodzinowy koktajl o wyszukanej recepturze. Czekaając, aż szatański napój dla mego przyjaciela zostanie przygotowany, przyglądam się towarzystwu, które na dzisiaj zaprosił. Matt nie jest szczególnie dobry w organizowaniu przyjęć urodzinowych, zdecydowanie skłania się ku podejściu, że jest to jeszcze jeden dobry pretekst, aby napić się z przyjaciółmi. Jest Chloe, nasza droga przyjaciółka, ku mojej uldze nie zauważam jednak Bradshaw. Są Andy, William i Jenny, znajomi Matta z pracy, poza tym Carla, Sue i Mike, przyjaciele z uniwerku, a także Mark i Tim, którzy przyjechali na weekend z Bristolu.

Jest tylko kilka osób dotąd mi nie znanych — zapewne „ekstrasy”, o których Matt wspominał dzisiaj rano przy kuchennym stole. Jest ich pięcioro, dwóch facetów i trzy dziewczyny. Widok tylko jednej z nich nie uruchamia systemu syren ostrzegających przed psycholami i świrami. Siedzi po lewej stronie Matta, profilem do mnie. Prezentuje się nieźle. Matt mnie zauważa i macha ręką, coś woła, lecz jego słowa toną w powodzi huczących wokół głosów. Odpowiadam skinieniem dłoni i raz jeszcze taksuję wzrokiem Tajemniczą Dziewczynę, po czym odwracam się, żeby zapłacić za drinki.

Mam kolegę o imieniu Paddy, który mniej więcej w ten sposób definiuje dylemat samotnego faceta szukającego dziewczyny:

Ja to widzę tak: opcje są dwie — krótkoterminowa i długoterminowa.

Na opcję krótkoterminową decydujesz się wtedy, kiedy chodzi ci tylko o ruchanko. To oznacza, że zaczepiasz każdą kobietę, u której masz według siebie jakąś szansę. No więc zaczynasz z nią gadkę i obserwujesz rozwój sytuacji. Dajmy na to, panienka zaczyna ściemniać, że nie sypia z byle kim albo że ciężko jej bez faceta czy też ma dość tracenia czasu na dupków, którzy nie dojrżeli jeszcze do związku — ucinasz rozmowę i zabierasz się do kogoś innego. I tak wędrujesz od jednej do drugiej, aż spotykasz wreszcie tę, która nawet jeżeli nie powiedziała od razu tak, to wysłała odpowiednio wiele sygnałów wskazujących, że zrobi to bardzo szybko.

Jest też opcja druga, długoterminowa. Zasadnicza różnica polega na tym, że w przypadku tej drugiej myślisz nie tylko kutasem, ale także głową. Podejście jest takie samo. Widzisz kogoś, kto ci się podoba, podchodzisz i zaczynasz gadkę. Tyle tylko, że tym razem, jeśli to, co słyszysz, podoba ci się tak samo jak to, co widzisz — a spójrzmy prawdzie w oczy, na dłuższą metę, pod koniec dnia tak naprawdę liczy się nie ciało, lecz to, co w sobie kryje — nie odpuszczasz jej tylko dlatego, że nie zamierza przed świtem ściągnąć dla ciebie majtek. Myślisz sobie natomiast: „Hej, ona mi się podoba. Chciałbym poznać ją lepiej”. I próbujesz. Pora na wszystkie te staromodne bzdury: wymieniacie numery telefonów, dzwonisz do niej, umawiacie się na randkę i tu się wszystko zaczyna.

Wybór opcji musi zapaść na początku wieczoru, ponieważ jedna automatycznie wyklucza drugą. Wybierasz opcję pierwszą i zarywasz panienkę z jednego tylko powodu: ponieważ chodzi ci wyłącznie o seks. Mała szansa, żebyś później myślał o niej w innych kategoriach. Wybierasz opcję drugą i musisz być przygotowany na fakt, że do domu wrócisz sam, przynajmniej tego dnia.

Paddy ożenił się dwa miesiące temu, nietrudno więc zgadnąć, na którą opcję się zdecydował. Ja ciągle jeszcze nie wyszedłem poza pierwszą.

Podchodzę do stolika, gdzie wita mnie seria „jak się masz” i „cześć”, i „co u ciebie”, w zależności od tego, jak dawno się z daną osobą widziałem. Krzesło Tajemniczej Dziewczyny jest puste, ale na oparciu wisi żakiet. Stawiam przed Mattem jego urodzinowy koktajl. Krzywi się już na sam jego widok.

—Jezu — mamrocze, wpatrując się w szarawą, mętłą miksturę — kiedy wreszcie wyrośniemy z tego gówna?

—Kiedy będziemy starzy i żonaci.

Ponieważ w najbliższej przyszłości nie ma szans ani na starość, ani na ożenek, Matt z rezygnacją sięga po szklanekę i opróżnia jednym haustem do dna.

— Wszystkiego najlepszego — mówię i wręczam mu jego karykaturę, którą dałem oprawić.

Patrzy na nią i wybucha śmiechem, po czym przekazuje ją dalej.

—Świetna. Dzięki. Siadaj — zwraca się do mnie, ocierając usta i zapalając papierosa. Przesuwa krzesło Tajemniczej Dziewczyny, żeby zrobić mi miejsce koło siebie. — Skombinuj sobie coś do siedzenia.

Zanim udało mi się ze zdobycznym krzesłem wrócić do stolika, Tajemnicza Dziewczyna już się pojawiła. Ustawiam swoje krzesło obok niej i siadam.

— Cześć — zagaduję, obracając się ku niej. — Jestem Jack.



## AMY

O Boże.

To nie może być prawda.

Niemożliwe, żeby istota ludzka mogła czuć się tak fatalnie.

Słyszę dziwny świszczący dźwięk, co oznacza, że oddycham (graniczy to z cudem, zważywszy na to, że wczoraj wypaliłam 4000 fajek). Dręczy mnie jednak paskudne przeczucie, że jeśli natychmiast nie wstanę, porazi mnie wylew krwi do mózgu.

Łatwiej pomyśleć, niż zrobić. W nocy moje stawy zmieniły się w galaretę. Jeden zgrabny ruch i potykam się o moje zrzucone byle gdzie odlotowe buty, walę paluchem w żeberko kaloryfera i kiedy podskakuję, wijąc się z bólu, tracę równowagę, przelatuję głową naprzód przez plastikowe drzwi do sypialni, by wreszcie z wdziękiem wylądować na komodzie w salonie.

Zapada cisza. Leżę jak długa na słomianej macie i czuję muśnięcia porannego wietrzyku na pośladkach, bo podczas upadku moja przedpotopowa koszulka z napisem RELAX podarła się.

Apogeum.

Rozlega się brzęk, jakiego nie wydaje nic poza pustą butelką, i niezaprzeczalny powód mojego aktualnego kaca z piekła rodem stacza się z komody i wali mnie w głowę.

Na widok butelki po whisky z gardła dobywa mi się jęk, po czym z wolna, w przerażający sposób wydarzenia minionej nocy zaczynają wyłaniać się z mgły bólu.

Będę rzygać.

Kiedy w końcu wracam do pozycji pionowej, szacuję zniszczenia w łazienkowym lustrze. Zgroza.

Amy Crosbie, lokatorka mieszkania D przy Pemberton Villas na Shepherd's Bush, znikła. W porządku. Ale kto wpuścił do łazienki tego potwora? Kim ona jest?

Czy to możliwe, żeby z długowłosej lali w staniku wonderbra, która opuściła dom zaledwie wczoraj o 8.30 wieczorem, przeistoczyć się tak całkowicie w chodzącą podobiznę kostuchy? Rękami staram się zapamiętać nad najnowszym osiągnięciem fryzjerki--poduszki i wysuwam język. Jest zielony.

Jako urodzona optymistka, staram się dostrzec przede wszystkim dobre strony:

1. Gorzej już być nie może (muszę przyznać, że zazwyczaj ten właśnie punkt pojawia się na początku mojej listy dobrych stron).

2. Dzięki Bogu, Jack nie został na noc, nie muszę więc znosić upokorzenia, jakiego bym doznała, gdyby przyszło mu oglądać mnie w tym stanie.

3.?

Numeru trzy nie ma, ponieważ numer 2 jest pierwszym punktem na liście stron złych. Z piersi wydiera mi się jęk rozpacz. Jack nie został.

Pierwszy porządny facet, jakiego udało mi się poznać po tylu miesiącach, dał nogę. O świcie przepadł, nawet bez jednego buziaka na dobranoc. Prawdę mówiąc, trudno mieć mu to za złe. W końcu zrobiłam z siebie kompletną, całkowitą idiotkę.

Zbyt wielka to tragedia i sama sobie z nią nie poradzę. Dzwonię do H, mojej najlepszej kumpeli.

H: (na wpół śpiąc) Uhm?

Ja: (chwilę czekam, żeby domyśliła się, że to ja) Szlagggggggg! (Staram się, aby moje powitanie zabrzmiało jak najbardziej tragicznie).

H: Szlag-szlag-szlag? Czy tylko szlag?

Ja: Szlaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaag! H: Zaraz będę.

Uwielbiam H. Ona mnie naprawdę rozumie.

Dwadzieścia minut później H ustawia rower w stojaku na rowery w wąskim holu mojej czynszowej kamienicy. Wygląda obrzydliwie zdrowo i świeżo po SPN (Spokojnie Przespanej Nocy) i prawdopodobnie odpowiedniej ilości GSS (Głęboko Satysfakcjonującego Seksu) z Gavem (aktualnym facetem). Całuje mnie i oznajmia, że cuchnę jak browar, a zęby mam pomarańczowe.

Mruczę coś w odpowiedzi, ale i tak jestem z siebie zadowolona, bo udało mi się zejść po schodach do drzwi wejściowych, czym zaznaczyłam swój powrót do rodzaju ludzkiego.

Zdażyłam już zjeść trzy nurofeny-plus, wypić dwie filiżanki czarnej kawy, każdą z łyżką brązowego cukru (wiem, że to paskudztwo, ale sytuacja jest kryzysowa), i zmusiłam się do przełknięcia czterech rozpuszczalnych witamin C. Buzuje we mnie cztery tysiące procent więcej, niż wynosi dzienna dopuszczalna dawka, ale przynajmniej mogę mówić.

H sadowi się w kuchni na blacie, a ja tymczasem nastawiam czajnik.

— O ile rozumiem, nikogo nie zarwałaś — stwierdza, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. — Co się stało?

Od razu widać, że jest zawiedziona, tym bardziej że wczoraj wieczorem zabawiła się w Garderobianą. Obiecywała mi nie wiadomo jakie wzięcie i tylko dlatego zgodziłam się włożyć czarną sukienkę, która gdyby była choć odrobinę krótsza, nie byłaby sukienką, ale paskiem, stanik wonderbra i odlotowe buty (które, notabene, kupiłam kiedyś w przyływie dobrego humoru, nigdy w życiu nie mając zamiaru ich nałożyć). Na co dzień zdecydowanie wolę dzinsy i adidas, tym razem jednak H postawiła stanowcze weto. Przed wyjściem zawlokła mnie jeszcze do siebie, żeby w pełni ocenić mój potencjał. Gdy weszłam, Gav wydał przeciągły gwizd aprobaty i uraczył mnie potężną wódką z tonikiem, a H przyznała mi dziewięć punktów na dziesięć (dziesięć na dziesięć jest zarezerwowane na dzień mojego ślubu), po czym łagodnie wygoniła w noc, żebym mogła w pełni wykorzystać swe niewieście wdzięki i uwieść boskiego Matta.

Wiem, że wszystko to brzmi nieco dramatycznie, ale H zna mój straszliwy sekret. Sekret, który ostatnio pomалу zaczął przerażać się w

kryzys. O mój Boże, ciężko mi nawet o tym myśleć, lecz prawda jest taka, że... od ponad sześciu miesięcy nie uprawiałam z nikim seksu.

Sądzę, iż z technicznego punktu widzenia fakt ten czyni mnie na powrót dziewicą; przecież wszystko musiało mi już tam pozarastać. Zresztą nieważne, czym się stałam, ale nie jest to normalna sytuacja dla zdrowej, dwudziestopięcioletniej dziewczyny. Nic dziwnego więc, że koniec końców musiałam dojść do nieuchronnego wniosku: COŚ ZE MNĄ JEST NIE TAK.

H się ze mną nie zgadza. Według niej to tylko kwestia czasu. Mimo to nawet jej coraz bardziej zależy na tym, żebym w końcu znalazła sobie chłopaka, szczególnie od czasu, gdy po trzymiesięcznym próbnym okresie z Gavem zaczęła stosować pigułkę, a jego samego określać mianem swojego „partnera”. Ta zmiana w jej życiu oddaliła nas od siebie, na pozór tylko troszeczkę, ale z psychologicznego punktu widzenia jest to niemal przepaść nie do przebycia, w obliczu której H wyruszyła na osobistą krucjatę mającą na celu znalezienie mi w pierwszym rzędzie posuwacza, by w następnej kolejności doprowadzić mnie do wygodnego związku, choć trochę przypominającego to, co łączy ją z Gavem.

Bardzo by mi to pasowało.

Kiedy wspomniałam, że Chloe zaprosiła mnie na przyjęcie urodzinowe Matta, to H, a nie ja, wpadła w stan euforii. Tym bardziej że Matt osobiście prosił, abym przyszła, mimo że wcześniej spotkaliśmy się zaledwie raz. (Dosłownie straciłam wtedy przytomność.) Sądzę, że dla H to zaproszenie jawiło się jako oaza nadziei na pustyni mego samotnego życia, a ja głupia pozwoliłam, żeby jej entuzjazm udzielił się mnie.

Wszystko to zaowocowało dzisiejszym tragicznym porankiem i wiem, że muszę się ze wszystkiego wytłumaczyć. I to szczerze.

Na początek postanowiłam sprawę przedstawić w choć trochę korzystniejszym dla mnie świetle.

—Cóż, w zasadzie kogoś poderwałam — zaczynam opowieść, a H częstuje mnie swoimi papierosami Marlboro Lights. Dobrze wiem, że zaledwie dwadzieścia minut wcześniej poprzysięgłam sobie solennie nigdy, przenigdy już nie zapalić ani jednego papierosa, niestety przecze-

nie samej sobie zawsze należało do moich najmocniejszych stron. Więc chociaż mam głos o dwie oktawy niższy i czuję się zatruta do szpiku kości, biorę jednego z jej paczki.

—Kogo, Matta? — pyta H, zdejmując żakiet. Pod spodem ma nowiutką, supermodną kamizelkę.

—Nie, nie Matta, chociaż przyznaję, jest fantastyczny. Nie, on się mną specjalnie nie interesował. Chyba za bardzo się schlał.

—Więc kogo?

Oddaję jej paczkę, a ona wyciąga z niej jednego papierosa. Podaję jej ogień.

— Kolegę, który z nim mieszka. — Przypalam swojego papierosa i wyciskam herbacianą torebkę o widelec. — Ma na imię Jack.

Wystarczy, że wypowiem tylko jego imię, a natychmiast pograżam się w otchłani wstydu.

— Szczegóły, proszę — rozkazuje H, siada wygodnie i obejmuje dłońmi swój kubek.

Opowiadam jej więc po kolei wydarzenia wieczoru: o tłumie w „3arKingu”, o picciu, flirtowaniu, tańcach, wyjściu, długim spacerze do mojego domu, milionach papierosów, o siedzeniu bardzo blisko siebie na podłodze i wreszcie o ROZMOWIE. Wyglądało na to, że zdążyliśmy z Jackiem omówić już absolutnie wszystko, z wyjątkiem naszego życia seksualnego. Piliśmy whisky, rozwaleni na kanapie jak starzy kumple. Wydawało mi się niemożliwe, żeby nasza rozmowa dobiegła kiedykolwiek końca, tyle mieliśmy sobie do powiedzenia. Kiedy temat, którego do tej pory starannie unikaliśmy, w końcu wypłynął, w butelce widać już było dno, a ja fizycznie i emocjonalnie znajdowałam się u kresu wytrzymałości.

— A więc? Z jakimż to szczęśliwcem dzielisz aktualnie życie? — zapytał Jack, nalewając mi kolejną porcję whisky.

Bawiłam się woskiem ze świeczki i właśnie wtedy, gdy wpatrywałam się w jej płomień, whisky mnie dopadła. Nagle poczułam się kompletnie pijana i zrobiło mi się straszliwie smutno.

— Z żadnym — wyszeptałam.

Jack dotknął mojej dłoni i zajął mi w oczy.

— Uups. Zdaje się, że trafiłem w czuły punkt.

—Nie, wcale nie. Albo chyba tak. Chodzi o to... — O co?

—O nic.

Zrobiło mi się potwornie żal samej siebie. Poczułam, jak z oka wypływa mi potężna łza i spada na kolano.

Jack odsunął z mojej twarzy kosmyk włosów.

—Hej, hej. No co ty, chyba nie jest aż tak źle? — próbował mnie uspokoić.

—Och, Jack — szlochałam, a po twarzy płynęła mi czarna mieszanina łez i tuszu do rzęs. — Ze mną chyba nie wszystko jest w porządku.

— To znaczy?

— Od wieków z nikim się nie kochałam. Nie umiem sobie znaleźć żadnego faceta, jestem w tym beznadziejna. Chyba po prostu nikomu się specjalnie nie podobam.

Jack zaśmiał się cicho i pogłaskał mnie po karku.

—Daj spokój. Jesteś bardzo ładna. — Matt tak nie uważa.

—Matt! — Ręka Jacka zamiera u nasady moich włosów.

— To takie typowe. Najpierw zaprasza mnie na imprezę, a kiedy się zjawiam, natychmiast go odstraszam.

Jack wyprostował się, a na jego twarzy malowało się autentyczne zdziwienie. — Matt ci się podoba? Przytaknęłam na wpół przytomnie.

— Ale chyba nie mam szans, prawda?—Pociągnęłam nosem (nie najlepiej mi to wyszło, więc wytarłam go w spódnice). — Nigdy w życiu się ze mną nie prześpi. Muszę się z tym pogodzić. Nikt nie chce mnie zerznąć. Ty też nie, co?

Nie mam siły mówić dalej. Przeniosłyśmy się z H do salonu i teraz spoglądamy na siebie z przeciwległych krańców kanapy. Chowam twarz, a wstyd aż mnie pali. H pocieszająco klepie mnie po kolanie.

— Myślę, że za bardzo się przejmujesz — wydaje w końcu wyrok. — Może rzeczywiście trochę go wystraszyłaś, ale to jeszcze nie koniec świata. Wydaje mi się, że na swój sposób mu pochlebiłaś.

Czy ona mnie w ogóle nie słuchała? Czy ona nie dostrzega otchłani upokorzenia, w której właśnie tonę bez aparatu tlenowego? Tym razem było gorzej niż w college'u, kiedy chciałam uwieść Borisa, bardzo seksownego fotografa z Niemiec. Głęboko przekonana, że chemia pomiędzy nami zaiskrzyła, i umierająca z pożądania, pojawiłam się pewnej nocy u jego drzwi w czarnej koronkowej bieliźnie. Od jego łóżka dzieliło mnie już tylko kilka metrów, rzucałam mu zabójcze spojrzenia i uwodzicielsko spuszczałam ramiączko stanika, gdy on odłożył gazetę i oświadczył, że jest pedałem.

Sytuacja z Jackiem przedstawia się znacznie gorzej.

—Uch! —jęczę. — Wcale mu nie pochlebiłam.

—Może się po prostu martwił, że nie będzie mógł... no wiesz... tego zrobić.

—Dopóki nie powiedziałam mu, że poszłam na tę imprezę, by podejrzeć Matta, nic nie wskazywało, że może mieć jakieś kłopoty! — wrzasnęłam.

—Po co więc mu o tym powiedziałaś? — chce wiedzieć H. Dobre pytanie.

Wstaję i zaczynam chodzić — no, może raczej z trudem się przemieszczać po nie zastawionym metrze kwadratowym dywanu pod oknem.

— Nie wiem. Byłam pijana, rozkleiłam się i tak mi się jakoś wymknęło. — Składałam ramiona na piersiach. — Problem w tym, że on mi się podoba — rozmarzam się. — Pierwszy facet od stu lat, z którym mogłam pogadać. No i świetnie tańczy. I jest taki przystojny. Tak się dobrze bawiliśmy, dopóki... — Ściskam dłońmi głowę. — O Boże, aleja jestem beznadziejna. H ignoruje moje samobiczowanie.

—Założę się, że zadzwoni do ciebie.

—Nie może. Wyszedł i nie wziął mojego numeru.

—Ale wie, gdzie mieszkasz. Istnieje coś takiego jak książka telefoniczna.

—Ty nic nie rozumiesz.

—Posłuchaj. Wypiliście wspólnie butelkę whisky. Powiedziałaś parę rzeczy za dużo. No i co z tego? To nie przestępstwo mieć chwilę słabości.

Słabość to jedno. I nic w niej złego, póki nie wykracza poza nieszkodliwe szczegóły, jak sypianie od czasu do czasu z pluszowym niedźwiadkiem albo przyznanie się, że *Top Gun* wciąż należy do twoich ulubionych filmów. Ale opowiadanie świeżo poznanemu facetowi (który w dodatku jest jeszcze bardzo przystojny), że jest się najbardziej zdesperowaną, potrzebującą, seksualnie wygłodzoną kobietą na kuli ziemskiej, to coś zupełnie innego.

— Chyba ci rozum odjęło, jeżeli myślisz, że on zadzwoni. Nie zadzwoni. Wiem, że nie — zacznym popadać w czarną rozpacz.

W tym momencie dzwoni telefon.

Patrzymy na niego obie, a H unosi brwi, jakby mówiła: „Czyżby?”

—Co mam powiedzieć? — wpadam w panikę.

—Nie wiem, ale odbierz!

Chociaż kac wciąż jeszcze męczy mnie niemiłosiernie, zacznym podejrzewać, że może H ma jednak rację i Bóg istnieje, niestety ociągam się zbyt długo. W chwili gdy podnoszę słuchawkę, włącza się automatyczna sekretarka. Przez chwilę tonę w kakofonii jęków i gwizdów wydawanych przez tę mechaniczną pomyłkę, po czym następuje martwa cisza. Spoglądam z niedowierzaniem na słuchawkę, po czym walę się nią w czoło.

— Zadzwoń na 1471 — woła pełnym entuzjazmu głosem H i siada ze skrzyżowanymi po turecku nogami.

Wykręcam numer.

— Przepraszamy, ale nie znamy numeru abonenta. Przepraszamy, ale nie...

Z wściekłością ciskam słuchawkę na widełki.

— Gównu!

W milczeniu każda z nas analizuje sytuację.

— Założę się, że to był on — mówi H, tuląc w ramionach poduszkę.



Chociaż wiem, że nie ma racji, staram się ocenić sytuację z każdej strony.

—Dobra, założmy — ale tylko chwilowo— że hipotetycznie to był on. Jak mam mu wyjaśnić, że się pomyliłam, że Matt wcale mi się nie podoba i że pragnę tylko jego?

—Zadzwoń jeszcze raz, a wtedy po prostu nie wspominaj wczorajszego wieczoru. Bądź dowcipna i na luzie. Powiedz, że urwał ci się film i nie pamiętasz nawet, kiedy sobie poszedł.

—Na pewno.

—Możesz sobie gadać, co chcesz. Zadzwoił, więc mu zależy. Dowód na to, że pięciominutowa głupota nie jest w stanie przekreślić ośmiu godzin, kiedy byłaś top dziewczyną.

H potrafi poprawić mi nastrój. W końcu nie bez przyczyny pracuje u mnie jako najlepsza kumpela.

Pomalutku wstępuje we mnie nadzieja. Może rzeczywiście Jack jest na tyle zainteresowany, że zadzwoni, na co w pełni zasługuję, a kiedy to się stanie, będę absolutnie cool.

Pięć minut później telefon odzywa się ponownie. H trzyma za mnie kciuki, ja robię do niej wielkie oczy. Podnoszę słuchawkę i staram się ze wszystkich sił nadać mojemu głosowi seksowne brzmienie.

—Cześć — mruczę uwodzicielsko.

—Kochanie, to ty? Dzięki Bogu, wyłączyłaś to obrzydliwe urządzenie.

Dzwoni moja matka. Kruchutki balon nadziei pęka z hukiem. Potrząsam głową, na co H współczująco ściska mnie za rękę. Odsuwam od ucha słuchawkę, żeby mogła sobie posłuchać znajomego matczynego trajkotu. Jestem w takim dołku, że nawet nie wiem kiedy, godzę się iść z matką na zakupy. Gdy dociera do mnie, co uczyniłam, jest już za późno. Odkładam słuchawkę i pocieram dłońmi skronie.

—Co robisz dzisiaj? — pytam H. Spogląda na mnie ironicznie.

— Jeśli o to ci chodzi, to na pewno nie idę na zakupy z twoją matką. Składam dłonie jak do pokornej modlitwy.

—Proszę! Bardzo, bardzo proszę! Nie dam rady.

— Będziesz musiała. A poza tym to cię trochę zajmie i nie będziesz miała czasu się zamartwiać.

Myliła się. Cały świat przypominał mi o Jacku. Matka czeka na mnie w Barking. Barking... „BarKing” — tam przecież się poznaliśmy. O, a tam, na Notting Hill Gate, wisi plakat z Leonardem Rossiterem. Rossiter — Rossiter. Nie ucieknę przed tym.

Pomiędzy Shepherd's Bush a Lancaster Gate dochodzę do wniosku, że z Jackiem nie wszystko może jeszcze stracone. Zanim od Lancaster Gate dochodzę do Marble Arch, przekonuję samą siebie, że Jack nie jest bez serca, nie może więc zapomnieć, jak wspaniale się razem bawiliśmy, dopóki nie wspomniałam o Matcie. Między Marble Arch a Bond Street wiem już na pewno, że jesteśmy na siebie skazani. A w drodze z Bond Street na Oxford Street nabieram pewności, iż Jack to mój facet idealny.

Wystarczy tylko przestudiować dane. Wzrostu słusznego (jakieś metr osiemdziesiąt), oczy wielkie jak jeziora, świetne poczucie humoru, interesująca blizna na brwi w miejscu, gdzie Matt go postrzelił (biedactwo). Odlotowe ciuchy — na pewno miał na sobie T-shirt od Paula Smitha — więc jeszcze na dodatek dziany. Mieszka w domu przerobionym z pubu — przerobiony pub — czyż to nie super? (Z wystarczająco dużym ogrodem, żeby urządzać w nim letniego grilla.) I w końcu rzecz najważniejsza. Jest artystą. Prawdziwie twórczy człowiek sukcesu.

Pełen odlot.

Niejasno dociera do mnie, że łączę po peronie metrajak smętna krowa, lecz własne myśli tak bardzo mnie pochłaniają, że zaczynam mówić na głos. Wszystko łączy mnie z Jackiem. No, może trochę nakłamałam mu o pracy (ale praca dorywcza nie zrobiłaby odpowiedniego wrażenia), za to naprawdę zdawałam maturę z historii sztuki, teoretycznie więc mogłabym pracować w Sotheby's. Ale poza tym oboje lubimy hinduskie jedzenie na wynos, oboje mamy za sobą trwające ponad dwa lata związki, pasujemy więc do siebie wprost idealnie.

Jack opowiedział mi o Zoe, swojej byłej, ja natomiast niezbyt rozwodziłam się na temat Andy'ego, chłopaka, z którym ostatnio chodziłam.

Ograniczyłam się tylko do rzeczy pozytywnych — a mianowicie, że Andy był starszy (miał trzydzieści lat), pracował jako makler i zarabiał niezłą forszę, a także że przez jakiś czas mieszkaliśmy razem w apartamencie w Islington. Nie wspomniałam natomiast, że Andy był największym czubem, pasywnie — agresywnym zimnym draniem, jakiego ta ziemia nosiła, a nasz związek okazał się kompletną katastrofą. A wszystko to dlatego, że Andy'ego i mnie łączyło tylko jedno: oboje byliśmy w nim zakochani.

Model, którego — poprzysięgam to H — nigdy więcej nie powtórzę. A już na pewno nie z Jackiem, ponieważ Jack jest Inny. Gdy wbiegam po dwa schody wyjściem na Oxford Street, dusza śpiewa we mnie ze szczęścia. Czyżby były to pierwsze oznaki miłości?

Zgodnie z tradycją mama czeka na mnie w kawiarni Dickens & Jones. Zdażyła mi już zamówić herbatę i ciastko, a mnie trudno ukryć rozczarowanie, ponieważ całą drogę prześladowały mnie skacowane wizje hektolitrów coli i kanapki z bekonem. Ale chyba nie mam wyboru.

— Cóż, posprzątałaś już mieszkanie? — pyta mama, gdy osuwam się na plastikowe krzeselko.

— Mm, hm, w zasadzie tak, no, prawie.

Oczywiście to kłamstwo. Przeprowadziłam się cztery tygodnie temu, ale jeszcze się nawet do końca nie rozpakowałam.

Ręka mamy nurkuje w torbie na zakupy, skąd po chwili dobywa notes.

— Zrobiłam listę rzeczy, których będziesz potrzebować. Pomyślałam sobie, że to i owo mogłybyśmy kupić.

Bardzo to miłe z jej strony, aleja nie jestem raczej w nastroju. Na maminej liście tego i owego do mojego mieszkania na pewno znalazł się różowy futrzak na klapę sedesu i takież sam dywanik.

— Mamo, naprawdę niczego nie potrzebuję — mówię wesoło. — Wszystko jest tip-top. Bardzo przytulnie.

Jest wyraźnie rozczarowana, ale odkłada listę z zakupami.

— Cóż, może więc rozejrzemy się za czymś ładnym do ubrania. W tych szmatach nikogo nie oczarujesz.

Ha, to dopiero! Tak jakby sama była szczytem elegancji. A przecież uwielbia T-shirty do wszystkiego, mogące spełniać rolę torby plażowej, wieczorowego zakietu albo nakrycia głowy, w zależności jak się je obróci. Dostałam od niej jeden na Boże Narodzenie i bardzo przeżyła, kiedy jej powiedziałam, że zginął mi podczas przeprowadzki. No, ale nie mogę powstrzymać jej w nieskończoność. Pora ruszyć na sklepy.

Trzy godziny i dwadzieścia minut później docieramy do Marksa i Sparksa w coraz gorszych nastrojach. Niezmiennie podczas wspólnych zakupów błyskawicznie na powrót staję się drażliwą czternastolatką z dawnych czasów.

— Nie, nie chcę zielonej satynowej bluzki z połyskiem, mamó. Do pracy chodzę w T-shirtach. Nie, nie, mamó, mamó, odłóż ten welurowy szlafrok. Jest przecież lato i umrę w nim z gorąca.

Wreszcie zgadza się wejść ze mną do Warehouse i krzywi się, słysząc głośną muzykę. Przymierzam obcisłą sukienkę i wychodzę z przymierzalni, żeby się pokazać.

—Trochę dziwny fason, kochanie — stwierdza.

—Taki ma być — syczę.

Mama łapie metkę i aż dech jej zapiera.

— Przecież to tylko dwa kawałki materiału!

W tym momencie poczucie humoru zawodzi mnie kompletnie.

— Do diabła, nie masz za grosz gustu! Zresztą mnie się podoba — wrzeszczę i wpadam z powrotem do kabiny, wściekle szarpiąc po drodze zasłonę.

Kiedy wychodzę z przebieralni, mama czeka na mnie na ulicy.

—Chciałam tylko pomóc—mówi płaczliwie. — Nie musiałaś od razu być niegrzeczna.

—Przepraszam — wzdycham i ujmuję ją pod ramię. — Chodź, wejdźmy gdzieś na drinka.

W pubie mamie przeszkadza zbyt dużo dymu. Ja jestem zachwycona. Cała się trzęsę, tak bardzo chce mi się palić, gdybym jednak teraz wyciągnęła papierosa, wpadłaby w szal. Ona chyba wie, że palę, mimo to

ciągle boję się przyznać do tego oficjalnie — żałosne ze mnie stworzenie.

Siadamy w rogu przy otwartym oknie i dopiero kiedy wlewam w nią życiodajny dżin z tonikiem, zrzuca wreszcie z piersi ciężar, który ją przygniata.

— Kochanie, tak bardzo się o ciebie martwię. Nie masz żadnych perspektyw na dobrą pracę, no i to nie jest normalne, żebyś mieszkała sama. Dlaczego nie poszukasz sobie jakiejś stałej pracy? Przecież zawsze możesz wrócić, skończyć kurs i zostać księgową czy coś w tym rodzaju. Córka Barbary Tyson — mieszka parę domów od nas — radzi sobie tak świetnie, doskonale zarabia...

Wyłączam się. Tę gadkę słyszałam już setki razy. Do diabła, wcale nie marzę o stałej pracy, a co do pracy w księgowości, wolałabym raczej resztę życia spędzić w jatce, niż przekroczyć próg biura rachunkowego. Wkurza mnie, że według matki jestem nieudacznicą tylko dlatego, że nie robię czegoś, czym mogłaby się chwalić przed sąsiadkami.

Poza tym, za kogo ona się uważa? Za nic w świecie bym się z nią nie zamieniła. Całe to beznadziejne podmiejskie życie, regularne wycieczki do B&Q i Slimners World, ciepła posadka w miejscowym urzędzie. Dla mnie nie jest to wyznacznikiem żadnego sukcesu, podobnie jak przesiadanie do późna w noc nad nie kończącymi się kolumnami liczb i zaharowywanie się na śmierć.

Z drugiej strony wkurzam się, bo wiem, że częściowo ma rację. Zawaliłam mnóstwo rzeczy i przeraża mnie cynizm, z jakim od trzech lat spoglądam na świat. Kiedy kończyłam szkołę, wszystko wyglądało inaczej. Przede wszystkim ja byłam inna. Rozpierał mnie entuzjazm, a moim jedynym celem była wspaniała kariera zawodowa. Chciałam projektować ciuchy. Nie zastanawiałam się, jak powinnam zacząć, uważałam, że po prostu nagle wydarzy się cud. Ten jednak nigdy nie nadszedł i po sześciu miesiącach obnoszenia się z CV i błaganiami o pracę, byle jaką pracę, poddałam się.

I zaczęłam pracować dorywczo. Od dziewiątej do piątej, żadnego zwracania głowy, dopóki nie wymyślę, co ze sobą począć dalej.

— Praca dorywcza jest świetna — przerywam jej wesoło starą, zużytą śpiewką.—Dostaję ciekawe zlecenia, no i to idealny sposób, żeby się rozejrzeć i zorientować. Jak coś mi się naprawdę spodoba, bez problemu zatrudnię mnie na stałe... muszę tylko chcieć — dodaję. — Nawet w tej chwili mam chyba ze sto propozycji.

Staram się, żeby to zabrzmiało przekonująco, ekscytująco nawet. Mama daje się na to złapać i zadowolona kiwa głową. Nienawidzę jej za to. Wszyscy, ale to dokładnie wszyscy wiedzą, że praca dorywcza to droga znikąd donikąd. Prędzej zostanę pierwszą astronautką na Marsie, niż znajdę choćby najmniej interesującą pracę, zatrudniając się dorywczo. Ale to moje życie i dobrze mi z nim, dziękuję bardzo.

— Jeszcze jedno — zaczyna nieśmiało mama, bawiąc się nerwowo podkładką pod piwo.

Otóż to. Główny powód jej wizyty.

— Chodzi o to, że w twoim wieku byłam już mężatką i planowałam rodzinę. Dlatego zastanawiałam się, czy...

— Ta-ak?

— Cóż, wiem, jak bliska jest ci Helen, więc jeżeli chciałabyś mi coś powiedzieć, o tobie i o niej... no... starałabym się zrozumieć.

Własnym uszom nie wierzę! Moj a matka myśli, że jestem lesbą! Wspaniale.

Przerywam jej chory tok rozumowania, zanim zdąży nadwerężyć swoją reputację jeszcze bardziej.

—Mamo, naprawdę nie ma powodu do zmartwienia. — Biorę głęboki oddech i zaciskam kciuki, żeby nie zapeszyć. — Właśnie kogoś poznałam. Mężczyznę — dodaję znacząco, żeby nie było wątpliwości.

Prawie słyszę, jak w głowie mojej matki chóry anielskie wyśpiewują *A llllujja!*

—To jeszcze nic poważnego — mamrocę niepewnie, speszona blaskiem, jaki rozświetlił jej twarz.—Nie chciałabym więc na razie jeszcze zbyt dużo na ten temat mówić.

—Och, kochanie moje — aż się zająknęła. — To wspaniale, cóż za ulga. Zaczynałam się już martwić, że...

—Dobrze wiem, czym się zaczynałaś martwić — wtrącam przez zaciśnięte zęby.

Zauważa wreszcie mój nie wróżący nic dobrego ton.

—Och, stałaś się taka wrażliwa. Ale to zrozumiałe, miłość jest taka fascynująca.

Wypijam swój dzin z tonikiem i wyłączam się. Dobrze wiem, że przyjdzie mi za to zapłacić.

Niedziele są obrzydliwe. Nienawidzę ich, nie cierpię. Nie ma nic do roboty, poza oglądaniem *Waltonów* i powtórek *Eastenders*. To wkurza, zwłaszcza jeśli jest się człowiekiem samotnym.

Wiadomo, jak się ma ukochanego, taka niedziela wygląda zupełnie inaczej. Dla ludzi szczęśliwie połączonych w pary niedziela to czas słodkiego bycia razem.

Och, nienawidzę ich wszystkich.

Załóżę się, że siedzą właśnie w „Cafe Flo”, pod rozłożonymi gazetami ściskają się za ręce, cali rozpromienieni po porannym niespiesznym kochaniu się. Albo rozbijają się po mieście w swoich kabrioletach, roześmiani i bardzo cool. Lub, co jeszcze gorsze, wyjechali na wieś i rozlewniwnieni popijają piwo z przyjaciółmi, jak i oni, szczęśliwie połączonymi w pary. Albo po prostu leżą sobie razem na kanapie i oglądają wideo. I dam sobie głowę uciąć, że nie uważają tego za nic nadzwyczajnego. Dranie.

Podle się czuję. Jack nie zadzwonił, a dochodzi już wpół do drugiej. Przez cały ranek wyobrażałam sobie, jak zaprasza mnie na lunch, po którym idziemy na spacer do parku, potem może do kina? Tak długo i dokładnie obmyślałam każdy szczegół, aż w końcu zaczęłam wierzyć, że to stanie się naprawdę. Próżne nadzieje. Telefon mam w zasięgu wzroku, ten jednak milczy jak zaklęty. Sprawdziłam już, czy aby na pewno jest włączony, zadzwoniłam nawet do operatora, aby się upewnić, że nie ma żadnych uszkodzeń na linii.

Leżę na kanapie z policzkiem przyciśniętym do poduszki i wpatruję się w płamę na dywanie. Do nikogo nie mogę zadzwonić, bo a nuż on

właśnie wtedy postanowi zatelefonować do mnie, nie mogę nic zjeść na wypadek, gdyby zaprosił mnie gdzieś na obiad. Z nudów trzy razy doprowadziłam się do potężnych orgazmów, ale wciąż zżera mnie żądza. Próbowałam nawet telepatii. Wszystko na próżno. Taki piękny dzień, aja tu tkwiejak więzień. Więzień własnej nadziei.

Gdy dzwoni H, nieomal wyskakuję ze skóry.

—Nic nowego?

—Nie.

—Wybieramy się do pubu. Idziesz z nami?

—Nie. Nie wiem. Mam trochę roboty — płaczę się.

—Co możesz mieć do roboty? Przecież jest niedziela!

—Coś tam mam — mówię obronnym tonem.

H wzdycha. — Czekasz, aż on zadzwoni, prawda? Dobrze wiesz, że to nie jest najlepszy pomysł. Zadzwoni, kiedy zadzwoni. Nie ma sensu wgapiać się w telefon, bo ześwirujesz.

Nienawidzę jej za to, że zna mnie aż tak dobrze.

—Nie musisz mi tego mówić. Idę na siłownię — blefuję.

—Co takiego?

—Na siłownię, no wiesz, poćwiczyć.

— Ach, tak. Zrobisz, jak uważasz. Gdyby co, wiesz, gdzie nas szukać.

—Dzięki.

—Wariatka — mruczy na pożegnanie.

Pokazuję słuchawce język. Nie mam najmniejszego zamiaru iść na siłownię. Ale chyba pójdę się przejść.

Spacer to dobra rzecz. Shepherd's Bush nie jest może najlepszym miejscem na przechadzkę, ale przynajmniej niewiele można tu spotkać zakochanych par, a ćpunów i pijaczków prawie nie dostrzegam, tak bardzo pochłonięta jestem rozmową z samą sobą. Przy trzecim okrążeniu zielenca jestem na haju od nadmiaru tlenu węgla, ale wypracowałam strategię.

Jest może trochę zakrecona, ale w ogólnym zarysie przedstawia się następująco: Jack musi wiedzieć, że wpadł mi w oko. Jeśli nie liczyć ostatniego potknięcia, nasze pierwsze spotkanie wypadło świetnie, nie



może więc mieć wątpliwości, iż chętnie znowu się z nim spotkam. Z drugiej jednak strony, jest cool facetem i ma kupę spraw na głowie. W końcu to artysta. Prawdopodobnie bardzo zapracowany. Co wcale nie oznacza, że o mnie nie myśli, po prostu był już wcześniej na tę niedzielę ustawiony. A poza tym, skoro jest taki cool, to na pewno nie zadzwoni wcześniej niż dopiero jutro. Najdalej we wtorek. Zresztą musi też na pewno poświęcić trochę czasu Mattowi. W końcu przez całą urodzinową imprezę nie zwracał uwagi na swojego najlepszego przyjaciela, i to właśnie z mojego powodu. Nie ma więc sensu siedzieć i czekać na darmo, tylko trzeba wziąć się do przygotowań.

Przygotowania to potęga.

Postanawiam nie iść do pubu, gdyż to tylko niepotrzebnie by mnie rozproszyło. Idę natomiast do Bootsa w Notting Hill i poddaję się terapii zakupowej. Trudno wyobrazić sobie lepszą rozrywkę. Uwielbiam Bootsa. To mój ulubiony sklep, no może poza Hemleysem. Kupuję sobie typowe dziewczynskie zabawki: przybory do kąpieli, drogi szampon i odżywkę z gratisowym olejkiem do włosów, zestaw sztucznych paznokci, trzy lakiery do paznokci, pincetkę, gąbkę, maseczkę z glinki, nową szminkę i paczkę kolorowych chusteczek higienicznych (dobrze jest mieć świeży zapas koło łóżka), oliwkę, воск-do depilacji, samoopalacz i dwadzieścia cztery superdelikatne prezerwatywy.

Wyśmienicie.

Po powrocie przez chwilę bawię się w panią domu i bardzo podobają mi się rezultaty mojej działalności. Nie jest to nic ambitnego, jak na przykład zrywanie starych tapet albo podklejanie pęknięcia w kuchennej ścianie. Przeszawię tylko książki na półkach i wkładam do ramki zdjęcie, na którym jestem z H podczas naszej wycieczki do Tajlandii.

Byłyśmy wtedy wolne i swobodne i bawiłyśmy się jak nigdy w życiu. Na zdjęciu obie jesteśmy szczupłe i opalone, siedzimy oparte o siebie plecami i zanosimy się śmiechem. Miałyśmy wtedy przez trzy tygodnie zwiedzać po kolei wszystkie wyspy, ale utknęłyśmy na jednej plaży. H dwa razy puściła się na całego, parę razy dała się obmacywać, a ja zakończyłam się naraz w trzech facetach. Bombastycznie!

Porządkuję stertę skarpetek nie do pary i zdejmuję swetry, które od tygodni wiszą przy drzwiach wejściowych. Zdumiewające, jak szybko mija mi czas. Fajna sprawa mieć jakiś cel.

Puszczam wodę do wanny, a sama postanawiam przyjrzeć się sobie w lustrze. Nago prezentuję się nie najgorzej. W sprzyjających okolicznościach można powiedzieć, że noszę rozmiar 38.

Jak jednak wyglądałabym w oczach Jacka? Można ująć to następująco: gdybym zrobiła publiczny striptiz, ludzie zażądałoby zwrotu pieniędzy.

Pora przejść na dietę.

Ledwo podjęłam tę decyzję, żołądek ściska mi się z głodu, a wyobraźnia podsuwa kuszące obrazy smakowitego, tłustego jedzonka, które chciałabym zjeść natychmiast. Jedyny ratunek w kąpielni. Leżę w kłębach pary, z glinianą maseczką na twarzy i wyobrażam sobie, jak wspaniale będę wyglądała za tydzień.

Wieczór mija mi na nerwowym pogryzaniu dietetycznego muesli i lekturze książki *Potęga kobiet*, którą ktoś podarował mi na ostatnie urodziny. Bardzo interesująca pozycja.

W poniedziałek rano zrywam się z łóżka, jeszcze zanim zadzwonił budzik. Kiedy wstanie się przed siódmą, poranki są takie miłe. Śpiewają ptaki, a ja dla odmiany słucham radia, co należy do moich nowych postanowień. Uważam, że trzeba wiedzieć, co się dzieje na świecie.

Wypiwszy drugą filiżankę herbaty, wyławiam spod łóżka *Potęga kobiet* i staję przed lustrem w łazience. Nadeszła pora na pozytywne afirmacje.

—Jestem wyjątkową, przepelnioną współczuciem i miłością kobietą — czytam na głos. Spoglądam na swoje odbicie, żeby sprawdzić, czy przyjęło to do wiadomości.

—Jestem Kobieta Wszechmocną. Potrafię zmienić świat, w którym żyję. — Znowu patrzę w lustro.

—Wyglądam wspaniale, czuję się wspaniale. Kocham siebie. .. I Jack dzisiaj do mnie zadzwoni — dodaję na wszelki wypadek, po czym zatraskuję książkę i zacznę szorować zęby.

Wyciągam wagę łazienkową, żeby się zważyć. Czy to możliwe? Od wczoraj przytyłam pół kilo. Odmawiałam sobie jedzenia przez całe dwanaście godzin; powinnam ważyć co najmniej o kilo mniej.

Znowu spoglądam w lustro.

— Wyglądam wspaniale. Czuję się wspaniale. Kocham siebie — mówię z groźbą w tonie.

Elaine z agencji „Najlepsza praca dorywcza” znajduje mi fuchę u Boothroyda, Cartera i Maya, pod którą to nazwą kryje się nadęta firma konsultingowa na Portland Square. Janet, ich recepcjonistka, wyjechała na wakacje i mam ją zastąpić. Prawdziwa szczęściara ze mnie.

Jadę windą, pogrążona w dziwnie ponurym nastroju. Nie mogę uwierzyć, że znowu podjęłam pracę dorywczą. Wciąż się zastanawiam, czy zacznę w końcu pracować naprawdę? Zazdroszczę ludziom, którzy wiedzą, co chcą robić w życiu. Ludziom, którzy mówią: „Będę lekarzem”. I rzeczywiście swój zamiar realizują. Ja mogę tylko powiedzieć: „Będę?”

Przez najbliższy tydzień znudzoną recepcjonistką, to pewne.

Na pierwszy dzień w nowej pracy mam pięć wytycznych:

1. Dowiedzieć się, jaki jest bezpośredni numer do mnie, i podać go H.
2. Znaleźć w komputerze gry, poza tym zlokalizować klopot i kuchnię.
3. Dowiedzieć się, kto będzie podpisywać moją kartę pracy i już w pierwszej godzinie podać mu/jej kawę.
4. Dowiedzieć się, jak nazywa się i wygląda sam wielki szef, w celu uniknięcia gafy.
5. Nigdy, przenigdy nie zostawać w pracy dłużej niż do 17.30 i zawsze wychodzić na przerwę na lunch.

Osobą, której podlegam bezpośrednio, jest pani Audrey Payne. Od razu nadaję jej przydomek Panna Skwaszona. Wyraźnie mnie nie lubi, przypuszczam jednak, że nie lubi nikogo, a dobry humor to coś, czego

jak dotąd w swoim życiu nie doświadczyła. Robię jej kawę, a ilekroć przechodzi obok mojego biurka, walę w klawiaturę i staram się wyglądać bardzo kompetentnie.

O 11.30 dzwoni Elaine.

— Słyszałam, że nieźle sobie radzisz.

Znowu mi się udało ich ocyganić. Wyjmuję egzemplarz „Hello!” i zestaw do manikiuru. Wiem, że czytanie „Hello!” jest cholernie banalne, ale kiedy pracuje się dorywczo, nie sposób się bez tego obejść. Nigdy jeszcze nie spotkałam w biurze osoby, która by się powstrzymała — nie bez poczucia winy — przed przejrzeniem egzemplarza tego wspaniałego czasopisma. Jako doświadczona pracownica dorywcza wiem, że jeżeli pozwoli się komuś ulec choć na chwilę jego potrzebie (jak najbardziej zdrowej, według mnie) eskapizmu, zdobywa się w nim przyjaciela na całe życie. „Hello!” nigdy mnie nie zawiodło.

Godziną przerwę na lunch spędzam na Portland Square na obserwacji gołębi. Wmawiam sobie, że mimo iż w ułamku sekundy pochłonęłam niskokaloryczną kanapkę z kurczakiem, czuję się w pełni usatysfakcjonowana i zdecydowanie nie jestem już głodna. Zauważam, że do ławki zbliża się jedna z pracownic biura, udaję więc, że pilnie szukam czegoś w torebce, byle tylko uniknąć kontaktu wzrokowego. Nie mam najmniejszej ochoty na rozmowę, a tym bardziej na tłumaczenie, dlaczego pracuję tylko dorywczo. Dawno już się przekonałam, że w mojej sytuacji najlepiej jest nie wychodzić poza układ oni i my. Każde zaangażowanie tak czy owak musi źle się skończyć i odkryłam, że niezawieranie bliższych znajomości odpowiada mi najbardziej. Unikam w ten sposób podpisywania się na pożegnalnych kartkach do nie znanych mi osób, nikt nie wciąga mnie w mało eleganckie biurowe aferki, nie muszę też po godzinach podpierać baru w towarzystwie narzekających na kierownictwo ludzi.

Mniej więcej o 14.15 na znak protestu mój żołądek zaczyna pożerać wątrobę. W kuchni znajduję paczkę płatków kukurydzianych i zdesperowana połykam kilka ich garści, po czym popijam galonami herbaty.

Między 14.30 a 16.15 przez nikogo nie niepokojona rozgrywam parę partyjek komputerowego pasjansa, przez pół godziny opowiadam H o tym, jak to jest być Kobieta Wszechmocną, jednocześnie zdejmuję ze swetra okruchy płatków kukurydzianych, bawię się spinaczami, piszę wizytówkę dla Panny Skwaszonej, nalepiam znaczki i zanim zdążę się obejrzeć, szychta dobiega końca. W sumie trafił mi się całkiem miły, bezstresowy dzień.

Kiedy jednak docieram do domu, by przekonać się, że nie ma dla mnie żadnych wiadomości na automatycznej sekretarce, dobry nastrój pryska jak bańka mydlana. Mamroczę pod prysznicem afirmacje, po czym zasiadam przed telewizorem.

Wciąż nic się nie dzieje. Około północy jestem już trochę roztrzęsiona. Wspaniale jest być Kobieta Wszechmocną i cały świat mieć pod kontrolą, z czasem jednak staje się to nudne.

Nadchodzi wtorek, a ja nadal jestem spokojna. Zmizerowana, ale spokojna.

Większość dnia spędziłam, zastanawiając się, czy pójść na siłownię. Skoro jednak szansa, że mimo wszystko trochę poćwiczę, przeskakuje na skali z „odległe” na „możliwe”, przez moje ciało przebiegają skurcze. Wczesnym popołudniem jestem przekonana, że cierpię na przedwczesny artretyzm i lekkie zapalenie płuc. Na szczęście znam swoje ciało i jego sztuczki. Zapomniało, że jestem Kobieta Wszechmocną.

Koło siódmej zjawiam się w siłowni. Pełno w niej ćwiczących, na widok których czuję się nieco jak część zapasowa. Co ja tu, u diabła, robię?

Z całą pewnością nie jest to moje środowisko naturalne.

Mam na sobie poplamione farbą getry, pochodzące mniej więcej z 1984 roku szkolne tenisówki (łudziłam się, że będą wyglądać retro i cool, pomyliłam się jednak), poszarzały w praniu podkoszulek i nie pasujące do niczego skarpetki. Cindy Crawford może się schować.

Przemykam obok superwysportowanych facetów, z zapalonym kształtującym swoje i tak już doskonale mięśnie klatki piersiowej, do szafki w

rogu, skąd po krótkich poszukiwaniach wyciągam swoją kartę. Zdmuchuję z niej wiekowy pył i wskakuję na rower stacjonarny.

Po dwóch minutach pedałowania przypominam skąpanego w pocie buraka, zeskakuję więc i postanawiam spróbować szczęścia na bieżni. Obok mnie dziewczyna ze słuchawkami nowiutkiego discmana na uszach gna sprintem w nieskazitelnym kostiumie Reeboka. Nie widać, żeby specjalnie się męczyła, ćwiczenie jest więc chyba stosunkowo proste.

Nie speszona jej pełnym dezaprobaty spojrzeniem, zwiększam prędkość i staram się jej dorównać. Niestety jednak, nie potrafię dość szybko przebierać nogami i wypadam z bieżni. Dziewczyna prycha, lecz ja ją ignoruję. Gramolę się z powrotem i stawiając stopy na plastikowej obudowie, zmniejszam prędkość bieżni do tempa spacerowego.

Lubię spacerować. To naprawdę całkiem fajne zajęcie.

Wpatruję się w licznik kalorii, który chyba musiał się zepsuć, bo mam wrażenie, że stoi w miejscu. Po dwudziestu minutach odczyt pokazuje, że spaliłam dokładnie czterdzieści dwie kalorie. To mniej więcej trzy płatki kukurydziane.

Zaczynam się poważnie martwić swoją kondycją. Gdy wdrapuję się na stępa, serce wyraźnie daje mi do zrozumienia, że pora sobie odpuścić. Postanawiam więc, że odtąd będę ćwiczyć na siłowni regularnie i codziennie. Skoro tak, nie powinnam się na pierwszy raz przetrenować, lecz potraktować sprawę rozsądnie.

Przechodzę teraz na atlas, ale chyba jest zepsuty, bo nie chce się ruszyć. Wykończona padam na matę. Poćwiczę teraz brzuszki. Udaje mi się zrobić aż pięć skłonów, dodaję sobie jednak otuchy myślą, że przecież tak naprawdę to wcale mi nie zależy na płaskim brzuchu. Płaskie brzuchy to przeżytek z lat osiemdziesiątych.

O 19.35 jestem już w szatni. Włosy kleją mi się do twarzy. Ani nie wyglądam, ani tym bardziej nie czuję się najlepiej. Z ogromnym wysiłkiem schylam się, żeby rozwiązać tenisówki.

— Amy?

Powoli podnoszę wzrok. Najpierw dostrzegam nowiutkie zrolowane skarpety, dalej smukłe, opalone łydki, idealne kolarki, goły brzuch i piersi porządnie zapakowane w top marki Elle. Wreszcie moje oczy zatrzymują się na uśmiechu prosto z reklamy aparatów ortodontycznych.

Koszmar z moich snów.

Chloe.

— Wszystko w porządku? — pyta.

— Nic mi nie jest — odpowiadam, odgarniając z twarzy lepkie włosy.

— Co u ciebie?

— Super, dziękuję. Dobrze się bawiłaś na urodzinach Matta? Wpadam w lekką panikę. Musi wiedzieć o mnie i o Jacku.

Tępo przytakuję skinieniem głowy. Halo? Gdzie się podziała moja osobowość?

— O ile się nie mylę, wyszłaś z Jackiem?

— O, to nic takiego — wtrącam pośpiesznie.

— Słyszałam coś wręcz odwrotnego. — Puszczą do mnie oczko.

Chrząkam. — Mówił coś?

— Niewiele. Kiedy wrócił, był porządnie zalany. Nie zwracaj na niego uwagi. Szczerze mówiąc, straszny z niego dupek.

— Poważnie?

— Jest koszmarny! Nie tak dawno przespał się z moją sąsiadką, Cathy, aranojąwygonił, nie proponując nawet filiżanki kawy. I leci na te wszystkie nagie modelki, które mu pozują. Cały czas się z niego nabijamy, ale wiesz, faceci go lubią...

— Tak. Zauważyłam. — Mam wielką ochotę ją udusić i chyba coś w moim tonie zdradza jej, że trochę przegięła.

— Cóż, nie zdziwiłabym się, gdybyś miała ochotę... No wiesz. On jest w sumie całkiem niezły. — Patrzy na mnie znacząco.

— Najwyraźniej dobrze się znacie — mruczę pod nosem.

— Och, i to od lat. Chodziliśmy razem do szkoły.

— A tak, mówił mi, ale zapomniałam.

Kłamczucha ze mnie. Pamiętam każde słowo, które wtedy powiedział.

—W zasadzie dobry z niego kumpel. Zawsze można się z nim pośmiać. Powinnaś się z nami częściej spotykać. — Chloe uśmiecha się promiennie, a mnie przepelnia nienawiść.

—Chętnie. Świetnie się bawiłam. Miałam nawet zadzwonić do Matta i mu podziękować, ale nie znam numeru.

Trochę inwencji, dziewczyno, inwencji!

Chloe otwiera torbę i wyjmuje z niej gruby notes. Nie mogę oderwać oczu, kiedy wrywa z niego szeleszczącą karteczkę koloru lawendowego i bazgrze na niej — pozornie luzackim, ale na pewno cholernie drogim piórem—numer. Wręcza mi bezcenny skrawek papieru.

— Dzięki. — Staram się, żeby nie zabrzmiało to nazbyt radośnie, i starannie składam karteczkę.

Uśmiecha się, po czym nachyla i całuje mnie w lepki od potu policzek.

— Doskonale. A więc do zobaczenia wkrótce. Jest już prawie w drzwiach, gdy nagle się obraca.

— Och, byłabym zapomniała. Dałam Jackowi twój numer telefonu. Mam nadzieję, że się nie obrazisz.

Zanim omówiliśmy to dogłębnie z H, zjadliśmy paczkę chipsów i wypiliśmy trzy duże piwa. Rozważaliśmy każdą z możliwych opcji. Według mnie, Chloe starała się dodać mi otuchy, bo mnie lubi i nie chce zrobić mi przykrości, a może przedstawiając Jacka jako zimnego drania, miała nadzieję, że wyda mi się bardziej atrakcyjny. H absolutnie się ze mną nie zgadza, ale też nie przepada za Chloe. Twierdzi, że Chloe miesza z premedytacją, ponieważ boi się, że równowaga w jej małym, poukładanym światku ulegnie zachwianiu, a z tego, co wiemy, sama ma chrapkę na Jacka.

Swego czasu Chloe chodziła z kolegą brata H i dała się wtedy poznać jako wyjątkowa suka. Jakiś rok temu poznałam ją na imprezie, kiedy ich związek miał się ku końcowi. Upiła się wtedy i wypłakiwała mi się w mankiet. Potem spotkałam ją znowu na ślubie brata H i od tego czasu w zasadzie pozostajemy ze sobą w kontakcie. Lubię Chloe, ale muszę



przyznać H rację, że ona raczej nie przyjaźni się z dziewczynami, tylko z facetami. A to zupełnie co innego.

— Skoro tak — zastanawiam się głośno — to po co mówiła, że muszę z nimi częściej się spotykać i dlaczego dała Jackowi mój numer?

H wzrusza ramionami i potrząsa głową.

—A bo ja wiem? Ale i tak jej nie ufam. Zresztą twój problem się rozwiązał, bo znasz już numer Jacka.

—Tak, tylko że on zna mój od paru dni, a jakoś do tej pory się nie odezwał.

H popija swoje piwo w zamyśleniu.

—Jesteś pewna, że to ten właściwy facet? Z tego, co słyszę, nie jest szczególnie godny zaufania.

—Po prostu nie trafił jeszcze na odpowiednią dziewczynę — mówię z uśmiechem, zaraz jednak straszliwa myśl przychodzi mi do głowy. — A co, jeśli Chloe opowiedziała mu o naszym spotkaniu i o tym, że wyglądałam jak ostatnia maskara?

—Na miłość boską!

—A może uwierzył, kiedy mu powiedziałam, że Matt mi się podoba, i skreślił mnie zupełnie?—Zaczynam snuć nie kończące się domysły co do przyczyn jego milczenia, aż wreszcie H musi przywołać mnie do porządku. Wstaje, trzymając w ręku pustą szklankę.

— Za chwilę wkurzysz mnie na serio — ostrzega lojalnie. Opróżniając kolejną szklankę, H udziela mi rady praktycznej.

Mówi, że na moim miejscu zadzwoniłaby do Jacka i wszystko wyjaśniła. Niestety, nie jest na moim miejscu. A szkoda, bo ma o wiele więcej odwagi cywilnej. Mówię jej, że jeśli Jackowi zależy, to prędzej czy później się odezwie. Pozostaje mi więc czekać. Na co H wyzywa mnie od defetystek, ale łatwo jej mówić, ma przecież Gava.

Do domu wracam wstawiona i jest mi siebie bardzo żal. Jack w dalszym ciągu się nie odezwał, mimo iż Chloe na pewno zdążyła już z nim porozmawiać. Nie zadzwonię do niego. On pierwszy miał mój numer, więc inicjatywa należy do niego. Nieważne, co mówi H, ale jeśli chcę być cool, nie wolno mi do niego zadzwonić.

Do łóżka kładę się z *Potęgą kobiet* i-natychmiast usypiam.

Po przebudzeniu w środę rano stwierdzam, że nie mogę się ruszać. Każdy, najmniejszy mięsień mojego ciała znajduje się w stanie głębokiego szoku. W pierwszej chwili dopada mnie przerażająca myśl, że miałam tragiczny wypadek samochodowy, zaraz jednak przypominam sobie o siłowni. Nie zdążyłam jeszcze dobrze otworzyć oczu, a już wiedziałam, że samopoczucie tego dnia będę miała fatalne.

Teoretycznie moje poranki rutynowo powinny wyglądać następująco:

7.00: Dzwoni budzik. Wyłączam go.

7.20: Budzik dzwoni po raz drugi. Po raz drugi go wyłączam.

7.40: Trzeci dzwonek. Tym razem wstaję. Ochlapuję twarz wodą, nastawiam czajnik. Szykuję kąpiel.

7.45: Wypijam herbatę. Wypowiadam pozytywne afirmacje. Wchodzę do wanny.

8.10: Wychodzę z wanny, włosy mam umyte.

8.15: Suszę i układam włosy (jak zwykle bez powodzenia).

8.25 : Otwieram szafę. Wybieram ubrania i przyodziewam się w nie (możliwe prasowanie).

8.30: Zjadam talerz płatków albo tost (zależy od stanu zapasów mlecznych).

8.35: Sprawdzam powtórnie, czy jestem odpowiednio ubrana. Myję zęby. Robię listę rzeczy do załatwienia, np. pralnia chemiczna, szewc etc. Nakładam makijaż.

8.40: Sprawdzam i jeszcze raz sprawdzam zawartość torebki. Lokalizuję klucze.

8.45: Wychodzę z mieszkania.

Dzisiaj budzę się o 8.45. Nie najlepszy początek.

Dlaczego zawsze, ilekroć zdarzy mi się zasnąć, budzę się dokładnie w porze, w której powinnam już wychodzić? Dziwne.

Panna Skwaszona robi mi wykład o punktualności, a ja postanawiam, że ją otruję. Łączę rozmowy z niewłaściwymi ludźmi i generalnie Zawalam Cały Dzień. W porze lunchu pocieszam się Whopperem z podwójnym majonezem. Po co mam być chuda?

Popołudnie mija mi na wyobrażaniu sobie rozmowy z Jackiem.

Ja: Słucham?

Jack: Cześć, Amy, mówi Jack. Ja: (zdezorientowana) Kto?

Jack: No wiesz, poznaliśmy się niedawno. Świetnie się bawiłem. Byłaś super. Szczerze, nigdy w życiu nie spotkałem tak inteligentnej, seksownej...

Dość tych bzdur. Nigdy czegoś takiego nie powie.

Ja: Słucham?

Jack: Cześć, maleńka. Mówi Jack.

Ja: (opanowana aż do bólu) Cześć, co u ciebie?

Jack: Smutno mi bez ciebie...

Fuj, zaraz się zrzygam.

I tak w kółko. Wypróbowałam każdą możliwą wersję, z wyjątkiem tej, w której to ja dzwonię do niego. Ale pod koniec dnia tak się przyzwyczaiłam do rozmowy z nim, że nie może nie zadzwonić. To niemożliwe, żeby tyle o kimś myśleć i nie sprowokować j akiegoś odzewu, no nie ?

W domu czeka na mnie tylko jedna nagrana wiadomość. Dzwoniła H z poleceniem, żebym zaraz dała jej znać, jak tylko zadzwonię do Jacka.

Nie mogę się od tego wykręcić. Dodaję sobie odwagi, kartkując *Potęgę kobiet*. „Nie oddawaj swojej mocy innym... Kobiety, które dostają to, czego chcą, są aktywne...”

Wpatruję się w kartkę z numerem telefonu Jacka. Po prostu to zrób. Zrób to. Zrób to. No, dalej, podnieś słuchawkę.

Sygnał rozlega się cztery razy. Z całej siły przyciskam słuchawkę do ucha. Kłękcie mam zupełnie białe. Czuje się taka bezbronna. Dzwonię do jego domu!

I wtedy włącza się automatyczna sekretarka. Z nagrany głoŝem Mat-ta:

— Cześć, mieszkanie Matta i Jacka. Nie możemy w tej chwili podejść do telefonu. Po sygnale proszę zostawić wiadomość. Oddzwonimy na pewno. Piii.

Nagle dzieje się coś dziwnego. W moim gardle mieszkała chyba jakaś wiewiórka.

— Cześć, mówi... — zaczynam. Po czym milknę. Jestem głęboko wstrząśnięta głosem dobywającym się z moich ust. Próbuje raz jeszcze: — Mówi Amy. Hm. — Znowu cisza, potem rozlega się sygnał.

Sama, osobiście zostawiłam najgorszą wiadomość, jaką ktokolwiek kiedykolwiek zostawił na automatycznej sekretarce. Kiedykolwiek. W historii świata. I nic już nie mogę na to poradzić. Odkładam gwałtownie słuchawkę, jakby poraził mnie prąd. Czuję, że cała płonę.

Wyrywam wtyczkę telefonu z gniazdka, wyłączam sekretarkę, otwieram okno i wyrzucam do sąsiedniego ogrodu *Potęgą kobiet*.

Czwartek: poddaję się.

W pracy zachowuję się, jakbym była w katatonicznym transie. Dociera do mnie wreszcie, że mam znacznie poważniejszy problem niż tylko idiotyczna wiadomość zostawiona na sekretarce Jacka. Jest nim całe moje życie. Niechcący i niezastężenie w samym środku tego osobistego kryzysu ląduje Geoff.

Geoff jest konsultantem w firmie Boothroyd, Carter & May i od początku tygodnia kręci się w pobliżu mojego biurka. Pewnie dlatego, że nie ma żadnych kumpli. Na dodatek jest jakiś taki gąbczasty; wygląda jak paszkwil na człowieka. Naprawdę nie ma w nim nic, co choć trochę mogłoby się podobać. Nosi okulary w kwadratowych oprawkach, na czubku głowy zaczyna łysieć. Jakby tego nie dość, niezbyt przyjemnie pachnie.

Ja jednak jestem w takim stanie, że kiedy Geoff zaprasza mnie na lunch, nie odmawiam. Mam randkę z Geoffem!

Idziemy do włoskiej restauracji, gdzie on zamawia spaghetti, którym natychmiast ochlapuje sobie cały krawat. Jest ogromnie zdenerwowany i wyraźnie mu pochlebilo, że zgodziłam się z nim wyjść. Szczerze mó-

wiąc, niewiele mam z tym wspólnego, bo dzisiejszy dzień to jeden z tych, kiedy duch przebywa poza ciałem. Rozmowa nam się trochę nie klei. Kiedy zaczynam bezmyślnie dziobać widelcem stojące przede mną lasagne, Geoff mówi:

—Nie wyglądasz na szczególnie zadowoloną. Celnością uwagi przebiłby Einsteina. Wzruszam ramionami.

—Nic mi nie jest.

—O czym myślisz? — pyta (głupio). No więc mu odpowiadam.

Ponosi mnie.

Mówię, że według mnie ludzie podobają się osobom, które są do nich podobne. Elizabeth Taylor dlatego wpadła w oko Richardowi Burtonowi, że oboje byli mniej więcej jednakowo urodziwi. Natomiast ja spodobałam się Geoffowi. A to oznacza, że muszę być równie atrakcyjna jak on. Co, szczerze mówiąc, sprawia, że zastanawiam się, czy skończyć ze sobą.

Nie wiem, co mnie naszło. Nigdy dotąd nie zachowałam się tak niegrzecznie wobec kogoś obcego. Przez chwilę spoglądamy na siebie. Uśmiecham się nerwowo, Geoff jednak jest wyraźnie zły. Drżącymi rękami wyciąga jakieś drobne z kieszeni, ciska je na stół i wybiega z knajpy.

Bogu dzięki, w biurze nikt z Geoffem nie rozmawia, nie ma komu się poskarżyć, w pracy więc nie muszę obawiać się żadnych nieprzyjemności. Mimo to całe popołudnie dręczą mnie wyrzuty sumienia.

Po powrocie do domu zdobywam się na odwagę i włączam telefon.

Natychmiast dzwoni mama, żeby uskutecznić jedną z tych jej ulubionych „pogaduszek”.

— Kochanie, jak tam ten twój wspaniały nowy przyjaciel? Wprost umieram z ciekawości...

—On nie jest ani wspaniały, ani mój! — wrzeszczę. Najwyraźniej cierpię na kryzys osobowości.

Jack w dalszym ciągu się nie odzywa. Kiedy zjawia się H i stara się poprawić mi nieco nastrój, kończy się to awanturą. Słyszę od H, że je-

stem żałosna i nie powinnam odgrywać się na innych za własne nie-  
szczęścia. Bez wątpienia ma rację, ja jednak tego nie dostrzegam.

— Nic nie rozumiesz — syczę z wściekłością. — Nie masz pojęcia,  
co czuje kobieta odrzucona jeszcze przed pierwszą randką.

H jednak jest twarda.

—To nie ma nic wspólnego z Jackiem — oznajmię ze spokojem, któ-  
ry doprowadza mnie do szału. — W końcu się załamalaś, a winę za to  
ponosi twoja dorywcza praca. Od początku wiedziałam, że tak się stanie.

—No i co z tego, że mam gówniane życie i gównianą pracę? To moja  
broszka. Nic innego nie potrafię! — krzyczę. — Jestem beznadziejna.

H nie daje się sprowokować.

—Gadasz kompletne bzdury. Po prostu się nie starasz. Czasem mam  
wrażenie, że się poddałaś. Marzy ci się praca przy projektowaniu ubrań,  
ale za bardzo się boisz, żeby coś w tym kierunku zrobić.

—Och, zamknij się! To prehistoria! Zresztą i tak jest już za późno na  
cokolwiek.

—Wcale nie jest za późno, tylko ty jesteś uparta jak muł.

—No proszę, a co ty możesz o tym wiedzieć? Z tą swoją szpanerską  
pracą w telewizji i z Gavem, który co wieczór grzecznie wraca do domu.  
Skąd możesz wiedzieć, jak się czuje człowiek, który znalazł się w śle-  
pym zaułku? — Wciąż jeszcze jestem bojowo nastawiona, ale zaczynam  
pomału pękać i słyszę, jak głos drży mi coraz bardziej.

—Amy, naprawdę myślisz, że facet na stałe rozwiąże wszystkie twoje  
problemy?

—Dziękuję ci bardzo, Claire Rayner—chlipię. — Być może nie roz-  
wiąże, ale byłby to niezły początek, bo nie masz zielonego pojęcia, jak  
nienawidzę być sama. Walczyć z tym całym... gównem! — wyrzucam z  
siebie, teraz już płacząc na całego.—Gdybyś jeszcze nie zauważyła, to  
zwróc uwagę, że już od jakiegoś czasu nie udało mi się nikogo pode-  
rwać. Nawet Geoffa, ponieważ zawczasu zrozumiał, że jestem potwo-  
rem, a moje życie zmierza donikąd... i... i... skończę jako zgorzkniała,  
niewydarzona trzydziestolatka. .. i... umrę jako dzie-wi-wi-wi-ca...

H przytula mnie mocno, otwiera pudełko z kolorowymi chusteczkami, parzy filiżankę herbaty ziołowej i kładzie do łóżka. Na dobranoc zapewnia mnie, że jutro wszystko będzie dobrze.

Racja. Pieprzyć ich wszystkich! Koniec z uzalaniem się! Wystarczy. Straciłam zbyt dużo energii i nerwów, czekając, aż ten duppek zadzwoni. Wystarczyłby jeden, jedyny telefon, ale nie, na to jest zbyt wielkim, egoistycznym draniem! Cóż, więcej czasu na niego tracić nie zamierzam. Dość mam cierpienia, którego mi przysporzył. W tym tygodniu schudłam, a potem przytyłam mniej więcej trzy kilo, pokłóciłam się ze wszystkimi, nawet z H, i po co? No, słucham?

No, to byłoby na tyle. Dla Jacka Rossitera nie ma już miejsca w moim życiu. Czy on wie, z kim ma do czynienia? Powinien na klęczkach błagać mnie o randkę, kabel telefoniczny powinien być rozgrzany do czerwoności, a moje mieszkanie powinno wyglądać jak jakaś cholerna kwaciarnia. I wiecie co? Niech się pocałuje w dupę. A swoje panienki, szpanerskie ciuchy i artystyczne duperale może sobie wsadzić gdzieś.

Rany, ależ jestem dzisiaj bojowa. Niczym Tarzan; a nie jakaś tam rozhisteryzowana Jane. Czy jednak Kobieta Wszechmocna może zachowywać się inaczej ?

Nie potrzebuję facetów. Ani facetów, ani ich cuchnących genitaliów, obrzydliwych paznokci u stóp i świra na punkcie sprzętu grającego. Zresztą, kto by ich potrzebował? Bo ja na pewno nie. Nie ma mocnych.

Staję na progu i robię głęboki, ożywczy wdech. Huh! Nie dam się już żadnemu durnemu facetowi. Dzisiaj jest ostatni dzień pracy dorywczej i **PIERWSZY DZIEŃ MOJEGO NOWEGO ŻYCIA.**

Niestety, potykam się na wejściowych schodkach i boleśnie tłukę sobie udo.

Nie poddaję się jednak i mam wrażenie, że nowa postawa wobec życia aż ze mnie promieniuje. Ludzie schodzą mi z drogi w metrze, a w biurze słowa powitania zamierają im na ustach. Przez cały dzień jestem niezwykle pracowita i kompetentna. Porządkuję nawet szafkę z papierami, co robi niewątpliwie wrażenie na Pannie Skwaszonej.

Punktualnie o 17.30 wręczam jej moją kartę pracy. To chyba najgorszy moment w pracy dorywczej. Przy podpisywaniu karty pracy ludzie zwykle robią tyle zamieszania, skrupulatnie liczą każdą przepracowaną godzinę, zupełnie jakbym była jakimś więźniem na przepustce. Nie dzisiaj jednak. Panna Skwaszona lustruje mnie z góry na dół, gdy stoję przed nią na baczność.

— Anno, dziękuję ci bardzo za ciężką pracę — mówi. — Muszę przyznać, że dzisiaj byłaś szczególnie, hm, pilna.

— Jestem Amy. I proszę bardzo.

— W przyszłym tygodniu nie będziemy cię potrzebowali. Janet wraca z urlopu, ale jeśli tylko coś się trafi, na pewno dam ci znać.

Akurat, ale niech jej będzie. Zabieram się stąd.

Idę piechotą do biura „Najlepszej pracy dorywczej”. Jak co tydzień, Elaine urządza piątkowe przyjęcie dla swoich wyrobników, którego nie sposób uniknąć, tym bardziej że muszę odnieść swoją kartę pracy. Elaine bardzo chce, żebyśmy się wszyscy poczuli jedną wielką, szczęśliwą rodziną, a nie plagą społeczną, jak się zazwyczaj o nas myśli. Prawdę mówiąc, te przyjęcia są dość krępujące. Pracownicy dorywczy nie mają dość szacunku dla samych siebie, trudno więc oczekiwać, żeby szanowali ich inni.

W biurze panuje temperatura tropikalna. Na biurku recepcjonistki stoi półmisek z kanapkami, parę butelek lemoniady i skrzynka wina „Błękitna zakonnica”. Elaine wypła już chyba połowę jej zawartości i z rozmazanymi oczami wygląda jak miś panda.

— Hej, Amy, zostań i napij się jednego—bełkocze i dołącza moją kartę do sterty innych na biurku.

Nie przyjmuję jej zaproszenia, tłumacząc, że jestem umówiona na wieczór. Ona obiecuje, że odezwie się w przyszłym tygodniu w sprawie nowej pracy.

Korzystając z biurowego telefonu, zostawiam H wiadomość na komórce. Mówię, że nie ma wyboru i musi wyruszyć dzisiaj ze mną na podbój miasta.

Zostaną z niego same gruzy.



Wbiegam po schodach, nucąc pod nosem. Cieszy mnie perspektywa damskiego wieczoru. Schleję się na umór. Albo jeszcze bardziej. Należy mi się. Dzisiaj jestem zdolna do wszystkiego. Nie powstrzyma mnie nic. W końcu jestem Kobieta Wszechmocną.

Wkładam klucz do zamka. Nawet nie spojrzę na automatyczną sekretarkę. Nie dam jej tej satysfakcji: niech wie, że mi nie zależy. Bo tak naprawdę rzeczywiście mi nie zależy. Nawet gdyby było dziesięć wiadomości od tego dupka, Jacka, i tak wykasuję je wszystkie. A gdyby mu przyszła ochota zadzwonić jeszcze raz, usłyszy tylko, żeby spadał.

Kiedy otwieram drzwi, dzwoni telefon. Super, to na pewno H — chce się umówić.

Chwytam słuchawkę.

— Halo — ćwierkam. W słuchawce cisza. Po chwili:

— Cześć, Amy, mówi Jack. Co robisz dzisiaj wieczorem? Och, jest źle, bardzo źle, czuję to. Wystarczyły dwie sekundy, żeby dwudziestoletnia walka Ruchu Wyzwolenia Kobiet wzięła w łeb. Po prostu cholernie się cieszę, słysząc jego głos. Jestem mu tak beznadziejnie wdzięczna za ten telefon, że kiedy odpowiadam, mój głos zdradza o wiele więcej entuzjazmu, niżbym sobie życzyła.

— Nic specjalnego. A czemu pytasz?

## ROZMOWA TELEFONICZNA

— Nic specjalnego. A czemu pytasz?

To akurat jest proste. Na takie pytanie mogę odpowiedzieć, stojąc na głowie ze związanymi rękami. Bo jest piątkowy wieczór, a ja jestem sam w domu. Bo chociaż w zeszłym tygodniu powiedziałaś mi, że podoba ci się Matt, nie straciłem nadziei, że i ja mógłbym ci się spodobać. Bo od tygodnia z nikim nie uprawiałem seksu, podobnie jak ty, z tym że od ponad pół roku. Mamy więc wspólną potrzebę, Amy. I, tak, dlatego także, że mi się podobasz.

Ale to „nic specjalnego”... Tym zbiłaś mnie trochę z pantały-ku. Nie spodziewałem się takiej odpowiedzi. „Nic specjalnego” — to jest po prostu zbyt uczciwe. Chcę przez to powiedzieć, że w tej grze obowiązują pewne reguły, których trzeba przestrzegać. Ludzie wolni pewne rzeczy mogą robić, innych nie powinni. Mogą:

a) Poznać na imprezie kogoś, kto im wpadnie w oko, i zaksiegować go (ją) jako Opcja w aktach pod nagłówkiem PMdZ (Potencjalny Materiał do Zerznięcia).

b) Od czasu do czasu, mając w perspektywie samotne spędzenie piątkowego wieczoru, przejrzeć akta PMdZ w poszukiwaniu właściwej Opcji.

c) Postanowić do rzeczonyj Opcji zadzwonić i umówić się na spotkanie.

Nie mogą natomiast:

a) Odbierać telefonów za każdym razem, wiedzą bowiem, że automatyczne sekretarki, jak rottweilery, strzegą ich przed atakami intruzów.

b) Podnosić słuchawki w piątkowy wieczór, jeżeli nie mają akurat towarzystwa, ponieważ to pozwala dzwoniącemu podejrzewać, że ich życie towarzyskie znajduje się w stanie kryzysu.

c) Utwierdzać dzwoniącego w tym podejrzeniu, używając słów „Nic specjalnego” w odpowiedzi na pytanie o plany na wieczór.

Reguł owych powinniśmy ściśle przestrzegać, zostały one bowiem sformułowane po to, by strzec naszego statusu Ludzi Wolnych. Stanowią one naszą Deklarację Niepodległości i mamy obowiązek każdym swym czynem dawać wyraz naszego dla niej poparcia.

Najwyraźniej jednak, Amy, moje reguły różnią się od twoich. Dwa twoje słowa wystarczyły, żeby wytrącić mi oręż z ręki. Zaskoczyłaś mnie, zostałem przyłapany z ręką w nocniku i nie pozostaje mi nic innego, jak owo nic zamienić na coś. Sięgam po papierosa.

—Cóż — zaczynam, przysiadając na oparciu fotela — miałem co prawda dzisiaj pracować. Przyrzekłem jednemu gościowi, że do niedzieli skończę dla niego portret na jego pięćdziesiąte urodziny. Ale skończyłem jakąś godzinę temu i... i... sam nie wiem... Fajnie mi się z tobą w zeszłym tygodniu gadało. No wiesz, uśmieśliśmy się i pomyślałem, że moglibyśmy to powtórzyć. No więc zadzwoniłem, tak sobie... Żeby zobaczyć, co u ciebie, i w ogóle...

—Jack, chcesz się ze mną umówić?

Walisz prosto z mostu. Świetnie, też tak umiem.

— Można to i tak nazwać.

—Okay.

—Okay, zastanawiam się, czy okay, dobra, spotkajmy się?

—Okay, już się zastanowiłam i okay, dobra, spotkajmy się. Podoba mi się, w jaki sposób mnie przedrzeźnia.

— Dobra, wymyślę jakąś knajpę. Ale jeśli chcesz, to najpierw możemy wyskoczyć gdzieś na drinka.

—Chcę.

Uśmiecham się. — Znasz knajpę „U Zacka”?

—Jasne.

—To co, „U Zacka” o ósmej?

—Okay, to do ósmej.

Kiedy odkładam słuchawkę, czuję się, jakbym schował do kabury rewolwer po wystrzeleniu z niego wszystkich sześciu naboju w pojedynku. Poza tym jednak, oprócz tego, że serce bije mi odrobinę szybciej niż zwykle, czuję się nie najgorzej. Przeżyłem Rozmowę Telefoniczną na Żywo. Wszystko poszło dobrze. Amy była bardzo miła, wyraźnie zadowolona, że się odezwałem. Zaprosiłem ją na randkę i zaproszenie przyjęła. Spotkamy się. Dzisiaj. Taki jest wynik: Billy the Kid — 1 punkt, Calamity Jane — punktów 0.

Zaraz jednak prawda dociera do mnie z przerażającą wyrazistością: Mój Boże, idę na Randkę. Randkę, na miłość boską. Z drinkami i obiadem. Będę musiał rozmawiać z dziewczyną, której prawie wcale nie znam. Czeka mnie wieczór w rodzaju tych, z których dawno już zrezygnowałem, ledwo dotarło do mnie, że są o wiele prostsze drogi prowadzące do seksu.

W co ja się, do diabła, pakuję?

Tylko spokojnie.

Zaciągam się głęboko papierosem, przekonując samego siebie, że nie taki diabeł straszny. Amy jest miłą dziewczyną. Do tego bardzo ładną. I wesołą. Naprawdę chcę się z nią zobaczyć. Inaczej po cóż bym dzwonił? Poza tym to nieprawda, że jej nie znam. W końcu spędziliśmy ze "sobą" prawie całą noc, no nie? I chyba jest mną zainteresowana. Skoro zgodziła się ze mną spotkać, to chyba jednak Matt tak bardzo nie chodzi jej po głowie. W tej sytuacji postępuję jak najbardziej odpowiednio.

W pewnym sensie powinienem mieć pretensje do Chloe, za obrót, jaki rzeczy przybrały tego dnia. Patrę na kawałek papieru, który trzymam w ręku: pismo Chloe; numer telefonu Amy. Chloe dała mi ten świstek w poniedziałek, znudzona śmiertelnie moim marudzeniem o wciąż nie wyjaśnionej sytuacji z McCullen. Powiedziała, że powinienem zadzwonić do Amy, bo według niej jestem wyraźnie sfrustrowany i małe ruchanko dobrze by mi zrobiło. A we wtorek Amy — co do tego nie mam cienia wątpliwości — zadzwoniła i zostawiła tę dziwną wiadomość na sekretarce. Mój numer musiała dostać od Chloe. Nikt poza nią nie odważyłby się tego zrobić. Zawsze pogrywa sobie w ten sposób z Mattem i ze mną; bardzo dba o to, żeby jej chłopcy byli szczęśliwi. My nie pozostajemy dłużni i od czasu do czasu napędzamy jej znajomych koleśków.

Czasami zastanawiam się, czy nie było lepiej, gdybyśmy z Chloe zrezygnowali z wszystkich tych pośredników i zaczęli ze sobą chodzić. Parę razy brałem nawet taką możliwość pod uwagę, niejednokrotnie też flirtowaliśmy. Gadałem nawet o tym z Mattem niedługo po rozstaniu z Zoe. Dzień wcześniej upiliśmy się razem z Chloe, która w końcu wylądowała obok mnie w łóżku. Rano, kiedy w pokoju zjawił się Matt z kawą, Chloe spała w moich objęciach. Kiedy sobie poszła, Matt chciał wiedzieć, czy do czegoś doszło, na co odpowiedziałem mu, że nie. Więc on zapytał dlaczego, a ja wyjaśniłem, że ją kocham, ale nigdy się w niej nie zakocham. Była w końcu moją koleżanką, podobnie jak i jego. Zbyt wiele wysiłku i starań musielibyśmy włożyć w nasz związek. No i przede wszystkim, za dobrze ją znałem. Nie mogłaby niczym mnie zaskoczyć. Nie wiem jednak, czy mi uwierzył. Nie jestem nawet pewien, czy sam sobie wierzyłem.

Spoglądam na drugi koniec salonu, gdzie wisi stary barowy zegar z napisem „Marlboro”: szósta trzydzieści. Mam trochę spraw do załatwienia...

Idę do sypialni Matta i otwieram jego szafę, po raz tysięczny chyba składając Bogu dzięki, że mój najlepszy przyjaciel chętnie dzieli się wszystkim. Trzeba mu to przyznać. W szafie znaleźć można ciuchy na każdą okazję: ubrania wieczorowe, fraki, garnitury, markowe koszule i

dżinsy, swetry. Wizyta w tej szafie to jak zakupy ze złotą kartą American Express: tylko wybierać. (Najważniejsze to znaleźć współlokatora o podobnej budowie ciała). Modłę się tylko, żeby się nie spaść na tych tłustych lunchach, które bez przerwy jada w City, bo miałbym wtedy spory problem ubraniowy. Chyba będę musiał przejść na dietę opartą na smalcu, żeby nie zostać z wagą w tyle. Jest też drugie wyjście: mógłbym znaleźć prawdziwą pracę i samemu zarobić na złotą kartę. To się jednak nie stanie przed końcem tego roku — ostatecznym terminem, jaki sobie wyznaczyłem na odniesienie sukcesu w malarstwie. Wybieram potrzebny zestaw i wędruję do łazienki.

Dla większości znanych mi dziewczyn higiena osobista to sprawa płci: dla dziewczyn istotna, dla facetów nie. Koniec pieśni. Do pewnego stopnia się nie mylą. Dajmy na to, że przez rok facet jest pozostawiony sam sobie. Odcięty od cywilizacji i, co znacznie ważniejsze, jakichkolwiek szans na seks. Jest więcej niż pewne, że bardzo szybko zdiadzieje. Skarpet i slipów nie będzie zmieniał, dopóki nie zaczną go drażnić albo ich zapach przyćmi smród pleśniowego sera w lodówce. Małe Sahary kurzu pokryją wszystkie sprzęty, kuchenka z wolna, w miarę jak tłuszcz przyskający z patelni będzie pokrywał ją coraz grubszą warstwą, upodobni się do zęzy na statku. A paznokcie u rąk i nóg prawie że poodpadają, wypychane coraz bardziej zatłuszczoną warstwą brudu.

Niech no jednak ten sam facet znajdzie się w swoim naturalnym środowisku, a wszystko potoczy się zupełnie innym torem. Wystarczy, że ma na widoku randkę z dziewczyną i przynajmniej dziesięć procent szansy, że randka znajdzie finał w łóżku, a natychmiast zacznie się oblewać dezodorantami i wodami toaletowymi, bijąc w tym na głowę samą Kleopatrze. Według mnie sprawa jest prosta: dla facetów higiena osobista jest nierozzerwalnie związana z seksem. Jesteś czysty, będziesz pieprzył. Weźmy na przykład szczeniaków, którzy wychodzą z założenia, że dopóki skarpety nie uciekają same, z powodzeniem nadają się do noszenia. Nie obchodzi ich, jak bardzo są brudni. Jeśli znajdą się sto metrów od psiego gówna, to i tak najprawdopodobniej w nie wdepną. Kiedy jednak osiągną dojrzałość seksualną, zaczynają coś kapować. Zauważają, że

kiedy cuchną, dziewczyny ich splawiają. Choć na ogół z matematyki są tępi, bez problemu nagle sami układają serię podstawowych równań: Cuchnący oddech plus brudne zęby = Zero całowania; Niedostateczna higiena dolnych części ciała = Zero seksu.

Ze mną wcale nie jest inaczej. Na przykład dzisiaj. Mimo że trudno mówić nawet o tych dziesięciu procentach szansy. Stawiam na jakieś pięć procent, w najlepszym razie. Jeśli jednak właściwie rozegram karty, może uda mi się szczęśliwie podążyć ścieżką, na końcu której czeka Świątynia Rozkoszy. Na wszelki więc wypadek nie lekceważę zabiegów higienicznych. Tych od wielkiego dzwonu. Biorę prysznic, szoruję się, golę, układam włosy, myję i czyszczę nitką zęby, nie zapominam o uszach, przycinam paznokcie, nacieram się balsamem do ciała i wodą po goleniu. Teraz ciuchy: slipy od Calvina (czytaj Slipy na Podryw), czyste skarpetki i zestaw pożyczony od Matta (jak zwykle wszystko czyste i wyprasowane). Oceniam się w lustrze, ćwicząc uśmiech, jakim będę czarował Amy podczas obiadu. Wrażenie ogólne? Mnie się podoba. Miejmy więc nadzieję, że i jej spodoba się także.

Schodzę na dół, biorę sobie piwo i przeglądam kompakty. „U Zacka” jest tuż za rogiem, nie ma więc pośpiechu. Pozostaje mi jedynie wybrać i zarezerwować restaurację. Najlepiej, żeby było to coś fajnego i, rzecz jasna, niezbyt drogiego. Gdzie moglibyśmy się wyluzować i pośmiać. To znaczy, tylko to by mi pozostało, gdybym wcześniej się już tym nie zajął. Ale się zająłem. Jakies cztery godziny temu, zanim w ogóle przyszło mi do głowy zacizwonić do Amy. Cztery godziny temu, gdy kolejna sesja z McCullen dobiegała końca. Cztery godziny temu, gdy postanowiłem zamówić stolik w „Hot House”, w nadziei, że McCullen się tam spodoba. Cztery godziny temu, jakąś godzinę przed tym, jak po raz drugi w ciągu dwóch tygodni zorientowałem się, że ona nadal nie jest zainteresowana.

## **GÓRA MCCULLEN: OBÓZ PIERWSZY**

Okolo dziesiątej dzisiaj rano McCullen zadzwoniła do moich drzwi. Tym razem byłem gotów. Na przystanku autobusowym nie czaiła się demonicznie żadna Catherine Bradshaw. Brak snu nie ograniczał mojej swobody wypowiedzi. Nie męczył mnie kac. Jednym słowem nic nie stało na przeszkodzie podjęcia drugiej próby zdobycia Góry McCullen.

Kiedy otworzyłem drzwi, pocałowała mnie (w policzek), posunęła się nawet tak daleko, że mnie uścisnęła (wyłącznie plato-nicznie). Podniosło mnie to na duchu. Co prawda gesty pozbawione były podtekstu namiętności, niemniej jednak Pierwszy Kontakt został nawiązany. Zresztą całe jej zachowanie było zdecydowanie inne niż w zeszłym tygodniu. Miejsce rezerwy, nerwowych ruchów, zmarszczonego czoła zajęły wyłącznie uśmiechy. Wypiliśmy szybką kawę, trochę pogadaliśmy o imprezie, na której była z Kate, o jednych plotkując, innych obgadując. Zupełnie jakbyśmy się znali całe wieki. Potem przeszliśmy do atelier, gdzie się rozebrała bez śladu skrepowania i ułożyła na kanapie. Jak dotąd wszystko szło dobrze, a kiedy zrobiliśmy sobie przerwę na drinka w ogrodzie, wszystko wskazywało na to, że będzie jeszcze lepiej.

Słońce świeciło jak wielka lampa na czystym błękitnym niebie; jego blask wręcz oślepiał. McCullen, w ręczniku (moim) i ray banach (Matta) siedziała obok mnie na jednej z trzech drewnianych ławek w ogrodzie. Obok naszych bosych stóp na trawie walały się cztery dopiero co opróżnione butelki po piwie, połyskując w słońcu. Przed nami stał stolik osłonięty parasolem, którego cień chłodził trochę nasze rozgrzane ciała. Po między nami, na ławce, stała skrzynka z lodem, wypełniona piwami. Wyjąłem z niej dwie butelki, otworzyłem o kant stolika, jedną podałem McCullen, drugą podniosłem do ust.

Obróciłem się, by spojrzeć na nią, jak zapala papierosa i wpatruje się w ogród przed sobą. Po raz pierwszy w życiu zauważyłem, że ma twarz pokrytą piegami. Nic dziwnego, że wcześniej uszły mojej uwagi, mimo iż tyle czasu spędziłem, przyglądając się jej. Jednak nie piegi, lecz inne szczegóły jej anatomii przykuwały w głównej mierze mój wzrok. Piegi były bardzo delikatne. Nie takie, które od razu ma się ochotę połączyć kreskami. Nie, te wyglądały jak konfetti, które najlżejszy powiew wiatru



może zdmuchnąć. Odwróciła głowę, a ja nie chcąc, żeby przyłapała mnie na gapieniu się, spuściłem oczy i zająłem się obserwacją delikatnych włosków porastających moje uda.

Nie miałem żadnych wątpliwości. Było idealnie. Nadeszła ta Chwila. Przepelniona spokojem. Jestem ja. Jest ona. Świeci słońce, mamy piwo. Od trzech lat nie stać mnie było na wakacje za granicą, ale teraz było dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem przez te zimne, samotne noce, kiedy to nie było przy mnie żadnego ciepłego ciała, do którego mógłbym się przytulić. Wszystko tonęło w barwach zabijających każdy smutek. I nawet jeśli w owe noce twarz, którą wyobrażałem sobie obok siebie na ławce, nie należała do McCullen, niewiele się od niej różniła.

— Opowiedz mi o swoim mężczyźnie—zagaiłem, obracając się ku niej.

—Poco?

—Jestem ciekawy z natury.

Co, rzecz jasna, było i nie było prawdą.

Istnieją dwie szkoły rozpoczynania rozmowy o partnerach osób, które nas interesują. Jest szkoła pasywna, jest też i aktywna. Pierwsza opiera się na teorii, że im mniej wspomina się rzeczzonego partnera, tym mniej osoba owa o nim myśli. No, a kiedy w końcu przestaje o nim myśleć zupełnie, nie ma powodu wątpić, że myśli o nas. A kiedy tak się stanie, wygraliśmy. Jest też szkoła aktywna, która zaleca bezzwłoczne przejście do sedna sprawy. Zaczynamy rozmawiać o chłopaku i szybko dowiadujemy się, z jakim przeciwnikiem mamy do czynienia. Ja skłaniam się ku tej drugiej szkole; uważam, że pozwala zaoszczędzić mnóstwo czasu.

McCullen uśmiechnęła się. Nie wiem, czy dlatego, iż odgadła moje zamiary i poczuła się zakłopotana, czy też po prostu sama myśl o nim sprawiała jej taką przyjemność. Oczywiście wierzyłem, że prawdziwy jest ten pierwszy powód.

—Nie bardzo wiem, od czego zacząć.

— Może od początku? To się na ogół sprawdza. W przypadku Julie Andrews sprawdziło się na pewno.

Nie trzeba jej było specjalnie namawiać. Dowiedziałem się, że on na imię ma Jonathan, ale wszyscy zwracają się do niego Jons. Poznali się w szkole, kiedy ona miała siedemnaście lat. Powiedziała mi, że był cholernie przystojny i śpiewał w zespole. I kiedy miałem już sięgnąć po torebkę na wymioty, w duchu przeklinając, że nie skorzystałem z nauk Profesora Pasywnego, niespodziewanie Luke Skywalker przeistoczył się w Dartha Vadera. Uśmiech, dotąd rozświetlający twarz McCullen, teraz ustąpił miejsca zmarszczce na czole, która pogłębiała się, w miarę jak kurtyna odsłaniała Ciemną Stronę: uzależnienie od koki, na którą nie było go stać; ataki paranoi; jak zmuszał ją do zażywania tabletek podczas studiów na uniwersytecie w Glasgow, upierając się przy regularnym seksie w każdym weekend; w jaki sposób obrażał jej przyjaciół; pewność, że odbiłoby mu kompletnie, gdyby dowiedział się, że pozuje dla mnie.

Zabawne, jak czasem to, co złe, może ostatecznie okazać się najlepsze. W im gorszym świetle go przedstawiała, tym bardziej rosła u niej moja szansa. Jezu, prawie zaczynałem lubić tego faceta.

I wtedy powiedziała:

—Czasami się zastanawiam, dlaczego ciągle z nim jestem. A ja sobie pomyślałem: „Houston, problemu już nie ma”. Ale wtedy ona rzekła:

— To głupie. Wcale tak nie myślę. Ja go kocham. — Popatrzyła oskarżycielskim wzrokiem na swoją butelkę piwa i pokręciła z wolną głową.—Alkohol i słońce. Zawsze mnie rozkładają. Zapomnij, że w ogóle coś takiego usłyszałeś.

Odpowiedziałem jej w myślach: „Kontrola naziemna do majora Toma. Wasze obwody nie działają, dzieje się coś złego”.

I przeszedłem do ultimatum, zadałem jej pytanie należące do Scenariusza Najgorszego z Możliwych:

—Sądziś, że w końcu za niego wyjdiesz?

Wzruszyła ramionami. Trudno było mi ją obwiniać; w równie kłopotliwym położeniu zachowałbym się zapewne nie inaczej.

—Być może. Ale jeszcze nie teraz.

—Dlaczego?

Chwilę się namyślała, by wreszcie powiedzieć:

—Chyba jestem jeszcze za młoda.

—To twój pierwszy prawdziwy chłopak?

—Nie rozumiem?

—No, pierwszy, z którym jesteś dłuższy czas.

—Pierwszy i jedyny...

—Jak to?

—Poza nim nie było nikogo innego.

Przyznaję, że to mną wstrząsnęło. — Żartujesz chyba? Obróciła się do mnie i spojrzała mi prosto w oczy. — Nie.

—Nigdy dotąd...

—Co?

— No, zastanawiałaś się... Czy nigdy się nie zastanawiałaś, jak by to było z innym facetem?

Pochyliła się i zgasiła na trawie papierosa. — Czasami.

—To znaczy kiedy?

—No, nie wiem.

Popatrzyłem na nią wymownie, w sposób, w jaki oczy wyrażają wszystko i nie trzeba nic mówić.

—Na przykład teraz?

—Może.

Ha, mam ją. Połknęła haczyk. Uśmiechnąłem się, zmrużyłem oczy i naciskałem dalej.

—Może tak czy może nie?

— Może po prostu nie wiem. — Zapaliła kolejnego papierosa. Z jej ust popłynęła smużka dymu. —A ty? Masz dziewczynę?

—Nie.

I siedzieliśmy, nie odrywając od siebie wzroku, aż ona dopaliła papierosa, a ja skończyłem piwo. Sprawa wyglądała następująco: McCullen musiała podjąć co do mnie decyzję, ale była już bardzo blisko; tak blisko, że aż skóra mi cierpła. Lecz jeśli nie teraz, to kiedy? Dziś wieczorem? Tak, z całą pewnością nie później. Kiedy patrzyłem na nią, nie mogłem znieść myśli, że mogłoby to się choć trochę odwlec w czasie. A

więc restauracja. I ciąg dalszy rozmowy, słownych gier. I wreszcie decyzja.

Wtedy już moje oczy wędrowały po całym jej ciele, a ja żałowałem, że okrywa je ręcznik. Nagle dotarło do mnie, że przecież czasami można stać się swoim własnym dżinem i sprawić, by marzenia zamieniały się w rzeczywistość.

—No, koniec tego dobrego — oświadczyłem. — Wracamy do roboty.

Co też uczyniliśmy. Gdy McCullen układała się na kanapie, ja poszedłem do kuchni, skąd zadzwoniłem, żeby powiedzieć, iż nie pójdę z Mattem na imprezę, jak umawialiśmy się wcześniej, po czym zarezerwowałem stolik dla dwóch osób w „Hot House”. Chociaż byłem tak bardzo pewny siebie, nie zdawałem sobie jednak sprawy, jak głęboko McCullen była zaangażowana w ten flirt. Szansa, że cała sprawa przeciągnie się o parę godzin, była raczej zerowa; tu się zanosilo na o wiele dłuższą i cięższą kampanię. W jakiś czas później, gdy zaprosiłem ją na obiad, jej odpowiedź nie pozostawiła mi złudzeń:

—Och, to słodkie, że mnie zapraszasz, ale dzisiaj nie dam rady. Jons przyjeżdża jutro z Glasgow i muszę wcześniej wstać, żeby wyjść po niego na dworzec.

Po czym pocałowała mnie na do widzenia (znowu tylko w policzek) i wyszła. Kiedy patrzyłem, jak idzie ulicą, pojąłem, że chociaż niewątpliwie ją pociągam, to mam duży problem, bo Jons pociągają zdecydowanie bardziej. A skoro tak, nadzieja, że ją w końcu zdobędę, drastycznie się skurczyła. Pozostawało mi siedzieć, czekać i obserwować. Co też czynić będę.

Przez lornetkę.

Dzień i noc.

Bez wytchnienia.

Nie po raz pierwszy będę brał udział w zabawie w wyczekiwanie.

*Wyznania. Nr 3. Zniewolenie. Miejsce: Moja sypialnia, chata Matta.  
Czas: 3 rano, 13 kwietnia 1997.*

Matt zawsze ostrzegał mnie przed powtórkami. Jego poglądy na tę sprawę w skrócie przedstawiają się następująco:

1. Podstawowa cecha przygód na jedną noc jest taka, że trwają one jedną noc właśnie.
2. Powtórne spotkania wprowadzają element zażyłości.
3. Zażyłość jest zaprzeczeniem życia w pojedynkę.

I oto nadeszła właśnie chwila, kiedy przyszło mi uwierzyć jego słowom i uznać je w tej materii za ostateczne.

Leżałem na własnym łóżku, na plecach, z rozłożonymi rękami i nogami, nagusieńki jak mnie Pan Bóg stworzył. Okrakiem siedziała na mnie, równie naga, Hazel Atkinson. Spotkałem ją u Barry'ego w sylwestra. Tuż po północy powędrowaliśmy wspólnie na górę, znaleźliśmy wolny pokój i zamknęliśmy się w nim. Rano wychyłałem z niego około siódmej i udało mi się przekonać Matta, żeby wstał i jak najszybciej zabrał mnie z powrotem do Londynu. Nie chodzi o to, że noc niezbyt się udała; w zasadzie było wręcz odwrotnie. Nie chodziło też o to, że Atkinson mi się nie podobała; uważałem, że jest niezła. Chodziło o to, że noc przebiegła dosyć dziwnie.

Atkinson miała skłonność do praktyk, które generacja moich rodziców określała mianem „zбочonych”. Inaczej mówiąc, lubiła wiązać mężczyzn i zabawiać się z nimi, aż puszczeli. Nie chciałem zostać źle zrozumiany: nie jestem pruderyjny. Bardzo lubię eksperymentować, nawet jeżeli owe eksperymenty mogą czasem wydać się dziwne. No więc wtedy, w tamtą sylwestrową noc, pozwoliłem jej się związać i puszczałem aż miło. Potraktowałem to jako jeszcze jedno doświadczenie, wzbogacające moją wiedzę. Ale nie byłem szczególnie zainteresowany specjalizacją w tym kierunku, podobnie jak w szkole łaciną. Efekt końcowy: nie odpowiadałem na telefony Atkinson i starannie unikałem wszelkich imprez, na których ona miała się pojawić. Głupi byłem.

Jest godzina wpół do dwunastej w nocy, 12 kwietnia 1997, i kogóż to moje przepite oczka widzą koło baru w „Klaxon”? A jakże, Hazel At-

kinson we własnej osobie — wspaniałą, dostępną i patrzącą prosto na mnie. Normalnie, rzecz jasna, uciekłbym, gdzie pieprz rośnie. Barry powiedział mi, że Atkinson, w następstwie zastosowanej przeze mnie techniki całkowitego unikania, zaczęła mnie postrzegać jako stworza stojącego niżej od ameby w łańcuchu rozwoju ewolucyjnego. Ale byłem pijany i tyle razy w ciągu minionej godziny dostałem kosza, że nadzieja na zarwanie jakiegoś towaru wywietrzała mi z głowy zupełnie, kiedy więc podeszła do mnie i zaczęła rozmowę, nie zdradzając żadnych oznak gniewu czy pretensji, czyż mogłem postąpić inaczej i nie zaprosić jej do siebie?

Wylądowaliśmy w łóżku.

Przywiązała mi ręce do zagłówka, nogi do przeciwległego końca łóżka. Super; wiem, co będzie dalej. Najpierw małe lanie, potem słowne potyczki — ona będzie mi mówić, co powiedzieć, aja będę jej posłuszny. I wreszcie to najlepsze: seks — choć to dziwne, ale i miłe, zupełnie normalny.

Niestety, tym razem plan Atkinson nieco od tego schematu odbiegał.

— No, ty kupo gówna — zaczęła.— Teraz dostaniesz nauczkę, której nie zapomnisz do końca swoich nędznych dni.

To już słyszałem przedtem.

—Byłem niegrzecznym chłopcem, prawda? — zapytałem, wczuwając się w rolę, choć, jak poprzednim razem, wszystko to wydawało mi się dosyć śmieszne. — Niedobry ze mnie szczeniak i należy mi się szkoła.

—Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka — stwierdziła, patrząc na mnie z góry. — Kiedy Matt wraca z Bristolu?

— Czemu pytasz?

— Po prostu odpowiedz.

— Jutro rano — odpowiedziałem lekko skołowany. — Gdzieś koło dziewiątej.

Spojrzała na zegarek.

—Za siedem godzin. Dobrze. Jakoś to wytrzymasz.

—O czym ty mówisz?

Nie odpowiedziała, tylko wstała z łóżka i ubrała się.

— Czy wiesz, na czym polega twój problem, Jack?—zapytała, przysiadając na skraju łóżka, żeby nałożyć buty. Próbowałem uwolnić choć jedną rękę, jednak bezskutecznie. Spróbowałem drugą, potem nogę. Ale i tym razem szczęście mi nie dopisało. Rajstopy, którymi mnie związała, były naprawdę obcisłe. Tymczasem Atkin-son wstała. — Pogrywałeś sobie z niewłaściwą dziewczyną.

Po czym wyszła z pokoju, a po kilku sekundach dobiegł mnie szcęk zatraskiwanych drzwi frontowych. Czekałem.

Po chwili złapał mnie skurcz. W ustach mi zaschło. Czekałem. Czekałem dalej.

Wreszcie dotarło do mnie, że ona nie wróci.

Tej nocy najróżniejsze myśli przychodziły mi do głowy. Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej zdarzyło mi się myśleć tak intensywnie. Głównie były to straszliwe bzdury. Że umrę albo że Matt nie wróci lub, co gorsza, zjawi się Atkinson z biczem i elektrycznym dziadkiem do orzechów. Ixcz nad tym wszystkim górowała Myśl Główna: jeśli umrę, to jako mężczyzna, który nie odnalazł tej, z którą chciałby spędzić resztę swojego życia. Ona gdzieś tam będzie, samotna, bo i ona nie odnalazła mnie. A winą za to wszystko mogę obarczyć tylko i wyłącznie siebie. Być może właśnie taką nauzkę chciała mi dać Atkinson.

Wreszcie w drzwiach stanął oniemiały Matt.

—Nie mów tego — udało mi się wykrztusić.

—Czego?

—A nie mówiłem.

Usiadł na łóżku i zaczął od wiązyc mi nogi.

—Atkinson? — spytał tylko.

—Owszem.

—Tak myślałem.

## WYJŚCIE

Zamykając za sobą drzwi frontowe domu Matta, doświadczam przedziwnego uczucia. Mam wrażenie, jakby w moim żołądku zamieszkał jakiś stwór. I to na pewno upierzony, bo okropnie mnie łaskocze. Z początku kładę to na karb sporej ilości piwa, które wypilem dzisiaj po południu na niemal pusty żołądek, postanawiam więc wstąpić gdzieś po drodze na frytki. Szybko jednak dociera do mnie, że najzwyczajniej na świecie się denerwuję. Nie tylko się denerwuję, ale jestem też podekscytowany. A przyczyna tego stanu jest oczywista: Amy. Lub raczej Randka z Amy. Czy mi się to podoba, czy nie, wyjaśnienie jest tylko jedno. Ona mnie interesuje. Podobnie jak przebieg Randki z Nią. Ciekawi mnie, czy w dalszym ciągu stać mnie na zarwanie takiej dziewczyny i jak będę się wtedy bawił.

„U Zacka” jest fantastycznie. Uwielbiam ten lokal. Prawdę powiedziawszy, gdyby „U Zacka” był kobietą, nie musiałbym się dzisiaj umawiać z Amy. Nie byłoby takiej potrzeby, ponieważ na pewno bym się z tą knajpą ożenił i płodził z nią małe Żaczki na bardzo, bardzo odległej wyspie. „U Zacka” to wygodne kanapy, małe stoliczki, mnóstwo przestrzeni, przyćmione światło i delikatna muzyczka. A żeby szczęście było pełne, znajduje się rzut kamieniem od chaty Matta.

Pięć minut spacerkiem i docieram na miejsce około 19.30. Jak na piątek, panuje względny spokój. Ale pora jest jeszcze wczesna. Wszyscy normalnie pracujący ludzie muszą pewnie jeszcze wypić obowiązkowe drinki po pracy, wkrótce jednak zaczną się urywać i wracać do prywatnego życia.

Lustruję pobieżnie stoliki i mój wybór pada na ten w kącie, w bezpiecznej odległości od stołu bilardowego i głośników, gdzie nic nie będzie nas rozpraszało. Rezerwuję sobie krzesło pod ścianą, przerzucając przez oparcie marynarkę Matta. Amy usiądzie naprzeciwko i w ten sposób jej pole widzenia ograniczy się do mnie lub ściany za moimi plecami, dzięki czemu z łatwością przykuję jej uwagę.

Z portfelem w dłoni podchodzę do baru, gdzie chwilę gawędzę z Janet, właścicielką. Kim wobec tego jest Zack? Kiedyś zapytałem i dowiedziałem się: Zack to były mąż Janet, który rzucił ją i poszedł w siną



dal z własną sekretarką. Janet sądownie wydoiła z niego sporą kasę, za którą kupiła bar i, żeby sobie ulżyć, nazwała go jego imieniem. Znam ją od trzech lat, w ciągu których niezmiennie ma trzydzieści sześć lat i wcale nie widać, żeby jej ich przybywało. Jest zabawna, dla niektórych może nawet ekscentryczna. Podjęliśmy rozmowę w miejscu, w którym ją przerwaliśmy ostatnim razem, we wtorek, zupełnie jakby mnie nie było zaledwie kilka minut. Dopijałem właśnie drugą butelkę „Labatta”, ze sprzedaży których zasilala fundusz dla głodujących artystów, gdy usłyszałem za sobą głos.

Głos powiedział:

— Cześć, Jack.

Popatrzyłem, jaki wyraz twarzy przybrała Janet.

Jednoznacznie mówił: „Szczęściarz z ciebie”.

Obracam się i widzę, że ma rację: jestem szczęściarzem.

Amy stoi przede mną z szerokim, radosnym uśmiechem, na widok którego nie sposób nie odpowiedzieć tym samym. Taki uśmiech mnie rajcuje, w dobrym tego słowa znaczeniu. Kiedy widzieliśmy się ostatnio, a ona wydziwiała na temat jej nie istniejącego życia seksualnego i nie odwzajemnionego pociągu do Matta, usta miała ściągnięte w dwie wąskie kreseczki. Teraz jednak — muszę przyznać i z radością to czynię — zapraszają tylko do j ednego: całuj nas. Ubrała się też z gustem: w krótką czarną spódniczkę i popielatą obcisłą bluzeczkę. Wygląda dobrze. Serio. Pięknie. I chyba wie o tym. Wytrzymuje moje spojrzenie, a mnie zaczynają puszczać nerwy. Uśmiecham się i słowa wymykają mi się same.

—Cześć, Amy — odpowiadam. — Wyglądasz super.

— Dzięki. Miło cię znowu widzieć.

—Czego się napijesz?

—Wódki z tonikiem.

—Z cytryną? — pyta Janet, przygotowując drinka.

—Tak, bardzo proszę.

Janet kroi limonkę i wrzuca jeden plasterk do szklanki. Sięgam po portfel, ale Janet—niech ją Bóg błogosławi — macha ręką, podając Amy drinka.

—Nie martw się, Jack — zwraca się do mnie — dopiszę do twojego rachunku.

—Wielkie dzięki — mówię naprawdę szczerze.

Żeby nie zapomnieć: zgodnie z obietnicą muszę w końcu podarować Janet któryś z obrazów. Nie tylko ze względu na przyjaźń, po prostu sporo jej już wiszę, czas więc jakoś te długi uregulować.

Przez chwilę spoglądamy z Amy na siebie, po czym ona upija łyk ze swojej szklanki i rozgląda się po barze. To naprawdę dziwne. Czasem można z kimś spędzić całą noc, upić się i wysłuchiwać nawzajem swoich zwierzeń aż do świtu, po czym przy następnym spotkaniu nie wiedzieć, w jaki sposób przerwać niezręczne milczenie. Powiedz coś, pona-glądam siebie w duchu. Zrób coś z tą ciszą.

—Zostawiłem tam swoją marynarkę—wyjaśniam, wskazując na sto-lik.

Podchodzimy do niego i siadamy, oboje zapalamy papierosy, zaciągamy się, wypuszczamy dym. Podnosimy szklanki i upijamy z nich po łyku.

W końcu ona odzywa się pierwsza.

—Myślę, że powinnam zacząć od przeprosin.

—Za co?

—Za to, że w zeszły piątek zachowałam się jak kompletna idiotka.

W tej chwili powinienem jej zaprzeczyć, zastosować wszystkie te nie-nie-nie, ależ skąd, wcale tak się nie zachowałam. Amy wyglądała na szczerze zawstydzoną i każdy dżentelmen na moim miejscu tak właśnie by się zachował. Do niczego by to jednak nie doprowadziło. Wyszedł-bym tylko przed nią na sentymentalnego głupca, co absolutnie nie jest prawdą. A już z całą pewnością nie w tej chwili. I nie wobec kogoś, ko-go prawie nie znam.

—W sobotę rano — poprawiłem ją.

—Słucham?

— W sobotę rano. Zachowałaś się jak kompletna idiotka nie w piątek, ale w sobotę. Rano, koło szóstej. W piątek byłaś świetna. Zresztą w sobotę też. Przynajmniej do szóstej.

—Kiedy mi odbiło?

—Kiedy ci odbiło.

—Cóż, tak czy owak, przepraszam.

— Nie ma sprawy. Każdy ma prawo zrobić z siebie od czasu do czasu idiotę. To jedno z naszych niezbywalnych, demokratycznych praw.

—Ale i tak przestraszyłeś się jak cholera, no nie?

—Wcale nie — skłamałem. — A niby dlaczego?

— Och, dobra już. — Uśmiecha się po raz pierwszy, odkąd usiedliśmy. — Jak mam więc rozumieć twoją ucieczkę? Bo dałeś nogę, jakby się paliło. — Unosi lekko brwi. — Chyba że w ten sposób codziennie witasz nadchodzący świt.

Wybucham śmiechem i od razu przypomina mi się, jak było fajnie w zeszły piątek. To, jak więcej gadałem z nią niż z Mattem — akt zdrady, którego nie z własnej się dopuściłem winy. I z jaką łatwością potrafiła mnie rozśmieszyć. No i przede wszystkim fakt, że kiedy jej odbiło, nie zostawiłem jej, tylko starałem się jakoś uspokoić, o całe pół godziny odwołując ostateczny odwrót. Dobrze pamiętam, dlaczego mi się spodobała. Bo była bezpośrednia. Niczego nie udawała i na nic się nie zgrywała. Ponieważ była pierwszą od wieków dziewczyną, z którą nie musiałem wdawać się w żadne psychologiczne gierki.

— Niech ci będzie — odpowiadam. — Dałem w długą. Ale nie z twojego powodu. Po prostu byłem trafiony, nic poza tym— ryzykuję uśmiech. — Jezu, zanim przyszliśmy do ciebie, wypiliśmy chyba prawie całą butelkę whisky. Mózg miałem jak gąbka.

—Ja też nie byłem w szczytowej formie — przyznaje. — Musiałam zastosować plan odnowy KAZA.

—Co takiego?

—Plan odnowy KAZA — powtarza. — No wiesz... — Ponieważ jednak wyraźnie nie kapuję, tłumaczy dokładnie: — Kapiel, Alkaprim, Zero Alkoholu.

Uśmiecham się.

—Warto zapamiętać na przyszłość.

—Jest niezawodny.

Zapada milczenie. Załatwiliśmy drażliwą kwestię—jej wyznanie na temat Matta i moją ucieczkę, przy czym imię mojego przyjaciela ani razu nie padło. Dzięki temu zostaliśmy tylko ona i ja.

Co dalej? Rzecz jasna możliwości jest multum. Wolność słowa i takie tam. Problem w tym, że trzy tematy, które mnie interesują — ja, ona i jak to połączyć — na obecnym etapie w ogóle nie wchodzi w grę. Do tego potrzebny jest odpowiedni czas i miejsce. A za takowe trudno uznać bar „U Zacka” w piątek o ósmej wieczorem. Na razie musimy zająć się innymi sprawami. Jeszcze trochę wypić. Pogadać. Coś zjeść. Wrócić do domu taksówką. Cierpliwości, bracie, mówię sobie w duchu. Cierpliwości, a nagroda z pewnością cię nie minie. Otwieram usta, gotów wyskoczyć z jakąś dowcipną uwagą, po której rozmowa znowu potoczyłaby się gładko, ale uprzedza mnie Janet, która wyrasta obok naszego stolika, proponując nam następną kolejkę drinków. Cóż, niegrzecznie byłoby odmówić. Z wdzięcznością przyjmujemy poczęstunek, Janet żegluje w stronę baru, a my mamy już o czym rozmawiać.

— Powiedz mi — zaczyna Amy, przez chwilę spoglądając za oddalającą się właścicielką knajpy —jak to jest, że przychodzę tu mniej więcej raz w miesiącu niemal od roku, a ta kobieta za barem nawet mnie nie rozpoznaje, za to ciebie zna z imienia i sprzedaje ci na krechę, chociaż nad barem wisi wielki napis „Na kredyt nie sprzedajemy”?

— Ponieważ ja tu właściwie mieszkam. Dom Matta jest tuż za rogiem, a Janet to nasza kumpela.

Lody wreszcie pękły i rozmowa toczy się gładko. Gadamy i gadamy, a ja, niczym Poirot, pomalutku wypełniam luki powstałe podczas naszej pijackiej rozmowy w zeszłym tygodniu. Kiedy wysiadamy z taksówki i wchodzimy do „Hot House” znam już całą historię Amy. Jej CV, odpowiednio już skatalogowane, wygląda następująco:

Imię i nazwisko: Amy Crosbie

Wiek: 25 lat

Stan cywilny: WOLNA

Kwalifikacje: matura z angielskiego, geografii i sztuki, licencjat z włókiennictwa

Kariera: różne prace dorywcze od czasu ukończenia studiów

Układy damsko-męskie: niejasne. Jeden wyjątek; jakiś czas wspólne mieszkanie; teraz to już przeszłość

Inne: świetna partnerka do rozmowy; piękny uśmiech; fajne cycki

W „Hot House” do stolika prowadzi nas jeden z tych kociaków w przepisowej króciuteńkiej czarnej spódniczce i obcisłej białej bluzeczce. Z tych, co to należy patrzeć na prawo, kiedy stoi po lewej stronie i odwrotnie. Klnę się na Boga, że dziewczyny wyczuwają, kiedy w ich pobliżu znajdzie się potencjalna rywalka. Jakiś szósty zmysł czy co? PWS (Postrzeganie Wrogiej Spódniczki). Kiedy więc kociak nas sadza i podaje menu, bardzo się pilnuję, żeby ani na chwilę mój wzrok na niej nie spoczął. Nie istnieje dla mnie. Widzę i zauważam tylko Amy. „Maleńka, poza tobą świata nie widzę...”

Niby to uważnie studiuje kartę win, wybieram butelkę o umiarkowanej cenie, po czym jako pierwszy zamawiam najtańsze danie z całej karty, w nadziei, że Amy nie nabierze nagle szczególnego apetytu na homara. Wsuwamy, ani na chwilę nie przerywając rozmowy. Nie wymiguję się, kiedy wypytuje o mnie i moje życie: wyjawiam tylko to, co uważam za

stosowne i co dawno już przećwiczyłem podczas rozmów z dziewczynami. Dlaczego maluję, gdzie się wystawiam. Stosuję starą, wypróbowaną politykę: pozwalam jej mówić, dzięki czemu szybko odkrywam, co tak naprawdę się dla niej liczy, a potem powalam ją jej własną bronią. Wysyłam delikatne, ale jakże wymowne sygnały, że spotkała właśnie tego odpowiedniego kandydata. Marzy ci się lepszy świat? Głosuj na Jacka Rossitera.

—No, a ty? — pyta.

—To znaczy?

—Ty. T-Y. Co cię rusza? Czego oczekujesz od życia?

—Hm, nie byle jakie pytanie — migam się.

—Proszę więc o nie byle jaką odpowiedź.

Rzecz jasna, mam ją. Jak chyba każdy. I zawsze brzmi ona tak samo: miłości. Pewnie, są rzeczy, które mi się marzą, ale nie zdradzam tego nikomu, bo a nuż stanie się inaczej. Ale to są sprawy Pewnego Dnia. Jak na przykład taka, że pewnego dnia chciałbym się zakochać. Pewnego dnia chciałbym poślubić kobietę, w której się zakochałem. Pewnego dnia chciałbym mieć rodzinę i dom, i żeby pewnego dnia moje dzieci w niedzielny poranek wpadły do sypialni i obudziły mnie, jak ja sam robiłem, kiedy byłem mały. Ale Pewien Dzień jeszcze nie nadszedł. I z tego, co mi wiadomo, może nie nadejść nigdy.

—Sam nie wiem—stwierdzam bez przekonania. — Dobrej zabawy? Tak, chyba to właśnie jest dla mnie najważniejsze.

—OK — ona na to. — Powiedz mi w takim razie, kiedy ostatnio naprawdę dobrze się bawiłeś?

—To proste — odpowiadam, a uśmiech sam ciśnie mi się na usta. — Kiedy poszedłem do Hemleysa kupić bratankowi prezent na urodziny.

—Masz bratanka?

—Tak, to syn mojego starszego brata. Jest super. To znaczy bratanek. Bo mój brat, Billy, jest trochę... sam nie wiem. Kate i mnie w sumie niewiele z nim łączy.

—Dlaczego?

—No wiesz, w zasadzie jest fajny i w ogóle. Och, niech to szlag, jest bardzo fajny, tylko że dużo starszy. Ma już prawie pod czterdziecę, a ożenił się i ustatkował, kiedy był młodszy niż ja teraz. Poznał tę dziewczynę, zakochał się i na tym się skończyło. Potem przyszły dzieci i jest ugotowany na całego. Czyste wariactwo.

—To znaczy, że miłość i dzieci to nie dla ciebie?

—Żadnych więzów. Jeszcze nie teraz. Nawet o tym nie myślę.

—Kapuże. — Przez chwilę mi się przygląda, a ja za cholere nie wiem, co jej chodzi po głowie. Zaraz jednak twarz jej łagodnieje i pyta: — I co mu kupiłeś?

—Komu?

—Bratankowi?

—Ach, Johnowi. Zdalnie sterowany samochód. Jedną z tych amerykańskich wyścigówek. Zapierdzeniał, jak nie wiem co. Postanowiliśmy z Mattem go najpierw przetestować. No wiesz, gdyby się okazało, że ma jakiś feler.

—Jasne—przytakuje, tłumiąc śmiech. —Gdyby się okazało, że ma feler, a nie dlatego, że chcieliście się po prostu pobawić.

—No coś ty — oburzam się, ale nad uśmiechem nie udaje mi się zapanować. — Na miłość boską, przecież nie jesteśmy już dziećmi. Chodziło mi wyłącznie o Johna. Chyba nie ma nic gorszego, jak dostać prezent, który nie działa, no nie? No więc musieliśmy sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. — Teraz kręci już z dezaprobatą głową. — Poszliśmy do ogrodu — opowiadam dalej — i zaczęliśmy jazdę próbną. A potem zrobiliśmy tor przeszkód.

Nie może uwierzyć.

—Zrobiliście tor przeszkód?

—Nic specjalnego, parę desek z szopy podpartych ceglami. Chcieliśmy sprawdzić, jakie ma zawieszenie.

—A po tym wszystkim posłałeś autko Johnowi?

—No, nie. Najpierw trzeba by je trochę oczyścić. — Upijam łyk wina. — I naprawić koło. Przednie. — Robię skrzywioną minę. — Trochę się wygięło przy ostatnim skoku.

—Twierdzisz, że nie przepadasz za dziećmi, a sam jesteś jak duże dziecko.

Godziny mijają niepostrzeżenie i nagle zauważam, że „Hot

House", poza nami, opustoszał kompletnie. Wołam umęczonego kelnera i proszę o rachunek, który szczęśliwie nie czyni ze mnie bankruta, mogę więc po pańsku odrzucić propozycję Amy, że płacimy pół na pół.

Jej mieszkanie jest niedaleko, po części więc dlatego, że noc jest gorąca, rozświetlona gwiazdami, wprost stworzona do spacerów, po części zaś dlatego, że nie wiem, czy stać by mnie było na taksówkę do najbliższego rogu, zaproponowałem powrót piechotą.

—Ostatnio wspominałaś — mówię — że nie uprawiałaś seksu od wieków. Mówiłaś poważnie?

To ją mogło wkurzyć. Na szczęście jednak potraktowała moje wścibstwo spokojnie.

—Owszem. Prawie od sześciu miesięcy, jeśli chcesz znać gorzką prawdę. To mój życiowy rekord. A czemu pytasz?

—Po prostu byłem zaskoczony, nic więcej.

—A to czemu?

—Nie wiem—zaczynam.—Jesteś przecież bardzo ładna... I fajna. Nie wyglądasz na taką, co to jest skazana na samotność, jeśli jej nie chce...

Wybuchła śmiechem.

—Dość już przeżyłam nieudaczników, teraz czekam na kogoś, kto naprawdę mi się spodoba.

—Chcesz powiedzieć, że teraz interesuje cię tylko porządny facet?

— Otóż to.

Skrećamy w boczną uliczkę, dłuższą chwilę idziemy w milczeniu, by wreszcie zatrzymać się przed szeregowym domem w stylu gregoriańskim.

—Tu mieszkasz? — pytam.

—Tak. Kochany domeczek. Mówię: — No to...

Mówi ona: — No to...

Nagle bardzo pragnę być tym porządnym facetem, na którego tak długo czekała, mam więc nadzieję, że zaraz nastąpią korzystne dla mnie wydarzenia. Otóż ona może:

- a)zapytać, czy napiłbym się kawy,
- b)włączyć muzykę, usiąść obok mnie na kanapie i popijając kawę, czekać na mój ruch,
- c)olać kawę i rzucić się na mnie.

Czego jednak się nie spodziewam, a co ona — ku mojemu przerażeniu — czyni:



- a)dziękuje mi za wspaniały wieczór i odprowadzenie jej do domu,
- b)przelotnie mnie całuje i odsuwa się,
- c)mówi, żebym odezwał się w przyszłym tygodniu.

Po czym odwraca się, podchodzi do drzwi Przybytku Rozkoszy, otwiera je, wchodzi i dokładnie za sobą zamyka. Stoję jak zamurowany. Gapię się jak sroka w gnat. — Kurwa.

Tyle tylko udaje mi się wykrztusić, bo poza tym mowę odjęło mi kompletnie.

To tyle, jeśli chodzi o porządnych facetów i ich dobrą passę.

## BYCIE

— Chyba żartujesz? — mówi Matt.

Jest poranek następnego dnia. Kilka minut temu Matt pojawił się w kuchni, gdzie siedziałem skulony przy stole, zamglonymi z niewyspania oczami tępo wpatrując się w parę unoszącą się ze stojącego przede mną kubka z herbatą. Wyraźnie było widać, że stan moich zmysłów jest daleki od zadowolającego. Zapytał mnie więc, co się stało, a ja zrelacjonowałem mu klęskę, która spadła na mnie wczoraj wieczorem.

— Czy wyglądam na kogoś, kto żartuje? — warczę.

Siada naprzeciw mnie i przesuwając ręką po zmierzwionych podczas snu włosach.

—Nie stary, wyglądasz raczej na kogoś, kto traci formę.

—Wielkie dzięki. Wzrusza ramionami.

—I co zamierzasz? Zadzwonisz do niej?

—Teraz to ty żartujesz.

—Czemu? Z tego, co mówiłeś, jest raczej zainteresowana. Może warto spróbować jeszcze raz, jeśli cię rajcuje? Rajcuje cię?

—Cholera, pewnie że mnie rajcuje. I to jak. Chyba nie myślisz, że w przeciwnym razie bym się z nią umówił? Ale rzecz nie w tym, czy mnie rajcuje.

—W czym więc?

—Chodzi o to, że nie mam nic przeciwko umawianiu się. Wielka mi rzecz. Ale nie znoszę dostać od dziewczyny kosza, po czym ona oczekuje, że znowu do niej zadzwonię i się z nią umówię. Chryste, do czego to prowadzi? Tak samo może być następnym razem. I następnym. Zanim się obejrzę, będę zgrzybiałym starcem, który nigdy w życiu nie zaznał dziewczyny. — Zapalam papierosa. — Matt, wczoraj wszystko szło po prostu idealnie, a ona i tak spławiła mnie na progu. Chodzi o to, że jestem cholernie wkurwiony.

—Nie opowiadaj. Tak do końca cię nie spławiła. Przecież cię pocałowała.

—Ty mnie w ogóle nie słuchasz. Nie po to zabierałem ją do „Hot House” i wydałem nie wiadomo ile, żeby mnie pocałowała. Całować to się mogą dzieci. A ja jestem pełnoletni i dorosły, na miłość boską. Gdybym tylko chciał dotknąć językiem czegoś wilgotnego, to bym sobie kupił pieprzone lody.

—Po co się tak denerwujesz? Chciałem cię tylko podnieść na duchu. — Jego fałszywy uśmiech zdradza mi, że jego zamiarem było coś wręcz przeciwnego.

—To ci się nie udało.

—Stary, wyluzuj. Może da się jej zachowanie jakoś wytłumaczyć.

—Na przykład?

—Nie wiem. Może jest staroświecka? Nie chciała wyjść na taką, co to zaraz daje.

—Na pewno nie jest staroświecka. To ostatnia rzecz, jaką można o niej powiedzieć.

—No to może trafiłeś na jej tydzień życia w czystości.

Ta rozmowa doprowadza mnie do szału, zmieniam więc temat.

—A co u ciebie? Jak tam impreza?

—W porządku — mówi, bierze ode mnie papierosa i zaciąga się głęboko. — Była Linda. Pytała o ciebie.

Linda to szybka panienska, marzenie jednej nocy, które przeistoczyło się w sześciotygodniowy koszmar. Telefony, listy, e-maile... przypadek, który Freuda wprowadziłby w stan euforii.

—Co jej powiedziałaś?

—To, co uzgodniliśmy, że powiem, jeśli kiedyś się na nią natknę: że zwariowałaś na punkcie wiary. Nie wychodzisz. Żyjesz w stuprocentowym celibacie. I tak dalej.

—Uwierzyła ci?

—Kwestionujesz moje zdolności we wciskaniu dziewczynom kitu?

—Nie odważyłbym się.

—To dobrze.

Odbieram swojego papierosa.

— Tobie się poszczęściło?

Nie musi nawet odpowiadać. Słyszę zbliżające się do kuchni kroki, po chwili otwierają się drzwi i wchodzi dziewczyna. Niebrzydka, muszę przyznać. Nawet z odcisniętymi na twarzy świeżymi śladami poduszki. Nie szkodzi jej też stary rozciągnięty szlafrok Matta — jego jedyne sentymentalne i kompletnie niemodne odzienie — którym się otuliła.

—Cześć — mówi do mnie lekko ochryłym głosem po zbyt wielu wypalonych papierosach i wypitych drinkach.—Jestem Sian.

—Nie ma sprawy — mamrocze.

—Mogę sobie zrobić kawy? — zwraca się do Matta i idzie w stronę czajnika.

—Jasne — odpowiada mój przyjaciel. — Gdybyś tylko mogła się pośpieszyć. Za jakieś pół godziny musimy z Jackiem jechać do Bristolu.

Jest lekko zaskoczona. — O?

— Sześćdziesiątka mojej matki. Chcemy jej zrobić niespodziankę. Przecież ci wczoraj mówiłem. Nie pamiętasz?

Jasne, że nie pamięta, ale to mnie nie dziwi. Jeśli się nie mylę, to chyba już dziesiąte przyjęcie-niespodzianka, jakie Matt urządza swojej matce z okazji jej sześćdziesiątych urodzin. Zresztą nieważne. Dziewczyna

zapewnia, że się pośpieszy. Chwilę jeszcze siedzę w kuchni, przysłuchując się, jak ich rozmowa o niczym powoli przeradza się w milczenie. Wreszcie wstaję i przepraszam, tłumacząc, iż muszę się przygotować na wyjazd do Bristolu. Matt puszcza do mnie oczko, wdzięczny, że tak gładko wczułem się w sytuację. Nawet mi się nie chce odwzajemnić gestu. Prawdę powiedziawszy, mam go chwilowo dosyć, i to wyłącznie z czystej zawiści. W kuchni kręci się wielkooka, w pełni przez niego zaspokojona dziewczyna. A gdzie moja dziewczyna? Chętnie bym się dowiedział. „Hej, Amy!” — mam ochotę wrzasnąć. „Gdzie moja dziewczyna?”

Ponury nastrój i poczucie frustracji nie opuszczają mnie przez cały następny dzień. Z początku udaje mi się jakoś je ignorować, ale nie trwa to wiecznie. W sobotę wieczorem idę na popijawę z Mattem, Chloe i całą resztą. Chloe pyta, jak mi się układa z Amy, ja mówię, że w porządku. Kiedy jednak domaga się szczegółów, spławiam ją. Postanawiam wziąć się w garść i wdaję się w rozmowę z jakąś dziewczyną, ale nie najlepiej mi to idzie, więc wracam samotnie do domu taksówką.

Zdaję sobie, oczywiście, sprawę, że to Znak. Zajście z Amy mocno nadwreżyło moje poczucie własnej wartości. Robiłem wszystko jak trzeba, a i tak poszło fatalnie. Cóż to oznacza? Że Matt ma rację, a ja w istocie tracę formę? Że Amy załazła mi za skórę? Czy mój czas podrywacza się kończy?

Odpowiedzi, które się nasuwają, wcale nie przypadają mi do gustu.

W niedzielę jem z Mattem lunch „U Zacka” i Matt radzi mi, żebym dał sobie spokój. Według niego powinienem to potraktować jak jeszcze jedno niezbyt szczęśliwe doświadczenie i nie zawracać sobie nim głowy. Posłucham go. W piątek czeka mnie sesja z McCullen, mam więc o czym myśleć. Szczęście chyba jednak mnie opuściło, bo w domu czeka na mnie wiadomość od niej, że niestety, w tym tygodniu się nie spotkamy, ponieważ wyjeżdża do Glasgow, gdzie Jons bierze udział w jakimś idiotycznym studenckim festiwalu rockowym.

Kiedy nadchodzi poniedziałkowe popołudnie, nie ma sensu dłużej ukrywać, że mam problem, któremu na imię Amy. Łapię się na tym, że

co chwila zerkam na telefon. Chociaż trudno mi to przyznać, kusi mnie ogromnie, aby do niej zadzwonić. Za grosz w tym sensu. Staram się przeanalizować stan swojego umysłu i z ulgą stwierdzam, że uczuciem dominującym jest gniew. Gniew na nią, że tak mnie urządziła. I gniew na siebie, że nie udało mi się jej zbajerować do końca. Do ciężkiej cholery, ależ jestem wściekły. Nie da się przecież ukryć, że jej się podobam, o co więc w tym wszystkim chodzi?

Nie zadzwonię do niej. Tak się składa, że nie muszę.

We wtorek wieczorem siedzę sobie w salonie, słucham radia i czytam gazetę, kiedy dzwoni telefon, a po chwili włącza się automatyczna sekretarka. „Cześć, mieszkanie Matta i Jacka. Nie możemy w tej chwili podejść do telefonu. Po sygnale proszę zostawić wiadomość. Oddzwonimy na pewno”.

Rozlega się sygnał, po nim głos dzwoniącego:

— Cześć, chłopaki. Mówi Amy. Mam nadzieję, że u was wszystko w porządku. Chciałam zostawić wiadomość dla Jacka. Dzwonię, żeby...

I wtedy robię najdziwniejszą rzecz pod słońcem. Podnoszę słuchawkę i mówię:

— Cześć, Amy? Co u ciebie?

Kiedy się rozłączam, ze zdumieniem stwierdzam, że przegadaliśmy ponad godzinę. Jeszcze bardziej zdumiewające jest to, o co ją poprosiłem, a ona się zgodziła. Zaprosiłem ją na obiad. Do siebie.

W piątek wieczorem. Halo? Któż to chciał o niej zapomnieć, wyrzucić ze swojego życia i zająć się własnymi sprawami? Któż to miał się z nią więcej nie umawiać? Nigdy, przenigdy w życiu?

OK, schrzaniłem sprawę.

Schrzaniłem i się uśmiecham.

Teraz muszę zająć się wszystkim.

Dzwonię do Phila, kumpla, który jest głównym kucharzem. Jest mi winien przysługę, bo w zeszłym roku nagrałem mu randkę z Chloe. Poręba, żeby się zrewanżował obiadem z trzech dań dla dwóch osób z dostawą do mnie w piątek po południu. Nic nazbyt wyszukanego; coś, co mogę przechować w lodówce i odgrzać w piekarniku, kiedy przyjdzie

Amy. Niech sobie pomyśli, jaki to ze mnie wyśmienity kucharz i super-facet na miarę lat dziewięćdziesiątych.

Wszystko ustalone.

Nie może się nie udać.

Zdobędę swoją kobietę.

Zrekompensuję sobie z nawiązką niepowodzenia ubiegłego tygodnia.

Nadchodzi piątkowy wieczór i Amy zjawia się punktualnie. Idę na całość. Chce, żeby było romantycznie? Proszę bardzo, wszystko wedle życzenia. W salonie czeka nakryty stół, zasłony w oknach są zaciągnięte, a Ella Fitzgerald śpiewa o zranionych sercach. Na ścianach, tańcząc, odbija się blask świec. Kiedy podaję jedzenie (Phila) i nalewam do kieliszków wino (Matta), sam niemal ulegam czarowi chwili.

Nie do końca jednak. Ponieważ Super-Jack daje o sobie znać.

Pijemy wino.

Jemy.

Opowiadam jej różne rzeczy.

W głębi duszy wiem, czuję to, że będzie moja.

Nagle jednak mój cynizm słabnie. Może to wina alkoholu. A może nie jestem tak odporny na romantyczne światło świec, wino i towarzystwo pięknej kobiety, jak myślałem. A może dlatego, że gdzieś w połowie kolacji Amy wstaje i zmienia płytę. Wybiera Cata Stevensa. Płytę, o której wszyscy wiedzą, że jej nienawidzę i jednocześnie uwielbiam. A może dlatego, że podoba mi się ona, Amy. O zaniku moich krwiożerczych instynktów może świadczyć nasza rozmowa, która nie milknie ani na chwilę. Przechodzimy od jednego tematu do drugiego, zupełnie jakbyśmy grali w nie kończące się domino. Nie da się ukryć: Amy to zjawisko. Tak dobrze nie rozmawiało mi się z nikim od wieków, ani z Chloe, ani nawet z Mattem.

—To dlaczego z nią zerwałeś? — pyta, zrzucając pantofle i sadowiąc się obok mnie na kanapie.

Właśnie opowiedziała mi historię miłości swego życia, nie pomijając niczego o tym dupku, swoim byłym, teraz więc kolej na mnie. Czuję, jak coś się we mnie zamyka. Nie lubię mówić o Zoe i naszym rozstaniu.

Zawsze starannie tego tematu unikałem, ponieważ zbyt wiele mnie to kosztowało i czułem się zupełnie bezbronny.

—Dlatego — ucinam.

—Nie można tylko „dlatego” skończyć z kimś, z kim było się przez dwa lata. — Przygląda mi się bacznie i potrząsa głową. — A może się mylę.

Już mam zmienić temat, kiedy nagle nasze oczy się spotykają. I dociera do mnie, że nic się nie stanie, kiedy o wszystkim jej opowiem. Nie czai się w niej żaden wilk, gotów pożreć mnie w jednej chwili, nie ma też najmniejszej ochoty mnie osądzać. Wbijam wzrok w podłogę i zaczynam mówić, chociaż nie wiem, czy sprawiło to wino czy też ja sam; mam to jednak gdzieś.

—Kochałem ją. Nawet wtedy, kiedy ze sobą zrywaliśmy. I to jest właśnie najgorsze. Chciałem z nią być, nawet kiedy mówiłem jej, że odchodzę. To bez sensu, no nie?

—W tych sprawach rzadko jest sens.

—Po prostu wiedziałem, że ona nie jest... Mądrzy ludzie powiadają, że gdzieś tam czeka ten ktoś, stworzony właśnie dla ciebie, druga połówka jabłka. Zoe nią nie była, chociaż to wspaniała i piękna dziewczyna. Ani ona dla mnie, ani ja nie byłem stworzony dla niej. — Zapalam papierosa, upijam łyk wina. — Zresztą nieważne; tak czy owak nie byliśmy sobie pisani. Historia.

—A potem? Znalazłeś ją?

—Kogo?

—Tę właściwą, tobie pisaną?

—Nie—przyznaję.—Nawet się jeszcze do niej nie zbliżyłem.

—No to chyba nam obojgu szczęście nie za bardzo sprzyja — mówi na koniec.

Prawdziwy ja wie, że oto nadeszła moja godzina. Prawdziwy ja trzyma podniesiony wysoko, migoczący neon: NADCHODZI SUPER-JACK! TWÓJ RUCH. Właśnie teraz powinienem działać w przekonaniu, że jedyne warte zachodu szczęście to moje własne, a możliwe jest do osiągnięcia tylko i wyłącznie przez oficjalne „bycie”. Dlaczego więc,

gdy na nią spoglądam, a ona się do mnie uśmiecha, stać mnie wyłącznie na odwzajemnienie tego uśmiechu? Dlaczego w głębi duszy żywię przekonanie, że ona jeszcze nie jest gotowa, nie powinienem więc być zbyt natarczywy, bo wszystko mogę popsuć i nigdy nie wyjść poza fazę rozmów? I dlaczego wierzę, że to, co ona mówi, jest prawdą?

Ponieważ Mart ma rację, oto dlaczego. Chyba faktycznie tracę formę.

Amy wstaje z kanapy i podchodzi do okna, rozsuwa zasłony i wpatruje się w niebo. Ja nie ruszam się z miejsca, starając się choć trochę wytrzeźwieć.

—Dzisiaj jest jedna z tych nocy, które długo i dobrze się wspomina — oznajmia.

—Uhm — zgadzam się z nią. — Taka, co to mogłaby trwać bez końca. — No, już jest lepiej. Dochodzę do siebie. Czując przyływ pewności siebie, mówię: — Ostatnia rzecz, o jakiej można w taką noc marzyć, to położyć się spać...

„Samotnie”, chciałem powiedzieć „samotnie”. Zanim jednak dokończyłem myśl, Amy odwraca się i podchodzi do mnie z ożywieniem na twarzy.

— Naprawdę? — pyta.

— Naprawdę — potwierdzam.

— Moja kumpela ze szkoły urządza dziś imprezę. Może pójdziemy? Co ty na to? Masz ochotę?

Ależ tak, mam ochotę, i to jaką, ale na to; nie na tamto.

Nawet nie raczy zaczekać, aż odpowiem, tylko podchodzi do telefonu i zanim zdążyłbym ją powstrzymać, zamawia taksówkę; po czym odkłada słuchawkę i wraca do okna.

W taksówce podaje kierowcy adres i jedziemy. Na dworze jest ciemno, z radia sączy się muzyka dyskotekowa, a ja sobie myślę: „Dlaczego nic nie zrobiłeś przed przyjazdem taksówki?” Zająłoby to nie więcej jak dwie sekundy.

Palant.

Na chwilę pogrążam się w stoickiej zadumie. Może po prostu całe to zamieszanie z Amy jest zwykłą pomyłką, rzeczą bez przyszłości? Z



rozwoju sytuacji łatwo przewidzieć, jak się dalej wieczór rozwinie. Wejdziemy na imprezę, gdzie Amy spotka milion znajomych, a ja ani jednego. Ona będzie się świetnie bawić, mnie zostanie alkohol i sto procent pewności, że Do Niczego Nie Dojdzie. Chwila Minie. Patrzę na migające za oknami latarnie i czuję, jak jej noga dotyka mojej. I docho-  
dzę do wniosku, że jedynym ratunkiem jest zrobić teraz to, co powinie-  
nem był zrobić wtedy.

Więc robię to.

Całuję ją.

Całkiem dobry ten pocałunek. Nie najlepszy w życiu; ten zaszczyt na-  
leży się Mandy Macrone, dziewczynie, z którą całowałem się po raz  
pierwszy. Och, to było elektryzujące. Dosłownie. Oboje nosiliśmy wte-  
dy szelki i kiedy się nimi zetknęliśmy, poczuliśmy kopnięcie, zupełnie  
jakbyśmy wsadzili do kontaktu widelec. Ale pocałunek z Amy jest do-  
bry. Mógłbym tak całować ją bez końca.

Niestety Amy najwyraźniej jest innego zdania.

Kiedy jednak słyszę jej słowa, szybko jej wybaczam.

A ona mówi:

— Olejmy imprezę i jedźmy do ciebie.

Mam ochotę krzyczeć. Skakać ze szczęścia. Wypisać TAK! na  
wszystkich domach w mieście i podziękować nauczycielom, rodzicom,  
przyjaciołom, każdemu, kto kiedyś we mnie wierzył. Tracę formę? Pie-  
przę cię, Matcie Davies. Patrz i podziwiał.

— Niezły pomysł — mówię. — Zgoda.

Jedyną niezadowoloną osobą jest taksówkarz, ale mówię mu, że może  
sobie zatrzymać swoje pieniądze, byle tylko zawrócił i zawiózł nas z  
powrotem. Wtedy i on jest już szczęśliwy. Jezu, cały świat się uśmiecha.  
Zatrzymujemy się przed domem Matta, płacę i wysiadamy. Wchodzimy  
do środka i zamykam za nami drzwi.

I zaczyna się radocha.

Najpierw przy ścianie, potem przez cały hol, aż do schodów, a za na-  
mi ścielą się po kolei części naszej garderoby: moja marynarka, żakiet  
Amy. Nie myślcie sobie jednak, że się za siebie oglądam. Nic z tych

rzeczy. Patrę wyłącznie wprzód, koncentrując się na tym, co mnie czeka, i na tym, co czynią moje ręce.

Włączam autopilota i moje dłonie wyruszają na misję badawczą. Najpierw wędrują pod bluzeczkę, potem pod stanik, gdzie przez chwilę manipulują wokół brodawek; ona tymczasem przywiera do mnie całym ciałem i odpina mi pasek przy spodniach. Moje ręce suną w dół, ujmują ją za pośladki i przyciągają jeszcze bliżej do mnie. Dalej przesuwają się wzdłuż bioder, pod spódnicę, wreszcie trafiają pod majteczki.

Wyniki wstępnego rozpoznania terenu, przesłane do kontroli naziemnej, wyglądają następująco:

- a)drogi stanik
- b)obfite piersi
- c)sterczące brodawki
- d)jędrne pośladki
- e)gładkie uda

Warunki pogodowe na niżej położonych terenach określić można jako wilgotne. Wniosek ogólny: — Planeta Odpowiednia do Zamieszkania — Zdolna do Utrzymania Ludzkiego Życia. Kontrola naziemna jest zadowolona i daje sygnał uniesionym do góry kciukiem, zezwalając na rozpoczęcie kolonizacji.

Tymczasem Amy otwiera mi rozporek. Jej ręka wślizguje się do środka, a kiedy w pewnym chwycie więzi zamieszkującego tam stwora, po raz pierwszy od przekroczenia progu przestaje ją całować. Zdejmuję jej przez głowę bluzkę i upuszczam na schody, Amy ma zamknięte oczy i przez chwilę na nią patrę, wsłuchując się w coraz szybszy rytm jej oddechu. Potem odpinam jej stanik, a ona uwalnia z niego ramiona i przerzuca go przez poręcz schodów.

Otwiera oczy, uśmiecha się i szeptem mówi:

—Cześć.

Czuję się jak w niebie. Tylko na nią patrząc.

Jest piękna i, muszę to przyznać, wszystko wskazuje na to, że warto było trochę poczekać. Przesuwam dłońmi wzdłuż jej ciała, wzdłuż bioder, chwytam kraj jej spódnicy i trochę unoszę.

—Połóż się — mówię.

Co też czyni. Pośladki i nogi ma na podłodze, plecami wspiera się o schody. Klękam obok niej, odpinam podwiązki i zdejmuję pończochy. Rozsuwam jej nogi, układam się odpowiednio i zniżając głowę, ustami muskam wewnętrzną stronę jej ud; drażnię, jakby na miarę stworzonym językiem, rowek, chwilę pieszczę delikatną skórę na brzuchu. Słyszę, że wzdycha, i zamykam oczy. Cieszę się, że jestem z nią. Cieszę się, że właśnie jej zapach wdycham.

Sięgam głębiej.

Znacznie głębiej.

Ponieważ tam głęboko jest właśnie to.

4

AMY

Sytuację, w jakiej się znajduję, można określić mianem śliskiej.

Nie tak sobie to zaplanowałam. Załedwie dziesięć minut wcześniej Jack pocałował mnie w taksówce i nie wiem doprawdy, co było w tym pocałunku, ale chyba jakiś narkotyk, ponieważ najwyraźniej postradałam zmysły.

W jednej chwili czułam się jak bohaterka zwykłego romansidła odgrywająca czułą scenkę, a już w następnej zamieniłam się w heroinę *Niegrzecznej Anty*, hard porno.

Halo, Amy?

Ziemia wzywa Planetę Ladacznic?

Leżę na schodach w domu Jacka — stanik porzuciłam gdzieś na poręczy — i z nogami wspartymi o jego ramiona, z jednej strony czuję się, och... OCH... TAK... TAK... TAM... WŁAŚNIE TAM... ochhhhhhhh... tak... tak... wspaniale, z drugiej jednak ogarnia mnie PRAWDZIWA PANIKA, którą wywołują:

Głos Mojej Matki: Zachowujesz się jak zwykła dziwka. Co ty sobie wyobrażasz?

Moja Próżność: Zaraz zauważy mój cellulitis i pomyśli, że jestem tłustym potworem.

Moje Płuca: Nie mogę już dłużej wstrzymać oddechu i CO BĘDZIE, JEŚLI SPOJRZY W GÓRĘ I ZOBACZY MÓJ BRZUCH!

Moja Paranoja: Co będzie, jeśli w tej chwili wejdzie do domu Matt?

I najgorsze... okropne... Co, jeśli... Śmierzę?

To ostatnie jest raczej mało prawdopodobne, ponieważ przed wyjściem pławiłam się i szorowałam w wannie, aż moja skóra zaczęła skrzypieć, ale mimo wszystko niebezpieczeństwo istnieje.

Przede wszystkim jednak czuję się zażenowana i skrepowana tym zażenowaniem. Chcę powiedzieć, że sytuacja, kiedy ktoś dotyka językiem tego miejsca... tam... mmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmm... i zaczyna cię delikatnie lizać... ochhhhhhhhhh... tam... nie przytrafia się codziennie, mam rację? Rzadko pozwala się na coś takiego pierwszemu lepszemu Tomowi, Dickowi czy Harry'emu. To takie intymne. Osobiste. OBNAŻONE!

I jeśli Jack Rossiter sądzi, że w tym stanie umysłu jestem w stanie osiągnąć orgazm, może się srodze zawieść.

Z drugiej jednak strony wcale nie chcę, aby przestał. Tak dawno nic podobnego mi się nie przytrafiło, że nie mam co wybrzydzać. A zresztą Jack to zdobywca — sięga szczytów, o jakich inni nawet nie marzą.

To miłe. Miłe, ponieważ stara się sprawić mi przyjemność. Miłe, ponieważ wyraźnie o to mu chodzi, i miłe, bo H będzie zadowolona. Co ja mówię, H będzie wniebowzięta. „Nareszcie — powie. — Nareszcie, do ciężkiej cholery”.

Zgadzam się z nią całkowicie. Żegnaj, Panie Głowico Prysznicu, witaj, facecie, któremu się naprawdę chce!

Skarb.

Rzadkość.

Pieprzony cud!

Ponieważ wszyscy, których do tej pory miałam, byli w tym względzie do niczego.

Weźmy na przykład Andy'ego. Pan Byle Szybko Zerznąć Panienkę (nie szkodzi, że mogłaby w tym czasie wyprasować mu koszulę). Po trzech miesiącach zdobyłam się wreszcie na odwagę i nieśmiało napomknęłam, że są jeszcze inne rzeczy, które dwoje ludzi może robić razem w łóżku. Jąkałam się, zacinałam, plątałam i kiedy wreszcie Andy spojrział na mnie nic nie rozumiejącym wzrokiem, by natychmiast wrócić do czytanej właśnie niedzielnej gazety, mało się pod ziemię nie zapadłam.

Lecz gdy nazajutrz wróciłam z pracy, a Andy spadł na mnie niczym grom z jasnego nieba, powalił na podłogę i wziął się do rzeczy, o mało nie umarłam z wrażenia. Nie wierzyłam własnemu szczęściu. Wiłam się zachęcająco, jęczałam, dziękowałam Bogu i kiedy doszłam do wniosku, że mimo wszystko mogłabym jednak wyjść za Andy'ego, on przestał. Po prostu przestał. Po jakiejś minucie.

— Proszę bardzo — powiedział niezwykle z siebie zadowolony. — Prezent na dzień dobry.

Ale Jack jest inny. On się naprawdę angażuje. Pomrukuje. Jest wyraźnie podniecony, podobnie jak ja. Niestety jednak, nic nie trwa wiecznie. Biedak wkrótce dostanie szczękoscisku, a poza tym pragnę go dotknąć. Och, jak bardzo.

Dotykam jego głowy, szczęśliwie porośniętej gęstymi włosami. Pachną nieźle, są super obcięte, a co najważniejsze, nigdzie śladu łysiny. Wsuwam w nie palce i nie mogę powstrzymać cichego jęku. Jack załapał od razu. Patrzy na mnie i uśmiecha się.

— Jesteś wspaniała — mówi, a mnie serce skacze z radości. Po czym mnie całuje. (Phi. Jednak nie śmierdę!)

Nie jest to taki sobie, zwykły pocałunek. To jest Pocałunek.

Wtedy właśnie, ponieważ ma niesamowite ciało, ponieważ topnieję cała pod jego spojrzeniem i ponieważ chciało mu się pieścić mnie tak wspaniale, i ponieważ podoba mi się bardziej niż Mel Gibson, Brad Pitt i ten facet z *Sąsiadów* razem wzięci, postanawiam pieprzyć się z nim, aż padnie.

Co też czynię.

Rany, wydaje mi się, że Jack naprawdę umiera! Albo to, albo zaraz dostanie orgazmu, na co w sumie byłaby pora najwyższa, zważywszy, że odbył właśnie miłosny maraton.

— Już — dyszy i na czole pojawia mu się bruzda, a usta ma szeroko otwarte. I robi rzecz wspaniałą. Wypowiada moje imię. Dokładnie w chwili, gdy szczytuje.

Super.

Nie pomylił się!

Wyczerpany pada na mnie, a ja czuję, jak mocno wali mu serce. Delikatnie głaszczę go po plecach i patrzę w sufit.

Daję mu siedem punktów na dziesięć. Nie, to nie fair. Osiem. Ale to i owo można by jeszcze poprawić.

Na ogół kochając się z kimś po raz pierwszy, nie należy oczekiwać zbyt wiele. Zawsze myślałam, że będzie tak, jak w powieściach, którymi zaczytywałam się, mając kilkanaście lat — obezwładniająca namiętność, z jednoczesnym orgazmem o sile trzęsienia ziemi, trwająca całą noc, aż do świtu. Kiedy więc Wayne Cartwright (ciagle nie mogę uwierzyć, że straciłam cnotę z kimś o imieniu Wayne) wyciągnął ze swoich wrangle-rów rurek coś, co wyglądało równie podejrzanie jak indycze podroby, przeżyłam prawdziwy szok.

Następnego dnia zacząłam się pod świetlicą, wiedziona nadzieją ujrzenia Wayne' a choć przelotnie, i usłyszałam, jak dyskutuje z kolegami na temat definicji seksu doskonałego. Zafascynowana znieruchomiałam pod otwartym oknem. Kiedy jednak wszyscy dyskutujący zgodnie stwierdzili, że liczy się tylko jednoczesny orgazm, zdenerwowałam się i zmieszałam. Szansa, że Wayne Cartwright z penisem grubości pogrzebacza doprowadzi mnie do orgazmu, była bliska zeru, ale niech mnie

diabli, jeśli dam się zaszufładkować jako oziębła. Dlatego też z dnia na dzień stałam się Amy Crosbie, Królową Udawanych Orgazmów. Meg Ryan? Też coś! Do pięt mi nie dorasta.

Lecz udawanie to niebezpieczna gra. Stwierdziłam, że chodzi mi tylko o to, żeby przekonać się, czy któryś złapie mnie na oszustwie. I tu niespodzianka, nigdy żadnemu się to nie udało. Dranie!

Dopiero przy dwunastej próbie (dobry Boże, Jack jest już moim dwunastym facetem) otrzeźwiałam. Zrozumiałam, że nie pozostaje mi nic innego, jak pogodzić się z faktem, że nie należę do tych szczęśliwych, które przeżywają czysty orgazm pochwowy. No i co z tego? Wszystkie one i tak kłamią.

Jack mruczy cicho, a ja nie przestaję głaskać go po plecach.

Żeby nasza przygoda zasłużyła na miano idealnej, musiałby teraz dać nura z powrotem pod kołdrę i dokończyć to, co tak obiecująco zaczął, dobrze wiem jednak, że nie bardzo mogę na to liczyć, ponieważ istnieją dwie złote zasady seksu:

Zasada I: Faceci nigdy, przenigdy tego nie robią. Zasada II: Należy za wszelką cenę mieć orgazm przed nimi.

Jeżeli nie uda się wprowadzić w życie numeru drugiego, trudno mieć pretensje do faceta w związku z numerem pierwszym. Tak więc Jack odpadł, mimo że moje strefy erogenne krzyczą: „Jeszcze ja, ja, ja, ja, ja!”

Jack obraca się na bok i gładzi mnie po włosach. Uśmiechamy się do siebie, a mnie zalewa uczucie miłości tak potężne, że narząd mowy wymyka się spod kontroli mózgu.

— Jack, bardzo cię lubię. Naprawdę. Jesteś najlepszy — szepczę.

Słowa jeszcze dźwięczą w powietrzu, a już wiem, że właśnie zdobyłam pierwszą nagrodę w konkursie na najbardziej ckliwą deklarację. Po co otwierałam tę swoją głupią gębę i w ogóle coś mówiłam? Tak czy owak w rzeczonyj kategorii nie ma sobie równych.

Jack, chyba trochę przestraszony, delikatnie wyjmuję ze mnie swój (dziesięć punktów na dziesięć) penis, na którym wciąż jeszcze tkwi pomarszczony kondom. W ułamku sekundy zsuwa prezerwatywę, zawiązuje ją i rzuca na podłogę. (Nie da się ukryć, musiał już kiedyś tego próbować.)

— Jestem nieżywy — wzdycha, pada na łóżko i obejmuje mnie. Leżę z uchem przytulonym do włosów na jego piersi. Dużo bym dała, żeby cofnąć to idiotyczne wyznanie albo chociaż dowiedzieć się, co on myśli, co czuje, czy wszystko to coś dla niego znaczy. Nagle jedyne, czego pragnę, to odpowiedzi, odpowiedzi, odpowiedzi.

Zachowuję się jak kretynka. Przez ostatnie dwie godziny odsłaniałam każdy milimetr ciała przed tym mężczyzną, zaliczając nie mniej, nie więcej, tylko dziewięć pozycji, co jak na pierwszy raz jest wynikiem całkiem niezłym. Chyba więc śmiało mogę założyć, że mu się podobam.

Z drugiej jednak strony wiem, że zostałam wykorzystana. W każdym znaczeniu tego słowa. Straciłam przewagę w naszej grze i odwrotu już nie mam. Nie da się od-pieprzyć z nim, wobec czego zmuszona jestem renegocjować swoją pozycję i dlatego właśnie tak bardzo pragnę, aby Jack zapewnił mnie, że nie była to jednorazowa przygoda i że rano mój widok go ucieszy.

Mógłbyś przynajmniej coś powiedzieć.

— Jack? — mówię szeptem, głaszcząc go po delikatnej skórze na brzuchu.

Lecz, szczęśliwie dla siebie, Jack nieświadomy jest burzy uczuć targającej moją duszą, ponieważ śpi jak niemowlę.

Usnął tak mocno, jakby co najmniej od tygodnia nie zaznał snu. Nie dociera do niego nic, spędzam więc prawie całą noc, zastanawiając się, czy wie, że pewnego dnia powróci pod postacią rozgwiezdy.

Jest już dziewiąta rano i sądząc po świetle wpadającym przez szczeliny w żaluzjach, zapowiada się kolejny upalny dzień. Jack mógłby się w końcu obudzić. Marzę, żeby otworzył oczy, dał nura pod kołdrę i na wpół jeszcze śpiący kochał się ze mną znowu. Niestety jednak, pozosta-



je mi tylko leżeć przy akompaniamencie jego pochrapywania i czuć, jak pęcherz z wolna nadyma mi się niczym balon.

Delikatnie odsuwam jego rękę, którą obejmuje mnie za szyję, i ostrożnie wyślizguję się z łóżka. Zmierzając do drzwi, zarzucam na siebie jego koszulę. Spoglądam na niego z czułością, jak pomrukując coś przez sen, ze zmierzwionymi włosami, przewraca się na bok.

Uśmiechnięta, bo zadowolona ze zdobyczy, i lekka jak piórko, bo nareszcie z pustym pęcherzem, wychodzę z łazienki i wpadam prosto na Matta. Ups! Rumienię się po koniuszki palców u stóp, aż nadto świadoma, że oto stoję przed nim tylko w koszuli Jacka, a ta ledwo zakrywa mi pośladki.

Matt jest wyraźnie ubawiony, a ja czuję się jak bezwstydna dziewczyna, za którą bez wątpienia mnie uważa.

—Jack jeszcze śpi? — pyta z uśmiechem. Kiwam głową, unikając jego wzroku.

—Bez kontaktu.

—Może się napijemy herbaty?

—Nie, chyba nie, ja... — Język mi się płacze. Matt nie spuszcza ze mnie oczu. Kiedy stoi tak blisko, zauważam, że jest dużo wyższy, niż myślałam, i cholernie przystojny. Ubrany jest tylko w bokserki i podkoszulek. Ma wysportowane, atletyczne i wspaniale opalone —jak to możliwe? — ciało i chociaż dopiero co wyszłam z łóżka Jacka, czuję dreszcz podniecenia pomieszany z poczuciem winy. Lecz cóż, jestem przecież tylko zwykłą istotą z krwi i kości.

—Chodź. On będzie jeszcze spał całe wieki — szepcze konspiracyjnie Matt, a ja uśmiecham się do niego. Wciąż nie spuszcza ze mnie badawczych niebieskich oczu, więc w końcu kiwam głową, choć czuję się trochę jak spiskowiec.

Naciągam koszulę, ile się da, i niczym japońska konkubina drobnymi kroczkami sunę za nim korytarzem, ściskając kolana. Z zachwytem patrzę, jak swobodnie stawia długie kroki. Ma bardzo piękne stopy. Dużo piękniejsze niż Jack.

Po wczorajszej kolacji kuchnia wygląda, jakby przeszło przez nią tornado. Matt ostrożnie zdejmuje czajnik ze stosu brudnych talerzy piętrzącego się na blacie.

— Wybacz ten bajzel — mamrocze skrepowana. — Ale nie daliśmy rady... hm... posprzątać.

Matt wybucha śmiechem.

— To znaczy, że noc była udana?

Pchnięciem otwiera podwójne drzwi i w jednej chwili kuchnię zalewa ciepłe słoneczne światło i śpiew ptaków. Mam wrażenie, że gram w reklamie.

— Och, było super — mówię i oparta o framugę drzwi spoglądam na niego.

Halo? Cóż to się dzieje?

— Jack wyśmienicie gotuje — dodaje.

RS

Matt nalewa do czajnika wodę.

— Prawda? Wciąż mu mówię, że powinien wziąć udział w *Gotowaniu na ekranie*.

— To prawda.

— No tak, niestety jest zbyt zajęty. Wiesz, jacy są artyści.

— Z tego, co mówi, rzeczywiście ma kupę roboty, i jeszcze te wszystkie modelki.

Włącza czajnik.

— Fakt, kupę z tym zachodu.

— Widziałeś jego prace? Są dobre? Kiwa głową.

— Doskonałe. Chociaż ostatniej mi jeszcze nie pokazał.

— Ach, tej z Sally? — Ciekawość zwycięża. — Jaka ona jest? Matt nie potrafi ukryć zakłopotania.

— Hm, jakby tu powiedzieć?

To miłe, że stara się chronić Jacka.

— Nie musisz się kłopotować — uspokajam go z uśmiechem. — Jack mówił mi, że to stary, szpetny karakan.

Matt odrzuca do tyłu głowę i wybucha śmiechem. Kiedy wreszcie się uspokoja, spogląda na mnie, aż zaczynam czuć się niepewnie.

— Co? — pytam.

— Do twarzy ci w tej koszuli.

— To koszula Jacka — tłumaczę i nerwowo bawię się jej brzegiem.

— Hm. Niebrzydka — stwierdza Matt. — Herbata zwykła czy Earl Grey?

On ze mną flirtuje! Patrzy na moje nogi!

— Zwykłą proszę. Pozmywam trochę — proponuję i bokiem, jak kaleki krab, przesuвам się w stronę zlewu. Aż nadto jestem świadoma, że nie mam majtek. Jest więcej niż pewne, że Matt o tym wie. Boję się spojrzeć mu w oczy.

Nachyla się i sięga po herbatę do szafki nad zlewozmywakiem. Jest tak blisko, że czuję jego zapach. Nie pachnie jednak płynem po goleniu, ale świeżym mydłem. Ładnie. Dostrzegam też delikatne włoski na jego

przedramieniu. Na łokciu ma bliznę i nie zastanawiając się, dotykam jej. Ma ciepłą w dotyku skórę.

—Skąd to masz? — pytam.

—Ja mu ją zrobiłem.

Odwracamy się oboje i widzimy Jacka stojącego w drzwiach.

—Jeśli cię to interesuje, wykopałem go z domku na drzewie. Sądząc po wyrazie jego twarzy, żałuje chyba, że nie wykopał go bardziej skutecznie. Na wpół świadomie obciążam na udach koszulę.

Jakby nigdy nic, Matt przewiesza przez ramię ręcznik, obrzuca mnie płomiennym spojrzeniem, co nie uchodzi uwagi Jacka, który wie, że jestem świadoma, iż to zauważył.

—Herbaty, stary? — zagaduje Matt.

Jack mruczy coś potakująco. Proszę, proszę. To by było na tyle, jeśli chodzi o występ w reklamie.

Matt puszcza do mnie oczko i podnosi wzrok do nieba. Jestem w kropce. Ruszam w stronę Jacka, on jednak tylko unosi brwi i obojętnie spogląda na ogród.

Matt zalewa herbatę.

— Jakie masz na dzisiaj plany? — zwracam się do Matta, usiłując nawiązać rozmowę i przynajmniej stworzyć pozory, że nic się nie stało, mój głos jednak przepojony jest poczuciem winy.

Matt wzrusza ramionami.

— Chyba nigdzie się nie wybieram. Poopalam się trochę w ogrodzie i obejrzę mecz. Jack, a ty? Będziesz oglądał?

Jack także wzrusza ramionami, wyraźnie zirytowany.

—Sam nie wiem. Myślę, że trochę dziś popracuję.

—Jak chcesz — mówi Matt i cicho pogwizdując, wycofuje się z kuchni. Zostaję sama na placu boju, a atmosfera jest tak gęsta, że aż boli.

Jak mam dotrzeć do Jacka, przebić się przez gradową chmurę, którą się otoczył? Po co w ogóle wyłączyłam z łóżka? Co mnie pokusiło, żeby nie poczekać, aż on się obudzi? Patrzy teraz na mnie jak na kogoś zupełnie obcego i trudno mieć mu to za złe.

Gdybym to ja zastała go w kuchni głaszczącego łokieć H po naszej pierwszej wspólnej nocy, chyba by mnie szlag trafił. Bardzo chciałabym powiedzieć coś zabawnego o Matcie albo przynajmniej wyjaśnić, że nie miałam wyboru i musiałam przyjść z nim do kuchni, wiem jednak, że cokolwiek wymyślę, i tak będzie wyglądało, jakbym czuła się winna.

—Cukru? — pytam drżącym głosem.

—Nie, dzięki — mówi i siada przy stole.

Podaję mu herbatę. Wygląda na wściekłego. Och, gdyby tak dało się przewinać taśmę i zacząć jeszcze raz. Totalna klęska.

—Masz dużo pracy? — usiłuję nawiązać rozmowę.

—Tak.

— Och. — Wbijam wzrok w podłogę. Jack pociąga łyk herbaty.

—A ty? Jakie masz plany?

Jego głos nie brzmi zbyt zachęcająco. Wzruszam ramionami. Cóż mogę powiedzieć? Jeśli mnie teraz wyrzuci, spędzę cały dzień pogrążona w żałobie, szlochając i zawodząc. Nie sądzę jednak, żeby go to interesowało.

—Chyba żadne.

Spoglądam na niego ukradkiem. Czy nie widzi, że jedyne, o czym marzę, to przeskoczyć tę dzielącą nas wielką przepaść i ucześcić się go po wsze czasy? Czyżby nie dostrzegął, że poważnie zastanawiam się, czy nie zostać od dzisiaj pijawką? Cóż mogę poradzić, że schrzaniłam?

Zapada długa, niezręczna cisza, którą przerywa Jack.

—Zanosi się na piękny dzień—kiwa głową w stronę ogrodu.

Nie, nie, nie. Nie serwuj mi teraz grzecznej rozmowy o pogodzie, błagam. Nie zniosę tego. Przetykam ślinę i także spoglądam na ogród.

— W taką pogodę nie znoszę Londynu. Myślę tylko o tym, żeby znaleźć się na plaży — mamrocze, popijając herbatę.

Podnoszę wzrok na Jacka. Nie mam już nic do stracenia. Muszę poprosić, starając się jednocześnie, żeby nie zabrzmiało to jak błaganie.

— Nie miałbyś ochoty wybrać się do Brighton? Moglibyśmy złapać pociąg i być tam za kilka godzin.

Przemówiła kobieta zdesperowana.

Jack mruży oczy i chwilę na mnie patrzy. Nie ma zbyt zachęcającej miny, jednak w końcu wzrusza ramionami i rzuca:

—Czemu nie?

W pierwszej chwili nie jestem pewna, czy dobrze usłyszałam. Gapię się na niego z otwartą gębą, aż wreszcie do mnie dociera.

— Super! — wykrztuszam, jakby poraził mnie prąd. Och, ależ jestem wdzięczna. Mam ochotę całować jego stopy. Jak mogłam choć przez chwilę myśleć, że Matt ma ładniejsze?

W moim mieszkaniu, dokąd przyszliśmy, żebym się przebrała (podwiązki i szpilki nie są najodpowiedniejszym strojem na plażę) nie mogę przestać na niego patrzeć, wciąż sprawdzając, czy jest prawdziwy. I czy naprawdę jest tu ze mną.

Ale jest. W mojej kuchni. Została mi dana jeszcze jedna szansa! To powinno wystarczyć, żeby w gazetach ogólnokrajowych pojawiły się nagłówki: AKCJA RATUNKOWA SKAZANEJ NA STAROPANIĘSTWO.

Zostawiam go w kuchni, gdzie usiłuje wyciągnąć z zamrażarki lód, a sama tanecznym krokiem wchodzę do sypialni i całuję swojego misia.

— Misiaczku, w mojej kuchni krząta się mężczyzna! — szepczę mu do ucha. Miś spogląda na mnie szklanym jak zwykle wzrokiem.—No, nie siedź tak, tylko poradź, w co mam się ubrać?

Rozbieram się i przekopuję komodę w poszukiwaniu niebieskiej sukienki, kiedy jednak ją nakładam, na samym przodzie zauważam wielką plamę po czerwonym winie. Typowe. Szybko przebieram się w wystrzępione szorty i plażową bluzeczkę. Zbyt swobodne? Za bardzo w stylu *Aniołków Charliego* Misiu, pomocy!

Jack nie zabrał żadnego bagażu. Ma tylko to, co na sobie. Jak ci faceci to robią? Czy można czuć się bezpiecznie bez kompletnego zestawu pielęgnacyjnego i książeczki czekowej? Nie rozumiem. Zanim się zorientowałam, na łóżku piętrzy się stos, który starczyłby na trzytygodniowe wakacje, a są to tylko rzeczy najpotrzebniejsze: szczotka do włosów, kosmetyki, bikini (czy się odważyć?), okulary przeciwsłoneczne, ręcznik

plażowy, dzinsy (na wypadek, gdyby się nagle ochłodziło), zapasowe majtki (nieodrodna córeczka mamusi), dezodorant, czapka — końca nie widać.

Grzebię w górnej szufladzie, świadoma, że nucę pod nosem: „Jedziemy na wakacje”, jakbym była samym Cliffem Richardem. Pora się zbierać, bo lada moment przejdę do bardziej ambitnego repertuaru, a to już byłaby przesada. Nie żałuję sobie perfum, spryskuję nimi nawet łono, na wszelki wypadek.

Mam już zamknąć szufladę, kiedy mój wzrok pada na prezerwatywy. Przyciskam opakowanie do piersi, wypowiadając w duchu życzenie. Błagam, błagam, błagam, niech Jack prześpi się ze mną raz jeszcze... Chwileczkę, te są ekstradługie! Cholera!

Natura hojnie Jacka obdarzyła, na pewno jednak nie w stopniu usprawiedliwiającym użycie superwielkich kondomów. Rzucam się do szafki ze wszystkim, która stoi w rogu, i znajduję w niej pełne opakowanie elektronicznie sprawdzanych, superbezpiecznych, o różnych zapachach, w które zaopatrzyła mnie pani z kliniki planowania rodziny. Prawdopodobnie ich data ważności minęła ze sto lat temu, ale nie mam już czasu tego sprawdzać.

—Co ty tam robisz? — woła z kuchni Jack.

—Jeszcze sekundę — ćwierkam, padając na kolana, żeby wyciągnąć spod łóżka torbę. Udaje mi się znaleźć tylko tę największą, ale trudno. Upycham w niej wszystko, łącznie z prezerwatywami (będziemy mogli trochę pogrymasić) i wracam do kuchni.

—Wiaderko i łopatkę też spakowałaś? — pyta Jack, wręczając mi szklanekę soku z lodem.

—Jasne! — uśmiecham się i wypijam sok. — Możemy iść.

Mam wrażenie, jakbym była na haju, Jack jednak wciąż zachowuje się z rezerwą, kiedy więc stoimy w kolejce do kasy na dworcu Victoria, sytuacja jest dość niezręczna. Nasze dłonie dzieli piętnaście centymetrów przestrzeni nie do przebycia; mierzę ją wzrokiem, modląc się w duchu o odrobinę odwagi, która pozwoliłaby mi ją pokonać. Niestety, moje na-

dzieje są płonne. Zbyt dobrze wiem, że intymność, którą dopiero co dzieliliśmy minionej nocy, jest niemożliwa w miejscu publicznym, zwłaszcza przy wtórze nieustannie wygłaszanych przez megafony komunikatów.

Cóż, Jack zachowuje zimną krew. W porządku, ja też tak potrafię.

Przynajmniej taką mam nadzieję.

Tyle tylko, że jest tak cholernie przystojny w tym swoim T-shircie i nie wiem, jak długo uda mi się wytrzymać. Zawieram jednak pakt sama ze sobą. **ŻADNYCH CKLIWYCH UWAG i ŻADNEGO BŁAGANIA.**

Kiedy dochodzimy wreszcie do okienka, gorączkowo przekopuję torbę w poszukiwaniu portfela, Jack jednak nawet nie chce słyszeć, żebym płaciła, i niedbale rzuca na ladę swoją kartę Visa. Wzdycham skrycie, bo czuję, że jego notowania rosną w tempie błyskawicznym.

W kiosku kupujemy niezbędne zapasy: butelkę wody, gumę do żucia i fajki. Stoję za plecami Jacka i nie mogę wyjść z podziwu. Ależ on jest asertywny!

— O której mamy pociąg? — pyta.

Niby takie proste pytanie, a ja wpadam w panikę jak pierwsza lepsza małolata. Zezuję na tablicę odjazdów, ale wszystko mi się zamazuje. Czy dlatego, że powinnam nosić już okulary, czy też raczej dlatego, że Jack stoi tuż obok, a ja ze wszystkich sił staram się zapanować nad przemożnym pragnieniem przytulenia się do niego?

Musimy gnać pędem, żeby złapać pociąg. Jack w ostatniej chwili wciąga mnie przez zamykające się już drzwi i na chwilę łąduje w jego ramionach. Wspieram się dłonią o jego pierś, nasze oczy się spotykają i Jack trzyma mnie dłużej, niż sytuacja tego wymaga. Tonę w jego spojrzeniu, pociąg szarpie, a mnie w tym samym momencie serce podchodzi do gardła. Jack chyba czuje się podobnie, bo rumieni się i uśmiecha, jakby trochę zmieszany.

Odsuwamy się od siebie i idziemy do przedziału, ja za nim, wstrzymując oddech. Pociąg jest dosyć pusty i bez trudu znajdujemy wolne miejsca przy oknie.



— Dawaj! — Jack chwyta moją torbę, żeby położyć ją na górnej półce.

Jest to jedna z tych chwil, kiedy wszystko się dzieje w zwolnionym tempie.

Z przerażeniem patrzę, jak szarpie torbę za jeden uchwyt, torba się przechyla i wszystkie moje skarby sypią się lawiną na podłogę między nami. Wszystkie. Z prezerwatywami na czele.

Spoglądamy na nie w milczeniu.

— Hm, Amy — odzywa się w końcu, masując sobie policzek. — Jedziemy tylko na jeden dzień. Czy nie podchodzisz do sprawy zbyt... entuzjastycznie?

Jest mi niedobrze. Padam na klęczki i gorączkowo upycham wszystko na powrót w torbie. Chyba nawet włosy poczerwieniały mi ze wstydu.

— Nie kupiłam ich, tylko dostałam w klinice planowania rodziny... — zaczynam się tłumaczyć, od razu jednak dociera do mnie, że tylko pogarszam sytuację.

— Cóż... to bardzo zapobiegliwie z twojej strony.

Kretyn, psiakrew. Co to ma znaczyć „zapobiegliwie”? Zupełnie jakbym była jakąś walniętą, bezwstydną babą. Gwałtownie chowam prezerwatywy. Czuję się jak kompletna idiotka; zaraz chyba rzucę się na tory z rozpędzonego pociągu. Najgorsze, że nie mogę powiedzieć nic, czym nie ośmieszyłabym się jeszcze bardziej.

Jack krztusi się ze śmiechu, a ja opadam na siedzenie. Kulę się i chowam twarz w dłoniach. Nie mam siły na niego spojrzeć, ponieważ jednak śmieje się coraz bardziej, zerkam nieśmiało przez palce.

— Ale się zaczerwieniłaś!

— Och, mój Boże! Co ty sobie o mnie pomyślisz? — zawodzę.

Siłą sadza mnie sobie na kolanach i czule tuli.

— Że nie mogę się doczekać, aż zrobimy z nich użytek — szepcze, po czym przykładą chłodną dłoń do mojego rozpalonego policzka i całuje namiętnie, a ja, porwana niepohamowaną radością, zapominam, że chyba miażdżę go swoim ciężarem.

Kiedy dojeżdżamy do Brighton, wydaje się niemożliwe, że stosunki między nami ochłodły choć na chwilę. Gadamy jak starzy kumple, opowiadamy sobie o minionych wakacjach, rodzinie i jest tak normalnie — po prostu fantastycznie. Zupełnie jak między prawdziwymi przyjaciółmi. Idziemy w stronę plaży i usta nam się nie zamykają ani na sekundę. Słońce odbija się od wody, wszędzie kręcą się ludzie w kostiumach kąpielowych, a w powietrzu unosi się cudowny zapach lata wymieszany z podmuchami, w których daje się wyczuć aromat gofrów i waty cukrowej dochodzący ze straganów rozstawionych na molo.

Upał panuje oszałamiający. Nagle wydaje mi się, że cofnęłam się do czasów dzieciństwa, i ogarnia mnie nieprzeparła chęć zabawy w piasku wiaderkiem i łopatką. Marzy mi się włóczega wzdłuż morza, co najwyraźniej odpowiada też Jackowi. Łapiemy się za ręce i biegniemy w stronę mola, jakbyśmy rzeczywiście mieli po pięć lat i byli partnerami w łobuzowaniu.

Kręcimy się po molu, opychamy lizakami, robimy do siebie miny, wystawiając twarze przez otwory w kartonowych planszach. Może nie zachowujemy się jak należy, nie rozmawiamy o minionej nocy, ale cóż to ma za znaczenie. Wspaniale jest znaleźć się z dala od Londynu i wszystkich znajomych. Jestem wyluzowana i nie staram się ani być cool, ani robić na nim wrażenia. Wystarcza mi, że jesteśmy razem.

Docieramy do toru samochodowego. Jack jest w swoim żywiole. Śmiać mi się chce, że taki z niego dzieciak. Zdumiewające, jak wiele może o człowieku powiedzieć zwykła zabawa w wyścigi. Obnaża całkowicie osobowość, dzięki czemu dowiaduję się, że Jack:

- a) uwielbia współzawodnictwo,
- b) nienawidzi przegrywać.

— Czekaj, dziewczyno, zaraz spuszczę ci manto — oświadcza Nigel Mansell Rossiter, wrzucając monetę do automatu.

— Czyżby? Jesteś tego absolutnie pewien? — pytam, ustawiając swoje siedzenie. — Zaraz się przekonamy.

Startujemy i pędzimy po torze Monako. Spoglądam za siebie i widzę, że Jack ma jakieś problemy z hamulcami i maksymalnie skoncentrowa-

ny zagryzą wargi, a ja z trudem opanowuję ogarniającą mnie falę tkliwości, ponieważ marzę o tym, żeby go pokonać. I przez czysty przypadek mi się udaje. Trzy razy.

Dzięki Ci, dobry Boże, jestem Twoją dłużniczką.

Jack nie może przełknąć porażki. I jest poważnie wkurzony, kiedy nie mam ochoty na jeszcze jeden wyścig, odbierając mu tym samym szansę na rewanż.

— Trzeba wiedzieć, kiedy przestać i wycofać się, mając przewagę — drocę się z nim, gdy na powrót wchodzimy w słoneczne światło. Jack wygląda jak rozwścieczony byk. Mam wrażenie, że z trudem powstrzymuje cisnące się na usta słowa: „Ale przecież jesteś tylko dziewczyną!” Z drugiej jednak strony wiem, że jest pod wrażeniem. Rzucam mu spojrzeńnię przez ramię i mówię z uśmiechem: — Stary, nie pękaj!

To wystarcza. Rzuca się w pogoń za mną, a ja z piskiem uciekam ile sił w nogach, lawirując pomiędzy dziećmi i ich babciami. Przebiegam przez wesołe miasteczko aż do końca mola, gdzie Jack mnie wreszcie dopada, przypierając do balustrady. Bardzo chce przybrać marsową minę, ale zwycięża szeroki uśmiech i nagle ściskamy się i całujemy jak czternastolatki. Obok przechodzi jakiś dzieciak i wydaje przeciągłe „Uuhu!” na nasz widok. Chichocząc, Jack odsuwa się ode mnie. Przód jego szortów przypomina namiot, co rozśmiesza nas jeszcze bardziej.

Opiera się o balustradę i spogląda w dół, na wodę pieniającą się wokół mola. Ja stoję twarzą do niego, wsparta o poręcz łokciami. Wraz z ciepłym wietrzykiem dociera do nas hałas rozpędzonej kolejki górskiej w wesołym miasteczku, któremu towarzyszy zachwycony wrzask pasażerów, kiedy wagoniki spadają w przepaść.

— Jesteś piękna i wspaniała — oznajmia Jack niespodziewanie. — I masz najpiękniejszy uśmiech na świecie.

Ponieważ razi mnie słońce, przymykam jedno oko i spoglądam na niego. Oniemiałam, bo nigdy wcześniej nie powiedział mi nic podobnego. Chyba się trochę zawstydził.

— Fajnie byłoby tu dać nura — dodaje, pokazując głową wodę, ja jednak nie mogę wykrztusić ani słowa, ponieważ moje końcówki nerwowe tracą władzę, zalane hektolitrami endorfiny.

Ujmuje mnie za rękę, mam jednak spocone dłonie i staram się uwolnić. Zauważa to, ale tylko ściska mocniej moją lepką rękę i całuje ją.

— Chodź, idziemy na plażę. — Puszcza do mnie oko.

Czasami sobie myślę, że dorosłość to najtrudniejsza rzecz pod słońcem. Żaden egzamin nie może się z nią równać, tym bardziej że nie ma przygotowujących do niej kursów ani szkoleń. Nie wiemy, że pewnego pięknego dnia, mniej więcej w okolicach dwudziestki, nagle będziemy musieli zacząć zachowywać się inaczej. Być kimś innym. Dojrzałym. Dorosłym, z wszystkimi jego obowiązkami, jak rachunki do zapłacenia, hipoteka i decyzje podejmowane bez zbędnych ceregieli. Od bycia dorosłym jedno tylko jest gorsze: bycie dorosłą samotną kobietą.

To źle, że się do tego przyznaję. Wręcz przeciwnie, powinnam być zadowolona. Dość się naczytałam świętoszkowatych magazynów dla kobiet, aby pojąć, że jako kobieta lat dziewięćdziesiątych, zgodnie z definicją powinnam być całkowicie wyluzowana, zadowolona z własnego towarzystwa i zupełnie niezależna; świetnie radząca sobie w każdej dziedzinie życia; taka Zosia-sa-mosia o ustabilizowanej sytuacji zawodowej i finansowej; odporna na każdą formę krytyki; nieustannie szczęśliwa, że może rozwijać się duchowo.

Wszystko to jednak jeden wielki stek bzdur. Rzadko kiedy udaje mi się sprostać choćby jednemu wymaganiu, zwłaszcza że od sześciu bez mała miesięcy czułam się jak gruby dzieciak, z którym nikt nie chce się bawić. A nawet jeśli jakiś facet wykazał chęć na wspólną zabawę, we mnie na jego widok wzbierał odruch wymiotny i pragnienie ucieczki na koniec świata. Nie powinno to mieć dla mnie znaczenia; cóż, skoro jest akurat na odwrót. A dla tego, że każdy, kto skończył dwa latka, dobrze wie, że zabawa w pojedynek jest koszmarnie nudna i rzadko kiedy się udaje.

Kiedy jednak jesteś dzieckiem, zawsze możesz wbiec do domu, a tam czekająca mama cię utuli, da ciasteczko i świat od razu wraca na swoje miejsce. Po czym nagle stajesz się dorosły i nie ma już gdzie się schronić, co należy przyjmować ze stoickim spokojem, zupełnie jakby nie miało to żadnego znaczenia. I bardzo szybko zaczyna cię dręczyć poczucie winy, że marzysz o kimś, z kim mógłbyś się bawić. I pragniesz tego z każdym dniem mocniej. A im bardziej pragniesz, tym bardziej się to wydaje nieosiągalne. Kręcisz się po supermarkecie z koszykiem i z przerażeniem patrzysz na ludzi, którzy przyszli tam z wózkami. Ludzie, w których drużynie nie grasz, i zaczynasz się zastanawiać: „Dlaczego właśnie ja? Co jest ze mną nie tak?”

Od czasu do czasu pękasz, a wtedy ktoś, na przykład H, mówi ci: „Nie martw się, to przychodzi, kiedy się wcale nie spodziewasz”. Ten, kto to powiedział pierwszy, powinien był stanąć przed plutonem egzekucyjnym i zginąć, bo zawsze tego oczekujesz i wszędzie się za tym rozglądasz. A rozglądając się, przestajesz widzieć.

Po czym nagle, niczym grom z jasnego nieba, to nadchodzi. Tak po prostu. Nagle jesteście razem. Jak ja teraz, z Jackiem u boku, który swój krok równa z moim i obejmuje mnie ramieniem. Zupełnie jakby było to coś najzwyczajniejszego pod słońcem. Ale jak do tego doszło? Jest fantastycznie, lecz z drugiej strony trochę nie fair. Tyle miesięcy cierpienia i szarpaniny, a teraz proszę, wszystko takie proste. Bułka z masłem. Skoro jednak uczucie wspólnoty zjawiało się tak szybko, równie szybko może przecież przeminąć.

I nagle pragnę, aby ta chwila trwała wiecznie, a czas stanął w miejscu, żeby wszyscy mogli nas zobaczyć i zrozumieć, że czuję się o wiele lepiej, będąc częścią „nas”, niż kiedy jestem nikim więcej jak tylko sobą.

Jack przystaje koło sklepu sportowego.

— Może się poślizgamy na nartach?—pyta i łapie mnie za rękę.

Tak szybko znalazłam się wewnątrz, że nie zdążyłam nawet zaprotestować. Patrzę na niego i śmieję się w duchu. Jest mi wesoło, bo on nie ma pojęcia, co dzieje się w mojej głowie; zresztą i tak niczego by nie zrozumiał. Jest w końcu tylko facetem, a faceci nigdy takich myśli nie

mają. I słusznie. Och, jakże mu zazdrozczę nieskomplikowanego życia. Wspaniałe jest móc się całkowicie skoncentrować na tu i teraz. Ileż miałabym czasu, gdybym nie trwoniła go na prześladowające mnie egzystencjalne rozterki. Mogłabym być impulsywna, jak Jack w tej chwili, a moje życie byłoby jedną wielką, nieustającą zabawą.

Pamiętam, jak po raz pierwszy zawiązałam sama sznurówki. Ależ to była rewelacja! Nagle wszystko stało się idealnie proste. Nie musiałam już niczego szukać. Teraz, kiedy w sklepie patrzę na Jacka, czuję mniej więcej to samo, zupełnie jakbym nagle pojęła sztukę bycia szczęśliwą. Mam ochotę walnąć się w czoło i krzyknąć: „Cholera! Przecież to takie oczywiste!”

Dziewczyna w sklepie ostrzega mnie, żebym nie upierała się przy bikini, które sfrunie ze mnie w ułamku sekundy, i wręcza mi lepki, wilgotny kombinezon z pianki, który zdecydowanie nie przydaje wdzięku moim i tak zbyt szerokim biodrom. Jack, oczywiście, wygląda jak James Bond i aż mnie skręca z zazdrości, kiedy widzę pożądlivy wzrok dziewczyny za ladą, którym go taksuje.

Hej ty, trzymaj łapy przy sobie!

W wodzie Jack zamienia się w człowieka pierwotnego. Widzę w jego oku błysk i już wiem, że tylko czeka na rewanz za klęskę w wyścigach samochodowych. Mknie po wodzie, a ja z trudem utrzymuję równowagę na wielkich falach, które się za nim tworzą.

— Nie bój się, po prostu jedź! — woła do mnie, więc przyśpieszam i pędzę w horyzont z szybkością prawie ponaddźwiękową. Uczucie jest tak niesamowite, że aż krzyczę, kiedy woda rozbryzguje mi się na twarzy. Jack mnie dogania i pokazuje, jak się skręca. Nawet nie wiem kiedy, staję się gwiazdą *Słonecznego patrolu*. Ju-hu!

Bawię się świetnie i czas mija błyskawicznie. Kiedy ląduję wreszcie na plaży i wyswobadzam się z pianki, gardło mam kompletnie zaschnięte.

Jack obejmuje mnie ramieniem.

— Dobrze, się bawiłaś? — pyta.

— Fantastycznie, tyle że umieram teraz z głodu. — Klepię się po brzuchu, nie mogąc się nadziwić, gdzie się podziała moja paranoja.

—W takim razie zapraszam — oświadczają szarmancko.

—Ryba i frytki?

— Jakie to angielskie — pokpiwa sobie. — Nie, myślę, że stać nas na coś lepszego.

Jakiś czas kręcimy się po zaułkach, by wreszcie natrafić na niedrogą i miłą francuską knajpkę ze stolikami wystawionymi na zewnątrz. Jack zamawia dla nas piwo.

— Za nas — mówi i stukamy się szklankami. Bąbelki uderzają mi do nosa.

Tyle czasu zastanawiałam się, czym była dla niego nasza wspólnie spędzona noc, teraz jednak, gdy mam okazję go o to spytać, nie wykorzystuję jej. Dociera do mnie, że znacznie bardziej interesuje mnie, co myśli o tysiącu zupełnie innych rzeczy.

— Lubisz być artystą? — zagaduję, gdy podają nam zakąski.

—Chyba tak. Poza tym nic w zasadzie nie umiem. Zresztą dzięki temu nie muszę pracować od dziewiątej do piątej.

—Szczęściarz z ciebie — wzdycham. — Chciałabym umieć robić coś naprawdę dobrze.

—Znam jedną taką rzecz — szczerzy do mnie zęby. Rumienię się.

—Oprócz tego.

—To znaczy, że marzy ci się sukces?

—Chyba tak. Zresztą, czy jest ktoś, komu się nie marzy?

—Co chciałaś robić, kiedy byłaś dzieckiem? — pyta, odłamując kawałek chleba, żeby zanurzyć go w sosie.

—Zawsze interesowałam się projektowaniem ciuchów. Męskich. Od kąd pamiętam, wołałam Kena od Barbie.

— Po prostu chciałaś mu ściągnąć spodnie. Śmieję się.

—To prawda. Chociaż bez nich nie wygląda szczególnie interesująco. Nie, po prostu podobają mi się męskie ciuchy. Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam, od razu zwróciłam uwagę na twoje ubrania.

Jack podnosi na mnie wzrok.

—Dlaczego w takim razie nie zaczniesz pracować w przemyśle odzieżowym albo czymś takim?

Patrzę na szparagi na moim talerzu.

—Kiedyś, wieki temu chciałam, ale nic z tego nie wyszło. Zbyt duża konkurencja.

—Jeśli nie spróbujesz, na pewno ci się nie uda. Jest mnóstwo utalentowanych ludzi, ale nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś być jednym z nich. Gdybym myślał tylko o konkurencji, już dawno zapomniałbym o malowaniu.

—Pewnie masz rację.

—Nic nie ryzykujesz. Poza tym wszystko przemawia na twoją korzyść.

Patrzy na mnie z uśmiechem. Odczuwam ulgę i jestem tak szczęśliwa, że ufam mu bez zastanowienia. Całkowicie. Poza H z nikim nie rozmawiałam o swoich planach zawodowych i teraz wydaje mi się, że sam fakt wyjawienia mu swych ambicji uwolnił mnie od ogromnego ciężaru. Znowu czuję się sobą. Sobą, o określonej treści i kształcie na przyszłość. Może rzeczywiście powinnam spróbować.

Nie ruszamy się z miejsca i bawimy się świetnie, obserwując mijających nas ludzi. Później wracamy na plażę. Opustoszała już nieco i bez trudu znajdujemy spokojne miejsce. W głowie mi szumi i wiruje i mam wrażenie, że poza mną i Jackiem na całym świecie nikt inny nie istnieje. Jack puszcza po wodzie kaczki ku zachodzącemu słońcu, a ja z przyjemnością obserwuję ruchy jego ciała. Miłość pochłonęła mnie całkowicie.

Obraca ku mnie twarz.

—Co robimy? — pytam.

—Chcesz wracać?

—Nie. A ty?

Kręci głową.

Patrzymy na siebie trochę zdenerwowani i śmiejemy się. Jack przykładła palec do ust.



— Znam jedno miejsce, gdzie możemy się zatrzymać. To znaczy, jeśli chcesz.

Chcę. Cała jestem wyłącznie chceniem.

Facet w pensjonacie „Casanova” traktuje Jacka jak dobrego znajomego. Rzuca mu klucze i mrugając porozumiewawczo, informuje, że śniadanie jest podawane najpóźniej do 10.30.

Nasz pokój wygląda jak żywcem wyjęty z ekspozycji „British Home Stores”, z kwiecistymi zasłonami i włochatym dywanem. Ale jest czysty, a przy zastawie do herbaty są maleńkie paczuszki herbatników. Rzucam torbę na krzesło koło telewizora i przez firankę zaglądam do niewielkiego ogródka na tyłach.

Trochę dziwnie się czuję, będąc w jednym pokoju z Jackiem. Po zwa-riowanym dniu mam wrażenie, że robimy coś nielegalnego i bardzo dorosłego. Nie mamy śmiałości się do siebie zbliżyć.

Jack wchodzi do łazienki i podnosi deskę klozetową. Kiedy się załatwia, patrzę na jego plecy i, nie wiedzieć czemu, jestem w szoku. Teraz, kiedy nie ma już wątpliwości, że znowu wylądujemy razem w łóżku, zaczynam się denerwować. Tym razem będzie to coś więcej niż minionej nocy u niego w domu i przeraża mnie intymność sytuacji. Nasza bliskość.

Jack spuszcza wodę i staje w drzwiach. Zauważam, że spuścił klapę. Ktoś go niezłe wyszkolił. Zastanawiam się, kto...

—Czuję się brudny — stwierdza.

Marszczę nos i przeczesuję ręką włosy, posklejane od słonej wody.

—Ja też.

—Prysznic? — pyta, a ja kiwam tylko głową.

Wchodzi do kabiny pierwszy. Rozbierając się, widzę przez półprzezroczyste ścianki, jak reguluje wodę. Po chwili otwiera drzwi i wchodzi do środka.

Czuję się niezręcznie i głupio. Jest cholernie jasno, a ja stoję naprzeciwko niego, zupełnie naga — beznadziejnie obnażona. Zupełnie jakby-

śmy się po raz pierwszy tak naprawdę zobaczyli. I chyba jest tak faktycznie. Mam ochotę zasłonić się rękami i zwinąć w kłębek.

Jack patrzy na mnie. Naprawdę patrzy. Przesuwa wzrokiem po całym ciele, zupełnie jakby chciał dostrzec każdy por na mojej skórze, aż się rumienię...

Staram się go przytulić i pocałować, odzyskując w ten sposób choć trochę prywatności, on jednak mi nie pozwala. Bez słowa, nie przestając patrzeć mi prosto w oczy, ujmuje małe mydełko i powoli namydla sobie nim ręce.

Trudno uznać ciasną kabinę prysznicową z różowego plastiku za szczególnie erotyczne miejsce, ale w tej chwili jest to numer jeden na mojej liście seksualnych fantazji. Ponieważ Jack zaczyna mnie namydlać, zamieniając w drżącą masę mydlanej piany. Poświęca memu ciału tyle uwagi, jakby je rysował. Opieram się o niego, wokół nas unoszą się kłęby pary, a ja czuję się... KOBIECĄ.

Mokrą kobietą. Kobieta zepsuta.

Dygoczę cała, kiedy on klęka przede mną i zakłada sobie jedną moją nogę na ramię. Wtula twarz pomiędzy moje uda i odpływam. Wszystko się ślizga — moje plecy na ścianie kabiny, jego ręce na moim ciele, i porywa mnie najgwałtowniejszy orgazm, jaki kiedykolwiek przeżyłam.

Mijają całe wieki, zanim udaje mi się odzyskać oddech. Drzę i dygoczę cała. Wciąż jeszcze nie odezwaliśmy się ani słowem. Patrzę na niego przez kłęby pary.

Teraz moja kolej.

Klękam i pozwalam przemówić mojemu językowi. Jack wsuwa mi palce we włosy.

— Amy? — wykrztusza po chwili.

— Mmmmmmm? — na nic więcej mnie nie stać, bo usta mam pełne.

— Klęczysz na odpływie.

Wycieramy zalaną podłogę, zużywając do tego prawie wszystkie ręczniki, po czym leżymy na łóżku i czekamy, aż sami wyschniemy. Jack przesuwa palcem po nie opalonych częściach moich piersi.

— Słońce cię trochę chwyciło — zauważa.

To prawda. Czuję się rozgrzana aż do kości. Spoglądamy sobie w oczy i już wiem, że będziemy się kochać. Najbardziej zaś zdumiewa mnie, że Jack chyba czyta w moich myślach.

— Całą noc, aż do rana, tak że jutro nie będziesz mogła chodzić...

I dotrzymuje słowa.

Kiedy w niedzielę wieczorem wracamy do Jacka, czuję cudowne zmęczenie, które pojawia się tylko po nadmiarze seksu, słońca, morza i alkoholu razem wziętych.

—Zadowolona? — pyta, otwierając drzwi. Cały dzień hasaliśmy po plaży, aż ze słońca powychodziły mu piegi. Wygląda tak wspaniale, że muszę pogłaskać go po policzku.

—Może — uśmiecham się.

—Tylko może? Co jeszcze miałem zrobić? — Udaje strasznie rozgniewanego, łapie mnie wpół i niosąc owiniętą wokół niego w pasie, wchodzi do kuchni. Zanoszę się takim śmiechem, że w pierwszej chwili nie zauważam Matta i Chloe siedzących na poduszkach w salonie.

—Proszę, proszę, cóż to się dzieje. Scenka jak ze snu o miłości — śmieje się Chloe.

Jack przestaje mnie łaskotać i odskakuje. Na widok Chloe mój śmiech zamiera. Siedzi rozwalona, z butelką piwa w ręce, jakby była u siebie. Jest obrzydliwie szczupła, a krótka letnia sukienka odsłania idealne nogi.

—Cześć wam — wita się Jack, przechodząc obok mnie. Kuca i całuje Chloe w policzek.

—Poczęstuj się. — Matt kiwa ręką w stronę stołu, na którym stoi piwo. — Gdzie byliście?

—W Brighton — odpowiadam.

—Spójrz tylko na swój nos! — wykrzykuje Chloe. — Biedactwo!

Jack śmieje się i podaje mi piwo. Ale to wcale nie jest zabawne. Nie moja wina, że wyglądam jak klaun. Wykrzywiam się do niego, on jednak nagle stał się bardzo odległy i nie ma zamiaru stanąć w mojej obronie.

—No i? — pyta Chloe. — Opowiadajcie.

—Bawiliśmy się świetnie, jeździliśmy na nartach wodnych i takie tam—relacjonuje Jack, opierając się o kanapę i otwierając swoje piwo.

—I zostaliście na noc! Gdzie też znaleźliście ustronny kącik, Jack? — nabija się Chloe. Strzela palcami i przenosi wzrok na mnie. — Nie mówcie mi, niech zgadnę... W „Casanovie”, mam rację? Powinieneś mieć już tam zniżkę.

—Przymknij się, Chloe — niby to oburza się Jack, ale tak naprawdę jest rozbawiony, zadowolony ze swojego wizerunku Jacka Casanovy. Nagle wszystko staje się jasne. Jestem jego kolejną zdobyczą. Wszystko to już przerabiał, a ja wcale nie byłam pierwsza. Pod jaką jeszcze dziewczyną ziemia zadrżała w plastikowej różowej kabinie?

—Siadaj, siadaj — zaprasza Matt i pokazuje na poduszki, ja jednak boję się zbliżyć za bardzo do Chloe, bo mogłabym jej zrobić krzywdę.

—Och, wczoraj dzwoniła do mnie Helen — odzywa się Chloe, nie dbając o wymachując butelką z piwem.

Syreny alarmowe. Po cóż H miałyby dzwonić do Chloe?

—Szukała cię.

—Cholera.

—Nie martw się. Powiedziałam jej, że prawdopodobnie zabawiasz się ze swoim kochaniem.

—Dobrze się czuła? Co mówiła?

—Nic specjalnego. Chyba była trochę przybita.

—Czy mogę skorzystać z twojego telefonu? — zwracam się do Jacka.

Wychodzę z kuchni, z której dobiega ich śmiech, i jest mi niedobrze ze zdenerwowania.

—H, to ja. Odbierz, proszę cię, odbierz — ponagliłam jej automatyczną sekretarkę.

Rozlega się kliknięcie.

—A więc wróciłaś — odzywa się H podejrzanie grzecznie. Chyba jest poważnie wkurzona.

—Byłam w Brighton.

—Dobrze ci tak.

To potworne. Nigdy wcześniej nie mówiła do mnie takim tonem. Ściszam mocniej słuchawkę.

—Co się stało?

—Jestem przekonana, że cię to nie zainteresuje — oznajmia jadownicie, ale głos jej drży i zaczynam się naprawdę o nią niepokoić.

—Mimo to powiedz mi — nalegam.

W słuchawce rozlega się stłumiony szloch.

—Daj mi spokój.

Rozłączyła się. Oniemiała wsłuchując się w ciągły sygnał. Jeszcze nigdy nie rzuciła słuchawką, ale nie dziwię się, że jest wściekła. Gdybym była nią, znienawidziłabym siebie. Miałyśmy plany na sobotni wieczór, a ja dałam plamę, nie odezwałam się do niej przez cały weekend i teraz czuję się winna. Bo zachowałam się jak samolubna krowa, a zawsze sobie przyrzekałyśmy, że nigdy się tak nie zachowamy z powodu byle faceta. Ona właśnie przeżywa kryzys, a ja zostawiłam ją w potrzebie. Na samą myśl, że mogę ją stracić, robi mi się ciemno przed oczami.

—Wszystko w porządku? — W drzwiach staje Jack. Podchodzi do mnie i kładzie mi rękę na ramieniu.

—Coś się stało i muszę do niej iść. Nie masz nic przeciwko?

—Nie, skądże, idź, jeśli musisz.

Chyba mówi prawdę i nienawidzę go za to. Chciałabym, żeby miał wszystko przeciw, żeby było mu przykro, że nasz wspaniały weekend skończył się tak niefortunnie. Wystarczy mi jednak tylko jedno spojrzenie, żeby się przekonać, jak płonne są moje nadzieje. Teraz jest ze swoją bandą i ja się już nie liczę.

Mówimy sobie publicznie, na oczach Matta i Chloe, do widzenia, a Jack traktuje mnie, jakbym była niezbyt mile widzianą ciotką. Badam wzrokiem jego twarz, ale Jack, z którym spędziłam ostatnie dwa dni,

gdzieś się ulotnił. Im baczniej mu się przyglądam, tym bardziej zamyka się w sobie, aż w końcu całuje mnie przelotnie.

—To do zobaczenia — rzuca.

Do zobaczenia kiedy? Jutro? Za tydzień? A może za miesiąc? Rok? Nigdy Więcej?

—Świetnie się bawiłem — stwierdza, ale zbyt wyraźnie słychać w jego słowach czas przeszły.

—Mam nadzieję, że z Helen wszystko w porządku — wtrąca Chloe, przyłączając się do Jacka w drzwiach. Jej głos ocieka współczuciem, ale nie daję się na to złapać, zwłaszcza gdy obejmuje Jacka w pasie i mocno go przytula. Każdy potraktowałby to jako gest wyłącznie przyjacielski, kiedy jednak cofa dłoń z piersi Jacka, nieomal widzę wyryty na niej napis: „Własność prywatna. Nie dotykać”. Wychodzę. Zrobiłam zaledwie kilka kroków, kiedy dobiega mnie jej śmiech i słyszę odgłos zamykanych drzwi. Odwracam się i patrzę na nie z niedowierzaniem.

Serce wali mi jak oszalałe przez całą drogę metrem do H, a wchodząc za nią do ciemnego holu, jestem prawie nieprzytomna ze zdenerwowania. Gdyby była olimpiada dla palących, H jedna zdobyłaby na niej złoty, srebrny i brązowy medal. Wszystko wokół niej świadczy o głębokim nieszczęściu, na dodatek słucha Leonarda Cohena. Wyjątkowo zły znak.

Z początku stara się udawać, że jest bardzo zła, na szczęście jednak nie wytrzymuje zbyt długo i szybko kuli się i chowa w sobie jak ziarnko fasoli w strączku. Tak jak podejrzewałam, chodzi o Gava.

—Och, tym razem naprawdę spieprzyłam sprawę—szlocha.

—Ciii — uspokajam ją, klękając obok. — Niczego nie spieprzyłaś.

W końcu udaje mi się ją uspokoić i wtedy, wciąż przez łzy, opowiada o najświeższej tragedii.

— Leżeliśmy w łóżku i zapytałam go, czy myślał o małżeństwie. To było czysto hipotetyczne pytanie, wcale mu się nie oświadczałam ani nic takiego, ale i tak mu odbiło. Powiedział, że nie ożeni się, dopóki nie będzie chciał mieć dzieci. No więc zapytałam, kiedy zamierza je mieć, a

on na to, że może za sto lat, a już na pewno nie wcześniej niż za dziesięć, bo jest mnóstwo innych rzeczy, które chce w życiu robić.

Całkiem uczciwe postawienie sprawy; i bardzo w stylu Gava.

— Wtedy wszystko wymknęło mi się spod kontroli. Powiedziałam, że dziesięć lat to kawał czasu i co to dla nas oznacza. Wtedy on się wściekł, oznajmił, że go przyciskam do muru i dlaczego nie możemy po prostu korzystać z życia? Zapytałam więc, po co to wszystko? — Wzdycha głęboko, a broda jej drży. — No powiedz, po co? Po co się angażować, kochać kogoś, kto w każdej chwili może sobie znaleźć inną i kto nie chce mieć dzieci do czasu, aż twoje jajniki zamienią się w uschnięte strączki fasoli?

Wybucham śmiechem i ocieram jej łzy kawałkiem papieru toaletowego.

— Kochanie, nie jesteś w stanie przewidzieć przyszłości. W żaden sposób nie możesz wiedzieć, co każde z was będzie kiedyś robić.

— Jeśli chodzi o Gava, to teraz już wiem — łka. — To zmierza donikąd.

— Przecież to nieprawda. Wszystko szło świetnie, dopóki się nie pokłóciliście. Między wami wspaniale się układało, doskonale się razem bawiliście. Dlaczego nie miałyby tak być dalej?

— Och, nic nie rozumiesz. Skończ z tymi bzdurami o życiu chwilą obecną, bo nie jestem jakąś tam pieprzoną buddystką zen, podobnie zresztą jak ty — warczy na mnie.

Nie trafiają do niej żadne logiczne argumenty. Jest uparta, wyłazi z niej natura typowego Koziorożca. Muszę ją jakoś wyciągnąć z tego nastroju. Na szczęście zrobiłam doktorat z Technik Opanowania H. Wstaję z westchnieniem.

— Dobrze, już dobrze — poddaję się. — Możesz sobie dalej być starą, upartą torbą. Nie wiąż się z nikim, bo nie daj Boże nie okaże się Panem Właściwym. Wiem, wiem, wiem, dotarło do mnie! Musisz po prostu ułożyć ankietę i dawać ją do wypełnienia każdemu facetowi, który wpadnie ci w oko, abyś miała gwarancję, że zrezygnuje z siebie i swoje-

go życia do czasu, aż ty się zdecydujesz, czego chcesz, ponieważ tylko wtedy może się wam udać.

Choć bardzo jej to nie w smak, na ustach H zaczyna błąkać się cień uśmiechu.

— A może po prostu powinnaś Gava przykuć kajdankami do kuchennego stołu i czekać, aż ci się oświadczy. Czy tego właśnie chcesz? Masz sto procent pewności, że to właśnie ten facet i chcesz z nim być po wieki wieków, amen?

—Nie — przyznaje.

—No widzisz.

—Ale kocham go i chcę, żeby coś z tego wyszło.

— A czy on powiedział, że tego nie chce? H, nie bądź śmieszna.

—I tak już za późno. Odszedł ode mnie.

— Uhm, pewnie do swojego domu. — Podnoszę oczy do nieba. — Przecież nie wyjechał na koniec świata. Jutro pewnie będziecie się z tego oboje śmiali.

Humor wyraźnie jej się poprawił, bo mocno mnie ściska.

— Najgorsze było to, że w żaden sposób nie mogłam się z tobą skontaktować — mówi. — Naprawdę się martwiłam.

— Wiem, wiem, straciłam głowę. Przepraszam. Wypytuje mnie o nasz weekend w Brighton i opowiadam jej wszystko.

— Skąd więc ta ponura mina?

— Sama nie wiem. Było świetnie, teraz jednak mam wrażenie, że Chloe wysadziła mnie z siodła. Straszna z niej zdzira.

—Może miała rację, żeby cię przestrzec. Natychmiast staję się podejrzliwa.

—Dlaczego? Co mówiła?

H wzdycha i przybiera minę „nie jest dobrze”.

— W sumie to niewiele. Po prostu nie chcę, żebyś cierpiała.

Chloe zna Jacka bardzo dobrze. Twierdzi, że okropny z niego babiarz, który ucieka, gdzie pieprz rośnie, kiedy tylko nabierze podejrzeń, że znajomość mogłaby się przerodzić w coś bardziej trwałego.



—Co ty wygadujesz? Nagle zaczęłaś jej wierzyć?

—Nie — kręci głową H. — Mówię tylko, żebyś sobie nie robiła zbyt wielkich nadziei.

—A więc o to chodzi? Że nic z tego nie będzie. Cóż, bardzo się cieszę, że wszyscy zdecydowali za mnie, oszczędzając mi tym samym kłopotu.

H siłą zmusza mnie, żebym usiadła.

— Kto wie. Tylko ty jedna możesz powiedzieć, jak jest. Po prostu musisz cierpliwie poczekać.

Oczywiście, ma rację, ale wkurza mnie, że daje mi rady, którymi dopiero co sama ją karmiłam. Ciężko sieje przyjmuje.

Wracam do siebie, kładę się na brzuchu na kanapie i wgapiam w dywan. W głowie mam istny mętlik. Przed piątkową randką z Jackiem byłam taka pewna siebie. Wydawało mi się, że całkowicie panuję nad sytuacją. Miałam przecież być opanowana, niczego nie ponaglać, a już na pewno nie lądować z nim w łóżku. No dobra, przyznaję, kupiłam nową bieliznę — nawet podwiązki (cholernie niewygodne)—nałożyłam nowy makij aż, oblałam się perfumami i wystroiłam jak na bal, ale na pewno nie po to, żeby tak wszystko schrzanić. Chciałam tylko, aby mnie pożądał w stopniu, w którym by do niego dotarło, że jestem dziewczyną, z którą mógłby się związać na dłużej.

A teraz to zniszczyłam. Zanim jeszcze na dobre się rozpoczęło.

Zaraz jednak przypomina mi się Brighton, a wspomnienia są tak świeże, że aż szczypiamnie oczy. Czy to możliwe, że zaledwie dzisiaj rano spałam mocno w niego wtulona? Czy podobna, żeby nic to dla niego nie znaczyło? Jak mógł tak szybko zapomnieć? Jakim prawem potraktował mnie jak panienkę na jeden raz, którą najlepiej spławić jak najszybciej?

Robię sobie kąpiel, ale nie przynosi ona spodziewanej ulgi.

Jest mi zimno, mam spaloną od słońca skórę i czuję się taka samotna. Nawet kiedy otulam się czystymi ręcznikami, poczucie osamotnienia mnie nie opuszcza. Nie ma sensu wpatrywać się w telefon, on i tak nie zadzwoni. Bo i po co? Ma przecież swoją Chloe.

Nacieram się całą balsamem, ale choć jestem potwornie zmęczona, o śnie nie ma mowy. Kładę ręce na kołdrze, wzrok wbijam w sufit i oczyma wyobraźni widzę nasz weekend, od początku do końca, jakbym oglądała album ze zdjęciami. Na każdym jestem zdecydowanie zbyt obnażona.

To tyle, jeśli chodzi o moje wielkie nadzieje. Miałam prawie wszystko, i wszystko w jeden dzień straciłam. Mijają lata, a ja, niczym panna Haversham, siedzę w swoim mieszkaniu, coraz bardziej porastając kurzem i pajęczynami, a ludzie powiadają: „Och, biedactwo, była taka szczęśliwa tego lipcowego dnia, lecz cóż, życie bywa okrutne”.

Jack mógłby umrzeć albo znaleźć się na księżycu. Torturuję sama siebie, wyobrażając sobie, jak właśnie mówi: „Nieźle było bzykanko z tą Amy. Uśmieśliśmy się, ale to nie wystarczy. Po cóż miałbym się z nią znowu spotkać? Kumple są dla mnie ważniejsi, a poza tym chcę być wiecznie młody, wolny i sam. Po co mi się z kimś wiązać?”

To nie do zniesienia. Nie mogę wyleżeć w łóżku, nieustannie słysząc jego głos. Wlokę się do kuchni, żeby sobie zrobić czekoladę na gorąco. Obwąchuję mleko. Jeszcze ujdzie. Dopiero kiedy zamykam lodówkę, zauważam, że ktoś poprzestawiał na jej drzwiach magnetyczne literki. Ułożone są w różowo-zielono-pomarańczowy napis:

## SUPER AMY

Przykładam twarz do białych drzwi i uśmiecham się, ponieważ mógł to zrobić tylko Jack. Kiedy czekam, aż mleko się zagotuje, czuję się już o niebo lepiej.

## 5

## JACK

## ŚWIT NOWEGO DNIA

Zaczynam poranek od zagadki:

*Pytanie:* Co śmierdzi jak ser, ale serem nie jest?

*Odpowiedź:* Stopa Matta.

Nie ma co gadać, Matt to fajny facet. Poprawka: Matt to najlepszy facet pod słońcem. Wiele razem przeszliśmy: od lekcji fortepianu w Brighton u wrednej, nienawidzącej dzieci klepy, panny Hopkins, przez pierwszy zakup sprośnych świerszczyków i kwaśnego jabola w okresie dojrzewania, aż do czasów obecnych, kiedy to życie upływa nam na udawaniu dorosłych, odpowiedzialnych członków londyńskiej społeczności. Mogę też z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że w zasadzie nie ma rzeczy, na którą bym się dla niego nie zdobył. Gdyby w paczce został mi tylko jeden papieros, a od najbliższego kiosku dzieliły nas setki mil, bez wahania wypaliłbym go do spóły z Mattem. Gdyby mój przyjaciel wypadł za burtę podczas gwałtownego sztormu, skoczyłbym za nim bez chwili namysłu. Nawet — gdyby okazało się to absolutnie konieczne — oddałbym mu swojego ostatniego Marsa. Jednak nawet najwierniejsza przyjaźń ma swoje granice. A przebudzenie z jego spoconym paluchem lewej stopy wspartym twardo o moje zęby poza owe granice zdecydowanie wykracza.

Usuвам obrzydliwy kawał miecha z moich ust i wycieram je w ramię. Lub raczej w rękaw. Ponieważ w dalszym ciągu mam na sobie ubranie, w którym urwał mi się film o trzeciej nad ranem przy wtórze *Śniadania w Ameryce* zespołu Supertramp (o ironio, której mój spragniony snu umysł wtedy nie przeoczył, podobnie jak pamięta ją teraz). Próbuję usiąść, ale natychmiast padam z powrotem. Leżę na boku i czekam, aż ruch wirowy, w który nagle wpadł dom Matta, ustanie. Trwa to kilka sekund, po upływie których udaje mi się stanąć, ruszyć w stronę

kanapy, by wylądować na niej szczęśliwie w pozycji siedzącej. Dopiero wtedy decyduję się na podjęcie ryzyka, jakim jest ocena sytuacji.

Do głowy przychodzi mi tylko jedno słowo: apokalipsa. Na polach Armagedonu, które niegdyś były salonem Matta, królują niepodzielnie Cztery Jeźdźcy: Matt, Chloe, Jack Daniels i Jim Beam. Dwaj pierwsi leżą tuż przede mną, jeden obok drugiego u stóp kanapy, wtuleni w siebie niczym kochankowie. Pozostali to już tylko puste skorupy ich niegdyśszych jaźni. Szklana szyjka Jima jest złamana od chwili, gdy Chloe strąciła go ze stołu, mniej więcej około drugiej nad ranem, jednocześnie rozpryskując jego wnętrzności po całym dywanie. Jack jest pusty, dosłownie i w przenośni pozbawiony tego, co w nim było najcenniejsze, a jego szyjka skierowana w stronę miejsca, na którym siedziałem, gdy graliśmy w „Powiedz prawdę”. Ten obraz dekadencji, zepsucia i prawie całkowitej bezsensowności zmusza mnie do wyciągnięcia wniosku, że moje życie to jedna wielka kupa gówna.

Coś trzeba z tym zrobić, postanawiam.

Przeprowadzam szybką autodiagnozę:

*W ustach czują:* Przetrawiony alkohol, papierosy, Pringle o smaku pieczonej wołowiny.

*Koordinacja ruchowa:* Niepewna/drżąca. *Widzenie:* Zaburzone.

*Słyszą:* Chrapanie Matta, bicie swojego serca. *Czują zapach:* Stóp Matta.

Potwierdzenie najgorszych obaw. Moje życie; gówno. Gówno; moje życie. W tej chwili trudno doprawdy dostrzec jakąś różnicę.

Za dużo alkoholu. Za dużo papierosów. Za mało pracy. Oto kwintesencja mej egzystencji w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Sam sobie taką zgotowałem, lecz w tej chwili pragnę, aby to się zmieniło.

Dobiega mnie pierdnięcie krowy, szybko jednak sobie uzmysławiam, że to nie żadna krowa, tylko Matt. Usiłuje właśnie otworzyć oczy i twarz wykrzywia mu bolesny grymas. Trudno powiedzieć, czy jest to reakcja górnej części jego ciała na krowią aktywność dolnej, czy też prosta de-

dukcja oparta na słabym świetle sączącym się przez zasłony, że tak, nastął poniedziałkowy ranek, oraz że nie, jego stan nie wyklucza pójścia do pracy. Wydaje przeciągły jęk, sprawdza, która godzina, i mamrocze coś niezrozumiale. Po czym, z powiekami na powrót mocno zaciśniętymi, budzi Chloe, potrząsając nią delikatnie.

Matt: Porawstawać.

Chloe: Uhm. Cotakcuchnie?

Matt: Niemam pojecia o czym mówisz.

Chloe: Och, och, och. Gdzie jestem.

Matt: Spóźnimy się. Do pracy. Spóźnimy się do pracy.

Chloe: Piperzyć pracę. Umieram. Głowam i zaraz peknie.

Matt: Posłuchaj Chloe. Musisz wstać. OK? Wstajesz?

Chloe: OK. Wstanę. Jeszcze tylko dziesięć minut już wstaje.

Matt: OK. Dziesięć minut. Ale potem musimy iść do pracy. OK?

Chloe: OK.

Na szczęście moje kulturowe i lingwistyczne wykształcenie zapewnia mi biegłą znajomość kacomowy, wobec czego bez większych kłopotów rozumiem tę najwyższą wymianę poglądów, z której dowiaduję się, że moi przyjaciele postanowili nie ruszać się jeszcze przez jakiś czas. To dobrze. Ponieważ mój kac przechodzi właśnie w kolejną fazę. Muszę się wykapać. Długo i dokładnie się wymoczyć.

Moczę swe obolałe ciało w wodzie od jakichś pięciu minut, a mimo to wciąż czuję się jak chodząca śmierć. Nie tylko mam potwornego kaca, na dodatek ogarnęło mnie totalne przygnębienie i niepoohamowany wstręt do samego siebie. Potwór Frankensteina to przy mnie zero. Nosferatu, możesz się schować. Prawdziwe monstrum to ja, przeklęta istota, po wsze czasy skazana na przemierzanie tego padołu w agonii. Czegoś podobnego nie widziało nawet Piekło Dantego.

Oto fizyczne dowody mojego upodlenia:

a) W sali koncertowej mojego mózgu perkusista Londyńskiej Orkiestry Filharmonicznej będący pod wpływem amfy gra właśnie partię solową.

b)Mój żołądek kurczy się i skręca, jakbym połknął wściekłego teriera.

c)Poziom wody w wannie podnosi się widocznie, w miarę jak z mego czoła spływa coraz więcej potu.

Tak bardzo pragnę ukojenia, że uciekam się do religii. Staję się pielgrzymem, a kąpiel to moje Lourdes. Zanoszę modły do Boga o Błogosławieństwo Gorącej Wody. Składam dziękczynienie Oczyszczającej Mocy Mydła i Obfitości Piany. Zaprawdę błogosławię tę kąpiel i wszystkich, którzy do niej weszli.

Efekt, niestety, jest żaden. W godzinie potrzeby Bóg, w którego wierzyć przestałem dwanaście lat temu, najwyraźniej postanowił odwdziżyć mi się pięknym za nadobne. Pozostaje mi pogodzić się z faktem, że moje ciało to nie świątynia, a świński chlew. I to wyjątkowo obrzydliwy. W tej jednak chwili przypomina mi się Amy i jej plan odnowy KAZA. Mając w pamięci wszystkie jego założenia, opuszczam na chwilę wannę, człapię do szafki, skąd biorę kilka alkaprimów naraz, popijam je wodą z kranu i wracam do swego wodnego kokonu.

Leżąc i czekając, aż chemia zacznie czynić swoją powinność, zza kranów wyciągam swoją maskę i fajkę i nakładam na twarz. Zmiana środowiska może się okazać kluczem do mego odrodzenia. Niektórzy ludzie oddają się medytacji, gdy chcą uporządkować myśli. Inni potrzebują do tego narkotyków. Ja wykorzystuję maskę z fajką i z głową pod wodą kładę się na brzuchu w wannie. Zegftaj, suchy lądzie ze wszystkimi ziemskimi problemami. Witaj, Atlantydo.

Zanurzam się całkowicie i oddaję się zabawie, którą upodobałem sobie jeszcze jako mały chłopak. Zamykam oczy i wyobrażam sobie podwodną krainę, w której się unoszę. Pod sobą mam kolorowe rafy koralowe, a moje ciało obmywają ciepłe prądy. Wyobrażam sobie, że potrafię pod wodą oddychać. Moją skórę muskają podwodne paprocie i inne zielska, obok przepływają ryby. A u góry, ponad wodą i falami wyobrażam sobie idealny czysty błękit nieba.

Bywa jednak, że eskapizm nie zdaje egzaminu. Jak tym razem. Wyimaginowany krajobraz rozmywa się i pozostaje tylko mętna woda i

piana nad głową. Myślę, że to wina koncentracji lub raczej jej braku, gdyż jestem wyraźnie rozkojarzony. Całkowicie rozkojarzony. Stary problem. I to DUŻY problem. Moje życie i kierunek, w którym zmierza. A także jak to się stało, że do tej pory jeszcze tam nie dotarło. Mam dwadzieścia siedem lat i jakie osiągnięcia? Żadne. Świadomość, że paranoja, na którą cierpię, w dużej mierze jest wynikiem kaca, niczego nie zmienia.

Coś z tym fantem muszę zrobić. I to nieodwołalnie.

Pod koniec ubiegłego roku postanowiłem, że rzucam pracę i zostaję artystą w pełnym wymiarze czasowym. Opuszczam pokład statku „Wygodą”, rezygnuję z błogosławieństwa stałej pensji, emerytury, spokoju i reżimu pracy od dziewiątej do piątej. Jako Człowiek za Burtą stawiam czoło rekinom i wyruszam na poszukiwanie mitycznej Wyspy Spełnienia. I tak dnia 1 grudnia 1997 porzuciłem stanowisko pracy w dziale artystycznym firmy ProPixel Ltd w Wembley. Na ekranie komputera migotał nie dokończony projekt opakowania Chick-0-Lix™ (smakowitych kawałków kurczaka uwielbianych przez dzieciaki), który, częściowo jako wyraz solidarności z pierzastymi mieszkańcami naszej planety, jednym kliknięciem przeniosłem w niebyt. W podaniu o zwolnienie, wystukany na domowym pececie Matta, jako powód mojego odejścia podałem chęć „ułożenia sobie życia”.

Dałem sobie rok na osiągnięcie celu. Albo utonę, albo wypłynę. Gdybym miał się pograżyć, niech i tak będzie. Wciąż jeszcze miałem sporo kontaktów i znajomości, dzięki którym w każdej chwili mogłem szybko znaleźć dziadowską pracę w kolejnej dziadowskiej firmie. I tak będę zadowolony, bo przynajmniej spróbowałem, nie poddałem się mierności bez walki. Nawet w tej chwili — gdy upłynęła już połowa czasu, który sobie dałem, a łódź nawet nie zamajaczył na horyzoncie — nie żałuję podjętej decyzji. Dobija mnie natomiast świadomość, że większość tego czasu po prostu zmarnowałem. Jeśli drogą do sukcesu jest ambicja, to obawiam się, że moja cierpi na chorobę śmiertelną, co mnie wnerwia. Rozwiązanie: muszę się zabrać do pracy. Dzisiaj. Dzisiaj zacznę wreszcie na poważnie układać swoje życie. Nowy obraz. W głowie aż roi mi

się od pomysłów. Czuję narastające podniecenie i mam namacalną niemal pewność, że oto rodzi się coś wielkiego.

Uśmiecham się. Wystarczy jedna pozytywna myśl, a cała paranoja znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zupełnie jak w Piotrusiu Panu — wystarczyła odrobina wiary i już można się unosić w powietrzu. Mnie zaś nawiedziła nie jedna, lecz dwie cudowne myśli. Mam swoją pracę. I mam Amy. Przypominam sobie naszą przygodę w Brighton, rozkoszując się momentami szczególnie radosnymi: gonitwa po molo, francuska knajpka, przysznic hotelowy... i cała wspaniała reszta. Amy jest miła. Amy jest czysta. Amy jest tym wszystkim, czym ja w tej chwili być nie mogę. Amy z całą pewnością jest kimś, na kim mógłbym się wesprzeć. Jak na przyjacielu, i to takim, z którym mogę iść łóżka.

Jest moją dziewczyną.

Myśl wyskakuje jak diabeł z pudełka. W nocy graliśmy w „Powiedz prawdę”. Pamiętam, jak Chloe zakręciła butelką po Jacku Danielsie i szyjka wskazała wprost na mnie. Matt został wcześniej przyłapany na opowiadaniu steku kłamstw, musiał więc za karę wypić trzy łyżki oliwy i rozebrać się do rosołu. Siedział teraz wsparty o kanapę z genitaliami skromnie schowanymi między udami, przez co wyglądał jak kobieta. Chloe, bardziej w bojach zaprawiona, jak dotąd musiała pozbyć się jedynie dzinsów. A ja, dumny, że tak niewiele mam przed swoimi przyjaciółmi do ukrycia, na razie nie musiałem oddać żadnego fantu. To znaczy do chwili, gdy butelka wybrała mnie. I dopóki Chloe nie zaczęła wypytywać o Amy.

— Chyba nie będzie błędem — zaczęła, uśmiechając się szeroko i złośliwie — jeśli nazwiemy Amy twoją dziewczyną?

—Będzie.

—Kłamca — stwierdziła, szukając potwierdzenia u Matta.

—Kłamca — zawtórował. Chloe wyciągnęła rękę.

—Szorty. W tej chwili. Dawaj je tu.

— Nic z tego, do cholery. Mówię prawdę. Przecież dopiero co się poznaliśmy. Jesteśmy tylko kumplami, rozumiecie? Nic poza tym. A już na pewno nie to. Żadna dziewczyna, na miłość boską.



Chloe z powątpiewającą miną znowu spojrzała na Matta.

—Cosik mi się zdaje, że za bardzo protestuje.

—Potwierdzam — Matt na to. — Mam oskarżać? Chloe usiadła wygodniej i skinęła na niego.

— Do dzieła, uczony przyjacielu. W końcu jesteś prawnikiem.

Matt spróbował wstać, zaraz jednak sobie przypomniał, że jest goły jak święty turecki, szybko więc usiadł na powrót i ręce złożył skromnie na wzniesieniu łonowym.

— Przypominam panu, panie Rossiter—zaczął — że spędził pan cały weekend w towarzystwie niejakiej Amy Crosbie. Przypominam dalej, że rzeczony weekend nie upłynął na typowych zachowaniach osoby samotnej, takich jak, proszę mi wybaczyć użycie terminologii wulgarnej — tu głos Matta aż ociekał obrzydzeniem — rwanie i bajerowanie, mające na celu pieprzenie się z osobą całkowicie obcą. Wręcz przeciwnie—ciągnął nad wyraz gładko —jak sądzę. Czy nie jest prawdą, że zaprosił pan rzeczoną Amy Crosbie do tego tu domu na — tu melodramatycznie odchrząknął — obiad?

—W istocie.

Matt zmarszczył surowo czoło.

—Panie i panowie przysięgli, tego się właśnie obawiałem. I czy następnie nie pogłębił pan tego błędu, zabierając swego gościa do miejsca o wątpliwej reputacji w Brighton, pod nazwą „Casanova”?

—Rzeczywiście — zgodziłem się. — Ale co z tego? Oboje wiecie, że nie pierwszy raz pojechałem tam z dziewczyną. Przecież to nic nie znaczy, a już na pewno nie, że ze sobą chodzimy.

—W takim razie — grzmiał Matt — czy mógłby pan łaskawie wytłumaczyć sądowi, dlaczego wcześniej, w dniu dzisiejszym, gdy się spotkałszy w tym właśnie miejscu, chichotał pan, łaskotał i niósł rzeczoną Amy Crosbie owiniętą wokół pana w pasie?

— To była tylko zabawa.

Matt stłumił śmiech i już opanowany, zaczął zniżonym głosem.

— O nie, to było coś znacznie więcej. Czy nie tak zachowuje się mężczyzna przepełniony uczuciem — nie, afektem — dla kobiety tak mocno przytulanej?

— Nie.

— Chrzanisz — przerwała Chloe, zanosząc się śmiechem. — Wzięła cię. I to poważnie. Dlaczego się po prostu nie przyznasz?

Nie mogłem spojrzeć jej w oczy.

— Bo to nieprawda.

— Chcesz powiedzieć — mówił Matt dalej — że nawet w świetle przedstawionych temu sądowi dowodów nie oddasz swoich szortów?

— Nie.

— Obraza sądu — zawyrokowała Chloe. — Koniec zabawy.

— A kogo to obchodzi? — wymamrotałem. — Zresztą, to czysty idiotyzm.

Dziewczyna.

Słowo, które wciąż wisi w powietrzu; nie wygoniły go nawet moje gorące i gwałtowne protesty. Dziwne, ale wtedy, kiedy o tym mówiłem, naprawdę wierzyłem, że Amy to tylko kumpela. A teraz sam już nie wiem. Zastanawiające są też wyrzuty sumienia, które odczuwam, że w ten sposób o niej mówiłem. Mam wrażenie, jakbym ją zdradził — co się chyba faktycznie stało. Byłem pijany, ale to raczej kiepskie wytłumaczenie, no nie? Bo wtedy, tak samo jak teraz, dobrze wiedziałem, że spędziliśmy miły weekend. Co ja gadam, weekend był po prostu wspólny. Dlaczego więc wygadywałem wszystkie te bzdury o niej? Czym wytłumaczyć, że zaraz po powrocie z Brighton zacząłem się zachowywać wobec niej tak nonszalancko, żeby nie powiedzieć obojętnie? Może tym, że tak szybko się wyniosła na spotkanie z przyjaciółką, a ja miałem już Matta i Chloe? Triumwirat w komplecie. Jak zawsze, upiliśmy się i gadaliśmy, nikogo poza sobą nie potrzebując. Dziewczyna.

Chyba nią zostanie. Ponieważ wiem, że zobaczę się z nią ponownie, i to bardzo niedługo, bo tego właśnie chcę.

Przychodzi mi do głowy, że może jednak powinienem był oddać Chloe szorty.

Próbuję odetchnąć, ale nie mogę. W panice obracam się na wznak i wyskakuję spod wody. Na brzegu wanny siedzi Chloe i śmiejąc się, trzyma uniesione do góry ręce w geście przyznania się.

—I co, marynarzu, znalazłeś syrenę? — pyta.

Do łazienki wchodzi owinięty ręcznikiem Matt i spogląda na mnie podejrzliwie.

—Dlaczego to robisz? — pyta mnie, nawet nie starając się ukryć obrzydzenia.

Wyjmuję z ust fajkę.

—Robię co?

—To wstawanie. Zwlekasz się z podłogi i udaje ci się stanąć jakoś na nogi. Dlaczego to robisz, kiedy nie musisz nawet iść do pracy?

—Ponieważ, miły bracie — tłumaczę, uwalniając się od ekwipunku człowieka amfibii i na powrót stając się dwudziestoparolatkiem o łagodnym usposobieniu — muszę pracować. — Wyciągam korek z wanny, dając wolność wyimaginowanemu oceanowi, wstaję, wychodzę z wanny, przechodzę obok Chloe, która skromnie odwraca oczy, i chwytam ręcznik.—I zamierzam z tym nie zwlekać.

## W PARKU

Czwartkowy ranek ma dla mnie niespodziankę: śni mi się Amy. Siedzimy na tropikalnej plaży, morze skrzy się w słońcu, a na niebie pojawiają się gwiazdy, jakby ktoś zaciągał roletę. Jest ciepło, ale ja i tak przytulam Amy mocniej.

— Mmm, jak dobrze—szepcze i kładzie mi głowę na ramieniu. Jej włosy muskają mi twarz. — Mogłabym tu zostać na zawsze.

—Tak, to jest...

Zanim jednak udało mi się dokończyć myśl — a tyle chciałbym jej powiedzieć — rozlega się przeraźliwy, wysoki pisk. Rozglądam się, nie widzę jednak niczego poza palmami porastającymi brzeg plaży. Pisk przechodzi w urywany, wściekły szczek. Obracam się do Amy, a ona

podnosi głowę. W pierwszej chwili jestem zbyt wstrząśnięty, żeby zareagować na widok, jaki ujrzałem: z szyi Amy wyrasta głowa wilka toczącego z pyska pianę. Jestem jak sparaliżowany jej widokiem i dźwiękami, jakie dobywa z gardzieli, które teraz przeszły w upiorne wycie. Zaraz jednak odzyskuję panowanie nad sobą, odpycham ją, odwracam się i pędzę jak szalony plażą, wzywając pomocy i myśląc jedynie o tym, by ująć z życiem.

Budzę się zlany potem, którym zdążyła już nasiąknąć cała poduszka. Chociaż jednak oczy mam już otwarte i wiem, że jestem w swojej sypialni, potworny skowyt nie milknie. W końcu dociera do mnie, skąd się bierze: to Tłusty Pies, mój budzik. Chwytam go i z wściekłością ciskam o ścianę po drugiej stronie pokoju. Gdy w nią wali, wydaje jęk bólu i, nareszcie milknąc, spada na podłogę.

Dostałem Tłustego Psa na Boże Narodzenie od mojego świrniętego na punkcie gadżetów braciszka. Kiedy się włącza, zaczyna cichutko popiskiwać, po chwili warczy, przechodzi w gwałtowne szczekanie, by wreszcie osiągnąć rozdzierające uszy wycie. Do budzika dołączona była kartka z napisem: „Twoja nowa dziewczyna”. Cha, cha, cha. Duży bracik Billy. Jak zwykle strasz

nie dowcipny. Z tym że, jak na prezenty od niego, ten przedstawia się nie najgorzej. Bez wątpienia lepiej niż elektryczny ogrzewacz skarpetek, który dostałem przy innej okazji.

Nie po raz pierwszy Tłusty Pies wdarł się w moje sny. Co za ulga, bo inaczej musiałbym przywołać na pomoc Freuda, żeby wyjaśnić znaczenie koszmarne go snu. Wspaniale, na przykład, wyglądałaby następująca interpretacja:

a) Spokojna plaża odzwierciedla moją podstawową potrzebę bezpieczeństwa i emocjonalnej zmiany; przeistoczenie się Amy w wilka dokładnie w chwili, gdy chcę jej wyjawic moje uczucie, świadczy z kolei o moim strachu przed rezygnacją z niezależności; ergo jestem emocjonalnie niedojrzały i śmiertelnie się obawiam choćby myśli o związaniu się z kimś bliżej.

Albo

b) Amy przypomina z wyglądu wilka i dlatego wcale mi się nie podobają.

Bezpośredni związek pomiędzy sztywnością mojego penisa a czasem poświęconym na myślenie o seksie z Amy w ciągu tych paru dni, kiedy się z nią nie widziałem, nakazuje natychmiast drugą interpretację włożyć między bajki. W związku z tym pozostaje wersja (a). Nie dam się jednak wypuścić. Wcale nie jestem emocjonalnie niedojrzały. Mam tyle samo uczuć, co każdy inny facet. Problem tylko w tym, że jestem kapryśny, jeśli chodzi o ich wykorzystanie. Niczego też się nie obawiam. Bo i czego niby? W końcu to ja, a nie Amy, podejmuję decyzje, no nie? Co prawda to ona zadzwoniła do mnie we wtorek po południu. W porządku, nie ona jednak, lecz ja przedłużałem rozmowę i wciąż wynajdywałem nowe tematy. Ale to najzupełniej normalne, w końcu towarzyski ze mnie gość. Zaangażowałem się na tyle tylko, na ile sam chciałem, nic więcej. I w każdej chwili mogę się wycofać.

Nie ma sprawy. Rezygnacja z niezależności? Bzdura. Jestem tak samo niezależny jak w dniu, w którym ją poznałem.

To tyle, jeśli chodzi o Freuda.

Sięgam po telefon.

—Cześć, tu Jack. Co powiesz na lunch?

Z drugiej strony dobiega mnie przeciągłe — i, tak, muszę przyznać, że bardzo seksy:

—Jack?

— No wiesz, ten facet, z którym spędziłaś prawie cały weekend.

Znowu jęk, po czym pytanie:

—Która godzina?

— Mniej więcej ósma trzydzieści. Odchrząkuje.

—Hm-hm... Co... Co u ciebie?

Słyszę, że Matt wychodzi z łazienki.

—W porządku. Czemu jeszcze śpisz?

—Nie pracuję dzisiaj. „Praca dorywcza” mnie spławiła. — Jest wyraźnie przygnębiona.

—To smutne — stwierdzam. — Niech to, przeszkodziłem ci w błogim lenistwie?

—Nie, nie... Chociaż, w sumie, tak — śmieje się. — Ale nic nie szkodzi. Fajnie, że dzwonisz. — Milknie, a ja słyszę, że porusza się w łóżku. Oczyma wyobraźni widzę, jak leży z zaspanymi oczami i włosami rozsypanymi na poduszce. Szkoda, że mnie tam nie ma. — Lunch — odzywa się wreszcie. — Świetny pomysł. Gdzie?

Wyglądam przez okno.

— Wiesz co, zanosi się na kolejny piękny dzień. Może więc byśmy wybrali się do Hyde Parku. Urządzimy sobie piknik. Trochę się poopalamy.

—Brzmi super. O której? I gdzie? Hyde Park jest raczej duży.

— Wpadnij po mnie do pracy. — Ledwo to powiedziałem, zorientowałem się, że się wsypałem.

Ona także nie kryje zdziwienia.

—To znaczy gdzie, do domu?

—Ee, nie — improwizuję na poczekaniu. — To galeria w Mayfair. Mojego kumpla. Wyjechał, a ja obiecałem go zastąpić. Taka koleżeńska przysługa, kapujesz?

—Och, nieważne. Powiedz tylko, gdzie dokładnie.

Rozmawiamy jeszcze chwilę, po czym rozłączam się, przeciągam i w końcu wstaję. Nastrój mam iście szampański. Jestem wyspany, pełen energii, umysł mam jasny. A wszystko zaczęło się w poniedziałek i jak dotąd idzie jak po maśle. W poniedziałek już o jedenastej wszedłem do atelier i poza przerwą na lunch i szybką kawę, gdy Matt wrócił do domu, wyszedłem stamtąd o dziesiątej. Żadnej telewizji. Żadnego lenienia się w ogrodzie. Tylko praca.

Na pomysł wpadłem, siedząc w wannie i lecząc kaca: zabawki dużego chłopca. Zacząłem od przeglądu kolekcji czasopism Matta i powycinałem z nich zdjęcia wszystkich najmodniejszych akcesoriów, które następnie poprzypinałem na tablicy. Potem pożyczyłem jego samochód i pojechałem do Chelsea, gdzie w ArtStart kupiłem płótno. Metr na dwa i pół. Żeby dowieźć je do domu, musiałem złożyć dach spitfire'a. Resztę dnia spędziłem na przygotowywaniu wstępnych szkiców i gruntowaniu płótna. I wtedy zaskoczyłem na dobre. Zupełnie jakby włączył mi się w mózgu sygnał i wiedziałem, że teraz naprawdę coś się zmieni. Podobnie było we wtorkowy i środowy wieczór, gdy wracałem z pracy w galerii. Żadnego przesiadywania w pubie. Opuściłem nawet wólcę po West Endzie z Getem i Paddym. Tylko pracowałem. Tak jak powinienem był przez ostatnie sześć miesięcy.

—Skąd ten wyraz samozadowolenia na twoim licu? — pyta Matt, ledwie zjawiam się w kuchni.

—Nareszcie czuję, że żyję, stary. — Z miską w ręce siadam naprzeciw niego, sypię sobie muesli i zalewam mlekiem.

—Doprawdy? Jakież miłe perspektywy na dzisiaj?

—Nic specjalnego. Idę do galerii, jak zwykle.

—Aha. Właśnie — dodaje — na sekretarce masz jakąś wiadomość.

Zupełnie nie zainteresowany nie przerywam jedzenia.

—Od kogo?

—S&M.

Czuję, że na mnie patrzy.

—Czego chce?

—Cóż, na pewno nie twojego ciała, jeśli przeszłość w ogóle jeszcze ma dla ciebie jakieś znaczenie.

Uśmiecham się wbrew sobie.

—Cha, cha, niezły żart.

—Nie, pytała, czy w dalszym ciągu chcesz, żeby przyszła jutro. No wiesz, pozować.

—Och.

Czeka, aż powiem coś jeszcze, ja jednak milczę.

—No i co, wciąż masz nadzieję, że coś u niej zwojujesz?

—Chyba będzie najlepiej, jak poczekamy i zobaczymy? Unosi brwi, wcale nie zbity z pantałyku. — Racja.

—A to co ma znaczyć?

—Zgadnij. Trzy litery. Pierwsza A, ostatnia Y. Amy. Gapię się w miskę z muesli.

—A co ona ma z tym wspólnego?

—Chyba sam wiesz najlepiej.

—Nic. A czemu?

—Nie zamierzasz się z nią więcej spotkać?

—Tego nie powiedziałem.

—Więc jednak się z nią spotkasz — stwierdza. Odkładam łyżkę i przelykam to, co jeszcze miałem w ustach.

Kiedy podnoszę na niego wzrok, nie wiem, czy żartuje, czy też mówi serio.

—Tego też nie powiedziałem.

—Cóż więc w takim razie powiedziałeś?

—A bo ja wiem. Jeszcze się nie zdecydowałem.

—To znaczy, że nie umówiłeś się z nią dzisiaj na lunch? — Widząc moją zdziwioną minę, wybucha śmiechem. — Sorry, stary, ale nie mogłem sobie podarować, żeby nie usłyszeć tego i owego...



Teraz wkurzył mnie na dobre.

— Chciałeś powiedzieć: podsłuchać.

Matt jednak nie daje się sprowokować, tylko dalej szczerzy zęby jak głupi.

—Coś niesamowitego, doprawdy...

—Co mianowicie?

—Piknik w parku. Jakie to romantyczne. — Słowo „piknik” wymawia, jakby to była jakaś wyjątkowo zaraźliwa choroba.

—Pozwolę sobie zauważyć, że piknik jest formą lunchu. Park zaś jest miejscem, gdzie ludzie urządają sobie pikniki. Niekoniecznie musi to zaraz być coś romantycznego.

Nonszalancko wzrusza ramionami.

— Jak zwał, tak zwał. — Dopija kawę. — Osobiście nazwałbym to jednak romantyczną randką. Osobiście uznałbym to też za kolejny dowód, że Amy staje się kimś więcej niż tylko „kumpelą”. Osobiście radziłbym ci —jeśli jest tak w istocie — żebyś bardzo ostrożnie postępował w kwestii S&M.

—To znaczy?

Matt wstaje i nakłada marynarkę.

— Być może nadeszła właśnie pora na podjęcie decyzji — rzuca, zmierzając ku drzwiom.

Do galerii jadę na rowerze i docieram na miejsce przed czasem. Chwilę trwa, zanim udaje mi się wejść do środka. We wtorek w nocy ktoś bezskutecznie próbował się włamać, ale i tak zniszczył doszczętnie drzwi. Teraz więc są nowe drzwi i nowe zamki; co więcej Paulie wisi mi kasę, którą wyłożyłem na ich zainstalowanie. Od ponad tygodnia, kiedy to wyjechał na wspinaczkowe wakacje do Nepalu, nie miałem od niego żadnych wiadomości. Ale nie narzekam. Chociaż kawał kutasa z tego Pauliego. Ma dobrze ponad czterdziestkę, dawniej pracował w City, jest mul-timilionerem o arogancji szerszej niż Kanał Panamski, natomiast osobowości szcurzych odchodów. Kiedy przeprowadzał ze mną rozmowę kwalifikacyjną, wcale nie krył, że sztuka guzik go obchodzi, a galerię otworzył tylko po to, żeby mieć czym szpanować podczas proszo-

nych obiadów. Ale, jak kiedyś tłumaczył mi Chris, dla którego pracowałem w ProPixel: „To tylko praca, za którą ci płacą, więc ją wykonuj”.

Powiedziałem sobie, że jego rada, dobra wtedy, także i teraz nie straciła nic na wartości. Co z tego, że to śmiertelnie nudna praca? Cel uświęca środki. Dzięki niej mam na czynsz. I jakoś sobie radzę. Więc nie narzekam, tylko robię, co do mnie należy. Wchodzę do środka, parzę sobie kawę, sadowię się przy stoliku obok drzwi i szczerzę zęby do ludzi zaglądających przez okno wystawowe, robiąc co w mojej mocy, żeby wyglądać profesjonalnie i zachęcająco.

Wytrzymuję tak jakieś pięć minut. Potem zaczynam kręcić się po kuchni na tyłach galerii. Słucham radia, palę papierosa i rozmyślam o porannej rozmowie z Mattem. Jak zwykle miał rację co do McCullen. Lub raczej co do McCullen i Amy. Ponieważ obie się nawzajem wykluczają. A sytuacja jest delikatna, chodzi w niej bowiem o wierność.

Przez dwa lata, kiedy byłem z Zoe, wierność nie była żadnym problemem; nie zdradzałem jej, i o ile mi wiadomo, ona odpłacała tym samym. Mój pogląd w tej mierze był jasny i prosty jak parasol:

a) Różnica pomiędzy uprawianiem seksu z kimś, z kim się chodzi, a kimś, z kim się nie chodzi, leży w podejściu emocjonalnym.

b) Jeżeli uprawiasz z kimś seks na bazie emocjonalnej, to znaczy, że ci na tym kimś zależy.

c) Jeżeli ci na kimś zależy, to przecież nie masz ochoty go (jej) oszukiwać.

d) Jeżeli z łatwością przychodzi ci oszukiwanie osoby, z którą chodzisz, to znaczy, że ci już na niej nie zależy.

e) Jeżeli ci na niej już nie zależy, wtedy nie powinieneś z nią chodzić.

f) Jeżeli osoba, z którą chodzisz, nie jest ci wierna, to nie warto, żeby ci na niej zależało.

Nie znaczy to, że potępiam niewierność jako taką; wręcz przeciwnie. Nie twierdzę też, że nigdy nie miałem udziału w cudzej niewierności, bo bym skłamał. Pomiedzy Zoe a chwilą obecną sypiałem z mężatką i

dwoma dziewczynami, które miały od dawna stałych facetów. We wszystkich tych przypadkach nie ja jednak podejmowałem decyzję o zdradzie, tylko one. Według mnie, zdrada przekroczyła ich progi, nie mój. Osoby samotne są z definicji drapieżnikami. Z chwilą, gdy zerwałem z Zoe, stałem się wolnym strzelcem. Nikomu nie byłem winien seksualnej wierności. To, że sam nie zdradzałem, pozostając z kimś w stałym związku, nie oznaczało, że powinienem się boczyć, gdy inni chcieli zakosztować zakazanego owocu ze mną.

Zdaję sobie jednak sprawę, że mój błogosławiony stan osoby wolnej właśnie znalazł się w bezpośrednim zagrożeniu. Jakieś jednak uczucia do Amy żywią. Nic wielkiego na razie. Nie jestem oszalałym z miłości trubadurem, który bez wahania rzuciłby się na własny miecz, czy coś w tym stylu. Mimo to jednak cieszę się na myśl, że za parę godzin się zobaczymy. Wszystko przecież musi mieć gdzieś swój początek. A jeżeli właśnie coś się między mną a Amy zaczyna, to znaczy, że czas skończyć polowanie na McCullen. Muszę się na coś zdecydować. O tym właśnie truł Matt przez cały ranek. Pytanie, na które muszę sobie odpowiedzieć, brzmi: Czy chcę, żeby pomiędzy nami do czegoś doszło? Gdyż jeżeli odpowiedź brzmi tak, wtedy — obojętnie, jak długo ma to trwać — będę jej wierny. A to oznacza koniec bajerowania McCullen. Koniec bajerowania w ogóle.

Doprawdy niebagatelna to decyzja.

Amy zjawia się w galerii cztery minuty po pierwszej. Wiem, ponieważ przez ostatnie dziewięć minut właściwie nie spuszczałem oka z zegara na stole, kiedy to przygotowując się na jej przybycie, przyjąłem taką oto wystudiowaną pozę: nogi na stole, na kolanach rozłożone ilustrowane wydanie historii dadaizmu. Amy stuka palcami w szybę wystawową, ja obojętnie podnoszę wzrok i dopiero widząc ją, uśmiecham się i wstaję. Nosi klapki i tę kolorową, długą do kolan sukienkę we wzory. Włosy ma spięte. W jej wypadku mogę w stu procentach zastosować zasadę oceny kobiecego ubioru mego przyjaciela Andy'ego: „Kobieta wtedy jest dobrze ubrana, kiedy patrząc na nią, widzisz ją wyłącznie na-

gą". Podchodzę i otwieram drzwi. Przez chwilę stoimy w progu, uśmiechając się niepewnie, potem ja się nachylam i nasze usta się spotykają.

Kiedy wreszcie się od siebie odrywamy, palcem muskam ją po nosie.

—Cała opalenizna już zeszła...

Rumieni się i wykrzywia twarz w zabawnej minie.

—Trwało to całe pięć słoików kremu Nivea...

Zagłąda przez moje ramię do galerii i uśmiecha się do mnie.

—Jak to jest dla odmiany popracować trochę uczciwie?

W tym momencie z zakamarków mego mózgu defiladowym krokiem wychodzi Brygada Czystego Sumienia, w nieskazitelnie białych mundurach, uzbrojona w mopy i kubły mydlanej wody. „Spójrzcie, jak tu wygląda”, mruczą z obrzydzeniem. „Najwyższy czas, żebyśmy zrobili porządek i usunęli co nieco tego gówna”. W tym względzie mają absolutną rację: naprawdę poczułbym się o niebo lepiej, gdybym zdobył się wreszcie na odwagę i wyznał jej, że tak naprawdę pracuję tu regularnie, trzy dni w tygodniu.

Kiedy jednak zamierzam już otworzyć usta i wyrzucić z siebie, że wszystko, co jej do tej pory opowiadałem, to tylko czcza gadka, i że pragnę tu i teraz wyznać całą prawdę, bo wiem, że mnie nie wyśmieje, tchórz mnie oblatuje. A co, jeśli jednak mnie wyśmieje? Pomyśli sobie: „Skoro raz mnie już okłamał, na pewno zrobi to znowu”? I wszystko, zanim jeszcze na dobre się zaczęło, znajdzie swój koniec. Stoję więc i milczę. A ludzie, którzy prawdę znają, Chloe i Matt, stoją za mną murem, ramię w ramię. Amy nie ma prawa dowiedzieć się kiedykolwiek.

— Pozwól, że ujmę to w ten sposób — mówię, woląc raczej zignorować jej pytanie, niż kłamać wprost. — Im szybciej się stąd przeniesiemy do parku, tym lepiej.

Obracam znak na drzwiach napisem „Zamknięte” do przodu, przekreślam starannie wszystkie zamki i możemy już wyruszać do Hyde Parku. Po drodze gadamy trochę o naszym weekendzie, a także o tym, co każde z nas od tamtego czasu porabiało i wpadamy do sklepu, żeby kupić kilka kanapek i coś do picia. Nagle nasze ręce się o siebie ocierają i zanim zdążę pomyśleć, czuję, jak jej palce splatają się z moimi. Drgnąłem. To

idiotyczne, wiem, przecież nasze ręce dotykały nawzajem o wiele bardziej intymnych części naszych ciał. Ale to działo się za zamkniętymi drzwiami albo pod wpływem alkoholu, albo z dala od Londynu. Nigdy na zalanym jaskrawym słońcem gruncie domowym. Myślę, że odstraszyło mnie znaczenie samego gestu. Bo oznacza on tylko jedno: Hej, ludzie, patrzcie, oto ja i oto ona, i właśnie jesteśmy razem.

— Co jest? — pyta ze śmiechem, przystaje i spogląda w dół na nasze złączone dłonie.

Nerwowo przygryzam policzek od środka, wreszcie mówię:

—Nic, tylko trochę to dziwne, nie sądzisz?

—Jeśli nie chcesz, nie musimy tego robić — zauważa ze szczyptą złośliwości i zabiera rękę. — Masz rację, tak chyba będzie najlepiej.

Stoję kompletnie skołowany, nagle zbity z pantafelku, z lewą ręką obciążoną torbą z zakupami, prawą zaś dziwnie pustą.

— O co chodzi? — pytam w końcu.

Mruży oczy i atakuje: — Jak to o co? Myślisz, że jestem aż taka głupia? Że nie wiem, jak to działa?

Wciąż nie mam pojęcia, co chce powiedzieć. Nawet nie wiem, czy przestała żartować.

—Co działa?

—Na przykład trzymanie się za ręce. Mamusia kazała mi uważać na takich mężczyzn jak ty. Najpierw trzymanie za rączki, potem buziak w policzek. I zanim się obejrzę, już będziesz chciał się ze mną kochać, zajdę w ciążę, a ty mnie rzucisz dla innej ladaczniczki.—Wydyma wargi, jak mała dziewczynka. — Ostrzegam cię, Jacku Rossiter, ja nie jestem z tych.

Parskam śmiechem.

— W porządku — zaczynam ją przeproszać. — Rozumiem. — Wyciągamy do niej rękę, ona jednak tylko unosi brwi, jakby czekała na coś jeszcze. — Proszę — mówię więc. — Naprawdę tego chcę.

—Jesteś pewny?

—Absolutnie.

Kiedy nasze ręce łączą się znowu i idziemy dalej, muszę przyznać, że to bardzo miłe uczucie.

Trawniki parkowe w pobliżu głównych ulic zapchane są ludźmi. Chyba wszyscy urzędnicy postanowili spędzić przerwę na lunch na świeżym powietrzu, wykorzystującienne przydziały nie przefiltrowanego tlenu i promieni słonecznych. Wszędzie widać tylko pozadzierane spódnice, podwinęte rękawy i poluzowane krawaty. Trawa tonie w powodzi pustych butelek po wodzie Evian i opakowaniach Pret A Manger. Wędrujemy z Amy, lawirując między tymi przeszkodami, ludzi stopniowo jest coraz mniej, aż wreszcie natrafiamy na spokojny zakątek w centrum parku. Siadamy w cieniu wielkiego drzewa, jemy, pijemy i gadamy.

Przede wszystkim muszę zauważyć, że cała ta sytuacja wydaje mi się trochę nierealna. Ku swojemu zdziwieniu wczuwam się w rolę, zaśmiewam się z jej dowcipów, zasypuję ją pytaniami, drocę się z nią i na każdym kroku utwierdzam w przekonaniu, że nigdzie i z nikim lepiej jej nie będzie. Jednym słowem, robię wszystko to, co dziewczyny uwielbiają, albo przynajmniej to, co — jak nauczyło mnie doświadczenie — sprawia, że dziewczyny uwielbiają mnie. Nagle jednak, sam nie wiem kiedy, przestaję kontrolować sytuację. Znika gdzieś Super-Jack, ani śladu po Jacku Słuchaczu, podobnie jak po wszystkich innych wcieleniach, których się nauczyłem od czasu zerwania z Zoe. Został tylko ten prawdziwy, czyli Jack We Własnej Osobie, co przepełnia mnie uczuciem ulgi. Czuję, jak się rozluźniam. Leżymy obok siebie, wpatrujemy się we wzorki, jakie na tle nieba tworzą liście, i nagle rozmawiam z nią tak, jak nie rozmawiałem z żadną poza Zoe, a czego bardzo pragnąłem.

— To całe zamieszanie z rękami — zacząłem. Delikatnie dotyka moich palców swoimi.

— Chodzi ci o to?

— Tak — przyznaję, ujmując jej dłoń. — Właśnie o to.

— I co z tym zamieszaniem?

— Sam nie wiem. Wydaje mi się, no wiesz... że to coś oznacza. Tworzy więź. Chcę powiedzieć, że kiedy widzisz dwoje ludzi trzymających się za ręce, myślisz o nich tylko w jeden sposób, mam rację?

—Że są razem...

—Tak, ale jest w tym coś więcej. Zakładasz, że to im odpowiada i są z tym szczęśliwi.

Nie cofając dłoni, unosi się i wsparta na łokciu spogląda na mnie z góry.

—A ty? Czy tak właśnie się czujesz, kiedy jesteś ze mną?

—Tak mi się zdaje.

Marszczy lekko brwi. — Zdaje ci się?

Staram się jej to jakoś wytłumaczyć. — No, przecież nie możesz tego wiedzieć na pewno — zaczynam się jąkać. — Ja przynajmniej nie wiem.

Wygląda na zawiedzioną, jednak kiedy się odzywa, jej głos brzmi bardzo spokojnie.

—Cóż, Jack, każdy czuje to, co czuje. To proste. Nie da się tego w żaden sposób zaplanować. Tak się dzieje i już. — Kiedy to mówi, mam wrażenie, że setki razy doświadczała czegoś podobnego.

—Gadam jak pokręcony, no nie? — podsumowuję.

—A spodziewałeś się czegoś innego? Jesteś tylko facetem i to należy do twojej charakterystyki.

—Cholernie mnie krępuje, że tak się przed tobą otwieram— krzywię się. — Choć może stwierdzenie „nie otwieram się” byłoby bardziej na miejscu.

—Nie musisz mówić niczego, na co nie masz ochoty — zauważa.

—Wiem. Ale w tym właśnie cały problem, Amy. Ja chcę ci to powiedzieć.

—Co?

— Że ten weekend był wspaniały i że dzisiaj też jest wspaniale i... i chcę, żeby było tak jak najczęściej. — Milczy, ponieważ wie, że jeszcze nie skończyłem. I ma rację. Ja jednak wciąż się waham. Może jednak wcale tego nie chce? Zależy jej, to pewne, ale na ile? Może dla niej to tylko coś przelotnego, chwilowego? Powiem jej, że jestem bardzo zainteresowany dalszym ciągiem, chciałbym czegoś więcej niż tylko miłe bzykanko, a ona się przestraszy. Jestem jeszcze ja, także cholernie wy-

straszony. Bardzo możliwe, że to tylko chwilowe, letnie zaćmienie, a za dwa tygodnie zacznę się dusić w związku, którego tak naprawdę wcale nie chciałem.

Ściska moją rękę mocniej.

—Czy wiesz, co ja czuję?

—Nie, ale powiedz mi.

— Bardzo mi to wszystko odpowiada. — Potrząsa głową i uśmiecha się. — Cholernie odpowiada. Czuje się wspaniale. — Podsuwa mi pod oczy nasze złęczone dłonie. — To coś cudownego. Właściwego. Dokładnie to, czego chcę.

—A jeśli zaprowadzi nas to donikąd?

—W takim razie trudno.

Na tym koniec. Zalewa mnie fala ulgi. Niknie wszelka presja. Wiemy już, na czym stoimy. Robimy to, co miliony nam podobnych każdego dnia: rzucamy kostką i czekamy, ile punktów pokaże.

— No i dobrze — ucinam. — Kiedy nas zobaczą, jak się trzymamy za ręce, i pomyślą, że jesteśmy parą, będą mieli rację.

—Właśnie.

Całujemy się, ale tym razem smakuje to inaczej niż wszystkie nasze dotychczasowe pocałunki. Kiedy nasze usta się spotykają, mam wrażenie, że oto przypieczętowaliśmy dopiero co zawarty pakt. Przerażające, ale i cudowne jednocześnie. To jest to, myślę sobie. Koniec jednego etapu w życiu i początek nowego. Nasze języki się łączą, a ja zdaję sobie sprawę, że nasze życia także. Kiedy jednak przerywamy pocałunek, one związane są w dalszym ciągu. Jeśli to się zmieni, to tylko wtedy, gdy jedno z nas tak zdecyduje. I to tylko wtedy, gdy przestaniemy wierzyć w wypowiedane do siebie słowa. Kto wie? Może tak jest zapisane w kartach? Ale chyba niewiele możemy na to poradzić. Z drugiej jednak strony istnieje prawdopodobieństwo, że to coś prawdziwego, na myśl o czym uśmiecham się błogo, gdy z Amy w ramionach zapadam w sen na trawie. Wracam do galerii koło czwartej, wciąż jeszcze otumaniony słońcem i oszołomiony tym, co właśnie się stało. W skrzynce na listy tkwi koperta, którą rozrywam i czytam znajdujący się wewnątrz list.



Napisane w nim jest: *Natychmiast zadzwoń do mnie na komórkę. Paulie.* Do diabła. Do diabła, do diabła, do diabła. Nie wierzę własnemu pechowi. Raz jeden, jedyny zdarza mi się bumelka, a on właśnie wtedy musi się pojawić. Wchodzę do środka, zbieram się w sobie i wykręcam jego numer. Nie jest w najlepszym nastroju. Pomyłka. Jest w nastroju morderczym. Wyjaśnia mi, pomagając sobie morzem epitetów, że właśnie wyszedł na dumnia przed nową dziewczyną, bo nie mógł wejść do swojej własnej galerii tylko dlatego, że pozmiały się wszystkie zamki. To jednak, jak mam okazję szybko się przekonać, jest zaledwie przygrywką do naprawdę złych wiadomości.

Ja: Paulie, posłuchaj, nawaliłem, przyznaję. I naprawdę jest mi cholernie przykro. I przysięgam, że więcej nic podobnego się nie powtórzy.

Paulie: W tym względzie masz cholerną rację, a chcesz wiedzieć dlaczego? Ja: Dlaczego?

Paulie: Ponieważ, do kurwy nędzy, jesteś od tej chwili zwolniony. Masz zamknąć galerię i oddać klucze Timowi Lee w sklepie obok i nie chcę cię więcej widzieć na oczy. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Ja: To wszystko?

Paulie: Wszystko.

Ja: Jest tylko jedna rzecz, której nie rozumiem.

Paulie: Mianowicie?

Ja: Dlaczego tak źle cię słyszę?

Paulie: Bo lecę helikopterem. Co to jednak, kurwa, ma wspólnego...

Ja: Gdzie dokładnie jesteś?

Paulie: W połowie drogi do Paryża. Ja: Aha.

Paulie: Co to znaczy, aha?

Ja: A to, że byłoby lepiej, gdybyś zawrócił, ponieważ zostawię te twoje głupie klucze w twoich głupich drzwiach, a twoje głupie drzwi zostawię otwarte na oścież!

Oczywiście nie spełniłem swojej groźby. Częściowo dlatego, że Pauliego stać na lepszego adwokata niż mnie, a częściowo, ponieważ jestem bardziej przybity niż nastawiony bojowo. Zamykam więc grzecznie galerię po raz ostatni, a klucze podrzucam Timowi.

Jeśli chodzi o klęski, to przy tej, która właśnie mnie spotkała, wojna stuletnia wygląda jak nieszkodliwa sprzeczka. Wpływ, jaki wywrze na moje życie, jest trudny do oszacowania. Zero dochodów = Niemożność utrzymania dotychczasowego poziomu życia = Brak innej możliwości poza kupnem biletu w jedną stronę do miejscowości Kretańska Praca = Koniec z ambicjami i początek życia upływającego na bezsensownej harówce.

Właśnie utraciłem jakąkolwiek kontrolę nad własnym życiem —to jest, jeśli w ogóle kiedyś ją miałem, wobec czego w poczuciu kompletnej niemożności wsiadam na rower i udaję się do domu, na mieszkanie w którym przestało mnie właśnie być stać. Nigdy wcześniej się tak nie czułem. No, prawie nigdy.

*Wyznania. Nr 4. Niemożność.*

Miejsce: Mój pokój w akademiku, Edynburg.

Czas: 23.30,2 października 1991.

Ella Trent to był kociak. Mało powiedziane. Ella Trent była najlepszym kociakiem. Nogi Julii Roberts z *Pretty Woman* do kwadratu. Twarz Urny Thurman, kiedy tańczy z Johnem Travolta w *Pulp Fiction*. Cycki Jamie Lee Curtis w *Nieoczekiwanej zmianie miejsc*. I zimna charyzma Lauren Bacall. Gdyby istniała szkoła, do której głównym kryterium przyjęcia byłaby uroda, a nie IQ, wówczas Ella Trent z całą pewnością znalazłaby ile na okładce broszury reklamowej. Mężczyźni nie tylko się za tą kobietą oglądali, oni sobie po prostu skręcali karki. A mnie się udało ją poderwać.

Naturalnie to nigdy nie miało prawa się zdarzyć. Była ona i byłem ja. Północ & Południe. Słodczy & Gorycz. Piękna & Bestia. Nas dwoje nigdy nie powinno było się spotkać. Ella Trent nie była przeznaczona komuś takiemu jak ja. Gwiazdorowi filmowemu albo gwiazdzie rocka? Owszem, jak najbardziej. Randka w ekskluzywnej hollywoodzkiej

knajpce? Znowu jak najbardziej. Ale Jack Rossiter przed „The Last Drop” w strugach ulewnego deszczu? Nigdy. Na wieki wieków nigdy.

Nie, żebym się uskarżał na ten niespodziewany uśmiech losu. Miałem dziewiętnaście lat, byłem na drugim roku studiów artystycznych w Edynburgu. Tylko dlatego udało mi się zaliczyć rok pierwszy, że Ella Trent studiowała na tym samym piętrze biblioteki co ja. W przerwach między gapieniem się w książki, gapilem się na nią. Gapilem się i planowałem, i kombinowałem. I w końcu zdobyłem się na odwagę, żeby do niej zagadać. Po nad wyraz subtelnym wstępie (prośba o pożyczenie długopisu i tym podobne) udało mi się nawiązać znajomość znaczoną skinieniami głowy podczas przypadkowych spotkań.

Jednak nie zawartość jej piórnika wzbudzała moje największe zainteresowanie. W owym czasie na czele listy moich fantazji seksualnych — wyobrażałem sobie wszystko zawsze w odwrotnej kolejności, żeby spotęgować podniecenie — znajdowało się, co następuje:

5. Trójkąt w łóżku, składający się ze mnie, Hayley i Becky, bliźniaczek z mojego roku.

4. Schwytanie w niewolę przez plemię nadzwyczaj atrakcyjnych Amazonek w celach prokreacji.

3. Chłosta mokrym halibutem w wykonaniu Mademoiselle Chaptal, mojej szkolnej nauczycielki francuskiego.

2. Szczęśliwe przeżycie katastrofy lotniczej i wylądowanie na bezludnej wyspie jako jedyny ocalały mężczyzna wśród całej gromady uczestniczek konkursu Miss Świata. 1. Osiągnięcie jednoczesnego orgazmu z Ellą Trent jako ukoronowanie długiej i upojnej nocy wypełnionej wyczerpującym seksem.

Z wyjątkiem punktu 3 z rybą jako fetyszem (co przypuszczalnie wynikało z mojej studenckiej diety, na którą głównie składały się frytki i wąłusz) uważam, że jak na młodego człowieka była to całkiem przyzwoita lista. Ella Trent zajmująca miejsce wyższe od nieograniczonego

dostępu do wyuzdanych Amazonek? Zaskakujące, doprawdy. A jednak to ona była *numero uno*.

I oto jestem z nią w moim pokoju, po wstępnym obściskiwaniu się pod „The Last Drop” i potem, w taksówce. Patrzę, jak się rozbiera, i rozkoszuję się każdą chwilą. Oto spełniają się moje najskrytsze życiowe marzenia. Jeśli chodzi o nią, to jest zalana w trupa, zgubiła okulary, pomyliła mnie z Bradem, studentem z Australii, w którym się podkochiwała. No i co z tego? W tej chwili byłem całkowicie pewny, że jej obecność w moim pokoju jest wyłącznie rezultatem błyskotliwej, sprawnie przeprowadzonej kampanii. Biblioteka była miejscem akcji rozpoznawczej. Natknąłem się na nią w „The Last Drop”. Przypadkowo wpadłem na nią przy barze. Nawijałem, bajerowałem i czarowałem, jakby zależało od tego moje życie.

I mój plan się powiódł.

Jest tu, w mojej sypialni i w bardzo krótkim czasie ląduje na moim łóżku, zupełnie naga. Zwyciężyłem. Zobaczyłem. I wkrótce przyjdzie spełnienie. Lub raczej, jak w mojej fantazji numer jeden, spełnimy się oboje jednocześnie. Rybka była w sieci i nic nie mogło mi zepsuć połowu. Oto czeka mnie Bzykanie Stulecia. Będzie wspaniale, pieprzenie cudownie, pieprzenie fantastycznie, wszystko naraz. Zostanę jej Clintem Eastwoodem, Seanem Connerym i Richardem Gere'em. Zapamięta mnie do końca swoich dni. Domagało się tego moje ego.

Na początku wszystko szło jak z płątka. Obłapialiśmy się, wili, turlali po prześcieradle, jęcząc z rozkoszy. Pieściliśmy się, głaskali, macali. Prawdziwie mistrzowska gra wstępna. Na piątkę. Gdzie tam, na szóstkę, jak nic. Nigdy w życiu nie byłem taki napalony.

— Teraz — powiedziała. — Teraz. Już, nałóż prezerwatywę. Och, proszę, zrób to. Zrób to, teraz.

Chociaż jednak mój plan działał bez zarzutu, to co innego, niestety, wyraźnie szwankowało, co zauważyłem, usiłując nałożyć kondom. Być może była to wina ośmiu kufli piwa, które wlałem w siebie, żeby ukoić rozklekotane nerwy i zdobyć się na atak frontalny na Ellę. A może niepewność, czy jestem w stanie sprostać oczekiwaniom i standardom jej

niesamowitego ciała. -Albo zwykły szok, że oto osiągnąłem coś, co wydawało mi się nierealną mrzonką.

Nieważne, jaka przyczyna, skutek był jeden: dziwne, omdlewające uczucie w brzuchu i spadek napięcia w kroczu. Patrzyłem, jak mój uzbrojony w kondom penis kurczy się i marszczy niczym dziurawy balon. Nie. To niemożliwe. Nie teraz. Nie z nią. Nie mogę na to pozwolić. W panice, zdesperowany, zacząłem na gwałt przywoływać w wyobraźni moje fantazje, od numeru drugiego do piątego. Niestety, mój ptaszek co innego miał w głowie. Po raz pierwszy odkąd przyszedłem na ten świat, przestał żyć własnym życiem. Zamiast tego najzwyczajniej umarł. I to śmiercią gwałtowną. Ella i ja patrzyliśmy, jak opada, kurczy się, maleje, by wreszcie zwiędnąć całkowicie.

—Nie wierzę — wyjąkałem.

— Coś ty — wysyczała, wstając z łóżka i podnosząc z ziemi majtki.

— Nigdy mnie coś podobnego nie spotkało.

Zakryłem twarz dłońmi.

—To wszystko wina mojej matki — wybełkotałem.

—Co takiego?

Mój australijski akcent był silniejszy niż zwykle.

— Bo nazwała mnie Brad. Zawsze się tego imienia wstydzilem.

## GADAJĄCE OBRAZKI

Na ogół wszelkie zmiany zachodzą powoli. Tak powoli, że się ich prawie nie zauważa. Na przykład dojrzewanie. Masz jedenaście lat i ani jednego włosa łonowego, którym mógłbyś się poszczycić, a za chwilę jesteś starszy o dziesięć lat i nie tylko masz dość włosów na łonie, żeby wypchać nimi średniej wielkości poduszkę, to jeszcze porastają ci one kłykcie i dziurki w nosie. Pytasz sam siebie: „Skąd mi się one wzięły? Kiedy z chłopczyka o delikatnej skórze zmieniłem się w faceta z włochatym brzuszyskiem?” Na te pytania nie ma, niestety, odpowiedzi,

gdyż owe zmiany nie następują z dnia na dzień, lecz zachodzą całymi latami.

Zdarza się jednak inaczej. Czasami zmiany następują z szybkością pociągu ekspresowego, do którego wsiadasz na jednej stacji, a już po kilku sekundach wysiadasz na zupełnie innej. Jesteś oszołomiony. Oszołomiony i przerażony, bo masz świadomość przebytego dystansu i wiesz jednocześnie, że wrócić się nie da.

Weźmy na przykład to, co dzieje się teraz. Jestem u siebie w sypialni, dochodzi 8 rano. Leżę w łóżku, ramieniem obejmując śpiącą piękną dziewczynę, której głowa spoczywa na mojej piersi, a oddech wtóruje mojemu. Kilka tygodni wcześniej na podobną sytuację zareagowałbym prawdopodobnie mniej więcej tak:

- a) W moim łóżku śpi dziewczyna; wspaniale, podryw się udał.
- b) Dziewczyna śpi w moim łóżku; cholera, to znaczy, że nie mogę dać nogi.
- c) Dziewczyna śpi w moim łóżku; lepiej ją obudzę — ale jak ona ma, do diabła, na imię?

Tym razem jednak wiem, jak ją dziewczyna ma na imię. To Amy. Jest sobota. Półtora tygodnia temu zostałem wylany z pracy. Półtora tygodnia temu przeprowadziłem z Amy rozmowę w Hyde Parku, podczas której miejsce Mnie i Jej zajęliśmy My.

I Amy jest tu teraz ze mną, a ja sobie myślę:

- a) Amy śpi w moim łóżku; wspaniale, podryw się udał.
- b) Amy śpi w moim łóżku; to dobrze, bo nie chciałbym, żeby to był ktoś inny.
- c) Amy śpi w moim łóżku; fantastycznie, ponieważ źle mi się budzi bez niej po nocach, które spędzamy oddzielnie.

Mimo początkowych oporów teraz dochodzę do wniosku, że zmiana niekoniecznie musi oznaczać coś złego. I dobrze, ponieważ zmiana nie dotyczy jedynie mojego nastawienia do rozpoczynania nowego dnia ze

śpiącą u mego boku Amy. Zmiana, jak niegdyś słusznie zauważyli hip-pisi, zachodzi wszędzie wokół. Przynajmniej w mojej sypialni na pewno. Starzy przyjaciele — ukochane plakaty z porozbieranymi dziewczynami, kolekcja krwawych plam, w poprzednim wcieleniu będących owadami na szybie okiennej, ogólnie znana pod nazwą „Giń, leć, giń!”, cuchnące skarpety, bokserki — wszystko zostało odpowiednio pozrywane, zmyte i wsadzone do pralki. Główne przemiany jednak bez wątpienia dotyczą mego łóżka. Prześcieradła, kołdra, poduszki — wszystko jest świeżo wyprane i wymaglowane. W popielniczce na nocnym stoliku doliczyć się można zaledwie czterech, a nie jak zwykle czterdziestu petów. A „Playboy” z marca 71 roku — prezent od Matta na dwudzieste piąte urodziny — spod materaca powędrował do pudła na szafie.

Nie każda jednak zmiana jest korzystna. Czasami bywa też bolesna. Jak na przykład ta dotycząca mojej pracy.

W pierwszym odruchu po powrocie do domu w ten feralny dzień, kiedy to straciłem pracę, chciałem wykonać podobiznę Pauliego z szakalego łajna, na płytkach w ogrodzie wyrysować kredą pentagram, po czym wbijać w poszczególne części jego ciała druty, zmagając od tyłu Ojcie Nasz. Szybko jednak porzuciłem ten zamysł, głównie z przyczyn praktycznych (szakale łaj no jest właściwie nie do zdobycia o tej porze roku). Zamiast tego zacząłem sobie schlebiać i wspominać, jaki to byłem dobry w poprzedniej pracy, nie powinienem więc mieć najmniejszych problemów z szybkim znalezieniem czegoś podobnego, chociaż tym razem jako wolny strzelec. Bywają jednak chwile, kiedy cały świat zmagia się przeciw tobie i dowodzi swojej wyższości, miażdżąc twoje ego niczym nędzną mrówkę. Dziesięć telefonów i dziesięć odmów później nie mogę oprzeć się wrażeniu, że oto nastąpiła właśnie jedna z takich chwil. dzielnie przelykam tę gorzką pigułkę i wiem, że pozostało mi tylko jedno honorowe wyjście z sytuacji: żebry.

Sporządzam listę potencjalnych dobroczyńców:

- 1.Ojciec. W tydzień po moich ósmych urodzinach tatuś powiedział „pa” mojej mamusi, Kate, Billy'emu i mnie. Dwoje dzieci i żona, której

już nie kochał, połączone z niedogodnościami ciągłego podróżowania pomiędzy Bristollem a Londynem uczyniły go podatnym na wątpliwe wdzięki Michelle Dove, jego ówczesnej sekretarki. Wbrew nadziejom mojej matki, tata i Michelle nadal są szczęśliwym małżeństwem. Mieszkają w pięknej posiadłości w Holland Park i dzielą swój czas na wydawanie kroci, jakie agencja nieruchomości taty zarobiła w czasie boomu lat osiemdziesiątych i wychowywanie dwójki dzieci, Daviego (14 lat) i Marthy (lat 13). Tata i ja spotykamy się dwa razy do roku (z okazji urodzin i Bożego Narodzenia). Prawdopodobieństwo poratowania mnie gotówką: 0. Prawdopodobieństwo ponowienia oferty ułatwienia mi startu w City: wysokie.

2.Mój brat, Billy. Wciąż zauroczony wszystkim, co związane z techniką, zajmuje się marketingiem w jednej z firm komputerowych w Docklands. Billy ma rodzinę i hipotekę do spłacenia. Radzi sobie nieźle i jest szczęśliwy. Ale ma jakąś przyszłość. Dzieciaki, o których musi myśleć. Nie powinienem zmuszać go do odgrywania roli tatusia, co z powodzeniem robił, kiedy Kate i ja byliśmy mali.

3.Moja matka. Proszenie ją o pieniądze postawiłoby mnie w jednym szeregu z Neronem w ubieganiu się o pierwsze miejsce w konkursie na przyzwoitość. Mama jest kasjerką w banku i po opłaceniu hipoteki i rachunków niewiele jej zostaje. Na pewno wytrzasnęłaby skądś pieniądze, jak robiła to zawsze, kiedy byłem studentem, ale zwykle potem czułem się jak szmata.

4.Moja siostra. Studentka. Równie dobrze mógłbym prosić trupa o wskazówki dotyczące zdrowia. Nie ma o czym mówić.

5.Matt. Trochę niezręcznie. Ponieważ Matt ma kupę kasy. I jest moim najlepszym przyjacielem. Ja zrobiłbym dla niego to samo, ale on jest już i tak wystarczająco hojny. Czułbym się bardzo głupio, gdybym pożyczął od niego żywą forszę. Myślę, że w grę tu wchodzi kwestia szacunku dla samego siebie.

Trudno nazwać to listą marzeń. W chwilach desperacji trzeba się chwytać wszystkiego. Opierając się na założeniu, że cień szansy jest



lepszy od jej braku, zaszczyliłem telefonem tatę. Jego recepcjonistka potraktowała mnie wrednie, on sam jednak, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, chętnie przystał na spotkanie. Umówiliśmy się na lunch we wtorkowe popołudnie.

Wszystko poszło dobrze. To znaczy względnie dobrze. Dobrze jak na spotkanie z krewnym, który wzdycha na sam mój widok. Chwilę rozmawialiśmy, dzieląc się nowinami. Szybko jednak przeszedłem do rzeczy i spytałem, czy nie mógłby mi pożyczyć nieco kasy, na co usłyszałem, że pora już najwyższa, abym stanął na własnych nogach. Wtedy powiedziałem mu o stracie pracy, na co on zaproponował rekomendację do znakomitej firmy brokerskiej. Przyznałem się więc, że nie chciałbym rezygnować ze sztuki, on w odpowiedzi westchnął i zajął się s woj ą sałatką z homara. A potem zrobił coś, co zdarzyło mu się chyba po raz pierwszy w życiu: zaproponował rozwiązanie mogące zadowolić nas obu. Otóż oznajmił, że zleci wykonanie pracy, która miałaby zawisnąć w recepcji jego nowego biura w Knightsbridge. Wtedy ja zrobiłem coś, co również zdarzyło mi się chyba po raz pierwszy: podziękowałem mu, zapewniając jednocześnie, że go nie zawiodę.

W piątek rano do domu Matta wmaszerował — albo raczej się wturlał — Willy Fergusson, dyrektor do spraw marketingu w firmie taty. Już po raz drugi z rzędu odwołałem sesję z McCułlen, wciskając jej kit o pogrzebie w Bristolu. W zeszłym tygodniu, wciąż jeszcze nie mogąc wyjść z depresji wywołanej wylaniem z pracy, nie miałem najmniejszej ochoty na spotkanie z nią. No i w grę wchodziła też nasza umowa z Amy. Musiałem sobie wszystko poukładać, a nie ryzykować, że na widok Sally zapomnę, iż nie jestem już wolny. Przełknęła to gładko, co powitałem z ulgą, bo chociaż przestała mnie interesować jako zdobycz, jej portret nadal chciałem skończyć.

Willy był dobrze po pięćdziesiątce, łysiał i taszczył przed sobą brzuszysko, na które zapracować sobie można jedynie latami obfitych lunchów i obiadków. W kąciuku ust, w gąszczu wąsa tkwiło coś, co wyglądało mi na gotowaną fasolkę. Zaprowadziłem go do atelier, gdzie roz-

wiesiłem osiem swoich prac. Przyglądał się im, jakby studiował menu w McDonalddie.

—Trzy tysiące funtów—oznajmił na koniec.—Tysiąc z góry, reszta po wykonaniu pracy. Tylko żeby to było duże, bo przecież jesteśmy dużą firmą. Interesują nas wyłącznie rzeczy duże. Mniej więcej coś takiego—ciągnął dalej, wskazując na obraz z zabawkami dla dużych chłopców. — Tylko mniej zwariowane.

—Czy mógłby pan określić dokładniej, co pana interesuje? — zapytałem grzecznie.

—Coś jaskrawego. Na widok czego ludzie mieliby lepszy humor.

—Coś jaskrawego...

—Na przykład żółtego.

—Żółtego?

—Albo pomarańczowego. Tak... pomarańczowy będzie w sam raz.

—A cytrynowy? — zapytałem, ledwo wierząc własnemu szczęściu, że oto zostałem wtajemniczony w Cytrusową Teorię Sztuki Profesora Willy'ego Fergussona.

Nie podjął decyzji od razu, potrzebował chwili na zastanowienie.

—Nie, cytrynowy nie będzie dobry. Nie chcemy, żeby nasi klienci podejrzewali, że mamy zagrzybione ściany. Zostaniemy przy żółtym i pomarańczowym. To bezpieczne kolory.

Zanotowałem w myśli, żeby zaraz po jego wyjściu zadzwonić do Art-Start i zamówić kubek najbardziej jaskrawej żółci, jaką mają na składzie.

— A to co za kociak? — spytał Willy na widok portretu Sally, podchodząc bliżej, by przyjrzeć mu się lepiej.

—Modelka.

Przekrzywił głowę na bok i chwilę stał pogrążony w kontemplacji.

—Coś wspaniałego — stwierdził na koniec. Zalała mnie fala dumy.

—Podoba się panu?

— Jasne. W życiu nie widziałem lepszych cycków i bardziej kształtnej dupeczki.

Więc o to chodzi. Dobru (Amy) towarzyszy zwykle zło (konieczność zwrócenia się o pomoc do taty) i brzydota (żółty koszmar, który mam

wymalować do recepcji firmy taty). Nie pora jednak na żale. Pieniądze mam w banku. Znowu stać mnie na życie. Zachciało mi się zmian — proszę bardzo, oto one.

Trzeba więc stawić im czoło.

Patrzę na śpiącą Amy. W sumie mógłbym pójść w jej ślady, zbyt wiele jednak myśli kotłuje mi się w głowie i chyba bym nie zasnął. Kusi mnie, rzecz jasna, żeby wślizgnąć się pod kołdrę i ofiarować jej mały prezencik na dzień dobry, ale poszliśmy bardzo późno spać, niech więc sobie wypocznie. Sam natomiast ostrożnie wstaję, ubieram się i idę do pobliskiego sklepu. Po powrocie kroję w kuchni wędzonego łososia i układam na bagietce. Cóż za ekstrawagancja. Podobnie jak sukienka dla Amy, za którą wczoraj uparłem się zapłacić. Ale podobne gesty uprzyjemniają życie. Zresztą jaki lepszy użytek można zrobić z pieniędzy?

Wchodzę do sypialni, ale łóżko świeci pustką, stawiam więc tacę na skotłowanej pościeli i idę sprawdzić do łazienki. Pudło, i tu ani śladu po Amy. Przystaję w korytarzu i wołam ją, ponieważ jednak nie otrzymuję odpowiedzi, schodzę na dół.

Wreszcie ją znajduję, w atelier. Okna są pozamykane i w pomieszczeniu panuje nieznośna duchota, jak w dżungli. Amy siedzi po turecku na podłodze, w białych majteczkach i moim czarnym T-shircie z Hendriksem. Bardzo w stylu jin i jang. Jednak nie jej strój przykuwa moją uwagę, lecz to, w co się wpatruje. A jest tym na wpół ukończony portret Sally McCullen. Na wpół ukończony portret bardzo pięknej Sally McCullen, z cyckami i dupeczką, jakich Willy Fergusson w życiu nie widział.

—Wszystko ci wytłumaczę — zaczynam. Amy nie patrzy na mnie.

—Więc to jest Sally. Sally, twoja modelka.

—Poważnie — próbuję znowu. — To nie jest... Amy podnosi rękę.

—Może się mylę — mówi, nadal nie odrywając wzroku od McCullen—ale o ile pamiętam, mówiłeś, że ona wygląda, cytuję, jak karakan. I że brzydziłbyś się tknąć ją kijem. Ale o to chyba chodzi w aktach, prawda? Mają być interesujące, a nie ładne. Bo wtedy należałoby je określić mianem pornografii. Zupełnie jakby jakiś zboczeniec onanizował się,

patrząc na rozebraną dziewczynę. — Nareszcie obraca się twarzą do mnie. Widząc jej wyraz, oddział SAS wykonałby zapewne manewr taktyczny polegający na popuszczeniu w gacie. — Tak chyba właśnie mówiłeś, prawda?

—No, cóż, w zasadzie tak, ale...

—Ale co, Jack? Ale mnie okłamałeś? Że ona nie jest uderzająco piękna? A ty nie jesteś smutnym zboczkim? No? Przemówisz wreszcie? Bo jestem bardzo ciekawa. Co jest Jack — połknąłeś język?

Wpatruję się we własne stopy. Nie połknąłem języka. Ja go przeżułem, strawiłem i wyplułem do śmieci. Cóż niby mam powiedzieć? Tak, okłamałem ją. Tak, Sally McCuflen jest uderzająco piękna. I owszem, chyba mam w sobie coś ze zboczeńca.

Na koniec mówię jedyną rzecz, którą w tej sytuacji powiedzieć mogę.

— Przepraszam. — Patrzę na nią w nadziei, że mimo wszystko potrafi wybaczyć takiemu kutasowi jak ja.

6

AMY

Nigdy w życiu nikt tak mnie nie upokorzył. Przenigdy.

Jestem nieznanym dzieckiem Huna Attyli i Dartha Vadera. Jestem fatalną krzyżówką.

Spoglądam za siebie na drzwi, przez które zostałam właśnie wyrzucona, i posyłam w ich kierunku salut środkowymi palcami obu rąk. To jedyne, co powstrzymuje mnie przed skopaniem niegościnnego wejścia z całej siły.

Mamrocząc wściekle pod nosem, gnam jak opętana, a nade mną kłębią się bure chmurzyska. Jeszcze zanim docieram do stacji, otwierają się niebiosy i w jednej sekundzie jestem przemoczona do nitki.

Amy Crosbie: cała zmyta.

Nigdy w życiu bym nie pomyślała, że z pracy dorywczej można wylecieć. Za każdym razem świetnie sobie radziłam, tkwiłam więc w błogim przekonaniu, że jestem nietykalna, co — jak widać — okazało się nieprawdą.

Najwyraźniej przybył mi nowy talent — do pomyłek.

Nie jestem nim szczególnie zachwycona.

Zgoda, nie powinnam była łączyć przed Elaine, że żadna centrala telefoniczna pod słońcem nie ma przede mną tajemnic. Prawda byłaby zdecydowanie lepsza, skądinąd wiadomo jednak, że nie zajdzie się zbyt daleko, niczego o sobie nie zatajając. To pierwsza zasada w pracy dorywczej: zawsze zaznaczaj odpowiedź „tak” na kwestionariuszu kwalifikacyjnym. Kiedy więc Elaine zadzwoniła z informacją, że jest świetnie płatna, dwutygodniowa praca w zarządzie dużej firmy prawniczej, zgodziłam się bez namysłu.

—To dobrze. Pracowałaś już w systemie Elonexic 950 XPCZ 150 — dodała mimochodem. — Więc sobie poradzisz.

—Jasne, żaden problem—odparłam, nawet jej nie słuchając, bo w myślach już liczyłam pieniądze, za które natychmiast kupię sobie fajne buty, jakie w zeszłym tygodniu wpadły mi w oko w Red or Dead. A zresztą, cóż to za problem praca w recepcji? Mogę ją wykonywać, stojąc na głowie.

Na myśl mi nie przyszło, że mogłabym nie mieć odpowiednich kwalifikacji, nawet kiedy człapałam przez cały Londyn do City ani nawet wtedy, gdy kroczyłam przez wyłożone czerwonym pluszem atrium w stronę swojego biurka. Nie podejrzewałam jeszcze niczego także, gdy sadowiłam swój tyłek w wielgachnym krześle, przedstawiając się Angeli z personalnego.

Kiedy jednak pozostawiono mnie sam na sam z czymś, co wyglądało jak system kontroli lotów, trochę się zaniepokoiłam. Po chwili stało się dla mnie jasne, że tym razem przesadziłam z blagowaniem. Czerwone, pomarańczowe i zielone światełka migały jak wściekłe, a dotychczasoso-

wa cisza, w jakiej tonęła ogromna recepcja przeszła w nieustanne buczenie przeciążonych i zajętych linii.

—Tylko spokojnie — dodałam sobie otuchy, czułam już jednak nadciągające trzęsienie ziemi, które mogło naruszyć fundamenty pewności siebie pracownicy dorywczej. Po dwudziestu minutach, gdy nie udało mi się połączyć ani jednej rozmowy, zaczęłam wpadać w lekką panikę. Po godzinie Angela musiała się trochę zeźlić. Zniżyła się do mojego poziomu z któregoś z wyższych pięter i właśnie mknęła ku mnie z windy w obcisłym prążkowanym kostiumie.

—Masz jakieś problemy? — zapytała.

—Ależ skąd — zmusiłam się do uśmiechu, orientując się jednocześnie, że słuchawki nałożyłam tyłem do przodu.—Wszystko w porządku.

Skinęła głową, wyraźnie jednak nie była usatysfakcjonowana.

Patrzyłam, jak odchodzi. Postanowiłam się nie poddawać. W końcu zdawałam w szkole fizykę. To nie powinno być aż tak trudne. Jednak było.

Wkrótce miałam do czynienia z ogniem zaporowym zrozpaczonych dzwoniących i musiałam stawić czoło poważnemu kryzysowi na linii. Około jedenastej centralka wyglądała, jakby za chwilę miała eksplodować. Zaczęłam walić w przyciski, jak popadnie.

— Do kurwy nędzy, świry! — wrzasnęłam, tracąc nad sobą panowanie. — Wynoście się do wszystkich diabłów, idioci! Dzwoncie sobie gdzie indziej! Odpieprzcie się!

Dwie minuty później drzwi windy otworzyły się i wyskoczył z nich łysiejący mężczyzna w nienagannym garniturze i ruszył kłusem w moją stronę. W pierwszej chwili pomyślałam, że gdzieś wybuchł pożar, ponieważ gwałtownie wymachiwał rękami, szybko jednak się wyjaśniło, że jedynym zagrożeniem w całym budynku byłam ja.

— Cóż pani sobie wyobraża?! — krzyknął, zatrzymując się przede mną gwałtownie. — Jak pani śmie przeklinać przez intercom! Czy zdaje sobie pani sprawę, jakich ważnych klientów przyjmujemy właśnie w sali zarządu? A pani inwektywy słyhać na każdym piętrze! Na każdym! —

Groźnie marszczył krzaczaste brwi, a wylupiaste oczy wyglądały, jakby za chwilę miały mu wyskoczyć z orbit.

Podniosłam się gwałtownie, ale przewód słuchawek, które ciągle jeszcze miałam na głowie, pociągnął mnie z powrotem w dół.

—Skąd pani jest?! — wrzasnęła, gdy rozpaczliwie starałam się uwolnić.

—Z Shepherd's Bush — wyjąkałam, po raz pierwszy zauważając przycisk intercomu. Nacisnęłam go i światełko zgasło, podobnie jak zielona lampka tuż nad moją niewyparzoną gębą.

—Z jakiej ona jest agencji? — zapytał, wskazując mnie palcem, gdy u jego boku zjawiała się Angela.

—„Najlepsza praca dorywcza” — wykrztusiła. — Natychmiast ich o wszystkim zawiadomię.

Nie miałam żadnych szans. Mężczyzna chwycił mnie pod ramię i siłą powlókł w stronę wyjścia.

—Au! — wrzasnęłam.

—Wynocha! — rozkazał, patrząc na mnie, jakbym właśnie zsikała się na dywan. — Nie chcę pani więcej widzieć. Czy zdaje sobie pani sprawę... — Nie dokończył jednak, a ja przez moment obawiałam się, że jeszcze chwila i najzwyczajniej w świecie kopnie mnie w tyłek, żebym szybciej znalazła się za drzwiami.

Wpadam do metra, ciesząc się, że mogłam zapaść się pod ziemię. To chyba najbardziej odpowiednie dla mnie miejsce. Wybieram linię na chybił trafił, znajdując ukojenie w mieszaninie twarzy i plakatów, nie przestając wymyślać, co też powinnam była powiedzieć. W końcu miałam pięć wersji niezwykle błyskotliwych ripost, które Angelę i jej giermka literalnie wmurowałyby w ziemię, zdumiewając diabelną ścisłością mojej wypowiedzi.

Niestety, wszystko na próżno. Nigdy nie będę miała szansy się wytłumaczyć. Pora przyjąć do wiadomości: nie ja tu wygrałam.

Dochodzę do wniosku, że koniecznie muszę zmienić otoczenie, wysiadam więc przy Green Parku. Łażę bez celu po żwirowych ścieżkach,

czując, jak ciężar świata przygniata mi barki. Nadal jest pochmurno, ale przynajmniej przestało padać. Otulam się wilgotnym żakietem i siadam skulona na jednej z pustych ławek.

Zamykam oczy i widzę rojowisko plam. Wiem, że będę musiała pokazać się przed Elaine. Podciągam kolana pod brodę i obejmuję je ramionami. Dlaczego nikt jeszcze nie wynalazł teleportacji? Byłoby niezłe, gdybym właśnie teraz mogła przenieść się gdzieś, na przykład na jakąś odległą wyspę w Ameryce Południowej.

H wyjechała gdzieś na zdjęcia, a do Jacka nie mam ochoty dzwonić. Po odkryciu portretu Sally czuję, jakbym się trochę od niego oddaliła. Mimo iż przeproszał i tłumaczył się przez blisko godzinę. Ale i tak wkurza mnie, że nie powiedział mi prawdy od razu. Chyba sobie pomyślał, że jestem zbyt delikatna i nie zniosę faktu, iż portretuje dziewczynę, która podoba mu się w sposób tak oczywisty. Co on sobie myślał? Że pęknę z zazdrości? Cóż, to wielce prawdopodobne, rzecz nie w tym jednak. Więc teraz staram się zachować dystans. Odczuwam jednak coś wręcz przeciwnego. Jestem roztrzęsiona jak galareta.

Nie mam nikogo, komu mogłabym się wyzalić. Starannie i na dobre spaliłam za sobą wszystkie mosty. Cały ostatni tydzień poświęciłam na wydzwanianie do wszystkich znajomych, wychwalając pod niebiosa zalety Jacka i bredząc, jakie to życie jest wspaniałe. Teraz, kiedy zostałam oficjalnie dziewczyną, wszystkim, którzy mieli szczęście znaleźć się w moim notesie z telefonami, nie szczędziłam słów miłości, nie kryjąc przepełniających mnie pozytywnych emocji. I naprawdę wierzyłam w szczerłość swoich intencji. Za kogo ja się jednak uważam?

Spójrzmy prawdzie w oczy. Co innego miałam na celu: na pewno nie kierowałam się szlachetnością, troską o innych czy choćby potrzebą dzielenia się. O nie, ja chciałam, żeby wszystkich szlag trafił z zawiści.

Zadzwoiłam do Susie, mojej najlepszej kumpeli z college'u, i dosłownie napawałam się każdym słowem, co było wyjątkowo wredne z mojej strony, zważywszy na to, że Susie związana jest z żonatym mężczyzną. Gdy skończyłam swój monolog, jak to znalazłam wreszcie sens życia, Susie westchnęła do słuchawki.



—Ty to masz szczęście.

—Ty też mogłabyś je mieć — przerwałam dla lepszego efektu. Susie wiedziała, co będzie dalej. Podobną rozmowę przeprowadzałyśmy chyba ze sto razy. — On jej nigdy nie zostawi. Dobrze o tym wiesz.

—Tak, ale ja go kocham — wyznała z żalonym cockneyowskim akcentem, jak jakaś przebrzmiała gwiazda oper mydlanych i jak zwykle wybuchłyśmy obie śmiechem.

—Och, naprawdę się cieszę, że ci się układa — wyznała wreszcie na koniec rozmowy. — Co nie zmienia faktu, że aż mnie skręca z zawiści. Chyba bym fruwała ze szczęścia, gdyby mój facet był taki romantyczny. Obojętnie jak, ale pilnuj go sobie, Amy.

Z jednej strony ogromnie zadowolona, nie potrafiłam zdusić w sobie poczucia winy, że to i owo okrasiałam szczegółami jakby żywcem wyjętymi z nagrodzonych Oscarami romansów. Jednocześnie przypisałam Jackowi pewne cechy charakteru, których nigdy w życiu posiadać nie będzie. Na przykład poczęstowałam Susie opowieścią, jak to zjawił się w moim mieszkaniu z kolosalnym bukietem różowych róż, a na naszym pikniku raczyliśmy się szampanem z kawiozem.

Piknik i tak był fantastyczny, a po kawiorze mam wzdęcia.

Dobrze wiem jednak, skąd mi się to bierze. Tak bardzo chciałam, żeby tym razem okazało się, że to jest właśnie TO, że zaczęłam zmyślać i przesadzać, aby przekonać moich przyjaciół, ale przede wszystkim siebie samą.

Spoglądam w górę na drzewa i wsłuchuję się w dobiegającą z oddali melodyjkę samochodu z lodami. Biorę głęboki oddech.

Prawda jest taka, że moje życie wcale nie jest doskonałe, a Jackowi daleko do ideału.

Chwilę się nad tym zastanawiam, po czym, aby dobić się już ostatecznie, dochodzę do wniosku: moje życie nie jest doskonałe, ponieważ Jack nie jest doskonały.

Być może myślę tak, bo nie wiem, czy zamierzam spędzić z nim resztę życia. To chyba normalne w przypadku związków świeżych, jak nasz, ja jednak i tak wpadam w panikę. Tyle czasu czekałam na właściwego

faceta, że straciłam poczucie rzeczywistości. Myślałam, że kiedy moje pragnienie miłości w końcu łaskawie się zmaterializuje, wszystko ułoży się automatycznie. Miłość. Małżeństwo. Dzieci. Żadnych problemów.

Lecz facet, na którego czekam, to nie Jack. Ten facet to ideał.

Zwykły wytwór mojej wyobraźni.

Zamiast niego przypadł mi w udziale Jack. A ponieważ jest rzeczywisty, do ideału mu daleko. Tyle rzeczy mnie w nim denerwuje. Można sporządzić z nich całą listę.

■ Jest próżny. Nie, to wykreślam. Nie jestem fair. Uważam tak tylko dlatego, że ma zwyczaj łapać się za brodę i w lustrze oglądać swoją twarz z dwóch stron, jakby reklamował środki do golenia. To śmieszne, ale na pewno nie wynika z próżności.

RS

- Jest śmieszny.
- Jest dziecinny. Puszczając baki i myśli, że to strasznie zabawne; po wyjściu spod prysznic przetrzuca sobie jajka z boku na bok i wkurza się, kiedy coś idzie nie po jego myśli. Aleja także nie jestem modelowym przykładem dorosłości.
- To, co wyczynia ze stopami. Za każdym razem, gdy próbuję zasnąć, on nerwowo porusza stopą. To taki nerwowy rozkurcz, ale mnie się od razu wydaje, że śpię z Alanem Shearerem. Kiedy trąca mnie w nogę, złości mnie to tym bardziej, że jego stopy są takie zaniedbane. Dlaczego tylko dziewczyny mają malować paznokcie?
- Najwyraźniej bardziej jest oddany swoim przyjaciołom niż mnie.
- Żyje z portretowania obrzydliwie pięknych nagich dziewczyn.

Grr.

Cóż, Jack nie jest idealny. Muszę się z tym pogodzić. Nie mogę winić jego za własne nieszczęścia. Tylko sobie zawdzięczam, że moje życie to jedna wielka pomyłka. I tylko ja sama mogę na to coś poradzić i to zanim zamarznię tu na śmierć.

Wędruję Oxford Street na nieuniknioną konfrontację z Elai-ne. Nie wygląda na szczególnie zachwyconą. Siedzi sztywno za biurkiem w „prywatnym” gabinecie, gdzie ucinamy sobie naszą pogawędkę. Mówi mi, że bardzo ją zawiodłam, że jest ogromnie rozczarowana, zastanawia się, jak można być takim lekkoduchem itd., itd. Stoję przed nią z rękami pokornie złożonymi z przodu, a od kiwania i potrząsania, w odpowiedziach na jej uwagi, moja głowa zaczyna wpadać w ruch wirowy. Kajam się i przepraszam ze wszystkich sił, starając się przy tym wyglądać na jak najbardziej skruszoną. Wreszcie Elaine kończy. Gasi papierosa w kamyczkach, którymi wypełniona jest doniczka ze sztucznym kwiatkiem. Doliczam się w niej chyba z dziesięciu petów. Może to jeden ze złych dorywczych dni Elaine.

— Amy, sprawa jest poważna — stwierdza, przygryzając dziobaty policzek, jakby właśnie miała zdecydować o odpowiedniej dla mnie karze. Gruba warstwa fluidu kończy się zdecydowaną linią tuż pod jej pod-

bródkiem. — W tej sytuacji wolałabym nie umieszczać cię nigdzie indziej.

W głowie ponuro dźwięczał mi dzwon pogrzebowy, kiedy jednak teraz nasze oczy się spotykają, słyszę huk tak donośny, jakby sam Big Ben runął ze swojej wieży.

Elaine o tym nie wie, ale tym ostatnim zdaniem rozwiała mgłę spowijającą dotąd moje życie. Coś tam dalej blebla, ale ja już jej nie słucham.

Nagle wszystko staje się krystalicznie jasne.

Jedno słowo.

Tyle tylko było potrzeba.

„Umieszczać”. Elaine wolałaby mnie nie umieszczać.

Wcale nie chcę, żeby Elaine umieszczała mnie!

Zdumiewające, że aż tego trzeba było, abym nareszcie zrozumiała, czym stało się moje życie. Kiedy poznałam Elaine, podlizywałam się jej, wiedząc jednocześnie, że pomimo wszystkich moich uśmiezków i umizgów, najzwyczajniej w świecie ją wykorzystam. Praca dorywcza miała być jedynie krótkim przystankiem, kilkutygodniową przerwą, dającą mi czas na uporządkowanie życia, by później nigdy więcej mojej szefowej nie ujrzyć na oczy. Tygodnie jednak przeszły w miesiące, miesiące w lata i Elaine stała się nieodłącznym, żeby nie powiedzieć niezbędnym elementem składowym mojego życia. Całkowicie zdałam się na nią, zbyt zadowolona z siebie, żeby samodzielnie myśleć o znalezieniu pracy. Kiedy do tego doszło? W którym momencie przestałam panować nad swoim życiem, by tak bez reszty polegać na niej ?

Przez cały ten czas udawałam, że nic mnie to nie obchodzi, mam wszystko pod kontrolą i jestem ponad tę nędzną pracę dorywczą. Gardziłam każdą pracą, podobnie jak ludźmi, których za każdym razem poznawałam, zresztą jak i samą Elaine, ale wszystko to okazało się jedynie zasłoną dymną. Bo gardziłam przede wszystkim sama sobą.

To się musi wreszcie skończyć. Oto stoję tu teraz, jak nieposłuszna uczennica, i dociera do mnie, że przez cały ten czas H miała rację. Ja tylko dryfuję, a Jack ma mi dać poczucie przynależności. Co to za podejście? Dość głupie.

Nie chcę być dłużej głupia ani słaba. Może nie potrafię obsłużyć centrali telefonicznej, ale mam całe mnóstwo innych talentów. Od tej chwili stoję na własne nogi.

Amy Crosbie, to twoje życie.

Ułagodziłam trochę Elaine, wychodzę więc z budynku, kupuję sobie batonik, czasopismo i autobusem numer 94 jadę do domu. Po drodze rozwiązuję test, „Jak dobrze znasz swojego chłopaka?“, większość odpowiedzi oczywiście zgadując. Po podliczeniu punktów okazuje się, że dotyczy mnie kategoria „przeważnie odpowiedź C”.

*Jeszcze mu w pełni nie ufasz- Musisz spędzić ze swoim mężczyzną więcej czasu, żeby lepiej go poznać i dowiedzieć się, co tak naprawdę się dla niego liczy. Wasz związek rozkwitnie, jeśli będzie się opierał na szczerości, prawdzie i wzajemnym zaufaniu.*

Wiem, że te wszystkie testy są bardzo powierzchowne, ale i tak mój dobry nastrój ulega chwilowemu pogorszeniu. Wracam do domu, rozbieram się, wchodzę pod prysznic, potem dzwonię do Jacka.

—Wcześniej wróciłaś do domu — mówi z ziewnięciem. — Zaczekaj chwilę. — Zastłania ręką słuchawkę i dobiegają mnie tylko jakieś szelesty. Po chwili odzywa się ponownie. — Co się stało, że nie jesteś w pracy?

—Fucha nie wypaliła. Mam też dobrą wiadomość: już nigdy tam nie wracam. A co u ciebie? — pytam.

*Niespodziewanie dzwonisz do niego do domu. Nie jest tym specjalnie uszczęśliwiony. Czy:*

*A. zakładasz, że był czymś zajęty, a ty mu przeszkodziłaś?*

*B. pytasz go, co się stało?*

*C. podejrzewasz, że jest z inną?*

— Muszę trochę popracować. Ale mogę do ciebie wpaść — dodaje. — Jeżeli oczywiście będziesz w domu.

\*

Status dziewczyny na stałe to znacznie bardziej stresujące zajęcie, niż pamiętałam. Jest takie czasochłonne. Nieustannie żyję teraz w stanie „Na wypadek, gdyby”. Na wypadek, gdybyśmy się mieli spotkać, muszę codziennie golić nogi i pachy, przez co wciąż te części ciała mam porośnięte ostrą szczecina; nad klozetem wyskubuję włosy łonowe, co jest istnym koszmarem, ponieważ mijają całe wieki, zanim uda mi się je splukać; sprzątam sypialnię i chowam ubrania do szafy, zamiast jak zwykle zostawić je na podłodze; na okrągło piore negdyś ładną poszwę na kołdrę, bo wolę to, niż założyć tę koszmarną w kwiatki; regularnie robię zakupy, a nie żyję na samych tostach i gorących kubkach; no i wreszcie noszę elegancką bieliznę.

To ostatnie zwłaszcza kosztuje mnie najwięcej. W okresie ZPJ (Życie Przed Jackiem) bez obciachu nakładałam ukochane szare majtadały i równie śliczny stanik. Mam też kolekcję prawdziwie obrzydliwych stringów, z wygodą mających raczej niewiele wspólnego, za to doskonale przecinających narządy rodne na pół.

Czytałam kiedyś artykuł o samotnych dziewczynach, które wkładają seksowną bieliznę dla własnej przyjemności. Kosmiczna bzdura! Według mnie albo dniem i nocą marzą o bzykaniu, albo są zbyt bogate. Zresztą i tak nigdy żadnej z nich nie spotkałam. Nie znam dziewczyny, która przedłożyłaby Triumph nad poplamioną bieliznę, nawet gdyby doszło do międzynarodowego kryzysu majtkowego.

Sama nie wiem, czemu tyle uwagi poświęcam kwestii bieliznianej. Kiedyś wyśledziłam pranie Jacka suszące się na sznurze w ogrodzie. I oto, proszę bardzo, wisiały tam bardzo piękne, ponaciągane bokserki, jakby żywcem ściągnięte ze Świętego Mikołaja. Jak widać, on też ma swoje grzeszki na sumieniu.

Jednakże postanowiłam nie dać się przyłapać i dlatego w zeszłym tygodniu udałyśmy się z-moją podręczną Visa na bielizniane zakupy. W M&S prawie przez cały czas na krok nie odstępowała mnie wąsata dama, która zdecydowanie za głośno perorowała.

— Jaki rozmiar stanika nosisz, kochanie?

— 75C — odpowiedziałam, chwytając się za piersi, jakbym została przyłapana na rozbieranej randce.

—Nigdy w życiu! Najwyżej 70B, jeśli mnie oko nie myli,

—70B ! — wykrzyknęłam, a ona wepchnęła mnie do kabiny i zaczęła owijać miarą krawiecką, zamykając moje piersi w ciasnej pętli.

—Ha, tak jak myślałam — pokiwała głową, bardzo z siebie zadowolona.

70B! Przecież zawsze, odkąd urosły mi piersi, miałam 75C. Kiedyż to zamieniłam się w łódź płaskodenną?

Nakładam nowy, wciągany przez głowę stanik i patrzę na swoje odbicie w lustrze. Czuję się strasznie skrepowana i zakłopotana.

Co innego mogę nosić?

Ubierać się na wyjścia to żaden problem, ale co na siebie wkładać, kiedy siedzi się w domu? Zwykle wskakuję wtedy w legginsy i ponaciągany T-shirt, dzisiaj jednak ma przyjść Jack. Co zrobić, żeby wypaść *au naturell* Czy mam:

a)przygotować się na seks?

b)nałożyć te same co zwykle domowe ciuchy?

c)ubrać się jak do wyjścia?

Skłaniam się ku rozwiązaniu A i wkładam majtki Calvina Kleina i biały top. Ze stanika rezygnuję.

Na zrobienie makijażu poświęcam całą wieczność, bo musi wyglądać tak, jakby go wcale nie było, sprzątam i kręcę się po kuchni. Zastanawiam się, czy coś ugotować, ostatecznie jednak z pomysłu rezygnuję. Na pewno coś bym schrzaniła, a podjęłam postanowienie, że dzisiaj wszystko musi być tip-top. Jestem nowym człowiekiem. Kobieta niezależną. I Jack się o tym dowie.

Żeby umilić sobie czekanie na jego przyjazd, maluję paznokcie i oglądam TV. W końcu zapadam w błogą drzemkę, z której wyrywa mnie dźwięk dzwonka. W pośpiechu usuwam spomiędzy paluchów

kłębki waty i pędzę otworzyć. Słyszac jego kroki na schodach, czuje, jak ogarnia mnie podniecenie.

RS



—Cześć — witam go wsparta swobodnie o drzwi. Całuje mnie i uśmiecha się.

—Nie zamierzasz się ubrać? — pyta, spoglądając znacząco na moje majtki.

— Jasne —jąkam się. — Właśnie, hm... — Kiwam głową w stronę sypialni.

—Nie będę cię zatrzymywał — mówi z uśmiechem. Unosi brwi, a ja mam niejasne wrażenie, że chyba mnie przejrzał. Staram się ukryć rumieniec, który właśnie wypełził mi na twarz.

—Myślałem, że gdzieś wyskoczymy — oznajmia, wchodząc do dużego pokoju. Podnosi ze stolika pilot i przelatuje kilka kanałów.

—W porządku — odkrzykuję, już z sypialni.

Otwieram szafę i staram się zlokalizować dzinsy i jednocześnie słyszę odgłosy dochodzące z coraz to innego kanału. Najpierw Jack ogląda jakiś teleturniej, po chwili przeskakuje na wiadomości, przy meczu piłkarskim zatrzymuje się na dłużej. Przez moment sądzę, że zostanie przed telewizorem, żeby obejrzeć go do końca, udaje mu się jednak oderwać i po chwili siedzi już na brzegu mojego łóżka.

—Dlaczego nie nałożysz tej sukienki, którą miałaś ostatnio? — pyta. — Wyglądasz w niej super.

—Nie ma sprawy — zgadzam się od razu i ściągam sukienkę z wieszaka. Obracam się tyłem do Jacka, żeby zdjąć top. Nagle czuję go tuż za sobą. Chyba przykucnął, bo całuje mnie tuż u nasady kręgosłupa. Całuje dalej, coraz wyżej, aż dochodzi do karku. Wtedy sięga od tyłu i ujmuje w dłonie moje nowiuteńkie 70B.

—Jednak po zastanowieniu... — szepcze.

Kiedy kończymy się kochać, za oknem jest już ciemno. Wstaję i przynoszę butelkę schłodzonego wina z lodówki i zapaliki. Potykam się, kiedy próbuję znaleźć i zapalić jakieś świece.

—Dlaczego nie włączysz po prostu światła? — pyta Jack, patrząc, jak otwieram wino.

—Bo wiem, jak wygląda ten pokój. Muszę go odnowić, ale jeszcze nie udało mi się do tego zabrać.

—A co chciałabyś z nim zrobić?

—Sama nie wiem. Ale na pewno coś zmienić. Teraz, kiedy mam czas, na pewno coś wymyślę.

Kładę się obok niego i leżymy wyciągnięci na kołdrze, a w półmroku widać nasze splątane nogi.

—Skąd niby masz nagle tyle czasu? — pyta. Opowiadam mu o przeżyciach minionego dnia, co tak go

rozśmiesza, że rozlewa mi trochę wina na brzuch. Nachyla się, żeby je zlizać, po czym opiera brodę o mój pępek i spogląda na mnie.

—Jeśli ci to pomoże—zaczyna—to mnie też kiedyś wywalili. Trudno mi to sobie wyobrazić. Jack wywalony z pracy? Taki

luzak? Chcę znać szczegóły i dowiaduję się, że parę lat wcześniej pracował w galerii i pewnego razu musiał zmienić zamki w drzwiach, bo było włamanie. Na nieszczęście, jego szef zjawił się niespodziewanie i dostał szału, bo nie mógł wejść.

—I co zrobiłeś?

— Olałem go. Tak naprawdę to chyba nigdy nic lepszego nie mogło mnie spotkać — ciągnie dalej, rysując mi kółka na brzuchu. — Dzięki temu zrozumiałam kilka spraw. Że przecież zawsze chciałem zostać artystą i temu powinienem się przede wszystkim poświęcić.

Upijam nieco wina.

—I to jest właśnie wspaniałe.

—Co mianowicie?

—Że udało ci się odnieść sukces jako artyście. To jedna z rzeczy, które najbardziej mi się w tobie podobają.

Jack mruczy coś niewyraźnie i wtula twarz w moją szyję. Och, uwielbiam, kiedy się tak wstydzi i mocno go przytulam.

—Pozostaje jednak pytanie, co mam robić? — zauważam.

—Coś się nawinie — zapewnia mnie. — Wiem o tym. A nawet jeśli nie, to będziesz się musiała spakować, ponieważ zabiorę cię w rejs dookoła świata.

—Może zatem nie ma sensu, żeby pisała swoje CV? — śmieję się.

\*

Wbrew kuszącym fantazjom Jacka, CV napisałam. Cały następny tydzień upłynął mi na wyszukiwaniu nazw i adresów firm i dopieszczeniu planu działania. Ku memu zdumieniu, Jack służył mi pomocą i nawet pomógł zredagować CV na pożyczonym od Matta komputerze. Z początku czułam się zażenowana, że poznaje wszystkie moje tajemnice, emanował jednak z niego taki entuzjazm, że ani przez chwilę nie poczułam się zagrożona.

— Powinieneś prowadzić kursy pozytywnego myślenia — żartuję sobie z niego, kiedy w wieczór, który postanowiliśmy spędzić oddzielnie, dzwoni po raz trzeci. — Albo przynajmniej stworzyć własną religię. Masz wyjątkowy dar przekonywania.

—Przestaniesz się nabijać, jak zaczniesz zarabiać fortunę.

—Jackizm — zastanawiam się. — Hm, nawet pasuje.

—No dobra, mądralo. Jaka jest pierwsza zasada jackizmu?

—Oświeć mnie, o wielki guru.

—Wszyscy moi uczniowie muszą uprawiać ze mną seks.

—Powinnam była wiedzieć — śmieję się.

— No, ale jak dotąd ty jesteś jedynym moim uczniem. Oczekuję cię więc tu najpóźniej za pół godziny.

—Nie masz szczęścia. Jestem areligijna.

—Och, daj spokój. Przecież wiesz, na co masz ochotę.

I tu ma rację, bo prawdę mówiąc, uwielbiam noce spędzane z nim. Jeśli kiedyś podejrzewałam go, że boi się stałych związków, na każdym kroku napotykałam dowody, jak bardzo byłam w błędzie. Nie minął tydzień, a on tak mocno wpisał się w moje życie, że nawet nie pamiętam, co robiłam, zanim go poznałam. Nawet nie wiem, jak to możliwe, że miałam czas pracować.

Nowe życie podoba mi się tak bardzo, że kiedy w następny wtorek o dziewiątej rano dzwoni Elaine, jestem bardzo niemile zaskoczona. Mam wrażenie, że oto pojawiła się jakaś mara z zamierzchłej przeszłości.

— Daję ci jeszcze jedną szansę — oznajmia. — Ale tylko dlatego, że jestem w potrzebie.

Nie wiem, co począć. W ciągu minionego tygodnia przekonałam samą siebie, że z pracą dorywczą skończyłam na *amen* i na samą myśl, że mogłabym na nowo znaleźć się w tym klubie robi mi się niedobrze. Jack przewraca się na bok i przykrywa głowę poduszką.

—Prawdę mówiąc, Elaine, nie mam teraz czasu — stwierdzam. — Przykro mi.

—Najpierw mnie wysłuchaj—nie daje się spławić. Słyszę, jak zaciąga się papierosem. Smyram Jacka po rękę, którą położył mi na brzuchu, i wznoszę oczy ku niebu, a raczej ku sufitowi. Moje życie było bez Elaine takie spokojne i pozbawione stresu. Jedyne, o czym marzę w tej chwili, to wtulić się w Jacka i spać dalej. — No, mam wreszcie — ciągnie Elaine. — Chodzi o Friers. To jakiś dom mody. Musisz się tam zgłosić jak najszybciej. Dziewczyna, która miała u nich pracować, nie zgłosiła się i...

—Chyba nie mówisz poważnie! Ten Friers? — przerywam jej w pół słowa, gwałtownie siadając na łóżku. Poduszki się poruszają i Jack podnosi głowę.

—Co się dzieje? — jęczy z twarzą wymiętą od snu. Przykładam palec do ust i wyskakuję z łóżka w poszukiwaniu czegoś do pisania. Zapisuję wszystko na odwrocie starej koperty.

—Elaine, jesteś boska — kończę i rozłączam się. Jack siada i się przeciąga.

—Z czego się tak cieszysz?

—Friers. — Macham ku niemu kopertą.

—Co takiego?

—Trzy lata temu złożyłam u nich podanie o pracę, ale nigdy nawet nie odpowiedzieli. Mam pracę. Dzięki ci, Elaine. — Całuję kopertę.

—Wydawało mi się, że skończyłaś z pracą dorywczą.

—No, niby tak, ale może to moja wielka szansa. Muszę tam być za godzinę.

Szykuję się pospiesznie i robię Jackowi herbatę, on jednak najwyraźniej nie ma ochoty się ruszać. Z dna miski na owoce w kuchni wyciągam więc zapasowe klucze.

— Wyjdiesz, kiedy będziesz chciał — mówię, całując czubek głowy, jedyną część jego ciała wystającą spod pościeli, i dzwonię mu kluczami nad uchem. Podnosi się i opiera na łokciu.

— Jesteś pewna? Śmieję się do niego.

— Jasne, przecież nie proszę cię, żebyś się wprowadził, jeżeli O to Ci chodzi. Ale możesz je równie dobrze zatrzymać, bo często zdarza mi się zamknąć klucze w środku.

— Super — wyszczerza do mnie zęby. — Nareszcie sobie tu pomyszkuję. Gdzie trzymasz pamiętnik?

— I tak niczego nie znajdziesz — oznajmiam, patrząc na niego w lustrze, bo właśnie maluję sobie usta. — Nie szukaj więc czegoś, z czym byś sobie nie poradził.

— Czyżby? — udaje wielce obrażonego.

— Tak. Aleja ci ufam, więc mnie nie zawieź — ostrzegam go. Łapie mnie i scałowuje mi całą szminkę.

— Jack!

Rozsmarowuje ją sobie na ustach.

— Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. Twoja szminka mnie pasuje o wiele bardziej.

— Ty wielka dziewczynko — śmieję się i ściskam go na do widzenia.

— Miłego dnia, kochanie — dodaje, zawijając się w kołdrę. — Nie martw się o dzieciaki, odbiorę je ze szkoły, jak zrobię zakupy.

Wspieram się rękami o biodra i patrzę na niego.

— Aha, więc o to chodzi? Po to tak mi pomagałeś w znalezieniu pracy, żebyś sam mógł zostać kogutem domowym?

Podnosi mojego misia.

— Niech to — zwraca się do niego. — Skapnęła się.

Pomieszczenia Friers mieszczą się nad kawiarnią przy Charlotte Street. Docieram tam potwornie zdenerwowana. Dziwne to uczucie, biorę więc głęboki oddech, żeby się uspokoić, i naciskam guzik domofonu. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać, ale wystarczy, że napomkną o stałej pracy, biorę ją w ciemno. Dostałam swoją drugą szansę i nie zmarnuję jej.

Biuro zastawione jest biurkami, wieszakami, manekinami. Gdzieś w głębi ryczy radio, a wszędzie wokoło nieustannie dzwonią telefony.

— Jasna cholera! — Wysoki mężczyzna w kamizelce w różową kratkę i cudacznym czarnych okularach z żółtymi szklami w geście rozpaczy unosi do góry ręce, idąc przez biuro. — Gdzie ta dziewczyna?

— Tutaj — odzywam się. Obraca się w moją stronę.

— Nareszcie! Mam nadzieję, słonko, że można na tobie polegać — mówi, taksując mnie od dołu do góry spojrzeniem.

— Postaram się — odpowiadam.

— Jenny, Jenny! — woła. — Jesteśmy zbawieni! Wykorzystaj to jak najlepiej.

Znika w małym pokoju i zatrzaskuje za sobą drzwi.

— Nie zwracaj na niego uwagi — mówi idąca w moją stronę kobieta. — To Fabian. Uwielbia pokazywać, jaki to jest ważny, ale nie daj się zastraszyć. Jestem Jenny. — Uśmiecha się do mnie i już zaczynam ją lubić. — Witaj w domu wariatów.

Oprowadza mnie i przedstawia wszystkim. W pokoju pracuje około dziesięciu osób i wszyscy wydają się mili i serdeczni. Jenny ma jakieś trzydzieści pięć lat i, jak mi się wydaje, większość życia spędziła, imprezując ostro, co ja dawno już przypłaciłabym śpiączką. Pochodzi z Lancashire i mówi z silnym akcentem, który udziela mi się natychmiast, ona jednak wyraźnie się tym nie przejmuje.

Robi mi w kuchni herbatę i dopiero potem prowadzi do biurka, które przez najbliższy tydzień ma być moim stanowiskiem pracy. Mówi, że mam odbierać telefony i wręcza mi kilka listów do napisania.

— Obawiam się, że to tylko nudna sekretarska praca — tłumaczy się.  
— Ale później postaramy się znaleźć ci coś bardziej interesującego.  
Chwilowo mamy prawdziwe urwanie głowy.

RS

— Nie ma sprawy — uspokajam ją. — Zrobię wszystko, co trzeba.

Jenny pracuje z Sam w krojowni, która jest obok. Jakby powiedziała H, to swojaki (tacy jak my), co jest prawdziwą ulgą. Mniej więcej o jedenastej Sam wyskakuje z pracowni z szerokim uśmiechem. Ma na sobie skórzaną minispódniczkę i za duży sweter, w którym jej piersi wydają się wprost ogromne. Po skandalu z rozmiarem 70B najwyraźniej cierpię na biustową obsesję.

—Jak sobie radzisz? — pyta.

— Świetnie. Co jeszcze mogłabym zrobić?—ofiarowuję się. — Listy skończyłam. Proszę. —Podaję jej stos korespondencji.

Przerzucają, nie kryjąc zadowolenia.

—Wyśmienie. Wreszcie ktoś z odrobiną rozumu.

A co! Ona chyba jeszcze o tym nie wie, ale ma do czynienia z SUPERPRACOWNICĄ DORYWCZĄ.

Nadchodzi Sam, niosąc w jednej ręce plik czasopism.

— Przyniosłam je dla ciebie — mówi. Z pierwszego wyciąga napisaną na maszynie listę. — Czy mogłabyś sprawdzić wszystkie zdjęcia zrobione przez tych facetów?

—Jasne.

—Wiem, że to nudne, ale bardzo nam w ten sposób pomożesz.

—Żaden problem.

—Ale najpierw chodź z nami na cygareta.

Idę za nią na żelazne schody przeciwpożarowe na tyłach krojowni. Jenny już tam jest. Zaprosiły mnie, a to oznacza, że jestem już jedną z nich. Super.

W każdej dotychczasowej pracy tyle się wysiedziałam na płocie, że porobiły mi się odciski na tyłku, teraz jednak może będzie inaczej. Bardzo chcę tych ludzi poznać. Spędziłam z nimi zaledwie kilka godzin, ale wiem już, że mogłabym tu zakotwiczyć na dłużej. Chwilę gadam z dziewczynami o tym i o tamtym. Wkrótce jednak przedmiotem rozmowy staje się Fabian.

Sam usiłuje wyplatać okulary przeciwsłoneczne z włosów nad czołem. Jenny chwilę się temu przygląda, wreszcie jej pomaga.



—Nie bardzo wiem, co się święci, ale mam wrażenie, jakby Fabian nie miał tu już zbyt długo zagrzać miejsca.

—Dlaczego? — pytam.

Jenny stuka się palcem w nos, więc nachylamy się ku niej, żeby mogła bezpiecznie zdradzić nam tajemnicę. Uwielbiam takie sytuacje.

— Ktoś ma nas przejąć. Zapamiętajcie moje słowa. Z tego, co słyszałam, ktoś ma nas wykupić, a wtedy Fabian odejdzie.

Sam wydaje odgłosy, mające dawać wyraz jej zaskoczeniu. Już chcę zapytać o dodatkowe szczegóły, ale właśnie zaczyna dzwonić telefon.

—Odbiorę — mówię, gasząc papierosa na kracie podestu.

Reszta dnia upływa mi na zażegnaniu kurierskiego kryzysu, pomaganiu Andy'emu w kłopotach z komputerem, przyniesieniu jakichś próbek z Berwick Street; generalnie staram się jak najbardziej służyć każdemu pomocą. Chyba coś mi się stało, bo przez cały dzień ani razu do nikogo nie zadzwoniłam. Kiedy dociera do mnie, że zrobiło się już w poł do siódmej, jestem naprawdę zdziwiona.

—Obiecuj, że wrócisz tu jutro — prosi Jenny.

—Na sto procent — zapewniam ją.

—Dzisiaj byśmy bez ciebie zginęli.

Idę ulicą i nie przestaję się do siebie uśmiechać. Jestem wykończona, ale niezbyt mam ochotę wracać do domu. Cały dzień starałam się jak najwięcej dowiedzieć o Friers. Mniej więcej już wiem, jakie ciuchy szyją na ten sezon. Głównie codzienne ubrania dla sieci sklepów z męską konfekcją, ale mają też swoją kolekcję w butiku w Covent Garden.

Postanawiam przejść się po sklepach na Soho i przy St Martin's Lane. Oglądam każdą wystawę i notuję w pamięci wszystkie szczegóły, wyraabiając sobie ogólne pojęcie o tym, co się w tej chwili nosi.

W butiku Friers wścibiam nos w każdy kąt. Ciuchy nawet mi się podobają, ale najbardziej niesamowite fasony są tylko na wystawie. Wewnątrz natomiast ubrania są bardzo klasyczne w stylu, co mnie prawdziwie zaskakuje. Staram się podsłuchać rozmowy kupujących i sprzedawców, orientuję się jednak, że chcą już zamykać, więc wychodzę.

Do domu wracam bardzo późno, a w głowie aż mi się kotłuje od pomysłów. Jack pościelił łóżko i pozmywał. Nie zostawił żadnej wiadomości, nie nagrał się też na sekretarkę, ale miło mi, że był tu pod moją nieobecność. Zabieram do łóżka stos czasopism, które kupiłam po drodze i oglądam w nich strony poświęcone modzie. Po raz pierwszy od nie wiem jak długiego czasu czuję, że mam jakiś cel. Kiedy wreszcie gaszę światło i się kładę, poduszka wciąż jeszcze pachnie Jackiem, i zasypiam, uśmiechając się do swoich myśli.

Następne dni mijają jak z bicia trząś, a ja bawię się wyśmienicie. Czuję, że Friers to miejsce dla mnie.

—Szkoda, że Karen wraca już w przyszłym tygodniu — oświadcza Sam, kiedy w czwartek wyskakujemy do pubu na lunch. — Byłoby super, gdybyś mogła zostać.

—Wcale nie chcę odchodzić — mówię szczerze. — Może jest jakaś szansa na stałą pracę?

—Wierz mi, gdyby tak było, pierwsza byś się o tym dowiedziała. Masz może swoje CV?

—Jasne. Właśnie napisałam nowe. Przyniosę ci po południu.

—Zobaczę, co się da zrobić — obiecuje.

Mam nadzieję, że mówiła szczerze. Naprawdę nie chcę odchodzić. Tak bardzo starałam się im pomóc w pracach sekretarskich, że nawet nie miałam kiedy im pokazać, jak bardzo mnie interesuje to, czym się zajmują.

W piątek rano wzywają wszystkich na zebranie, zostaję więc w biurze sama. Rozglądam się wokół i czuję, jak dopada mnie nostalgia. Kurcze, będę tęsknić za tym miejscem.

Dzwoni Elaine.

—Polubili cię — orzeka, jakby spotkała ją największa w życiu niespodzianka.

—Ja też ich lubię — przyznaję. — Nie masz w rękawie więcej takich prac?

— Zero. Kompletny zastój.

A więc z powrotem w punkcie wyjścia, myślę sobie. Rozlega się brzęczyk domofonu.

—Wszyscy są na zebraniu — informuję gościa, jak tylko pojawia się na szczycie schodów. — Czym mogę służyć?

—Przyszedłem zobaczyć się z Fabianem — wyjaśnia, rozglądając się po opustoszałych biurkach. — Mogę tu na niego zaczekać?

—Oczywiście — uśmiecham się i prowadzę go do kanapy przy oknie.

Może sobie czekać, ile zechce. Jest cholernie przystojny, ma krótkie blond włosy, seksowny kilkudniowy zarost i cudowną opaleniznę. Musi być pod czterdziestkę, sądząc ze zmarszczek w kącikach oczu.

— Może napije się pan kawy?

— Chętnie — odpowiada, rozsiadając się wygodnie, idę więc do kuchni.

Model. Z całą pewnością model. Kimże innym mógłby być? Rozumiem, dlaczego Fabian chce się z nim spotkać — będzie wyglądał super w nowej kolekcji Jenny.

Nie ma sensu udawać, że pracuję, kiedy wszyscy są na zebraniu, przysiadam więc na brzegu biurka i uśmiecham się do niego.

— Jak się pracuje w Friers? — pyta.

— Och, to wspaniały dom mody. Ciuchy są ekstra, chociaż bardzo klasyczne, a ludzie są po prostu fantastyczni. Pracuję tu tylko parę dni — dodaję. — Ale bardzo żałuję, że muszę odejść.

—Odejść? Wzruszam ramionami.

—Pracuję dorywczo.

Patrzy na mnie z uniesionymi brwiami. Wiem, że nie powinnam z nim rozmawiać, przecież zupełnie go nie znam, ale rozmowa z Elaine tak mnie przybiła, że nawet nie wiem kiedy, zaczynam przed nim wylewać swoje żale. Opowiadam mu, jak to trzy lata temu wysłałam swoje CV, a teraz miałam nadzieję, że praca dorywcza jakimś cudem zamieni się w stałą.

— Czemu właśnie tu, a nie w jakimś innym domu mody? — pyta po chwili.

—Bo tu jest potencjał. Tyle rzeczy chciałabym tu zrobić.

—Na przykład?

Opowiadam mu o swoich pomysłach i wyprawie do sklepów. Ponieważ wciąż zadaje mi nowe pytania, zaczynam się rozwodzić nad moją teorią dotyczącą wystaw i umocnienia pozycji Friers na rynku. Opowiadam mu o podsłuchanej w butiku rozmowie i o czasopiśmie, które przeglądałam. Mówię mu nawet u ubraniach, które nosi Jack.

Słuchając mojej paplaniny, co chwila kiwa głową, a ja jestem szczęśliwa, że nareszcie mogłam się przed kimś wygadać. Szkoda, że tylko przed modelem.

—Ach, to takie tam, luźne pomysły—kończę swój monolog.

—Mówiłaś o nich Fabianowi? — pyta.

— Fabianowi! Boże, gdzie tam! Nie zamienił ze mną nawet dwóch słów. Przecież pracuję tu tylko dorywczo — przypominam.

—Marnujesz się — orzeka, i to chyba szczerze.

Kiwam głową, ale już moją uwagę odwrócili wracający z zebrania ludzie. Zeskakuję z biurka.

—Proszę wybaczyć, że tak pana nudziłam — rzucam, wygładzając spódnice.

—Cała przyjemność po mojej stronie — on na to. Podoba mi się jego amerykański akcent. — Jak masz na imię?

—Och, jestem Amy — przedstawiam się. — Powiem Fabianowi, że pan przyszedł.

Już mam odejść, ale zaraz gwałtownie się zatrzymuję. Obracam się powoli i robię skruszoną minę.

—Byłoby dobrze, gdybym wiedziała, kogo mam zaanonsować. Wstaje.

—Jules. Jules Geller.

Kiedy wszyscy zajęli swoje biurka, wyczuwam, że atmosfera zdecydowanie uległa zmianie. Jak tylko trafia się okazja, idę do krojowni. Jenny, Sam, Andy i Louise są na schodach pożarowych.

— Co się dzieje? — pytam, stając w drzwiach.

—Tak, jak przypuszczaliśmy — tłumaczy Jenny, — Frieri został kupiony przez A&M.

—Kto to jest A&M?

—Także dom mody. Działają głównie w Ameryce, ale ich rzeczy nie-  
źle się sprzedają u nas — wyjaśnia Sam. — Przysyłają nowego szefa.

—Wprost nie mogę uwierzyć, że to on — wykrzykuje podniecona  
Jenny. — Jest fantastyczny!

—Na pewno też pozbędą się Fabiana, skoro cały zarząd ma się zna-  
leźć w Londynie — dodaje Andy.

—Widziałaś jego kolekcję, którą robił w Paryżu? — wtrąca się  
Louise.

—Wiem. Jest naprawdę dobry. Boże, mam nadzieję, że nas zatrzyma.

—Kto? — udaje mi się wreszcie wtrącić.

—Jules Geller — oznajmia Jenny, nareszcie mnie zauważając. — Na-  
szym nowym szefem jest Jules Geller. Czy to nie wspaniałe?

Potykając się, wracam do swojego biurka. Nowym szefem jest Jules  
Geller.

Świetna robota, Amy. Słowo daję, popisałaś się. Naprawdę udało ci  
się zrobić tu dobre wrażenie. Pracownica dorywcza, parweniuszka,  
opowiadająca o swoich pomysłach facetowi, do którego, sądząc po mi-  
nie Jenny, należy cały ten cholerny kram.

Cholera.

Przez resztę dnia staram się nikomu nie rzucać w oczy. Spotkanie u  
Fabiana zdaje się ciągnąć w nieskończoność, są na nim też Jenny i Sam.  
Unikam wzroku innych, próbując nie zwracać uwagi na panujące w biu-  
rze napięcie. Kiedy wracam z poczty, nie wiem, czy Jules już sobie po-  
szedł, postanawiam jednak, że choćby nie wiem co, wolę wleźć pod  
biurko, niż natknąć się na niego znowu.

O wpół do szóstej pojawia się Jenny, oddaję jej więc to, czym się  
ostatnio zajmowałam, wraz z kartą pracy.

—Zajmuję się tym ostatni raz — mówi z westchnieniem.

—Szczerze mówiąc, lepiej, że odchodzę — i zaczynam jej opowiadać  
numer, jaki udało mi się wywinać. Jenny kręci głową i śmieje się.

—Nigdy nic nie jest takie straszne, jak ci się zdaje.

—Nie, tylko znacznie gorsze—rzucam, chowając do torebki kartę pracy.

—Powinnaś się pożegnać z Fabianem.

Ściska mnie na do widzenia, zewsząd rozlegają się podziękowania. Mam wrażenie, że wszyscy patrzą na mnie jakoś dziwnie. Albo do brody przykleił mi się znaczek, albo mam omamy. Sprawdzam brodę.

A więc jednak omamy.

—Będziemy w kontakcie — obiecuje Sam i ściska za mnie kciuki. Kiedy pukam do drzwi Fabiana, stoją obie obok i uśmiechają się.

—Jest tam? — pytam, obracając się do nich. Wyglądają, jakby za chwilę miały wybuchnąć śmiechem.

—No, idź — ponagla Jenny. Otwieram drzwi.

—Ach, osoba, na którą czekałem. — Za biurkiem Fabiana stoi Jules.  
— Wejdz, proszę — mówi.

—Chciałam się widzieć z Fabianem—jąkam się.

—Obawiam się, że Fabian odszedł. Będziesz więc musiała porozmawiać ze mną.

Siadam na krześle. Dobrze wiem, że się rumienię, bo przygląda mi się, nie kryjąc rozbawienia.

— Powinnam była siedzieć cicho. Nie wiedziałam, że jest pan nowym szefem. Zwykle nie...

Jules przerywa mi, unosząc do góry rękę.

—W porządku, Amy. Nie masz za co przeproszać.

—Ale...

—Żadnych ale. Twoje pomysły bardzo mi się podobały. Wiem też, że szukałem właśnie kogoś takiego jak ty. Potrzebna mi jest osobista asystentka i sądzę, że idealnie się nadajesz. Potrafisz pisać na maszynie?

Mam już na końcu języka kolejną błagę, w porę jednak przytomnieję. To się dzieje naprawdę, tym razem nie powinnam wydziwiać.

— Niezbyt dobrze — przyznaję. — Ale myślę, że szybko mogę to nadrobić.

— Rozmawiałem z Jenny i Sam i obie uważają, że lepszej pracownicy jak dotąd nie miały. Czytałem też twoje CV. — Podnosi mój życiorys. — I jestem pod wrażeniem.

Dziękuję ci, Sam.

— Co ty na to? Oszczędzisz mi koszmarnych rozmów kwalifikacyjnych z jakimiś śmiertelnie nudnymi sekretarkami?

Czy mu oszczędzę?

Z Sam i Jenny oblałyśmy to w pubie, po czym wybrałam się do Jacka z butelką szampana.

— Na pewno nie zginiesz — oznajmiam, ledwo otwiera drzwi.

— Czego?

Wyciągam zza pleców szampana.

— Jednak będziesz mógł zostać kogutem domowym!

Jack i Matt są zachwyceni nowiną. Siedzimy w kuchni, sącąc szampana, a ja rozwodzę się nad Friers.

— Kiedy zaczynasz? — pyta Matt.

— To jest właśnie najpiękniejsze. Dopiero za parę tygodni. Co oznacza, że możemy się wybrać na wakacje.

— Wakacje? — powtarza za mną Jack.

— Oczywiście. Właściwie, czemu nie? Kiedy zacznę pracować, nie będzie na nic czasu. Wszystko sobie przemyślałam po drodze. Jedźmy na tydzień w jakieś ciepłe kraje.

— Nie sądzisz, że to trochę nagle?

— Masz tydzień, żeby się nad wszystkim zastanowić — zapewniam.

— Och, Jack, daj spokój. Przecież możesz sobie na to pozwolić, no i będziemy si? na pewno świetnie bawić.

Jack najwyraźniej nie jest przekonany.

— W przyszłym tygodniu nie możesz jechać — wtrąca się Matt. — Alex urządza wieczór kawalerski.

— Pamiętam.

Jestem tak podniecona, rozgorączkowana i pijana, że w pierwszej chwili nie zauważam, jak wymieniają między sobą spojrzenia. Nagle odnoszę wrażenie, że czegoś tu nie rozumiem.

—Coś wymyślę — mówi Jack, z tym że nie wiadomo do kogo. Wstaje i podchodzi do lodówki.

—Wychodzę — oświadcza znienacka Matt.

—Nie idź — protestuję.

—Wybacz, ale muszę. Bawcie się dobrze—dodaje i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

—Czy powiedziałam coś nie tak? — pytam.

—Nie, nie przejmuj się.

—Nie musisz jechać ze mną, jeśli nie chcesz.

—Jasne, że chcę. Alex to bardziej kumpel Matta niż mój. Jakoś to z nim załatwię.

—Wspaniale. — Wstaję ze stołka i mocno tulę się do Jacka. — Jestem taka podniecona.

—Ja też—przyznaje Jack, ale nie brzmi to tak przekonująco, jak bym sobie życzyła.

Życie towarzyskie prowadzę przez jakieś siedem dni na 365 w roku i niezmiennie, kiedy nadchodzi jeden z nich, dzieje się milion rzeczy i powinnam znaleźć się w co najmniej stu miejscach naraz. Najlepszym tego przykładem jest sobota, która właśnie się rozpoczyna.

Nie zdążyłam się jeszcze obudzić, a już jestem zestresowana. Dręczący mnie kac dodatkowo pogarsza sytuację.

W Hemel Hempstead ma się odbyć przyjęcie z okazji pięćdziesiątych urodzin ciotki Vi, impreza, na którą zostałam zaproszona z Jackiem (podejrzewam w tym rękę mojej mamy), lecz raczej wolę skonać, niż przedstawić go moim kuzynkom. Nie byłoby dobrze, gdyby zbyt pochopnie zaczął wyciągać wnioski co do genów rządzących moją rodziną. Chociaż z drugiej strony ciotka Vi jest super i normalnie z niecierpliwością czekałabym na spotkanie z nią. W tylnej części ogrodu ma dmuchany zamek do skakania.



Mamie powiedziałam, że przyjdę, kiedy jednak w sobotę mno wracam do domu, wiem już, że będę musiała do niej zadzwonić i jakoś się wykręcić. Wątpię, czy będzie zachwycona.

Urodziny ciotki Vi zbiegają się z kolacją u H, którą wydaje właśnie dzisiaj z okazji urodzin, tym razem Gava. H od nie wiadomo jak dawna głowiła się nad menu i listą gości i dostanie szau, jeśli nie przyjdę. Poza tym obiecałam pomóc jej w przygotowaniach.

Jednak prawdziwy problem polega na tym, że właśnie dzisiaj Chloe urządza u siebie grilla i kiedy rano oznajmiłam, że idę do H, poważnie ścięliśmy się z Jackiem.

—Ale tam będą wszyscy — powiedział. — Musisz przyjść. Matt i ja przygotowujemy żarcie.

—Obiecałam już H.

—To nie są jej urodziny. Tylko zwykła kolacja. Na pewno się ucieszy, że odpadnie jej jedna gęba do wykarmienia.

—Wcale nie.

—To sobie idź — zezłościł się Jack. — Ale trochę to z twojej strony samolubne. Ja rezygnuję z wieczoru kawalerskiego, żeby jechać z tobą na wakacje, a ty dla mnie nie możesz zrezygnować z niczego. Chciałem cię wszystkim pokazać.

W domu czekają na mnie trzy wiadomości od H. Dobrze wiem, że pójde do Chloe, jednak w żaden sposób nie mogę H powiedzieć prawdy. Czuję się wyjątkowo podle, ale nie mam wyjścia — będę musiała kłamać.

Kiedy dzwoni po raz kolejny, rozmawiam z nią słabym i nieszczęśliwym głosem.

—Gdzie się podziewałaś? — pyta. — Całe rano staram się do ciebie dodzwonić. Idziemy na zakupy, zapomniałaś już?

—Nie czuję się najlepiej — odpowiadam.

—Jack jest u ciebie? — pyta sceptycznie.

—Nie. Wymiotowałam.

—Kac?

Tak bardzo chciałabym jej opowiedzieć o swojej nowej pracy, ale za-  
brnęłam już za daleko w swoich łągarstwach.

—Nie sądzę, żebym dała radę iść z tobą na zakupy.

—Ale obiecałaś.

—Wiem, ale naprawdę czuję się fatalnie. Słowo. Wzdycha. Nie mam  
wątpliwości, że jest cholernie wkurzona.

— No dobra, ale lepiej się wykuruj do wieczora. Jack też przyjdzie,  
prawda?

—Nie może. Urodziny ciotki czy coś w tym stylu.

— Ale ja już wszystko sobie zaplanowałam! Mogłaś mnie uprzedzić.

— Przepraszam. Jezu, muszę lecieć, zaraz się wyrzygam. W łazience  
przed lustrem pokazuję sobie język. Naprawdę

zrobiło mi się niedobrze. Dobrze wiem, że tylko sobie mogę podzię-  
kować za całe zamieszanie, na dodatek drzemie we mnie podejrzenie, że  
sprawy skomplikują się jeszcze bardziej. Nigdy w życiu nie okłamałam  
H. A poza tym kupiłam już prezent dla Gava. Naprawdę będzie lepiej,  
jak „się wykuruję” do wieczora. Jack jakoś będzie musiał to przełknąć.

Bardzo z siebie niezadowolona, kręcę się bez celu przez cały dzień. O  
szóstej dzwoni Jack, z telefonu komórkowego Matta.

—Gdzie się podziewasz?

—Właśnie się szykuję.

—Bądź tu jak najszybciej. Żarcie wygląda super. Powiedziałem  
Chloe, że przyjdiesz.

—Jack...

Ale on już się rozłączył.

Przez moment rozważam, czy powiedzieć H, że idę do Chloe, im dłu-  
żej jednak o tym myślę, tym bardziej nabieram przekonania, że to tylko  
wszystko pogorszy.

Pozostaje mi olać H, bo nie mogę zawieść Jacka. Zanim podnoszę  
słuchawkę, układam sobie w głowie, co powiem.

—Jak się czujesz? — pyta.

—Gorzej.

—Jadłaś coś?

—Nie. Zaraz wszystko zwracam. Chyba złapałam katar żołądka. W pracy chorowało na to parę osób.

—Chcesz, żebym po ciebie przyjechała? Możesz u mnie zostać. I nieważne, że nie możesz niczego jeść.

—H, nie dam rady.

—Ale to urodziny Gava.

—Wiem, ale czuję się okropnie. Nie byłoby ze mnie żadnego pożytku. Lepiej wam będzie beze mnie.

—Więc nie przyjdiesz?

—Chyba powinnam się położyć do łóżka.

—Zadzwoń do ciebie później, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

—Nie rób sobie kłopotu. I tak pewnie będę spać. Bawcie się dobrze. I ucałuj ode mnie Gava.

Koniec. Jak nic, wyląduję w piekle.

Droga do Chloe zabiera mi mnóstwo czasu i wcale nie jestem w nastroju do zabawy. Chloe mieszka na parterze wielkiej wiktoriańskiej kamienicy. Wita mnie w drzwiach i prowadzi do ogrodu, a ja po drodze rzucam okiem na salon. Istne cacko, z podłogą z desek i mnóstwem wysmakowanych szczegółów. Ogród też jest idealny.

Jack i Matt kucharzą przy grillu, a w ogrodzie kłębi się co najmniej ze czterdzieści osób. Z głośników rozlega się głos Are-thy Franklin i wygląda na to, że wszyscy są już nieźle urznięci.

—Cieszę się, że przyszedłeś — mówi Jack i całuje mnie.

—To dobrze — odpowiadam, rozglądając się po ogrodzie. Dostrzegam Martina, brata H. Rozmawia z jakimiś ludźmi i kiedy mnie zauważa, podnosi w powitalnym geście kieliszek. Macham do niego i czuję, jak robi mi się niedobrze. Tym razem mi się nie upiecze. Na pewno powie H, że mnie tu spotkał.

Obracam się do Jacka.

— Chcesz coś zjeść? — pyta z ustami pełnymi gorącej kiełbaski, którą właśnie z apetytem zaczął zajadać.

—Nie, dziękuję. Nie jestem głodna. Jack obejmuje mnie ramieniem.

—Hej, rozchmurz się. W końcu to impreza.

Rozchmurzyć się? Kiedy właśnie całe moje życie towarzyskie wali się w gruzy?

Uśmiecham się do niego słabo.

—Kim są ci wszyscy ludzie? — zmuszam się do okazania jakiegoś zainteresowania.

Pokazuje po kolei kręcących się po ogrodzie gości.

—To Stringer, pracuje w siłowni. Damien, stary kumpel ze szkoły — zaczyna wymieniać imiona, których i tak nigdy w życiu nie zapamiętam.

—Och, a to jest Jons — oznajmia na koniec, wskazując na faceta w skórzanych spodniach. Jest bardzo przystojny, ale sądząc po pozie, aż nadto tego świadomy. — Uważaj na niego. Naćpał się koki po uszy. O rany, idą tutaj.

Towarzyszka Jonsowi dziewczyna wydaje mi się dziwnie znajoma, nie umiem jej jednak nigdzie umiejscowić. Musi być modelką, bo jest bardzo szczupła, ma długie blond włosy i w ogóle wygląda tak, że ma się ochotę natychmiast zmienić płć.

—Jack, świetnie sobie radzisz — uśmiecha się do niego promiennie.

Założę się, że jej zębów w życiu nie skalala szminka.

—Nie przedstawisz nas? — pyta, spoglądając na mnie z zainteresowaniem.

Jack jest wyraźnie zakłopotany. Obraca na ruszcie kotlet.

—Jasne. Amy, poznaj Jonsa — macha widelcem do obracania mięsa.

—Cześć — rzucam, patrząc na Jonsa. Faktycznie, Jack ma rację. Już na pierwszy rzut oka widać, że przesadził z koką.

—I Sally — mamrocze Jack.

Gdy prawda do mnie dociera, czuję, jak żołądek zamienia mi się w kamień. To ją Jack malował? Nagusieńką?

—O Jezu! — wymyka mi się. — Więc to ty jesteś tą Sally z obrazu. Od początku wydawałaś mi się znajoma.

Do dziś nie wiem, jak to możliwe, że nie klepnęłam się radośnie w udo, co byłoby świetnym dopełnieniem fałszywego nieco chichotu, któ-

ry tym słowem towarzyszył. Sally wpatruje się we własne stopy, ale niech mnie szlag trafi, jeśli jej się wydaje, że ja także poczuje się zażenowana.

—O jakim obrazie mowa? — zainteresował się Jons.

—Och, nie udawaj, że nie wiesz! — odpowiadam mu z uśmiechem tak szerokim, że gdybym nie miała uszu, to śmiałabym się naokoło głowy. — Ten akt, nad którym Jack pracuje. Jest naprawdę świetny...

—Chwila! — przerywa mi Jons, unosząc rękę. Na palcu wskazującym nosi wyjątkowo paskudny srebrny pierścionek w kształcie czaszki. — Chwila! — powtarza i gwałtownym ruchem odrzuca do tyłu włosy.

—O mój Boże! — mówię, przykładając dłoń do twarzy. — Czyżby to miała być niespodzianka? Chciałaś mu to dać w prezencie? — Wykrzywiam się do Sally. — No jasne, przecież to takie... intymne.

Niezbyt mi się to udało.

A nawet można powiedzieć, że nie udało się wcale. Nic a nic.

Sally wpatruje się w Jacka, a jej twarz wyraża samą wściekłość. Na ułamek sekundy zapada cisza, a potem Jonsowi puszczaają nerwy. Wygląda, jakby za chwilę miała mu eksplodować głowa. Łapie Jacka za koszulkę na piersiach.

— TY PIEPRZONA KUPO GÓWNA! — wrzeszczy i zamierza się na niego.

Zewsząd wokół mnie dobiega jęk, kiedy chyba i z impetem wpada na grilla. Padając, chwytając ręką za stół i w powietrze wylatują hamburgery, on sam natomiast tonie w powodzi sosów. Z potwornym hukiem grill wali się pod jego ciężarem i rozlega się syk przypiekanej na żarze skóry, z której uszyte są jego spodnie, czemu towarzyszy przeraźliwy wrzask Jonsa.

— No, teraz to się doigrałaś! — krzyczy Sally i popycha mnie z taką siłą, że przewracam się na krzak róży, po czym rzuca się na ratunek Jonsowi, który próbuje się jakoś podnieść na nogi.

—Uspokójcie się! — woła Jack.

Jons odpycha Sally. — Ty pieprzona dziwko! — drze się, usiłując zachować pozycję stojącą. Chwytając widelec do przewracania mięsa i z furją

rusza na Jacka. Stojący za nim ludzie cofają się przerażeni. Jack łapie plastikowe ogrodowe krzeselko i przez moment walczą ze sobą, aż wreszcie Jackowi udaje się wytrącić Jonsowi widelec z ręki. Jack przykuca i wystawia przed siebie obie dłonie, jakby miał zamiar wykonać cios kung fu.

— Uspokój się wreszcie! — krzyczy znowu. Jons na chwilę się odwraca. Jack wstaje i zbliża się do niego.—Spróbujmy o tym pogadać.

Nie widzi jednak wyrazu twarzy Jonsa. Ja natomiast instynktownie wyczuwam, co za chwilę się wydarzy, i chcę do nich podbiec, lecz przytrzymuje mnie zaczepiona o kolce róży sukienka.

— Uważaj! — wołam, przez co na sekundę odwracam uwagę Jacka. I oczywiście właśnie w tej sekundzie Jons wymierza swój cios. Widzę, jak trafia idealnie w kość policzkową Jacka. Słyszę swój własny krzyk, kiedy pierścionek-czaszka rozcina mu skórę, a on zatacza się do tyłu, wpada na stolik, posyłając w powietrze baterię butelek i talerzy.

Matt, Damien i Stringer rzucają się i chwytają Jonsa pod ramiona.

Udaje mi się wreszcie uwolnić sukienkę i podbiegam do Jacka.

Damien i Stringer siłą wyprowadzają Jonsa, który ani na chwilę nie przestaje wypluwać z siebie steku przekleństw. Sally biegnie za nimi i po chwili hałasy milkną w oddali.

Kucam obok Jacka, który właśnie usiadł.

—Nic ci się nie stało?

Idiotyczne pytanie. Trzyma się za twarz i masuje sobie szczękę. Chcę go dotknąć, on jednak gwałtownie mnie odtrąca.

— Daj mi spokój! — syczy z taką wściekłością, że aż mi dech zapiera. Oszołomiona, siadam na trawie i widzę, jak on wstaje i chwiejnie wchodzi do domu.

— Jack! — wołam za nim, on mnie jednak ignoruje. Chowam twarz w dłoniach. Zbliża się Matt i kuca obok mnie.

— Nie przejmuj się — uspokaja mnie. — Potrzebuje kilku minut, żeby ochłonać. Właśnie oberwał. Ale nie miał nic złego na myśli.

Wszyscy stoją oniemiałi. Matt pomaga mi się podnieść. I obejmuje ramieniem. I wtedy nadchodzi Chloe. Jest wściekła. Wszystko wokół wygląda, jakby przez ogród właśnie przeszło tornado!

—Gdzie Jack? — pyta z nieukrywaną złością. Tępo kiwam głową w kierunku domu.

— Jezu! — Przewraca oczami, po czym rusza przez ogród i znika w ślad za Jackiem w domu.

Po jakimś czasie docieram do łazienki i zamykam się w niej, wciąż oszołomiona sceną, do której przed chwilą doprowadziłam. Nie wiem, ile czasu przesiedziałam na sedesie, kiedy nagle słyszę cichutkie pukanie do drzwi.

— Amy? — rozlega się głos Matta. Kolejne pukanie. — Amy, wpuść mnie, proszę.

—Drzwi są otwarte — mówię ochryple.

Na widok wyrazu jego twarzy zaczynam płakać.

— Przestań — mówi, siadając na brzegu wanny obok mnie. — Daj spokój, wszystko będzie dobrze.

Obejmuje mnie uspokajająco ramieniem i podaje trochę papieru toaletowego. Wycieram nos.

—Tak mi przykro — pociągam żałośnie nosem.

— Niepotrzebnie. Wszystko jest w porządku. Ja także w podobnych sytuacjach boję się jak jasna cholera.

Drzwi gwałtownie się otwierają.

— Och, więc tutaj jesteś — wita mnie Chloe przez zaciśnięte zęby. — Może i lepiej. Póki co, daleko ci do gwiazdy wieczoru.

Oboje z Mattem wstajemy.

—Jak on się czuje? — pytam.

—Nie martw się. Ja się nim zajmuję.

W drzwiach pojawia się Jack, z ręką przy twarzy. Widzę, że oko już zaczyna mu puchnąć. Chloe mija Matta i otwiera szafkę.

—Mam tu jakieś opatrunki — oznajmia i wyciąga buteleczkę razem z ogromnym kłębem waty. — Jack, chodź tutaj — rozkazuje.

—Dam sobie radę — zapewnia Jack. Na mnie nie patrzy. — Czy moglibyście zostawić nas na chwilę samych?—Spogląda na Matta, który tylko kiwa głową w odpowiedzi, następnie na Chloe, która z kolei sprawia wrażenie, jakby miała ochotę tupnąć nogą. Nie odrywa od niego wzroku, podczas gdy on wyjmuje jej z rąk butelkę i watę. — Po prostu trochę tu ciasno — dodaje.

Chloe patrzy na mnie jak na robaka, którego powinno się rozdeptać. Po chwili wychodzi z łazienki w ślad za Mattem i zatrząskuje za sobą drzwi. Jack przekręca w nich zamek. Opiera się o nie i na chwilę przymyka oczy. Potem spogląda na mnie.

—Przepraszam — zaczyna. — Nie chciałem cię tak popchnąć.

—Nie musisz za nic przepraszać. To wszystko moja wina. Och, Boże, Jack, tak strasznie mi przykro.

—Chodź tutaj — mówi Jack i w sekundzie łąduję w jego objęciach.

—Co za dupek z niego!

Podnoszę wzrok i przeraża mnie widok, jaki przedstawia jego oko. Prowadzę go nad wannę i każę usiąść na jej brzegu. Biorę wodę utlenioną i wacik i klękam przed nim.

— Bardzo boli?

Nie odpowiada. Nachyla się i kładąc mi ręce na ramionach, dotyka mojego czoła swoim.

—Ale afera! — wzdycha.

—Już po wszystkim.

—Niechciałem...

—Cii. — Przykładam mu palec do ust. Patrzy na mnie. Spoglądam mu prosto w oczy. I naraz wszystko zaczyna nabierać sensu. Nici nikt się nie liczy, ani Sally, ani Chloe, ani tym bardziej Jons. Ważny jest tylko Jack.

—Kocham cię — szepczę.



**JACK**

Ona mnie kocha, a czy ja kocham ją? Nie powiedziała „lubię cię”. Ani „podobasz mi się”. Nawet nie „jesteś moim przyjacielem”. Nic z tych rzeczy. Tylko „kocham cię”.

Jest to zdanie niebagatelne. Stoi mniej więcej na równi z: „Zanim posuniemy się dalej, myślę, że powinieneś wiedzieć, że nie zawsze byłem kobietą...” (Michaela/Mike do Matta, 1995); „Kiedy mówiłem, że nie jestem żonaty, nie byłem tak do końca szczery...” (Graham King do Chloe, 1997); i „Myślę, że najwyższy czas, żebyśmy zaczęli rozmawiać o małżeństwie...” (Zoe do mnie, 1995).

Jednym słowem coś, czego nie należy ważyć sobie lekce.

W tak krytycznej chwili mam, rzecz jasna, do dyspozycji wiele tradycyjnych zagrywek taktycznych:

a) Pełne kontemplacji „Mmmmmm” (najlepiej, żeby towarzyszyło temu powolne kiwanie głową i wyraz twarzy człowieka cierpiącego na chroniczne zaparcie).

b) Mało zrozumiałe „Ja ciebie też krchm” (im człowiek bardziej wla-ny, tym lepiej).

c) Pełne nieskrywanej paniki „O mój Boże, chyba puszcze baka” (jak wyżej).

d) Terapeutyczne „Dziękuję ci, że się ze mną tym podzieliłaś” (niezwykle ważne, aby nie zapomnieć o uścisku dłoni).

e) Aroganckie „Wiem” (pełen kontakt wzrokowy, czarujący uśmiech/czuły uścisk — do wyboru).

W tej chwili jednak nie mam najmniejszej ochoty na zastosowanie żadnej taktyki. Jestem zanadto zmieszany. Patrzę na Amy i myślę sobie,

tak, może to właśnie chciałem od niej usłyszeć. Naprawdę mi pochlebiła, bo sędzę, że do powiedzenia tego skłoniła ją swego rodzaju monumentalna, typowo kobieca decyzja, że jestem dla niej odpowiednim mężczyzną. Jakaś część mnie pragnie wstać, ująć ją za rękę i spoglądając jej w oczy, potwierdzić: „Tak, jestem twoim mężczyzną. Tak, kocham cię. Tak, jestem szczęśliwy, ponieważ ty też mnie kochasz”. Chcę przez to powiedzieć, że do tego się właściwie wszystko sprowadza: kochać i być kochanym. Tylko jedna strona równania — bez drugiej — nie prezentuje się najlepiej.

Mam rację?

Nachodzą mnie jednak także inne myśli. Wypływające z poczucia zagrożenia. Do których sam przed sobą niechętnie się przyznaję. Na przykład, czy ja ją tak naprawdę znam? Na tyle dobrze, żeby jej deklarację miłości potraktować poważnie? Czy tak naprawdę ufam jej na tyle? A co będzie, jeśli się okaże, że popełniłem błąd? Jeśli dam się ponieść chwili i tę mieszaninę uczuć, jakie wobec niej żywię, ochrzczę mianem Miłości?

Moje dotychczasowe doświadczenie w tych sprawach, jak zresztą we wszystkich innych, nie nastraja mnie zbyt optymistycznie i nie dodaje pewności. Przynajmniej raz w życiu (wyluczając krewnych i zwierzaki) powiedziałem „Kocham cię”. Osobą, do której to zaadresowałem, była Zoe. Miało to miejsce na lotnisku Heathrow. Czekaliśmy tam od sześciu godzin na samolot na Ibizę. Trzy godziny wcześniej pokonało nas zmęczenie. Dopadła typowa lotniskowa nuda. Siedziałem na jednym z tych plastikowych kubelkowych krzesełek i wgapiłem się w tablicę świetlną w nadziei, że wreszcie pokaże się na niej napis „NOW BOARDING”. Zoe spała z głową wspartą na moich kolanach. Pamiętam, że patrzyłem na nią, na jej włosy rozsypane po moich udach, na zamknięte oczy i nagle poczułem, jak zalewa mnie potężna fala pragnienia, aby zawsze się nią opiekować. Była tak piękna, przepelniona spokojem. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem podobnego uczucia. Pochyliłem się i pocałowałem ją w czoło, a dwa magiczne słowa same mi się

wymknęły z ust. Wypowiedziałem je szeptem. Spotykaliśmy się już od sześciu miesięcy i wtedy naprawdę wierzyłem w to, co mówię.

Lecz dzisiaj, w łazience Chloe, ze szczypiącą od wody utlenionej raną na policzku i okiem szybko zamieniającym się w pośmiertny dzwon dla zwycięzcy w konkursie na największe podobieństwo do jajka w koszulce, zupełnie inne przepełniały mnie uczucia. Nie jestem już dzieciakiem i wiem, że miłość to nie potrzeba opiekowania się. Ani też spokój ducha. Miłość to decyzja. Uznanie, że to właśnie to i nic innego. Nie należę do facetów, którzy wyznają miłość tylko dlatego, że to łatwiejsze niż jej niewyznanie. Nie należę również do tych, dla których jest to najprostszy kod dostępu pod spódnicę dziewczyny. (W tym celu gotów jest powiedzieć wszystko, oprócz tego jednego.) Ale też się tego nie boję. Powiem to, kiedy nabiorę stuprocentowej pewności. A kiedy tak patrzę teraz na Amy, to wiem, że na razie mi do tego daleko.

Wniosek: nasza przyszłość to jeszcze ciągle „jeśli”, a nie „kiedy”.

Zamiast więc przyjąć jej wyznanie i odpłacić oczekiwanym „Ja ciebie też”, wybieram ścieżkę wydeptaną przez całe generacje niezdecydowanych mężczyzn: robię unik.

— Masz podartą sukienkę — zauważam i przestając patrzeć jej w oczy, spoglądam na poszarpany materiał.

Na kilka chwil zapada cisza. Serce wali mi tak głośno, że zastanawiam się, czy ona także je słyszy.

Wreszcie Amy przerywa milczenie. — Jak się czujesz?

—Do dupy — przyznaję.

Dzięki Bogu dociera do niej, że mam na myśli zajście w ogrodzie, a nie to, co właśnie od niej usłyszałem.

—Strasznie głupio się zachowałam — wyznaje Amy.

Przytulam ją mocniej i całuję w policzek.

— Nieprawda, to ja byłem głupi. Zachowałem się jak idiota, nie mówiąc, jak naprawdę Sally wygląda. Zresztą ten walnięty, naćpany dupek też zachował się jak idiota, kiedy chciał mi dołożyć.

Amy pochyla głowę.

—No tak, ale rozumiesz chyba dlaczego...

—A tam, bzdury. Nikt nie ma prawa zachowywać się w ten sposób. Tu za dużo — mówię, pokazując na swój nos. — A tu za mało—dodaję, klepiąc się po głowie. Czuję, jak mój oddech staje się cięższy na samo wspomnienie twarzy Jonsa.

—A gdybyś to ty był na jego miejscu? Gdybyś nagle dowiedział się, że ktoś maluje mnie naga? Nie odbiłoby ci?

Jest to, oczywiście, pytanie bardzo na miejscu, nie mam jednak zamiaru zastanawiać się teraz nad odpowiedzią. Bardzo pewny siebie kręcę przecząco głową.

—Nie, nie odbiłoby mi, ponieważ nie jestem kutasem. I ponieważ. .. ponieważ ci ufam.

—Wiedziałaś, że ona o niczym mu nie powiedziała? Wcześniej, nie dopiero dzisiaj?

Zastanawiam się, czy skłamać i powiedzieć, że założyłem, iż Jons wie o wszystkim i nie ma absolutnie nic przeciwko temu. Tylko co by mi z tego przyszło. Wystarczyło na niego spojrzeć i od razu stawało się jasne, że ciężko było mu znieść obcego faceta siedzącego obok Sally w autobusie, a cóż dopiero mówić o sytuacjach bardziej intymnych. Mówię więc prawdę.

— Tak. Wspominała, że gdyby się dowiedział, wpadłby w szal.

—Podobnie jak ja na widok obrazu.

—Owszem — wzdygam. — Coś w tym stylu.

— Wobec tego, jak sądzę, wszystko sprowadza się do szczerości — zauważa Amy. — Nie ufałam ci i podejrzewałam najgorsze.

Przekręcam się na brzegu wanny, żeby móc widzieć jej twarz. Ma oczy opuchnięte od płaczu. Czuję się, jakby wszystko było moją winą. Zresztą, chyba słusznie.

—Tak właśnie myślałaś, kiedy znalazłaś obraz?

—Co, że z nią spałeś?

—Tak.

—Cóż, skłamałabym, gdybym zaprzeczyła. — Przesuwa ręką po moich włosach. — Tak właśnie myślałam. — Przekrzywia głowę i spogląda na mnie. — Wkurza cię to?

—Nie. — Zbyt długo jednak się przed tą odpowiedzią wahałem.

—Ani odrobinę? — naciska.

—No dobra — poddaję się. — Może trochę.

— Przepraszam. To zwykła zazdrość. Naprawdę ci ufam, Jack. Absolutnie. Wiesz o tym, prawda?

Gdy tak do mnie mówi, czuję się jak kupa gówna. I to nie taka sobie zwykła, standardowa kupa. Jak coś znacznie gorszego. Jak coś, co płącze się pod krowim ogonem albo czepia odwłoka końskiej muchy. Podobnie czułem się wtedy, gdy znalazła obraz, co wywołało kłótnię, którą szczęśliwie udało mi się zakończyć szybko i w miarę polubownie. Teraz nadarza się odpowiednia chwila, żeby wyjaśnić wszystko i przyznać Amy rację, że słusznie podejrzewała, iż malując Sally, kierowałem się nie tylko motywami czysto artystycznymi. No, dalej, przełam się stary i wyduś to z siebie.

Pytanie tylko, po co? Czy powinno mieć dla niej znaczenie, co myślałem i robiłem w okresie „przed Amy”? Po co sprawiać jeszcze więcej bólu? Przecież teraz i tak nie ma to już znaczenia. Dzisiaj zależy mi na Amy, nie na Sally. Co przyjdzie jej ze świadomości, że kiedyś było inaczej?

—Sam nie wiem—mówię, odnosząc się do szerszej perspektywy. — Czym różni się twoje myślenie od tego, co przed chwilą zrobił Jons? Zareagowaliście mniej więcej podobnie.

—Ja cię nie uderzyłam — ona na to. — Już choćby to samo powinno się liczyć.

Uśmiecham się wbrew sobie.

— Tak, chyba masz rację. A ja nie przysmażyłem ci skórzanych spodni. To też powinno się liczyć.

Amy krzywi się. — Och, to musiało go boleć.

—I to jak — śmieję się jak głupi. — Jak bekon na patelni. Nagle jej głos staje się na powrót śmiertelnie poważny. — Jack, musimy sobie coś wyjaśnić.

—Chodzi o kwestię zaufania?

— Tak. Ale nie tylko. O całą naszą przeszłość. Żeby nie było więcej tajemnic ani kłamstw. I żebyśmy się już nigdy więcej nie wpakowali w podobną kabałę.

Ma rację: powinniśmy się tym zająć. Ale nie tutaj i nie teraz. Zwłaszcza że wciąż jeszcze jesteśmy bardzo podekscytowani. Rozlega się pukanie do drzwi. Otwieram je i wchodzi Matt.

—Lepiej się już czujesz, człowieku-słoniu? — pyta, krzywiąc się na widok mojej zmasakrowanej twarzy.

—Chyba tak — stwierdzam, obracając się z uśmiechem do Amy. — Wracajmy na imprezę.

## BAGAŻ

Kiedy we wtorkowy wieczór docieram do „Zacka”, Amy już na mnie czeka przy stoliku na zewnątrz. Umówiliśmy się tam na drinka, przed pójściem na imprezę do jednego z jej znajomych. Dzieli mnie od niej jakieś parę metrów. Ciągle jeszcze mnie nie zauważa, przystaję więc i patrzę na nią. Kiedy chodziłem z Zoe, często się tak bawiłem. Nazwałem to: „Czy gdyby nie była moją dziewczyną, w dalszym ciągu by mi się podobała?” Stoję więc i wyobrażam sobie, że jest mi zupełnie obca, a ja znalazłem się tutaj przypadkiem. Teraz, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy, automatycznie nasuwa się kolejne pytanie: „Czy miałbym ochotę się z nią przespać?”

Na pierwszy ogień idą dane dotyczące wyglądu zewnętrznego: włosy, budowa, ubranie. Wszystko jest kompatybilne z preferowanym przeze mnie typem. Nie nosi trwałej, nie ogoliła głowy, nie ma też brody. Nie widać typowych oznak anoreksji, podobnie jak nic nie wskazuje na uzależnienie od tłuszczów ani nadużywania sterydów anabolicznych. Ma też niezły gust, żadnych odblaskowych legginsów z lycry, szpilek czy T-shirtów z napisem Michael Bolton Fun Club. Jest także w odpowiednim

przedziale wiekowym: nie więcej niż pięć lat młodsza ode mnie (dzięki czemu możemy sobie pozwolić na wspólne nostalgiczne wspomnienia kultowych programów telewizyjnych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych — *The Dukes of Hazzard*, *The RockfordFiles*, *C.H.I.P.S.* itd.) i nie więcej niż dziesięć lat starsza (co znacznie zmniejsza ryzyko poważnego bagażu—nieudanego małżeństwa, dzieci, płyt winylowych Pink Floydów/Dawida Sou-ia itd.) Jak dotąd, wszystko gra. Teraz czas na dodatkowe obserwacje wizualne. Czyta jakieś błyszczące czasopismo (nie analfabetka—pozytywnie), włosy ma w modnym odcieniu (kosztowne upodobania — gorzej), przed nią na stoliku stoją dwa kieliszki i butelka zmrożonego wina (z kimś umówiona, pewnie z chłopakiem — fatalnie). Analiza ogólna: potencjalna kandydatka; szkoda, że ma chłopaka.

Gdybym rzeczywiście ujrzał w tej chwili Amy po raz pierwszy, musiałbym odejść, aczkolwiek ze szczerą niechęcią. Szczęśliwie nie jest to pierwszy raz. Nie przeszkadza mi też, że ma chłopaka, ponieważ to ja nim jestem, a na tym drugim kieliszku widnieje bardzo wyraźnie wypisane moje imię. Podchodzę do niej z uśmiechem, ponieważ odpowiedź na pierwsze pytanie zdecydowanie brzmi „Tak”.

Całuję ją, siadam, nalewam sobie wina i orientuję się, że to, co czyta, to broszura biura podróży. Amy pyta, jak minął mi dzień, a ja zauważam, że broszura dotyczy wakacji na Hawajach. A kiedy oświadcza, że od dwóch lat nie wyjeżdżała za granicę, dociera do mnie, że wszystko to opiera się na założeniu, iż ma do czynienia z obrzydliwie bogatym facetem, który zapewne nic innego nie robi, tylko włóczy się po Hawajach i tym podobnych. Na koniec zauważa, że mam we włosach żółtą farbę, a wtedy zdaję sobie sprawę, że przede wszystkim jestem okropnie zmęczony.

— Co o tym myślisz? — pyta, obracając w moją stronę broszurę otwartą na stronie reklamującej wyjątkowo luksusową miejscowość.

Co myślę? Tak naprawdę szczerze? Myślę, że kiedy splączę debet, komorne i pokryję koszty utrzymania z pieniędzy zarobionych za *Studium w pieprzonej żółci* dla firmy tatusia, z biedą wystarczy mi na bilet auto-

busowy do Clacton-on-Sea, nie mówiąc już o niczym bardziej egzotycznym. Uważam, że tam jest fantastycznie i gorąco, po co więc w ogóle zawracać sobie głowę jakimiś głupimi wyjazdami za granicę? Myślę, że w idealnym świecie Amy śmiertelnie bałaby się latać samolotem i wakacje spędzilibyśmy, dygocząc z zimna, ale w Zjednoczonym Królestwie. Amy jednak nie chce poznać prawdy. Albo to raczej ja wołałbym o niej zapomnieć. Kiedy otwieram usta, żeby przemówić, dociera do mnie, że z kłamaniem rzecz ma się podobnie jak z masturbacją: kiedy się raz zacznie, cholernie ciężko jest przestać. Choć jednak myśli mam niewesołe, jakimś cudem udaje mi się nie pokazać po sobie przerażenia, a nawet ukryć je pod płaszczykiem pozy zblazowanego światowca.

—Sam nie wiem — oznajmiam znudzonym tonem. — Z Hawajami cały kłopot w tym, że jak się tam raz było, w zasadzie nie ma po co wracać.

—Och. — Nawet nie stara się ukryć rozczarowania. — Nie wiedziałam, że już tam byłeś.

—Jasne — mówię.

I to prawdę: rzeczywiście już tam byłem. Nieważne, że był to wyjazd fundowany tacie przez firmę, a ja miałem wtedy zaledwie<sup>1</sup> sześć miesięcy i większość czasu spędziłem w wózku. Żeby nie być gołosłownym, zaczynam nawet podrygiwać, nucąc sobie do taktu *Hawaii Five-0*, w nadziei, że to małe przedstawienie pomoże mi odwrócić uwagę Amy od misji, którą sobie wyznaczyła.

Niestety, nadzieja matką głupich. Jeszcze dobrze się nie rozpędziłem, kiedy Amy brutalnie przerywa moje taneczne *pa-pa--pa-pa-param-pam-pam* i pyta:

—Nigdy nie miałeś ochoty pojechać tam znowu? Ramiona opadają mi bezwładnie wzdłuż ciała.

— Cóż — muszę blefować dalej.—Tylko słońce, piasek, fala i tak naprawdę to nic więcej.

— Brzmi koszmarnie. — Zamyka gwałtownie broszuro i wsuwają pod inną, leżącą na stole. Zatytułowana jest „Wycieczki w lasy zwrotnikowe”. — A tu też już byłeś? Zwiedziłeś wszystkie lasy zwrotnikowe?



Rzut oka na pokaźną kolekcję kolorowych prospektów wystających z jej torby mówi mi, że nawet zawodowemu globtroterowi trudno byłoby twierdzić, że odwiedził każde z tych miejsc. Muszę szybko coś wymyślić, bo wygląda na to, że żadną miarą nie uda mi się wykręcić. Już jej obiecałem, że pojedziemy na te cholerne wakacje razem, i najmniejsza nawet próba wycofania się natychmiast odczytana by została jako sygnał, że między Rossiterem i Crosbie coś się nie układa. A dyskusja o kryzysie w związku była ostatnią rzeczą, na jaką miałem w tej chwili ochotę. Ponieważ żaden kryzys nie istnieje. Oprócz tego, że nakłamałem jej o wielkiej kasie, jaką zarabiam na swoim malarstwie. I oprócz tego, że kłamałem, mimo iż wcześniej przysiągłem, że już nigdy tego nie zrobię. Kryzys? Ha! Jaki kryzys? To są szczegóły, drobne skazy na wielkim życiowym planie — żaden powód do afery.

Delikatnie odsuwam na bok broszurę i mówię:

— Myślałem o czymś bliżej.

— Dlaczego?

— Cóż... — I nagle mnie oświeciło: — Ponieważ zanim coś zarezerwujemy, zostanie nam tylko tydzień do rozpoczęcia twojej nowej pracy.

Nie tak łatwo ją jednak zbyć.

— Nic nie szkodzi — ona na to, otwierając prospekt z wyjazdami na Bahamy. Przesuwa palcem wzdłuż cennika, który wygląda jak narodowe wyniki ekonomiczne, i zatrzymuje się przy terminach wylotów i przylotów. — Widzisz, można też zawierać transakcje jednotygodniowe.

Transakcje. Ha! Ciekawe, co by na to powiedział mój bankier.

— Wiem — nie ustępuję. — Ale pomyśl tylko, ile taki lot trwa. Po tem dochodzi zmiana stref czasowych i takie tam. Ledwie zajedziemy, jako tako dojdziemy do siebie, a tu trzeba będzie wracać. — Już otwiera usta, żeby wejść mi w słowo, nie pozwalam jej jednak na to. — Europa. Czy coś z nią jest nie tak? O tej porze roku jest tam pięknie. W Europie jest — sam nie wiem — jest po prostu fajnie.

Ze zmrużonymi oczami powtarza za mną: — Fajnie?

— No właśnie—tryskam entuzjazmem.—Można robić tyle rzeczy. Te wszystkie miejsca do zwiedzania... — Sam sobie potakuję głową. — To fajne.

Odchyła się do tyłu. Całe jej ciało mówi, i to niezwykle wyraźnie: *W Europie wcale nie jest fajnie. Nie jest ani trochę fajnie, bo byłam tam już sto razy i teraz chcę jechać na Hawaje.*

— No, dobrze — mówi na głos. — W której więc części Parku Tematycznego Europa chcesz fajnie spędzić czas?

Ponieważ myślę tylko o tanim samolocie, tanim zakwaterowaniu, tanim alkoholu i tanim jedzeniu, słowo „Grecja” niejako samo wymyka mi się z ust.

—Grecja? — powtarza za mną przez tak zaciśnięte wargi, że aż się dziwię, jak w ogóle jej się to udało.

—No właśnie, Grecja. Kolebka zachodniej kultury. Parte-non, Homer i cały ten grecki szpan.

Przez chwilę się zastanawia, przenosząc wzrok ze mnie na broszury w torbie i z powrotem. Budzi się we mnie cień podejrzenia, że gdyby przyszło jej wybierać: one albo ja, miałbym przed sobą ciężkie chwile.

—Dobrze — mówi na koniec. — Niech będzie Grecja. Chcesz się zająć rezerwacją czy ja mam to zrobić?

—Zostaw to mnie — rzucam pospiesznie, oczyma wyobraźni widząc już cały pakiet zniżek i rabatów, jakimi obsypuje mnie agent biura podróży.

Dzięki Bogu, rozmowa schodzi wreszcie na inne tematy. Chociaż wdzięczność nie jest chyba słowem najlepiej oddającym mój stan ducha wobec tego, o czym zaczynamy rozmawiać. Niepokój brzmi znacznie lepiej. Albo paranoja. Ale na pewno nie wdzięczność. Na myśl przychodzi mi określenie „przypiekanie ogniem” albo „przypalanie gorącym żelazem”. Ponieważ Amy zaczyna mówić o tym, od czego ledwo udało mi się wymigać w łazience Chloe: o przeszłości.

Cóż, moje podejście do spraw przeszłych jest dość dziwne. Z jednej strony jest mi ona obojętna. Jestem, gdzie jestem i kim jestem dzięki wszystkiemu, co mnie spotkało i czego doświadczyłem. Tak było na

przykład w ten wieczór, kiedy poznałem Amy. Rozmawialiśmy wtedy o naszej przeszłości i było super. Ale była to przeszłość czysta, ocenzurowana, taka, o jakiej opowiada się dziecku bez obaw, że będą mu się potem śniły koszmary. Z drugiej jednak strony są pewne sprawy, których lepiej nie ruszać. Na przykład seks. Albo ludzie, z którymi go w ciągu ostatnich kilku lat uprawiałem. Seks to bardzo śliska sprawa. Kiedy się komuś opowiada o życiu seksualnym, ten ktoś wyciąga na ogół wnioski.

Weźmy taką Christine. Christine to dziewczyna, na którą się strasznie z początkiem roku napaliłem. Była naprawdę świetnym kumplem, gadaliśmy o wszystkim, wymienialiśmy przeżyte historie miłosne jak podobizny piłkarzy. To było coś wspaniałego. Otwarte i szczerze. Problem w tym, że kiedy zaproponowałem jej chodzenie, nie była szczególnie zainteresowana. Bo i czemu? Nie dlatego, że jej się nie podobałem — sama przyznała, że jest inaczej — ale dlatego, że nie miała ochoty stać się jeszcze jedną smutną statystyką w Zbiorze Jednonocnych Romansów Jacka Rossitera.

W przypadku Amy to właśnie mnie niepokoiło. Czy będzie mnie oceniać? Jeśli się przyznam, że ostatnie Bóg jeden wie ile lat spędziłem na błyskawicznych seksualnych podbojach i równie szybkich ucieczkach z miejsc wypadków, czy wówczas ona sama nie umknie, gdzie pieprz rośnie? To wielkie ryzyko, ale będę musiał je podjąć. Umówiliśmy się przecież, że żadnych więcej kłamstw. Jeżeli ma mnie zaakceptować, musi przyjąć mnie takiego, jakim jestem. Kochaj albo rzuć, jak to mówią.

Mam nadzieję, że zdecyduje się na to pierwsze.

W tej sytuacji, po kilkunastu wstępnych „hm” i „ha”, nareszcie zaczęliśmy rozmawiać o naszych byłych związkach. Aczkolwiek mam świadomość, że tak naprawdę to wcale o nich nie rozmawiamy; one mają nam posłużyć tylko jako przykłady, próby mające dowieść, czy jesteśmy kompatybilni. We wszystkich stawianych sobie pytaniach pytamy o jedno, ale tak naprawdę chodzi nam o COŚ innego, prawdziwego. Na przykład Amy pyta mnie:

Czy kiedy byłeś z kimś związany na dłużej, zdarzyło ci się nie dochować wierności? (*Czy mógłbyś nie dochować wierności mnie?*)

Czy kiedy chciałeś z którąś zerwać, mówiłeś jej po prostu, że między wami wszystko skończone, czy też prowokowałeś jakieś paskudne sytuacje, żeby w rezultacie wina spadła na was oboje? (*Jesteś mężczyzną czy zwykłą kanalią?*)

Czy rozważałeś możliwość małżeństwa z którąś ze swoich dziewczyn, nawet jako coś bardzo odległego? (*Czy przeraża cię myśl o związaniu się z kimś na stałe?*)

Ja z kolei mam do Amy takie pytania:

Czy gdyby którykolwiek z tych facetów poprosił cię o rękę, zgodziłaś się? (*Czy wy szłabyś za mnie za mąż głównie dlatego, że podoba ci się sama idea małżeństwa i właśnie do niego dojrzałaś, a nie wyłącznie dlatego, że jesteś we mnie po uszy zakochana?*)

Czy dopuściłaś się kiedykolwiek aktu zemsty na którymś ze swoich byłych kochanków? (*Jeśli nam nie wyjdzie i cię rzucę, jaka jest szansa, że staniesz się moim „Fatalnym zauroczeniem”?*)

Czy kochałaś się kiedyś z kobietą? (*Może nam się przytrafić trójkącik?*)

I tak, kroczonek po kroczoneku, wyciągamy z siebie różne rzeczy, jednocześnie cały czas badając, czy przypada nam do gustu to, co słyszymy.

Następnie przechodzimy do szczegółów. Zaczynamy od pytania standardowego: Z iloma dziewczynami/facetami spałeś/spałaś? Trudno mi przewidzieć, jak zareaguje Amy na moją odpowiedź (dwudziestoma pięcioma). Kiedy jednak widzę, jak z przymkniętymi oczami liczy na palcach swoje zdobycze, by na konieco oznajmić: „Dwunastoma”, jestem — delikatnie mówiąc — zaskoczony. Natychmiast wprowadzam te dane do wzoru rozwiązalności, nad którym wraz z Mattem pracowaliśmy w okresach nadmiernie uciążliwej nudy. Zawiera on wszystkie czynniki niezbędne do obliczenia właściwego współczynnika rozwiązalności (ser-

duszko), wyrażającego średnią liczbę osób, z którymi się sypiało rocznie w okresie życia w pojedynkę: liczba osób, z którymi się spało (W); aktualny wiek (X); wiek, w którym się utraciło dziewictwo (Y); i liczba lat przeżytych w dłuższych związkach (Z). Sam wzór wygląda następująco:

$$\frac{W}{X - (Y + Z)} = 1 \text{ SERDUSZKO}$$

W odniesieniu do Amy przedstawia się to tak:

$$\frac{12}{25 - (17 + 4)} = 3 \text{ SERDUSZKA}$$

A do mnie tak:

$$\frac{25}{27 - (17 + 2)} = 3,125 \text{ SERDUSZKA}$$

Otrzymany wynik jasno mówi, że chociaż liczba jej partnerów jest prawie o połowę mniejsza od moich, to nasze współczynniki są prawie takie same. W ciągu jej spędzonych w pojedynkę, seksualnie aktywnych lat średnio łądowała w łóżku trzy razy w roku, podczas gdy ja 3,125 razy.

W zasadzie nie bardzo wiem, jak to interpretować. Odczuwam, rzecz jasna, ulgę, że mamy mniej więcej takie same doświadczenie w tej materii, a ja nie wyszedłem na większego puszczałskiego niż ona. Z drugiej

jednak strony jestem wstrząśnięty. Zawsze miałem się za faceta nieco rozwiązłego, czy to więc oznacza, że Amy jest rozwiązłą kobietą? I czy nie powinno mnie to niepokoić? Jeśli chodzi o kobiety, nie ufam sobie zbyt, czy wobec tego powinienem ufać jej, gdy chodzi o mężczyznę? A może to po prostu kryzys męskiego ego spowodowany świadomością, że beze mnie także potrafi się nieźle bawić?

Tak czy owak, zaintrygowała mnie. Chcę wiedzieć więcej. Więc pytam. I otrzymuję odpowiedzi. Nazwisko za nazwiskiem. Po kolei. Począwszy od jej pierwszego faceta (Wayne'a Cartwrighta, za szopą na rowery w Elmesmere High), a kończąc na ostatnim (Martinie Robbinsie, sześć miesięcy przed poznaniem mnie, na weselu w Walii). Od najmłodszego (znowu Wayne Cartwright), do najstarszego (Simon Chadwick, czterdziestojednoletni muzyk). Opowiada mi o swoim najgorszym (Alanie Wood, trzydziestoparoletnim gamoniem w stadium rozwodu) i najlepszym (Tommy Johnsonie, scenografie z West Endu). Dowiaduję się trochę więcej o jej najdłuższej trwającej pomyłce (Andym, brokerze z City, z którym nawet jakiś czas mieszkała), natomiast zdecydowanie mniej o najkrótszej („Jimmy czy Jonny Jakiś tam. Byłam zalana w trupa. I naprawdę to nie pamiętam go zbyt dobrze”).

Gdzieś tak mniej więcej w połowie, chociaż na każde jej wyznanie odpowiadam swoim, dopada mnie nieznane dotąd uczucie. Nie wiadomo, skąd się wzięło, ale jak już się pojawiło, to na dobre. Ona opowiada, ja słucham i zaczyna mi się robić niedobrze. Zaczynam ją sobie wyobrażać z tymi wszystkimi facetami, jak robi z nimi to wszystko, co ze mną i co sprawia, że jest moja, a ja jestem jej. Zdrowy rozum podpowiada mi, że to wariactwo, ale jakże bolesne. Dawno już nie miałem z czymś podobnym do czynienia. A to dlatego, że po prostu guzik mnie to obchodziło. Większość dziewczyn, z którymi łądowałem w łóżku, była dla mnie przygodą na jedną noc, prawie nic o nich nie wiedziałem, a to, co wiedziałem, i tak mnie nie interesowało. Bo i po co? Mała była szansa, żebym się z nimi dłużej zadawał. Nie mieliśmy przed sobą żadnej przyszłości, jaki więc sens tracić czas na przeszłość?

Teraz jednak to co innego. W ciągu ostatnich kilku dni dużo myślałem nad tym, co powiedziała mi Amy w łazience Chloe. O tych dwóch małych słówkach. I coraz bardziej dochodziłem do wniosku, że może jednak powinienem był odpowiedzieć inaczej, Ponieważ naprawdę mi na niej zależy. I to bardzo. I wydaje mi się, że naprawdę zaczynam się w niej zakochiwać. Dlatego właśnie tak niemiło słucha mi się tych historii. Pragnę jej. Pragnę jej całej. Wiem, że to oznacza także poznanie o niej całej prawdy, ponieważ wolę, żeby powiedziała mi wszystko, niż coś zataiła. Ale jednocześnie nie mam ochoty słuchać, jak zdradzała innych. Nie chcę słuchać, jak pijana lądowała w łóżku z byle kim tylko dlatego, że nie miała siły wsiąść do taksówki i wrócić do domu. Nie chcę słuchać o tym wszystkim, co bardziej niż chętnie sam bym wykorzystał, będąc na miejscu-tamtych facetów. A dlatego nie mam ochoty o tym wszystkim słuchać, bo nie chciałbym, żeby coś podobnego przytrafiło się mnie.

Tłumaczę sobie, żebym nie był takim dupkiem. Przecież ona musi czuć się podobnie, zważywszy na to wszystko, co jej opowiedziałem. Nie bądź żaloszny, mówię sobie. Skończ z tym brakiem poczucia bezpieczeństwa i zazdrością. Nie bądź rym wszystkim, czym tak pogardzasz. Walcz z tymi niedobrymi uczuciami. Ciesz się, że do tej rozmowy doszło. Jest szczerą i przede wszystkim normalną. Pogódź się z faktem, że jeśli nie poślubi się dziewczycy, prędzej czy później trzeba będzie stawić czoło podobnej sytuacji.

— Ale dzisiaj wszyscy oni to już przeszłość? — upewniam się, gdy przebrnąłem przez numer dwudziesty piąty, a ona przez dwunasty.

Patrzy mi prosto w oczy i mówi:

—Tak.

—Nie został ci żaden moralny kac? Jakież nie dokończone sprawy? Zapomniany bagaż, o który ktoś kiedyś się Upomni?

—Nie.

—To dobrze — mówię, starając się ukryć ulgę, którą odczuwam. — Cieszę się.

— A u ciebie? — pyta niepewnie. — Jest ktoś, o kim jeszcze nie mówiłeś?

—Nie ma nikogo — zapewniam ją — oprócz ciebie.

—Żadnej Zoe? Żadnych sentymentów?

—Żadnych.

—Żadnych Sally?

—Nie.

Spuszcza wzrok na stół.

—Dzwoniła do ciebie?

—Nie, i nie przypuszczam, żeby jeszcze kiedyś się odezwała. Kate mówiła, że jest w Glasgow z Jonsem i stara się jakoś wszystko załagodzić.

Wyraźnie zadowolona kiwa głową, po czym podnosi oczy i zniemacka pyta:

— A Chloe?

Wątpię, czy prośba, żebym ściągnął spodnie i wysikał się na środku ulicy, wstrząsnęłaby mną bardziej. Chcę zapytać: „Co takiego?”, ale wychodzi z tego jakieś „Błuu?”

—Podobasz się jej.

—A tam, bzdura. Przecież to jedna z moich najlepszych przyjaciółek.

—No i co z tego? A przyjaciele nie mogą ze sobą sypiać?

—No, tak — zaczynam się nagle bronić, zupełnie jakbym mimo wszystko miał jakieś grzeszki na sumieniu. — Ale my nie spaliśmy.

—I nie masz nawet ochoty? Głównie o to chodzi. Nie, czy miałeś, ale czy będziesz miał?

— Nie miałem i nie będę miał. Nachyla się i całuje mnie.

—To dobrze — oświadcza z uśmiechem. — Wybacz, ale musiałam zapytać.

—Dlaczego?

—Dlaczego? Ponieważ jeśli kiedykolwiek coś do niej czułeś, nigdy nie będę mogła się z nią zaprzyjaźnić. Nie chciałabym, żeby znalazła się bliżej niż sto metrów od ciebie. Rozumiesz, prawda?

—Tak. Ale teraz to już chyba nie ma znaczenia?



—Nie. — Wyciąga butelkę z lodu. Jest już pusta. Spogląda na zegarek. — Chodźmy — ponagla. — Nie możemy się spóźnić na imprezę u Maxa.

## IMPREZA

Impreza u Maxa to prawdziwa ulga, laksacja, żeby nie powiedzieć Maksacja. Imprezę u Maxa powinno się reklamować w telewizji w czasie największej oglądalności jako cudowny środek leczniczy dla wszystkich czepialskich facetów—jak ja—którzy dostają świra, mając w perspektywie spotkanie z byłymi chłopakami swojej dziewczyny *en masse*.

Z chwilą gdy Max otwiera nam drzwi, węzeł, na jaki od dłuższego czasu zawiązany był mój żołądek, rozluźnia się. Gospodarz, cały w uśmiechach, wita nas słowami:

— Wow, więc to jest ten twój nowy facet.—Po czym zamiast karniaka, którego się spodziewałem, wręcza mi puszkę schłodzonego piwa, ściska Amy, ze mną wymienia uścisk dłoni i wprowadza nas dalej.

W mieszkaniu kręci się już ze sześćdziesiąt osób. Wiek zróżnicowany: dwadzieścia, trzydzieści lat. Szacuję pobieżnie zgromadzonych i czuję się coraz lepiej. Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda normalnie: w żadnym kącie zgromadzenie satanistów nie składa w ofierze kozy; na podłodze nie kłębi się masa splątanych ciał. Jednym słowem nic, co mogłoby wzbudzić moje podejrzenia, że Amy w rzeczywistości nie jest tą osobą, którą ja znam.

Przez chwilę stoimy w progu, a Amy w skrócie objaśnia mi, kto jest kim. Następnie tłum nas wciąga i zaczyna się Światowe Tourné Amy i Jacka, z występami przy każdej grupce, kiedy to ja się uśmiecham, dowcipkuję i kolekcjonuję imiona. Pomiedzy jedną grupką a drugą Amy szepcze mi do ucha wszystkie aktualne plotki. Muszę przyznać, że to bardzo wyczerpujące. Z trudem opanowuję przemożną chęć ucieczki, gdzie pieprz rośnie. Choćby na pięć minut, zwłaszcza że to mnie się tu

podziwia jak niedźwiedzia na łańcuchu. Niektórzy z gości znają Amy od dziecka i dla nich jestem zapewne tylko kolejnym jej facetem, żadnym trwałym elementem jej życia, zupełnie przeciwnie niż oni.

—I co o nich sądzisz? — pyta mnie, kiedy wreszcie, po dobrej godzinie chronimy się w kącie.

—Większość jest super — odpowiadam, ponad jej głową obrzucając wzrokiem otaczających nas ludzi. Znalazłoby się kilka niechlubnych wyjątków, ale w zasadzie mówię to, co faktycznie myślę.

—Szczерze? Uśmiecham się.

—Nie mówiłbym tak, gdyby było inaczej. — Jest to, rzecz jasna, kłamstwo. Nawet gdybym uważał ich za największych świrów, jakich spotkać można poza *Kukulczym gniazdem*, i tak zachowałbym to dla siebie. Ponieważ to ona się tu liczy, a nie oni. A dla niej ważne jest, że bym ich polubił.

—Dzięki Bogu za to.

—Co to za ulga w głosie?

—Tak się właśnie czuję. — Nagle poważnieje. — Szkoda, że H tu nie ma. To doprawdy wstyd, że jeszcze się nie poznaliście.

Spogląda na pokój pełen ludzi i przez moment widzę jej profil. Natchodzi mnie myśl, taka sama jak wtedy, kiedy pół godziny wcześniej rozmawiałem z jej kumpelą z college'u, Sue. Amy stała przy oknie z jakimś facetem i śmiała się wesoło, a ja sobie pomyślałem: „Szczęściarz z ciebie, stary”. Teraz to właśnie chcę jej wyznać: że jest naprawdę wspaniała. Że dzięki niej moje życie nagle stało się miejscem, w którym czuję się naprawdę dobrze i w którym mógłbym chyba razem z nią budować dom, żeby potem siedzieć na jego progu i patrzeć, jak zachodzi słońce. Pochylam się i szepczę jej do ucha:

—Pocałuj mnie.

—O mój Boże! — krzyczy i gwałtownie się ode mnie odrywa. W pierwszej chwili, gdy zdumiony patrzę, jak przedziera się przez tłum, dopada mnie przerażająca myśl, że nastąpiło jakieś zaburzenie w tym czymś, co łączy mój mózg z narządem mowy i że zamiast czułego szepotu: „Pocałuj mnie” z moich ust dobył się ryk: „Ognia! Każdy oberwie!”

Szybko jednak okazało się, że moje przerażenie było nieuzasadnione, bo Amy nie pędziła do drzwi, żeby przez nie uciec, lecz aby powitać osobę, która właśnie się w nich pojawiła.

Podchodzę trochę bliżej, chcąc się jej lepiej przyjrzeć, i od razu uderza mnie, jak bardzo określenie „osoba” nieadekwatne jest do tego, co ujrzałem. A ujrzałem Adonisa. Wzrostu mniej więcej metr osiemdziesiąt z hakiem, atletycznej budowy, opalonego, o gęstych ciemnych włosach i olśniewającym uśmiechu, który zapewniłby mu centralne miejsce w zespole Chippendale. Rozglądam się wkoło, ale wszędzie cisza i spokój. Żadnych sygnałów ostrzegawczych, migoczących świateł uprzedzających zgromadzonych chłopaków, że oto pojawił się WIELKI BIAŁY REKIN i natychmiast muszą zabierać swoje kobiety z płytkich wód i umykać na koniec świata. Lecz może oni nie muszą się martwić, bo on już swoją ofiarę wypatrzył.

Albo może to ona wypatrzyła jego.

Na widok pędzącej ku niemu Amy rzuca swój plecak na podłogę i szeroko rozkłada ramiona. Spokojnie. To pewnie jej stary dobry kumpel. Nie ma najmniejszego powodu, żebym nie traktował sytuacji z całkowitym spokojem. Facet ma plecak i jest opalony, więc zapewne wrócił z jakiejś podróży i po prostu cieszą się ze spotkania. Przecież to logiczne. I jak najbardziej w porządku. Nie ma się czym przejmować. Podobnie jak tym, że Amy dosłownie na nim zawisała, a on obejmuje ją niczym starą partnerkę do tańca — tak po prostu. To także powinienem potraktować z całkowitym spokojem. Podobnie jak to, że Amy nogami obejmuje jego szczupłą talię — właśnie tak — a rękami jego szerokie ramiona. I to, że on okręcają dookoła — właśnie tak — przytrzymując ją — właśnie tam — rękami. Po czym stawia ją na podłodze i nie wypuszczając z objęć, spokojnie z nią gawędzi. Powinienem być całkowicie spokojny, ponieważ w naszym związku czuję się bezpiecznie, spokojnie i bardzo pewny swego.

Potrzebuję nie więcej niż trzech sekund, żeby znaleźć się przy nich i głośno chrząknąć, prosto do ucha Amy.

Wypuszcza go z objęć, ale oczy ma błyszczące, a policzki zaróżowione. Podobny wygląd można czasem zobaczyć w kinie, kiedy reżyser chce nam niedwuznacznie powiedzieć, że tej dziewczynie podoba się ten facet.

—Jack, to jest Nathan, mój naprawdę bardzo serdeczny kolega — wyjaśnia Amy, a on przez cały czas obejmuje ją ramieniem, jakby należała wyłącznie do niego. — Ostatnie sześć miesięcy spędził w Azji. — Odwraca się do Nathana. — A to jest Jack.

—Jej chłopak — dodaję, bo najwyraźniej chwilowo o tym zapomniała.

Informacja ta wywiera na Nathanie zamierzony efekt. Zdejmuje rękę z ramienia Amy. Zakładam jednak, że zrobił to po to, aby wymienić ze mną uścisk dłoni. Wyciągam więc w jego kierunku rękę. Jednak jego ręka ma znacznie ważniejsze zadanie do wykonania, a mianowicie powolne odsunięcie z czoła opadających na nie bujnych loków. Kiedy odzyskał pełne pole widzenia, szybko taksuje mnie wzrokiem od góry do dołu, żeby na koniec mruknąć:

—Hm — i na powrót skupić swoją uwagę na Amy, sprawdzając, czy dobrze usłyszał. — Jake, mówiłaś?

—Jack — powtarza Amy.

—Aha. — Nathan patrzy na mnie, jakby chciał się przekonać, czy dobrze usłyszał, po czym znowu przenosi wzrok na Amy. — Chłopak?

—Właśnie.

Pora zapanować nad sytuacją. Przestała bawić mnie rola biernego obserwatora spektaklu. Zignorowaną ręką sięgam do najbliższego stolika po butelkę z piwem. Otwieram ją i podsuwam Nathanowi.

—Piwa, stary? — pytam niewinnym i przyjacielskim tonem, jednocześnie zmuszając Amy, żeby objęła mnie w pasie ramieniem.

Nathan przygląda się tej publicznej demonstracji uczuć, po czym spoglądając na mnie z góry, łaskawie przyjmuje piwo, czemu towarzyszy znane mi już mruknięcie:

— Aha.

Aha? Za kogo się ten facet uważa? Za jakiegoś pieprzonego Elvisa? Nie chcąc mu przeszkodzić, na wypadek gdyby nagle zapragnął zakręcić biodrami, pogwizdując sobie do taktu dixie, cofam się krok do tyłu. Powodowany wyłącznie, rzecz jasna, troską o jej bezpieczeństwo, pociągam Amy za sobą. Nelvis niespodziewanie postanawia przemówić bezpośrednio do mnie.

— Czym się zajmujesz? — pyta z absolutnym brakiem zainteresowania. Teraz, kiedy wreszcie zdobył się na wypowiedzenie zdania składającego się z więcej niż dwóch słów, w jego głosie słyhać akcent z okolic Londynu z domieszką typową dla absolwentów Eton. Gruba forsa.

— Jestem artystą.

W jego oczach pojawia się błysk zainteresowania.

— Doprawdy? — Porozumiewawczo spogląda na Amy. — Znanym?

— Jasne — mówię, zaraz jednak się asekuruję: — W miarę.

— Jak się nazywasz? — pyta. — Wiesz, mój ojciec jest kolekcjonerem i być może ma którąś z twoich prac. Pomaga wielu dobrze zapowiadającym się ludziom.

Podaję mu nazwisko, chociaż wiem, że nic mu ono nie powie, chyba że jego ojciec nazywa się Willy Fergusson i specjalizuje się w zamawianiu prac w żółci.

Prycha lekceważąco i oznajmia:

— Nigdy o tobie nie słyzałem.

Dokładnie to samo mam ochotę powiedzieć jemu. Lub raczej Amy, a dokładniej zapytać ją, kim jest ten facet? Jak to możliwe, żeby ani razu nie zająknęła się dotąd o takim wspaniałym starym kumplu?

Amy zdaje się czytać w moich myślach, bo ściska mnie za rękę i wchodzi nam w słowo:

— Nathan i ja studiowaliśmy razem.

„Co takiego?” — mam ochotę zapytać. „I to niby tłumaczy, dlaczego on traktuje mnie jak jakiś kawał gówna, który właśnie przykleił mu się do buta?” Milczę jednak, ponieważ zwracanie uwagi na takich facetów

jak Nathan to spełnianie ich największego marzenia. Poza tym w grę wchodzi kwestia terytorialna. Amy mu się podoba. Ja jestem z Amy. Chciałby się mnie pozbyć, póki jednak siedzę cicho, nic nie może zrobić.

Jego górna warga wykrzywia się w sposób, który należałoby chyba określić mianem czarującego grymasu. Element czarujący przeznaczony jest dla Amy, grymas dla mnie.

— Znamy się od wieków — zwraca się do mnie, dając mi do zrozumienia, kto tu rządzi. — A ty? Kiedy poznałeś Amy?

Poprawka. Impreza u Maxa nie jest żadną ulgą. To czysta udręka. Jeżeli celem tego gościa jest zaleźć mi za skórę, ktoś powinien przyznać mu stypendium. Na uniwersytecie należącym do Ligi Trującego Bluszczu. Mój wzrok to czysta, skoncentrowana nienawiść. Obawiam się nawet, że z oczu za chwilę trysną mi dwa snopy promieni jak z lasera i obrócą go w nicość. Dochodzę do wniosku, że Nathan to nie zwykłe imię, lecz coś znacznie więcej. Nathan to czasownik, użyty w takim na przykład zdaniu: „Wybacz, ale właśnie *znathanowałem* ci się na deskę klozetową”. Albo Nathan to rzeczownik, jak dajmy na to w takiej sentencji: „Och, wiem, że wczoraj przesadziłem z tym sosem chili, chyba mi rozewie *Nathana*”.

Ale nie powiem mu tego, bo ja jestem dobrze wychowany. Ja nie muszę dołować innych, żeby podbudować swoje wewnętrzne poczucie bezpieczeństwa. Poza tym jestem znacznie od niego wyższy. W odpowiedzi na jego pytanie, kiedy poznaliśmy się z Amy, rzuciłem przybliżoną datę, Amy jednak natychmiast mnie poprawia i zaczyna mu opowiadać Naszą Historię. Nathan chwilę słucha, nie wygląda jednak na specjalnie zainteresowanego tematem. Wtedy zjawia się jakaś, trzydziestka z końskim ogonem, jakby żywcem wyjęta z telewizji i informuje go, że w cieplarni dzielą koką.

— Amy, pogadamy później — zapewnia Nathan, puszcza do niej oczko i odchodzi, mijając mnie obojętnie.

Nelvis wychodzi. Proszę mnie oficjalnie uznać za głęboko wstrząśniętego.

—Co za dupek — mruczę pod nosem do Amy. Ona jednak nie słucha, tylko patrzy za nim.

Mniej więcej koło drugiej nad ranem impreza zaczyna zamierać, żegnając się więc z ludźmi, z którymi właśnie gadam w salonie, i ruszam na poszukiwanie Amy. Na tyłach mieszkania, w gabinecie, natykam się na Nathana. W pokoju jest aż gęsto od oparów maryški. Kilka dziewczyn leży nieprzytomnych na podłodze. Nathan podaje skręta jakiemuś facetowi w dreadlockach, coś do niego szepcze, po czym kiwa głową w moją stronę.

— Cześć... — bełkocze, marszcząc z wysiłkiem czoło. — Sorry, stary, ale zapomniałem, jak się nazywasz.

—Jack — podpowiadam mu.

— A, tak, artysta. — Mruga i kiwa sam do siebie głową. — Chłopak Amy.

—Widziałeś ją? — pytam.

Bełkocze coś, co można by zrozumieć jako: — Jasne, widziałem. Każdy jej kawałeczek. — Na co facet, z którym dzielił skręta, przewraca się na bok i wybucha śmiechem.

Robię krok w jego stronę.

—Co ty powiedziałeś?

Dosłownie ściera uśmiech ze swojej twarzy grzbietem dłoni.

—Nic, stary, nic.

Chwilę na niego patrzę, po czym odwracam się, żeby odejść.

—Hej! — woła, kiedy prawie już jestem w drzwiach. Obracam się. — Czego?

— Jak ją znajdziesz, przypomnij jej, że w piątek wieczorem zabieram ją na kolację.

Ignoruję to. Ignoruję i nie proszę, żeby powtórzył. Ignoruję to i nie proszę, żeby powtórzył, bo jeśli to zrobię i okaże się, że on mówi to, co ja myślę, że on mówi, wtedy będę zmuszony wrócić i rozkwasić mu ten

jego pieprzony nos. Coś jeszcze za mną krzyczy, ale ja go nie słucham. Po prostu chcę wyjść.

Już.

Znajduję Amy w ogrodzie, pięknie ululaną i gotową do wyjścia, więc wzywani taksówkę, na którą w milczeniu czekamy, siedząc na schodach przed domem. W drodze do domu trochę trzeźwieje i pyta mnie, czy coś się stało. Mówię, że nie. Wtedy pyta, dlaczego jestem taki cichy, więc odpowiadam jej, że to z powodu zmęczenia. Dopiero kiedy jesteśmy już u niej, światło zostało zgaszone i okna zasłonięte, a my leżymy na przeciwnych krańcach łóżka, wyrzucam z siebie, co mnie gryzie.

—Kiedy miałaś zamiar mi powiedzieć?

—Powiedzieć co? — pyta sennie.

—Że w piątek idziesz na kolację z Nathanem?

—Ach, to... Jasne, że chciałam ci powiedzieć.

—Dlaczego w takim razie tego nie zrobiłaś?

—Co?

—Dlaczego — powtarzam bardzo wolno i bardzo dobitnie, na wypadek gdyby nie wszystko, co mówię, było dla niej dość jasne — tego nie zrobiłaś?

—Chciałam ci powiedzieć jutro. Żaden problem.

—Owszem, problem — poprawiam ją.

—Co niby? — Wyraźnie nie wie, o co mi chodzi. Jestem pod wrażeniem tego ucieleśnienia niewinności.

—Że jakiś facet zjawia się nagle na imprezie, a ty z dzikim wrzaskiem rzucasz mu się w ramiona, zupełnie jakbyście byli Ginger i Fred.

—Już ci mówiłam, to stary kumpel, przyjaciel. O co ci...

—Taki stary, że zapomniałaś mi o nim opowiedzieć — przerywam jej.  
— W porządku, przyjaźnisz się z bratem Johnny'ego Deppa, tyle że trochę przystojniejszym, i tak sobie, zwyczajnie o tym zapominasz. Mimo że nie dalej jak wczoraj siedzieliśmy w knajpie i babraliśmy się — co wcale nie było łatwe — w naszej przeszłości. Świetnie, Amy. Po prostu super. Dam sobie głowę uciąć, że gdybym to ja był w podobnie bliskich i serdecznych stosunkach z sobowtórem Cameron Diaz albo Kylie Mi-



nogue, i tak zwyczajnie bym sobie o tym zapomniał, ty byłabyś wprost zachwycona.

Słyszę, jak Amy gramoli się spod kołdry, żeby usiąść. Wzdycha przy tym i pojękuje.

—Nie mówiłam ci o nim, bo był za granicą. O tym, że wrócił, dowiedziałam się dzisiaj wieczorem, kiedy go zobaczyłam. Myślałam, że ma przyjechać dopiero w okolicy Bożego Narodzenia.

—Ach, rozumiem — nareszcie mnie oświeciło — więc uczciwość to kwestia czasu. Mówisz mi o czymś dopiero, gdy nadejdzie właściwa chwila. O to chodzi?

—Jack, nie bądź śmieszny. Nie myślałam o nim od wieków. Dlatego ci o nim nie opowiedziałam.

—Pozwól, że się upewnię: jesteście tylko starymi dobrymi znajomymi?

—Dokładnie — potwierdza ostro, wyraźnie rozdrażniona. — Ile razy mam cię o tym zapewniać? Jest dobrym, bliskim przyjacielem.

—I nigdy z nim nie spałaś ani nic z tych rzeczy? Wzdycha, jak gdybym zadał właśnie najgłupsze pytanie pod słońcem, i starając się do mnie przytulić, zapewnia:

—Nie.

Wspaniale, doszło już do tego, że nie tylko nie mówi mi wszystkiego, ale jeszcze kłamie prosto w oczy. Odpycham ją.

— Dlaczego w takim razie kiedy pod koniec imprezy cię szukałem i zapytałem go, czy cię nie widział, wyskoczył z jakimś brudnym żartem, jak to widział cię i to całutką? Kpił sobie? A może miał to być jakiś żart, który tylko ja zrozumiałem opacznie, a jemu chodziło o to, że w dzieciństwie nurkowaliście na golasa i stąd to — zupełnie niewinne — hasło?

Tym razem nie ma gotowej odpowiedzi. Bardzo długo się nad nią zastanawia.

—No, dobrze — odzywa się w końcu. — Spałam z nim.

—Ile razy?

— Jakie to ma znaczenie? To było tak dawno. — Głos zaczyna jej wyraźnie drżeć.

—Wierz mi — mówię. — Ma znaczenie i to duże.

—Nie wiem, kilka razy. Zadowolony? Poszłam z nim do łóżka kilka razy na studiach. Chcesz szczegółów? Dat? O to ci chodzi?

—Nie — odpowiadam cicho. Chociaż zmusiłam ją do wyznania mi prawdy, nie odczuwam żadnej satysfakcji. Zbyt zabolalo mnie jej wcześniejsze kłamstwo. Odczuwam nieomal mdłości. — Chcę tylko wiedzieć, dlaczego mi o nim nie powiedziałaś — udaje mi się wykrztusić.

—Już ci mówiłam: zupełnie o nim nie myślałam. Bo i po co?

—To dlaczego umówiłaś się z nim na kolację?

—Jeśli o to ci chodzi, to nie dlatego, że mi się jeszcze podoba — zapewnia mnie. — Przestał mi się podobać jeszcze w college'u.

—Czuję na ramieniu dotyk jej ręki. Nie reaguję, więc tym bardziej stara się mnie przekonać. — Umówiłam się z nim na kolację, ponieważ jest moim przyjacielem i lubię go. Nic poza tym.

Odsuwam się gwałtownie.

—O, czyżby? A czemuż to ci się przestał podobać? Czy dlatego, że jest taki brzydki? A może dlatego, że nie jest cholernie bogaty, a jego ojciec nie jest jednym z najzamożniejszych ludzi w tym kraju? Niech to szlag, naprawdę świetnie rozumiem, dlaczego już ci się nie podoba. I przyznaję ci całkowitą rację. Chryste, czym ja się tak przejmuję? Przecież to oczywiste, że nie masz ochoty się z nim przespać. Tylko kompletna idiotka mogłaby chcieć iść do łóżka z kimś takim.

—Dlaczego się tak zachowujesz?

—Bo mnie okłamałaś.

—Przepraszam, dobrze? Przepraszam! — Znowu dotyka mojego ramienia. Drży i tym razem nie mam serca jej odtrącić.

—Dlaczego to zrobiłaś? Tylko proszę, nie mów mi, że zapomniałaś albo nie wydawało ci się to dość ważne ani żadnych takich bzdur — mówię bardzo zimnym głosem, ale też całe moje ciało jest zimne. Dobrze wiem, jak się to zaczyna, bo każde zerwanie, które przeżyłem, zaczynało się od tego samego: braku zaufania i porozumienia. A ja nie chcę z nią zrywać. Do oczu napływają mi łzy. Nie chcę tracić Amy, ani

przez Nathana, ani przez nikogo innego. Lecz jednocześnie nie mogę sam siebie oszukiwać. Na żadne kłamstwa się nie zgodzę. Albo wszystko, albo nic. — Po prostu powiedz prawdę.

Amy oddycha coraz ciężiej, chwilami nawet wydaje mi się, że szlocha.

—Nie powiedziałam ci, ponieważ prawdą jest to, co mówię teraz. Nic mnie z nim nie łączy.

—To dlaczego tak ze mną rozmawiał? Skoro nie powodowała nim zazdrość?

—Przecież go widziałeś. Był naćpany do nieprzytomności. Pewnie nawet nie wiedział, co mówi. Normalnie się tak nie zachowuje.

Na kilka chwil zapada cisza, którą w końcu ja przerywam.

— Nie chcę, żebyś się z nim spotykała. Nie chcę, żebyś w piątek jadła z nim kolację. — Amy milczy, więc mówię dalej. Stawiam jej ultimatum. — Jeśli się z nim spotkasz, nie chcę cię więcej widzieć.

A masz, myślę sobie. Ciekawe, co z tym robi. Niestety, jej reakcja odbiega od moich oczekiwań- Nie mówi: „Och, Jack, masz rację. To ja się myliłam. Nie spotkam się z Nathanem w piątek. Nie spotkam się z nim już nigdy w życiu”. Nie, ona na moje ultimatum odpowiada swoim.

—Jeżeli zabraniasz mi spotykać się z przyjaciółmi, to nie wiem, czy i ja chcę cię jeszcze widzieć.

—To znaczy, że jesteś gotowa zerwać ze mną tylko dlatego, że cię proszę, abyś się z nim nie spotykała? — Nie wierzę własnym uszom.

—Nie, ale mówisz, że jesteś gotów zerwać ze mną tylko dlatego, że powiedziałam, że się z nim spotkam.

Czarujące.

Leżymy w milczeniu, Amy czeka na moją odpowiedź, a ja się nad nią zastanawiam. Sprawa jest skomplikowana. Możliwości mam dwie: mogę powiedzieć, jestem gotów, i zerwać z nią. Mogę też powiedzieć, nie jestem, i z nią zostać. Rozsądek kontra serce. Rozsądek podpowiada mi: „Olej ją. Wstań i wyjdź. Przedkłada Nathana nad ciebie. Już dokonała wyboru, więc przestań się łudzić i robić z siebie dupka”. Lecz argumenty, jakie wysuwa moje serce, są zgoła odmienne. Ono mówi: „Zaufaj jej.

Niczego więcej nie trzeba. Skoro jej nie ufasz, to znaczy, że wszystko to nic nie jest warte".

Do tego się wszystko sprowadza: zaufać albo olać.

Wybór należy do mnie.

Wybieram opcję pierwszą i mówię:

—Nie jestem.

—Więc...—zaczyna.

—Więc wygląda na to, że idziesz na kolację z Nathanem.

—Ano, wygląda. Jesteś z tego zadowolony? „Zadowolony" nie jest może najlepszym słowem, mimo to mówię:

—Tak.

—To dobrze.

Wtula się we mnie i — choć tego nie chcę — ogarnia mnie ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Wsłuchując się w jej coraz głębszy i spokojniejszy oddech, uświadamiam sobie, że oto po raz pierwszy od czasu zerwania z Zoe przyszło mi komuś zaufać. Co z kolei oznacza, że rezygnując z emocjonalnej niezależności, przestałem jednocześnie być sam.

## SKOK W BOK

Wtorek upływa mi na wędrowce po szmatławych biurach podróży w poszukiwaniu wakacji w Grecji po obniżonej cenie. Wreszcie udaje mi się trafić na ofertę w biurze o dźwięcznej nazwie FunSun, mieszczącym się w jednopokojowym lokalu w pobliżu Paddington. Jest to tygodniowy pobyt na greckiej wyspie Kos, wylot samolotem z Gatwick w najbliższą sobotę. Cóż, więc nawet nie kontynent. Zapewne więcej będzie dyskotek niż największych zdobyczy kultury hellenistycznej. Ale co tam, do diabła. W końcu to zagranica, musi wystarczyć.

Mandy, pracownica biura, dość niechętnie udziela bardziej szczegółowych informacji na temat oferty. Nie chce na przykład powiedzieć mi, gdzie będziemy jgjtając, twierdząc, że tego dowiemy się na miejscu. Po-

dobnie jest z transferem z lotniska, w sprawie którego wszystko wyjaśnić się ma po przyjeździe. A odległość do plaży? Cóż, Mandy sądzi, że na tak niewielkiej wysepce nie może ona być zbyt duża. Nieważne. Wszystkie moje wątpliwości rozwiewają się na widok błyszczącego prospektu, na który Mandy pozwala mi rzucić okiem, nie zgadzając się jednak, żebym zabrał go ze sobą. No i sprawa główna: wyjazd jest tani. Jak barszcz. A o to mi przede wszystkim chodziło. Wchodzę w to. Podpisuję oświadczenie, w którym zobowiązuję się do niewysuwania roszczeń przeciwko FunSun, na wypadek gdyby wakacje miały okazać się niewypałem. Mandy wręcza mi bilety, odprowadza do drzwi, by zaraz za mną je zamknąć i wywiesić tabliczkę z napisem NIECZYNNE.

Sprawa załatwiona.

Po południu w piątek leżę w łóżku i przyglądam się, jak dym z mojego papierosa smuzką unosi się ku sufitowi. Czuję się bardziej niż podle. Mój pokój wygląda jak miejsce katastrofy lotniczej: zawartość szafy i komody wala się po całej podłodze i na łóżku. Urządziłem sobie zabawę w detektywa szafowego, podczas której odkryłem kilka szczególnie obrzydliwych dowodów ubraniowych zbrodni popełnionych w ostatnim dziesięcioleciu mego wakacyjnego życia: długie do kolan szorty do surfowania, slipy czule otulające jądra, japonki w palmy i czapkę baseballową z rozbrajającym napisem DOSTAŁEM ŚWIRA W LANZAROTTE. Jednak nie widok tego wszystkiego wpędza mnie w czarną czeluść rozpacz. Winne jest temu to, czego nie widzę. To znaczy Amy. Gdzie się podziewa. I co robi.

Minionej nocy wydałem sobie rozkaz. Działo się to około szóstej nad ranem. Leżałem obok Amy, w łóżku u niej w mieszkaniu. Za sobą mieliśmy fantastyczny wspólny wieczór, który zaczęliśmy od obejrzenia amatorskiego przedstawienia z udziałem jednego z jej znajomych, potem zjedliśmy kolację z całą trupą, żeby wreszcie zakończyć go istnym seksmaratonem u niej w mieszkaniu. Amy usnęła kamiennym snem, ja natomiast oka nie zmrużyłem nawet na chwilę. Bez przerwy myślałem o Nathanie. Albo raczej o Amy i Nathanie. Myśl o nich razem nie opuszczała mnie ani na sekundę, chociaż wciąż tłumaczyłem sobie, że prze-

cież nie mam się czym przejmować. Na zewnątrz świtało, kosy zaczynały pogwizdywać swoje kosowe piosenki, pierwsi ludzie wyruszali do pracy. A ja, coraz bardziej zestresowany, wciąż leżałem bezsennie. Rozkazałem więc sobie: żadnego więcej myślenia o Nathanie. Ilekroć przyszedłby mi na myśl, natychmiast mam zacząć myśleć o czymś przyjemnym. Czymkolwiek. Podziałało: nareszcie usnąłem. I dalej działa.

W ciągu ostatnich trzydziestu minut myśli o Nathanie zburzyły moje dobre samopoczucie nie więcej niż jakieś osiem razy. Jako antidotum wyobraziłem sobie osiem rzeczy, które są od Nathana przyjemniejsze. Na przykład:

- a) odchody nietoperza
- b) wszy
- c) psia ślina
- d) hemoroidy
- e) śmierć

Choć nie do końca może udało się tym przyjemnym wyobrażeniom poprawić moje samopoczucie, bez wątpienia ustrzegły mnie one przed pograżeniem się w niszczącej mózg paranoi. Sprawdzam, która godzina. Punkt siódma. Właśnie w tej chwili Amy powinna spotkać się z Nathaniem. Drań. Szybko dodaję żyłaki do listy Rzeczy Przyjemniejszych niż Nathan.

— Jak ci idzie pakowanie? — pyta Matt, stając w drzwiach. Ubrany jest w najstarszą koszulę i dżinsy, strój bojowy na wieczór kawalerski Alexa.

Kopnięciem odrzucam pustą paczkę po gladstone'ach.

— Do dupy. A tobie?

Klepie ręką wystającą mu z kieszeni na piersiach szczoteczkę do zębów.

— Nie biorę zbyt wielkiego bagażu — uśmiecha się szeroko i podchodzi, żeby usiąść obok mnie na łóżku. — O której wyjeżdżacie?

— Rano. Samolot mamy piętnaście po dziewiątej.

—Ach, tak? Amy przychodzi tu na noc?

—Nie, jest na kolacji z przyjacielem.

— Co takiego? — Matt wybuchając śmiechem. — I myślisz, że bez jej pomocy nie spóźnisz się na lotnisko? Chyba postradała zmysły.

—Będę na czas.

Ton, jakim to mówię, każe mu przyjrzeć mi się dokładniej. — Wszystko w porządku, stary?

—Jasne — odpowiadam. — Czemu pytasz?

— Tak sobie. — Patrzy na mnie sceptycznie. — Tylko że nie wyglądasz na szczególnie szczęśliwego. Chodzi mi o to, że rezygnujesz z super wieczoru kawalerskiego w Edynburgu, bo wyjeżdżasz z kobietą swoich marzeń, a cieszysz się jak, nie przymierzając, świnia idąca na rzeź.

— Nic mi nie jest — zapewniam. Ale to nieprawda. Matt ma rację: coś tu jest nie w porządku. Bardzo chciałbym mu powiedzieć, co mnie gryzie. Chciałbym mu opowiedzieć o Nathanie i o tym, jak Amy mnie okłamała, że czuję się zagrożony, a moje ego z każdą chwilą ma się gorzej. Lecz nie mogę, ponieważ jest moim kumplem. A także ponieważ wiem, jak ludzie reagują na czyjś brak poczucia bezpieczeństwa. A na jego litość nie mam najmniejszej ochoty. Podobnie zresztą jak na Amy ani na niczyją inną. Pozostaje mi więc tylko jedno wyjście: zmiana tematu. — Posłuchaj, Matt — mówię. — Przepraszam.

—Za co?

—Za imprezę u Alexa. Za to, że nie jadę tam z tobą.

—Nie ma sprawy.

—Nie jesteś na mnie wkurzony?

Patrzy na mnie. — Jasne, że jestem. Przedłożyłeś kobietę nad kumpli. Powinno się ciebie zastrzelić. — Wzrok mu łagodnieje, nachyla się i kładzie mi ręce na ramionach. — Ale karę można odroczyć, pod warunkiem że ona jest tego warta, zgoda?

—Jest warta.

— Dobrze. To mi wystarczy. — Wstaje i idzie do drzwi. Przystaje jednak i obraca się do mnie. — Byłbym zapomniał — dodaje. — Mo-

zesz sobie wybrać z moich ciuchów, co chcesz. Jeśli się ubierzesz w coś z tej kupy, porzuci cię ze wstydu. — Salutuje mi na do widzenia i dodaje: — Przyjemnej nocy.

Noc, niestety, mam fatalną. Jakąś godzinę zajmuje mi przejrzenie Letniej Kolekcji Matta Daviesa i upchnięcie wybranych modeli do torby, razem z biletami i paszportem, co okazuje się najbardziej ekscytującym wydarzeniem wieczoru. Potem już jest tylko gorzej. Siedzę przy kuchennym stole, za jedyne towarzystwo mając butelkę wódki i dzbanek świeżo wyciśniętego soku z cytryn. Taka zabawa przypomina jazdę ostro w dół bez sprawnych hamulców.

Mijają minuty, Churchill łypie na mnie ponuro z blatu stołu, a lista Rzeczy Przyjemniejszych niż Nathan wciąż rośnie. Około ósmej trzydzieści, kiedy to Amy wraz z Nathanem prawdopodobnie docierają do jakiejś koszmarnie drogiej, szpanerskiej restauracji, w której ten dupek zamówił stolik, ma już prawie pięćdziesiąt pozycji i jest coraz bardziej sprośna. Znalazł się na niej na przykład nalot na zębach razem z brudnymi skarpetkami i cuchnącym oddechem. Koło jedenastej, kiedy zapewne dopijają kawę, lista wydłużyła się do setki i teraz na odmianę staje się nieco zabawna. Znalazła się na niej rybna waga, elektrownia atomowa i błocko. Poza układaniem listy i opróżnianiem butelki, co jakiś czas dzwonię do Amy. Lecz nie odbiera, a to oznacza, że wciąż jest z nim. Północ nadchodzi i mija, zarzucam układanie listy, dla odmiany zabawiając się celowaniem rzutkami w tarczę, na której oczyma wyobraźni widzę twarz Nathana. Przestaję też dolewać sobie sok do wódki i tę resztę, która jeszcze została w butelce, wypijam bez dodatków.

I wtedy, tuż przed pierwszą, rozlega się dzwonek do drzwi. Wybucham śmiechem. Głośnym, i choć pobrzmiwa w nim nutka hysterii, nie przejmuję się tym. Nie odczuwam dumy, tylko zwykłą ulgę. W tej chwili liczy się tylko to, że moja Amy przyszła do mnie, a ja przez cały ten czas niepotrzebnie się zamartwiałem.

Wypiłem mocną czystą wódkę w ilości, której nie powstydziliby się rdzenny mieszkaniac rosyjskiej ziemi, nic dziwnego więc, że zamiast



pomknąć jak strzała na powitanie ukochanej, do drzwi ruszyłem, niemal czołgając się po podłodze.

*Wyznania. Nr 5. Niewierność.* Miejsce: Dom Matta, Londyn. Czas: Chwila obecna. Otwieram drzwi.

— Cześć, Jack.

—: Sally? — pytam. Muszę spytać, ponieważ nie od razu udaje mi się rozpoznać rozczochaną kobietą postać skuloną na progu. Zbyt dużo blond włosów opada jej na twarz i zbyt dużo wściekle kolorowych plam zdobi okrywającą jej ciało sukienkę, co w połączeniu z rozmazanym przez alkohol polem widzenia czyni rozpoznanie prawie niemożliwym.

— Witaj, słodziutki — mówi, odsłaniając twarz, dzięki czemu nabieram pewności, że oto rzeczywiście stoi przede mną Sally McCullen.

Łapię ją za ramię, chcąc pomóc jej utrzymać równowagę. Ponieważ jednak sam mam z tym problemy, wychodzi na to, że podtrzymujemy się nawzajem.

— Co ty tu robisz? — udaje mi się wybełkotać.

—A jak myślisz? — Nachyla się ku mnie, najwyraźniej zamierzając mnie pocałować.

—Powinnaś pójść do domu — mówię, delikatnie ją odsuwając.

Patrzy na mnie wyraźnie zdziwiona. — Dlaczego? Dobre pytanie, z rodzaju tych, na które w tej chwili mój umęczony mózg nie bardzo potrafi znaleźć odpowiedź. Przecież jest bardzo ładna. Poza tym jestem wkurzony na Amy. Dlaczego więc, w *rzeczy samej*, nie miałyby zostać? Te pytania nie pozostają jednak długo bez odpowiedzi. Ponieważ byłoby to nie na miejscu. I ponieważ chciałem, żeby przed tymi drzwiami znalazła się nie Sally, lecz Amy.

—Jest późno — mamrocze, usiłując zamknąć jej drzwi przed nosem. — Jutro muszę wstąpić. Idę spać.

Ona jednak tylko się uśmiecha i bez pozwolenia wchodzi do domu. Obracam się i zaskoczony patrzę, jak znika w jego wnętrzu. Dlaczego

spotyka to właśnie mnie? I to teraz? Dlaczego nie kilka miesięcy wcześniej, kiedy bardziej niż ochoczo bym jej służył? Zamykam drzwi, godząc się z faktem, że nie ma na tym świecie sprawiedliwości, i idę za nią do kuchni. Kiedy wchodzę, Sally stoi przy kuchence i rozgląda się wokół. Widzę, jak jej wzrok pada na butelkę z wódką.

—Nie zaproponujesz dziewczynie drinka? — pyta z uniesionymi oczekująco brwiami.—Przedtem zawsze namawiałeś mnie do picia — dodaje chytrze. Podchodzi do stołu, bierze butelkę i pociąga prosto z niej spory łyk. Spogląda na mnie przez ramię. — Co się zmieniło? Już mnie nie chcesz? — Znowu pije i oparta plecami o stół patrzy na mnie z obrażoną miną.

Pamiętam, jak leżała na kanapie w atelier. Pamiętam każdą krągłość jej ciała, światło załamujące się na jej skórze. Zamykam na chwilę oczy i odsuwam od siebie tę wizję. Czas płynie. Sally ma rację. Zmieniłem się. Już jej nie chcę. Chcę wyłącznie Amy. Żeby wróciła do mnie, cała i zdrowa.

—Jesteś pijana — stwierdzam niezbyt wyraźnie. — Wezwę ci taksówkę.

Ruszam w stronę telefonu, ona jednak łapie mnie i gwałtownie do siebie przyciąga.

—Nie chcę taksówki. Chcę ciebie.

—Sally, ja mam dziewczynę. — Nagle ogarnia mnie ogromne zmęczenie. Jestem za bardzo pijany i chcę, żeby sobie poszła, bo marzę wyłącznie o spaniu.

Ona jednak dopiero się rozgrzewa.

—No i co z tego? Tobie jakoś nie przeszkadzało, że ja miałam chłopaka. I tak chciałeś mnie zaciągnąć do łóżka.

—To prawda — nie mogę odmówić jej racji. — Ale ty wtedy nie przespałaś się ze mną, a ja nie prześpię się z tobą teraz.

Puszcza mnie, podchodzi do zlewu, nalewa sobie szklanekę wody i wypijają duszkiem.

—Rzucił mnie, wiesz? — oświadcza, odwracając się do mnie. — Przez to, co powiedziała ta dziewczyna, z którą byłeś na imprezie u Chloe. Mówi, że jestem zdziurą i nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

—Przykro mi — komentuję.

Naprawdę jest wręcz odwrotnie. Wiem, że bez niego będzie jej o niebo lepiej. Chociaż w tej chwili nie powinienem chyba jej o tym przekonywać. Może się ze mną nie zgodzie albo — co gorsza — uznać, że skoro według mnie jest za dobra dla niego, tak naprawdę chcę powiedzieć, że ja jestem kandydatem idealnym.

—Czy tamta... tamta dziewczyna... chodzisz z nią?

—Uhm, ma na imię Amy.

—Chyba nie bardzo jest w twoim typie.

—A to czemu? — pytam i spoglądam jednocześnie na telefon, oczekując odpowiedniej chwili, żeby znowu poruszyć sprawę taksówki.

—Fizycznie. — Kładzie nogi na stole. Sukienka jej się obsuwa, ukazując idealnie zarysowane łydki i uda.

—Cóż, Sally, ja uważam inaczej. — Zaczynam mieć jej powoli dosyć. — Amy jest wspaniała i dokładnie w moim typie.

—Czyżby? W takim razie czemu jej tu nie ma?

—Słucham?

—Czemu jej tu nie ma? — Udaje, że rozgląda się po całym pokoju w poszukiwaniu Amy, po czym wstaje. — Gdzie się podziewa ta idealna kobieta? — Otwiera lodówkę i demonstracyjnie do niej zagląda. — Pudło — oznajmia i wyjmuje puszkę z piwem, otwiera ją i pije przez chwilę. — A może tu się schowała? — mruczy, zaglądając do szafki. Obraca się do mnie z pijackim uśmiechem. — Chyba jednak nie... — nuci.

— Wyszła. — Zaledwie to powiedziałem, a już sprośne staruchy na całym świecie radują się swoim udziałem w tworzeniu listy Rzeczy Przyjemniejszych niż Nathan.

Sally unosi brwi.

—Kiedy kota nie ma w domu...

Nawet jej nie pytam, czy tym razem ma na to ochotę. Dostyc usłyszałem, żeby pozbyć się wątpliwości. Podchodzę do telefonu, podnoszę słuchawkę i wykręcam numer radio taxi. Lecz — być może dlatego, że robiłem to dzisiaj tyle razy i moje palce innego układu cyfr nie są w stanie wykręcić, a może dlatego, że rzuciłem okiem na zegar, który pokazywał już dobrze po pierwszej — nie dzwonię do przedsiębiorstwa taksówkowego. Dzwonię do Amy. Dzwonię do Amy, ale nadal nikt nie odbiera. Nikt nie odbiera, ponieważ nikogo — czyli Amy — nie ma w domu.

Jest z nim, wciąż jeszcze.

— Zanim zamówisz dla mnie taksówkę—słyszę za sobą głos Sally — najpierw może się obrócić i zobacz, ile tracisz. Co nie znaczy — ciągnie dalej, gdy oglądam się przez ramię — że nie widziałeś wszystkiego już przedtem.

Zdejmuje właśnie majtki, reszty ubrania pozbywszy się już wcześniej.

— Idę na górę — mówi i odwraca się do mnie plecami. — Za minutę chcę cię zobaczyć.

Ani za minutę, ani nawet za godzinę, moja droga. Nie ruszam się z kuchni. Jestem jak sparaliżowany. Siedzę i myślę, co też, do jasnej cholery, mam począć. Skłamałbym, mówiąc, że jestem zainteresowany. Wystarczy tylko na nią popatrzeć. Uosobienie seksu. Sen każdego podrywacza. Szansa jedna na milion. Ale jest jeszcze Amy. I to, co powiedziałem Sally, było naprawdę szczere: Amy jest dokładnie w moim typie. Caluteńka, bez wyjątku. Punktualnie o drugiej daję Amy ostatnią szansę i dzwonię do niej raz jeszcze: bez skutku. W porządku, ciągle nie ma jej w domu, co może oznaczać tylko jedno, a mianowicie, że wciąż jest jeszcze z Nathanem. No i co z tego? Nie wiem przecież, czy nic złego się nie dzieje. A zresztą, nawet jeżeli jest wobec mnie nie fair, nie oznacza wcale, że mam jej odpłacić pięknym za nadobne. Nie uprawiamy przecież jakiejś tam nędznej dziecinady, bo decyzję o dochowaniu jej wierności muszę podjąć ja sam, osobiście.

I podjąłem: będę wierny.

Kiedy wchodzę do swojego pokoju, zastaję Sally leżącą na moim łóżku na wznak. Ustawiam Tlustego Psa na szóstą, co daje mi mnóstwo czasu na dojazd do Gatwick, gdzie umówiłem się z Amy, po czym wślizguję się pod kołdrę obok Sally, która śpi. Nie, to eufemizm. Ona straciła przytomność. Na dobre, co stwierdzam z prawdziwą ulgą. Przynajmniej nie będę musiał się z nią użerać, no i mam szansę przespać się choć trochę. Jestem padnięty, pijany w trupa i straszliwie samotny. Spragniony jestem ciepła i pociechy, więc mimo iż wiem, że mogłoby to zostać całkowicie błędnie zinterpretowane, przytulam się do Sally i ostrożnie, aby jej przypadkiem nie zbudzić, obejmuję.

Budzi mnie jęk. Mój własny.

Przez chwilę się nie poruszam, tylko leżę i delektuję się rozkoszą, jaka, biorąc początek w kroczu, rozlewa się po całym moim ciele. Z ust wymyka mi się słowo „Amy”. Wyciągam ręce i zanurzam je w jej włosach. Słyszę, jak się porusza. Unoszę biodra, pragnąc jeszcze bardziej się do niej zbliżyć i jęczę znowu. Czuję, jak jej język się porusza i wstrząsa mną dreszcz. Pragnę jej. Pragnę być w niej. Teraz. Chwytam ją pod pachy i wciągam na siebie. Całuje mnie, a ja otwieram oczy, żeby na nią spojrzeć. I nagle, na ułamek sekundy nie wiem, co się dzieje.

Szczytuję.

Tracąc nieomal zmysły.

Bo mam nad sobą Sally, nie Amy. I dociera do mnie, że oto właśnie popełniłem największą pomyłkę w życiu.

## 8

### AMY

Jack spóźnia się dwie godziny. To całe 120 minut... 7200 sekund. Wiem.

Bo policzyłam.

Sonia, pracownica FunSun, odhaczyła już na swojej liście wszystkich i poprowadziła ich do odprawy paszportowej. Zostałam sama przy stanowisku check-in (które lada chwila zamkna) i desperacko przeczesuję wzrokiem twarze w kolejkach obok. Chociaż nowe sandały ranią mi stopy do żywego, nie przestaję chodzić tam i z powrotem.

Z emocjonalnego punktu widzenia przeszłam wszystkie etapy:

7.15. Nie zjawia się = odczuwam lekkie rozbawienie (brak organizacji czasu, typowe dla facetów).

7.30. Nie zjawia się = rozbawienie przechodzi w irytację (nie zdążymy zrobić zakupów w strefie bezcłowej).

7.45. Nie zjawia się = jestem zła (zepsuty początek wakacji).

8.15. Nie zjawia się = teraz już się martwię (z każdą chwilą rośnie ryzyko, że spóźnimy się na samolot).

8.45. Wciąż się nie zjawia = wpadam w panikę (samolot odlatuje za mniej niż pół godziny).

W tej chwili jestem już naprawdę przerażona.

Jack nie żyje. To jedyne wytłumaczenie. Został brutalnie zamordowany w drodze do Gatwick i teraz leży w kałuży krwi, przez nikogo nie rozpoznany. Głos z megafonu przerywa te straszliwe myśli:

„Ostatnie wezwanie na lot CB003 na Kos. Wszystkich pasażerów prosimy o skierowanie się do wyjścia D46”.

—Słuchaj, Panie Boże—mówię na głos, szybko jednak uznaję, że powinnam być trochę grzeczniejsza. — Dobry Boże. Wiem, że dotąd trudno było nazwać mnie ideałem czystości i współczucia, chcę się jednak poprawić. W tej chwili obiecuję ci, że w każdą niedzielę będę chodzić do kościoła, tylko proszę, proszę, proszę, spraw, żeby Jack się pojawił. Wyświadczy mi tylko tę jedną, jedyną przysługę. Błagam. — Rozglądam się wokół.—I wszystkie pieniądze oddam na Caritas.—Wykrzywiam się

do kobiety za kontuarem. Wzrusza ramionami, spogląda na zegarek i potrząsa z dezaprobatą głową. — Zostanę zakonnica. Czy to cię zadowoli?

—Amy! — Słyszę krzyk Jacka, który pędzi w moją stronę, wymachując biletami.

Cholera! Z tą zakonnica mogłam zaczekać.

—Przepraszam, przepraszam — dyszy i mija mnie, ledwie mając czas mnie pocałować.

—Co się stało? Gdzie byłeś? — krzyczę, rozdarta między chęcią uściskania go i zbitcia na kwaśne jabłko.

Kobieta za ladą przygląda się sceptycznie, jak Jack przekopuje torbę w poszukiwaniu paszportu. Wreszcie go znajduje. Chwilę trwa, zanim udaje mu się złapać oddech. Kobieta sprawdza zdjęcie w paszporcie i przenosi wzrok na niego. Rozumiem, że trudno jej dopatrzeć się podobieństwa między zadbanym (i, tak, muszę przyznać, całkiem przystojnym) facetem ze zdjęcia a wymiętoszoną i spoconą kupą nieszczęścia stojącą przed nią. Jack jednak w porę sobie przypomina, że skończył z najwyższym wyróżnieniem Uniwersytet Czarowania i posyła jej jeden ze swoich obezwładniających uśmiechów.

— Już za późno, żeby odprawić państwa bagaże, będziecie musieli zabrać je ze sobą— wyjaśnia niechętnie, ale widzę, że ją zdobył. — Proszę się pośpieszyć.

—Dziękujemy. — Jack wciąż uśmiecha się czarująco. — Chodźmy — wydaje mi rozkaz i przerzuca sobie torbę przez ramię. Ja swoją ledwo mogę unieść. Wbrew radom H, spakowałam do niej wszystkie ubrania, jakie mogłam znaleźć, i połowę drogerii. Jack nie zauważa niczego. Przedzierając się przez tłumy turystów, pokonał już prawie połowę hali.

—Jack! Zaczekaj! — wołam za nim, on jednak jakby wcale mnie nie słyszał.

Ponieważ dzisiaj cały świat sprzysiągł się przeciwko mnie, nasze wyjście jest oczywiście tym najdalszym. Próbuje zatrzymać jeden z wózków wożących grubych facetów z torbami golfowymi. Przecież ja chyba jestem w większej od nich potrzebie? Poza tym im wszystkim trochę ćwiczenia wyszłoby tylko na dobre.

Wszystko na próżno. Nie mam złudzeń: rycerskość umarła. Puszczam się w pogoń za Jackiem, który chyba trenuje do maratonu londyńskiego. Mniej więcej po pokonaniu jakichś pięciu mil, co stanowi zaledwie jedną trzecią drogi do wyjścia, wycieńczona wskakuję na ruchomy chodnik. Serce, waląc jak oszalałe, podchodzi mi do gardła.

— Chodźże! Ruszaj się! — wrzeszczy Jack. Mam wrażenie, że jest zły. — Spóźnimy się na samolot!

—Nie mogę, ja... —Z trudem łapię oddech.—Moja torba... Podchodzę do Jacka, który wyrywa mi ją z ręki.

—Amy! Coś ty tam napakowała?

—Cegły — odpalam, lądując na dywanie.

—Cegły? — dziwi się, zrzucając sobie moją torbę na drugie ramię.

—Żeby wybudować pieprzony hotel! — odpowiadam wściekła. Najchętniej bym go zabiła. Ściągam sandały i wstaję. Na nodze mam pęcherz wielkości gobelinu z Bayeux.

Sonia cmoka głośno, gdy z Jackiem wchodzimy do samolotu. Jej głęboko pomarańczowa opalenizna w tym świetle nabiera zielonkawego odcienia.

— Nie będziecie mogli siedzieć razem—oznajmia i przybiera zawodowy uśmiech. — Życzę miłych wakacji z FunSun.

Przez moment zastanawiam się, czy byłoby jej do twarzy z wybitymi przednimi zębami.

Mamy miejsca po dwóch stronach przejścia. Wciskam się na NAJBARDZIEJ ekonomiczny fotel w klasie ekonomicznej w historii awiacji i upycham torbę pod nogami.

Pięty mam obdarte, ramiona obolałe i dyszę jak zgoniony chart, chwilę więc trwa, zanim dociera do mnie, że na miejscu obok siedzi Bachor z Piekła Rodem. Potomek samego Szatana w prostej linii. Uśmiecha się do mnie demonicznie, po czym otwiera dziób i wydaje z siebie wrzask tak potworny, że chyba nawet samolot stulił skrzydła z przerażenia.

— Och, zamknij się! — krzyczy siedząca pod oknem blondynka. Rozwścieczona grzebie w różowej torbie i wyciąga z niej smoczek. Wyciera go w dżinsową spódniczkę mini i wtyka bachorowi do gęby. —



Darren, żadnych więcej numerów, albo wyfruniesz przez okno! — drze się, a ja odnoszę wrażenie, że mówi zupełnie poważnie. — Rozumiesz?

Smoczek natychmiast łąduje na moich kolanach, a Darren opluwa mi rękaw sokiem pomarańczowym. Po powrocie dam sobie podwiązać jajniki.

Zwykle uwielbiam latać. Uwielbiam plastikowe jedzenie i wszystkie te woreczki i pudełeczka, które do niego dodają. Uwielbiam tandetne misie z wolnocłowych sklepów i kretyńskie artykuły w czasopismach wydawanych przez linie lotnicze. Kocham dysze klimatyzacyjne i muzykę nadawaną przez słuchawki. Kocham buteleczki z perfumami w toaletach i krany na pedały. Uwielbiam podniecenie towarzyszące startowi i lądowaniu. Uwielbiam nawet drobne turbulencje, dzięki którym towarzyszy temu wszystkiemu dreszczyk emocji.

Jednak dzisiaj moje uwielbienie przerodziło się w nienawiść. Cały ten cuchnący, beznadziejny samolot napawa mnie obrzydzeniem. Samolot AMY1 na Wymarzoną Wyspę runął i spłonął.

Nie przeżył nikt.

Jestem taka wściekła, bo naszą podróż planowałam od wielu dni. Wszystko miałam poukładane: romantyczne spotkanie na lotnisku Gatwick wczesnym rankiem, zupełnie jakbyśmy byli tajemnymi kochankami, niespieszna wędrowka po sklepach bezcłowych, chichoty i przytulanki, w akompaniamencie których Jack wydaje majątek na moje ulubione perfumy. Oczyma wyobraźni widziałam nas, jak trzymając się za ręce, idziemy wolno do samolotu, a potem tulimy się, wygodnie ulokowani na zacisznych miejscach przy oknie. W swoich planach posunęłam się nawet do tego, że wymarzyłam sobie szybki seks w toalecie, który zapewniłby nam członkostwo klubu wysokościowego.

To miało być zaledwie na przystawkę.

Niestety, namiętne melodie z lat siedemdziesiątych, które tym marzeniom towarzyszyły, zostały gwałtownie, brutalnie i z głośnym zgrzytem przerwane.

Kiedy się już usadowiłam, pytam Jacka lodowato:

—No i? Czemu się spóźniłeś?

Poprawia torbę upchaną — jak i moja — pod nogami.

—Kac.

—Rozumiem—chrząkam. — Co robiłeś wczoraj wieczorem?

—O to samo mógłbym zapytać ciebie — odbija piłeczkę. W tej chwili staje między nami jedna ze stewardes, demonstrując, jak należy zachować środki bezpieczeństwa. Nachylam się do przodu, żeby na niego spojrzeć, bo zasłoniły mi go jej opięte w pasiastą spódniczkę pośladki. Jack jednak mnie ignoruje i mechanicznie powtarza za stewardesą wszystkie czynności.

Stewardesa wraca na przód samolotu, więc cofam się, żeby usunąć się jej z drogi.

—Co to ma znaczyć? — syczę.

Jack wyciąga z torby walkmana i wkłada do uszu słuchawki.

—Wydzwaniałem do ciebie przez cały wieczór, aż do drugiej. Kolacja się chyba wyjątkowo udała?

—Byłam u H—bronię się, zdecydowanie za głośno, bardzo jednak zależy mi na zatrzymaniu jego uwagi.

Stewardesa demonstruje dalej. Teraz pokazuje, jak korzystać z gwizdka przy kamizelce ratunkowej. Kiedy mówię, ona przypadkowo w niego dmucha i przenikliwy dźwięk uruchamia narząd mowy, lub raczej wrzasku, Darrena. Wygląda na to, że postanowił ustanowić własną barierę dźwięku i nie ma zamiaru dać się komukolwiek pokonać.

Jack spogląda na mnie z uniesionymi sceptycznie brwiami, po czym ostentacyjnie wciska przycisk „play”, nie dając mi możliwości wytłumaczenia się. Widzę, jak uśmiecha się do stewardesy i przymyka oczy. Zасыpia jeszcze przed startem samolotu.

„Jak mogłeś? — krzyczę w duchu. — Tylko dlatego, że nie odbierałam telefonu, założyłeś, że spędzam noc z Nathanem. Myślałeś, że się z nim przez całą noc pieprzyłam? Czujesz się aż tak niedowartościowany i zazdrosny, że nie możesz mi zaufać nawet na pięć minut?”

Zakładam ręce na piersiach i robię groźną minę do składanego stolika przede mną. Nie da się ukryć, że moje oburzenie nadawałoby się na

przesłuchanie do roli głównej bohaterki opery mydlanej, ale co mi tam. Daję mu upust, pomagając sobie groźnym tupaniem nogi.

„No dalej, ty tępy, humorzasty, wkurzający, mściwy, niepewny siebie głupku. Zjawiasz się tak późno, żeby mnie ukarać. Poczekaj tylko, a zobaczysz, ile mnie to obchodzi. Twoje małe, żalosne gierki nie robią na mnie żadnego wrażenia, a Nathan i tak nic mnie nie obchodzi...”

Rozkręciłam się już na dobre, kiedy nagle dociera do mnie, że Jack nawet o Nathanie nie wspomniał. On tylko podejrzewa, nic więcej. A całe moje zachowanie tylko go w jego podejrzeniach utwierdza.

Poddaję się i popadam w czarną rozpacz.

Dziękuję stewardesie za śniadanie, obserwuję za to, jak Dar-ren obrzuca swoją matkę jajecznicą. Sprawdzam, czy przypadkiem za uchem nie ma wytatuowanego znaku 666.

Prawda jest taka, że to Nathan, a nie ja, zagrał nie fair. Naprawdę cieszyłam się na spotkanie z nim. Postawiłam sobie za punkt honoru nie dopuścić, żeby głupie obsesje Jacka wpłynęły na moje życie towarzyskie, które w końcu ma znacznie dłuższe tradycje niż moja z nim znajomość.

Czekałam ponad godzinę w barze w Soho, zanim Nathan w końcu się pojawił. Sama nie wiem, po co tak bardzo starałam się przyjść punktualnie ani też dlaczego tak się denerwowałam, czekając. Przecież jedną z głównych, nieuleczalnych cech Nathana była absolutna niemożność zjawienia się gdziekolwiek na czas.

— Mam randkę z tą niesamowitą dziewczyną — nareszcie dobiegł mnie jego głos. Położył mi dłoń na ramieniu i pocałował w policzek. Zrobiło mi się ciepło na sercu. W końcu bez mała godzinę szykowałam się na to spotkanie. — Jest wyjątkowa — mówił dalej, sadowiąc się na stołku obok mnie przy barze.

Bez udziału woli moja ręka powędrowała do włosów.

—Och, Nath — uśmiechnęłam się czarująco. Pochyliłam się i trąciłam go łobuzersko w kolano. Zapomniałam już, jak potrafi na człowieka patrzeć tymi swoimi zielonymi oczami.

—Ma na imię Marguerite—wyszeptał rozmarzony.—Pochodzi z Hiszpanii i jest... — przerwał dla wzmocnienia efektu. — Mówię ci, to mogłaby być ta właściwa. — Skinął na barmana i zamówił dwie lampki szampana. Wypiłam swoją pospiesznie. Moje ego bardzo potrzebowało środka znieczulającego po tym, jak moja próżność boleśnie poślizgnęła się na skórcie od banana.

—Wspaniale, Nathan! Naprawdę się cieszę! — Wykrzyknęłam zachwycona ze sztywnym uśmiechem, szybko przypowołując z pamięci wszystkie powody, dla których nigdy nie mogłabym z nim być.

—Zabieram ją do klubu, nie będę więc mógł zjeść z tobą kolacji. Ale nie masz nic przeciwko temu, prawda? —'— pyta, ale na odpowiedź wcale nie czeka. — Zresztą wystarczy na ciebie popatrzeć. Cała zakochana w tym jak-mu-tam. To takie słodkie.

Pozwalam mu mówić, ochami i achami kwitując jego anegdoty z ostatniej wyprawy w Himalaje. Poza tym prawie się nie odzywam, kiedy jednak docieram do H po tym, jak godzinę później zostawił mnie w barze, trochę tego żałuję.

Żałuję, że pozwoliłam mu tak z góry traktować mój związek z Jackiem. Mogłam mu powiedzieć, że jego uganianie się za pięknymi dziewczynami i zakochiwanie co pięć minut w innej nie robi na mnie żadnego wrażenia. Żałuję, że nie uświadomiłam mu, że wcale nie jest taki wspaniały i nieodparcie czarujący, jak kiedyś myślałam, ale po prostu niedojrzały i niezdolny do poważnego związku. Mogłam też dodać, że powinien traktować ludzi z większym szacunkiem, a nie być takim samolubnym, zakochanym w sobie draniem. Żałuję, że nie powiedziałam mu, że niegrzecznie i po chamsku było kazać mi czekać na siebie tak długo. A przede wszystkim żałuję, że w ogóle się z nim umówiłam.

Niestety, w samolocie pełnym wczasowiczów z biura FunSun trudno zdobyć się na pokorę potrzebną, żeby powiedzieć Jackowi, jak głupio się w związku z tym czuję.

Rzucam okiem na mego rozczochranego i nierozmownego towarzysza podróży. Pochrapuje sobie cichutko i przez chwilę odczuwam niewypowiedzianą ulgę. Na samą myśl o kolejnej scenie mam ochotę rzucić się

na pilota i błagać go, żeby natychmiast zawrócił, bo jednak postanowiłam wstąpić do klasztoru.

Jedyne, o czym w tej chwili marzę, to żeby wszystko znowu stało się proste i jasne.

A jeszcze nie tak dawno, kiedy to przebywałam na pustyni Gobi kobiety samotnej, moje życie było proste. Wolne od kłótni, napadów złego humoru, nieporozumień. Może od czasu do czasu trochę się nudziłam, ale przynajmniej wiedziałam, na czym stoję. Byłam ja i byłam ja. Rozumiałyśmy się doskonale. A teraz tkwię w nieustannej płątanie uczuć i bez przerwy muszę się usprawiedliwiać.

Weźmy na przykład H. Jak się dowiedziała, że byłam na grillu u Chloe, przestała się do mnie odzywać. Cały tydzień wysyłałam jej wiadomości i zamartwiałam się. W końcu zrozumiałam, że muszę się z nią zobaczyć. Jestem zbyt przesądna, aby wyjeżdżać z kraju ze świadomością, że między nami coś jest nie tak. Kiedy więc rozstałam się z Nathaniem, powędrowałam do H.

Stałam na jej progu i na jednym oddechu, chyba ze trzydzieści razy powiedziałam przepraszam, ona jednak pozostała nieugięta.

— Nie uważasz, że winna mi jesteś choć trochę szczerości? — zapytała, wyjmując mi z ręki butelkę wina, którą przyniosłam jako gałązkę oliwną. Umilkłam w połowie kolejnego przepraszam. Naprawdę się jej bałam, kiedy była zła.

— Jak ja się twoim zdaniem czuję? — ciągnęła dalej, podczas gdy ja posłusznie dreptałam za nią.

— Jakbyś miała ochotę skoczyć mi do gardła i zgarotować mojego chłopaka? — zaryzykowałam.

H jednak nie była w nastroju do żartów.

— Coś w tym stylu — urwała. Wzięła do ręki pilota i zatrzymała kasetę z *Przyjaciółmi*. Uu, sprawa była poważna. — Czy słowo „szacunek” coś dla ciebie znaczy? — zapytała, nie proponując, bym usiadła.

Jasne, że znaczy. Szacunek H znaczy dla mnie wszystko. Nie byłam w stanie kłócić się z nią na stojąco, przycupnęłam więc na pufie i wyznałam jej wszystko. Opowiedziałam, jak to było mi niedobrze, gdy ją

okłamałam, że mi jest niedobrze, a także o tym, jak byłam rozdarta pomiędzy nią a Jackiem, wreszcie o zamieszaniu na grillu, którego byłam sprawczynią, i okropnym poczuciu winy, jakie mnie od tamtego czasu prześladowało.

H słuchała, aż w końcu tak mi się ta pokora przejadła, że miałam ochotę zwymiotować.

W końcu złożyła na piersiach ramiona i pokręciła z politowaniem głową.

—Kiedy mówię o szacunku, mam na myśli szacunek dla samej siebie, ty idiotko — oznajmiła tonem tak pełnym współczucia, że rozłożyła mnie na łopatki. — Nie obchodzi mnie, co robisz, dopóki jest to coś, czego ty chcesz. Nie masz obowiązku sprawiać przyjemności ani mnie, ani nikomu innemu. Poczucie samej siebie to jedna z twoich najlepszych cech, Amy. Nie pozbywaj się jej tylko dlatego, że jesteś zakochana.

—A skąd wiesz, że się zakochałam? — pytam zdumiona. Przecież nigdy nie spotkała Jacka.

—Co prawda, to prawda. Czasami to aż nadto oczywiste — H na to.

Wtedy już musiała mi wybaczyć, bo zaczęłam płakać. Najwyraźniej płacz stał się jedną z moich najnowszych umiejętności.

Wcześniej nie miałam o niej pojęcia, a teraz zastanawiam się, czy nie powinnam z niej korzystać częściej dla wzmocnienia efektu. Może powinnam się zgłosić na zdjęcia próbne do jednego z tych hollywoodzkich romansideł, w których od bohaterki wymaga się tylko, żeby w każdej scenie rzewnie szlochała. Zrobiłabym majątek!

Właściwie to nie wiem, czemu zaczęłam płakać. Ale świadomość, że H rozumie, jak się czuję, była prawdziwą ulgą: jestem Kobieta Zakochana, co do pewnego stopnia tłumaczy moje zachowanie.

—Przestań — rozkazała H i naląła mi sporą szklanekę wina.

—Przepraszam — wyjąkałam.

— I przestań przeproszać. Już wszystko w porządku. — Pocałowała mnie w policzek i wsadziła do ręki szklanekę.

Wiedziałam, że mówi szczerze, zwłaszcza kiedy rozsiadła się wygodnie i odezwała się:

—Ty głupia krowo.

— Boże, ale mi ciebie brakowało — roześmiałam się i wlałam na kanapę, żeby móc się do niej przytulić.

Stuknęłyśmy się szklankami.

— Dalej, tumanku. Mów, jak na świętej spowiedzi.. Chcę wiedzieć wszystko.

Tak więc przy kolejnych szklankach wina opowiadam jej po kolei, jak było. Mówię jej o pracy, o Jacku, o Nathanie, imprezie i wreszcie o wakacjach. Tyle miałyśmy sobie do powiedzenia, że zanim się obejrzałam, dochodziła druga.

— Zrobiło się późno — ziewnęła H — lepiej zadzwoń do swojego kochasia i powiedz mu, że zostajesz u mnie na noc.

—Nie mogę. Muszę się jeszcze spakować. Pogroziła mi palcem i zliżała kropelkę wina z ust.

— Zawsze bierzesz za dużo rzeczy. A potrzebujesz tylko dwóch par majtek —jedną nosisz, drugą pierzesz — kostiumu kąpielowego i kilku sukienek.

Nachylałam się i podnoszę słuchawkę telefonu. Dręczona poczuciem winy wykręcam numer Jacka. Powinnam była do niego zadzwonić dużo wcześniej.

H przeciąga się jak kotka.

—Możesz zamówić taksówkę na rano. Nie ma go?

—Zajęte — odkładałam słuchawkę.

—Nie przejmuj się. Będiesz go miała przez cały tydzień.

Hurra.

Moi towarzysze podróży klaszczą spontanicznie, kiedy z godzinnym opóźnieniem samolot ląduje wreszcie w Grecji. Nie przyłączam się do ich radości. Stopy mam obrzmiałe, oczy podpuchnięte i czuję się wysuszona jak śliwka.

Jack natomiast świeży i wypoczęty wychodzi w upał na lotnisku. Podczas gdy on z zachwytem wciąga powietrze, ja w sekundzie oblewam się potem od stóp do głów.

— Pogoda jest w porządku — oznajmia. Zupełnie jakby warunki meteorologiczne były jego osobistym zwycięstwem.

Sonia zagania nas do terminalu. Uwagą o pogodzie nie udaje się Jackowi mnie zmylić. Kiedy Hamlet mówił, że coś się psuje w państwie duńskim, powinien był przyjechać na Kos.

Po przejściu przez odprawę celną, zanim wszyscy pozbierali swoje bagaże i zajęli miejsca w autokarze, którego nie przyjęliby nawet na najgorszym złomowisku, między nami zapadło milczenie. W kwestii dąsów utknęliśmy w martwym punkcie. Kiedy się poznało zapach czyichś genitaliów, trudno udawać, że się go nie zna. Z równym skutkiem można pisać egzamin, do którego się nie przygotowało.

Przez porysowane, brudne szyby przyglądam się krajobrazom Kos i obgryzam skórki u paznokci. Czuję się jak w transie.

Cóż, z całą pewnością nie jest to moja Wymarzona Wyspa.

Kiedy autobus z chrzęstem zatrzymuje się w głównej miejscowości wypoczynkowej, oczy zachodzą mi łzami. Jest zaledwie pora lunchu, a wokoło kręci się mnóstwo ludzi. Sądząc po świeżej opaleniźnie, w większości to Brytyjczycy. Z całą pewnością, bo nikt inny nie przechodziłby tak obojętnie obok pubu „Pod Buldogiem” na rogu, z którego wylewa się jazgotliwa muzyka.

Sonia chwyta za mikrofon i dźwięk, który się z niego dobywa, jest równie ogłuszający. To jest jej pięć minut.

— Raz, dwa. Raz, dwa — mówi śpiewnym głosem, zupełnie jakby była konferansjerką w Royal Variety.—Proszę wszystkich o uwagę! Jesteśmy w Villa Stephano. Witamy na wakacjach z FunSun.

No jasne, wnosząc z pubu i sklepów, stoimy przed budynkiem, który od biedy może uchodzić za hotel, chociaż betonowe balkony wyglądają, jakby dobudowano je dopiero po namyśle. Szczyt budynku jeży się metalowymi prętami, najwyraźniej ktoś zamierza dobudować kolejne piętro. Na dachu dwóch robotników opiera się o połamany napis „Villa Stephano” i pali papierosy. Przyglądają się turystom raczej podejrzliwie.

To na pewno nie jest nasz punkt docelowy. To niemożliwe, żeby Jack zarezerwował dla nas taką spelunę.



A może jednak?

Sonia wyczytuje nazwiska. Rodzina Russellów, wystrojona w identyczne stroje piłkarskie, rusza przejściem w jej stronę, kłócąc się o odblaskowe sombrero, które nosi najmłodszy jej członek. Kapelusz jest zdecydowanie za duży i malec nic nie widzi. Potyka się o wszystkie siedzenia, rozbryzgując po drodze colę z puszki, a zirytowany tatuś cały czas go popędza. Zaraz za nimi idzie Darren z Piekła Rodem. Matka niesie go pod pachą jak piłkę do rugby, a on wierzga, wrzeszczy i pluje jakimś zielonym obrzydlistwem.

Dociera do mnie, że Russell powinno być za Rossiter, a Sonia nas nie wyczytała.

Phi, my jedziemy do eleganckiego kurortu.

Szybko jednak mój koszmar przeradza się w rzeczywistość. Można się było domyślić, że Sonia nie zna alfabetu.

— Chodź, teraz my — ponagla Jack.

Nie wiem, na co patrzeć: na Alcatraz za oknem czy też na pepek Jacka, który schyla się po nasze torby. Nie.

To nie może być prawda.

Jesteśmy w Grecji. Przyjechałam na wakacje. A jeśli to mają być wakacje, muszą spełniać kilka podstawowych warunków:

- apartament ma być w zacisznym, odosobnionym miejscu i mieć piękny balkon
- pokój ma być duży i z łazienką
- widok na morze ma być 360-stopniowy
- w promieniu pięciu mil nie może być ani jednego turysty
- okolica powinna roić się od romantycznych, niedrogich, rodzinnych restauracyjek
- musi się znaleźć przynajmniej jedna odludna plaża

Widywałam takie miejsca w telewizji. Znam swoje podstawowe prawa konsumenta. Co tu się dzieje?

Oto skutki polegania na Jacku, który zapewne nie umiałby sobie załatwić dziwki w burdelu.

Zgłaszamy się w recepcji Villi Stephano, którą futbolowe bachory za chwilę rozniosą na strzępy, i dostajemy plan wakacji z FunSun. CO-DZIENNIE NA ŻYWO KARAOKE — głosi wielki napis nad moją głową.

Na żywo?

Ja nie doczekam końca — z całą pewnością wcześniej padnę martwa.

Korytarz na czwartym piętrze pozbawiony jest światła. Stoję w ciemnościach obok porzuconej, ważącej tonę torby, a Jack usiłuje trafić kluczem do dziurki. Wokół mnie unosi się przejmujący odór pleśni. Po dwóch minutach bezskutecznych prób, Jack napiera barkiem na drzwi, które z hukiem ustępują. Odsuwa się na bok, żebym mogła swobodnie przejść. Ja wchodzę do pokoju, z którego pędem wybiega karaluch.

Wspaniale! Nawet karaluchy nie mogą tu wytrzymać!

— Nie jest najgorzej — komentuje Jack obronnym tonem, zupełnie jakby czytał w moich myślach.

Cóż, ma rację. Slumsy Kalkuty prezentują się bez wątpienia gorzej.

Stawiam torbę na podłodze i wolno rozglądam się wokół. Dwa łóżka oddzielone są nocnym stolikiem z zepsutą lampką. Pod ścianą króluje zdecydowanie za duży stół, na którym stoi pęknięty wazon z zakurzonymi sztucznymi kwiatkami.

— Cóż za dbałość o klienta — udaje mi się wykrztusić, chociaż tak naprawdę mam ochotę cisnąć nimi o ścianę.

Jack otwiera drzwi na balkon i ogląda zapierający dech w piersiach widok na sąsiedni budynek. Coś wspaniałego. I jest tak blisko.

W jednej chwili pokój wypełnia się ciężkim aromatem smażonego jedzenia i kanalizacji.

Spoglądam na Jacka, potem idę do łazienki — muszę się uspokoić. Siadam na sedesie i liczę do dwudziestu. Oddychaj. No, dalej. Oddychaj głęboko. Jakoś to przeżyjesz.

Kiedy wracam do pokoju, Jack rozpakowuje torbę.

— W porządku? — pyta.

Nie. Wręcz przeciwnie. Zabrałeś mnie na wakacje do najgorszego miejsca pod słońcem i naprawdę rzygać mi się chce, kiedy pomyślę, jakim nędznym i skąpym się okazałeś draniem — z trudem się powstrzymuję, żeby mu tego nie wykrzyczeć w twarz. Lecz jako osoba dorosła i dojrzała, milczę. Ograniczam się jedynie do dąsów. Niestety, przy Jacku jestem zaledwie początkującym amatorem.

—Jack? — pytam w końcu.

—No?

—Odezwiesz się w końcu do mnie?

— Przecież się odzywam. Nie poddam się tak łatwo.

— Daj spokój. Ta atmosfera między nami jest po prostu śmieszna.

— Jaka atmosfera? Zresztą nie ja ją stwarzam. Przykładam obie dłonie do skroni i odsuwam do tyłu włosy.

— Czy mógłbyś na chwilę usiąść?

Rzuca na łóżko podkoszulek i siada na krześle. Zakłada ramiona na piersiach i patrzy na mnie, wydymając wargi. Wygląda jak przesłuchiwany na komisariacie drobny złodziejaszek.

—Dzisiaj rano, kiedy nie przychodziłeś, naprawdę się denerwowałam — zaczynam.

—Już ci mówiłem. Miałem kaca — przerywa mi. — Piłem z Mattem.

—Myślałam, że Matt pojechał na wieczór kawalerski.

—Owszem, ale dopiero o ósmej.

—A ty co robiłeś? — Wiem, że zachowuję się jak hiszpański inkwizytor, ale nic nie mogę na to poradzić. Jego tłumaczenie nie trzyma się kupy.

—Zostałem i piłem sam. — Patrzy na mnie zmrużonymi pogardliwie oczami.

—Upiłeś się, bo nie mogłeś się do mnie dodzwonić?

—Amy, upiłem się, bo chciałem. Uderza mnie ton goryczy w jego głosie.

—Och, Jack, naprawdę się mylisz — zaczynam. — To znaczy, to, co sobie myślisz, tak naprawdę...

—No, wyrzucić to wreszcie z siebie. Obojętnie, co by to było.

—Nie mam co z siebie wyrzucać. Dobrze wiesz, że wczoraj wieczorem widziałam się z Nathanem. — Jack przygryza wargi i odwraca wzrok. — Ale wypiliśmy tylko parę drinków — ciągnę. — Nawet nie jedliśmy kolacji. Rozstaliśmy się o wpół do dziewiątej, bo miał randkę z jakąś dziewczyną w klubie. Więc poszłam do H.

—Jak miło z twojej strony.

—Jack, proszę. Mówię prawdę. Chciałam się spotkać z Nathanem, ale nic między nami nie zaszło, mówiłam ci już. Po prostu się przyjaźnimy. Tak jak ty i Chloe.

—Ja nigdy się z nią nie pieprzyłem — nie omieszka mi przypomnieć.

Patrzymy na siebie przez chwilę i wiem już, że przegrałam. Nie mam wyboru, czas spuścić z tonu. Ręce opadają mi bezwładnie wzdłuż ciała.

—Jack, przepraszam. Nie powinnam była iść. Ale zrozumiałam to dopiero, kiedy go zobaczyłam.

—Wszystko było bardzo platonicznie i niewinnie, prawda? — Jego głos ocieka pogardą.

—Właśnie tak.

—Mogłaś do mnie zadzwonić.

— Wiem. I chciałam, ale straciłam poczucie czasu. Potem dzwoniłam do ciebie od H. Była druga w nocy, ale twój telefon był zajęty.

Jack pociera czoło wierzchem dłoni.

—Ładnie sobie to wszystko obmyśliłaś.

—Ale to prawda! — protestuję. — Zresztą jeśli mi nie wierzysz, możesz zadzwonić do H.

—A po co? Nie mam wątpliwości, że potwierdzi każde twoje słowo.

Chwytam go za ramię.

—Jack. — Zmuszam go, żeby na mnie spojrzeł, on jednak odwraca głowę. Puszczam go i czuję, jak do gardła podchodzą mi łzy.

—To nie fair. Dlaczego niby masz mnie karać, skoro nie zrobiłam niczego złego? — Spoglądam na sufit i wybucham gorzkim śmiechem. — Ironia polega na tym, że ja sobie ufałam. Kiedy zobaczyłam Nathana, myślałam tylko o tym, ile dla mnie znaczysz. Nie powinnam była się z

nim umawiać, bo wiedziałam, że nie byłeś tym zachwycony. Ale się uparłam. Przyznaję to i przepraszam, Jack. Jednak nie zrobiłam nic złego. Nie potrafiłabym cię skrzywdzić. I myślałam, że ty o tym wiesz.

Muszę wyjść, bo za chwilę się uduszę. Podnoszę torbę.

— Amy, zaczekaj. — Jack wstaje i opiera się o drzwi, tarasując mi drogę. — Przepraszam. W porządku? Nie chcę, żebyś sobie poszła.

Zaczyna mi wszystko tłumaczyć, aja za wszelką cenę staram się opanować drżenie podbródka. Niestety, bezskutecznie. Było tak, jak podejrzewałam: Jack zasnął. Przez dwie godziny cierpiałam emocjonalne katusze, a on sobie w tym czasie spał w najlepsze!

Czasami naprawdę nienawidzę mężczyzn.

— Chcesz odejść? — pyta.

Kręcę przecząco głową i upuszczam torbę.

—Nie! Ale chciałabym, żeby dzisiejszy dzień zaczął się od początku — mówię.

—Przepraszam, przepraszam — szepce Jack i mocno mnie obejmuje. Obsypuje pocałunkami moje włosy i kołysze mnie w ramionach. Po chwili przewraca się wraz ze mną na łóżko i przykrywa nas kocem. — Zamknij oczy — mówi głosem hipnotyzera. — Za chwilę włączy się budzik. Kiedy go usłyszysz, obudzisz się i nie będziesz pamiętała niczego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku godzin. Doświadczysz uczucia lekkości, spokoju i wyciszenia. Twój chłopak przestanie zachowywać się jak bęcwał, wakacje będą jednym pasmem śmiechu i radości, powróci też twoje wrodzone poczucie humoru. Dnrrnmrrrrrrrrrrrr!

—Dobrze, już dobrze! — Ze śmiechem wydostaję się spod koca, łapczywie wciągając powietrze. Klękam i siadam na nim okrakiem.

—Przepraszam — powtarza raz jeszcze. Znowu wygląda normalnie. Jak mój Jack.

—Ja też przepraszam.

—Znowu przyjaciele?

—Znowu. — Kiwam głową i podnoszę do góry jego koszulkę. Przesuwam się trochę w tył i nachylam, żeby pocałować go w brzuch. Przytulałam policzek do jego skóry, czując, jak napinają mu się mięśnie.

—A to co? — pytam na widok czerwonej plamy tuż nad paskiem. Dotykam jej palcem.

—Co? — Jack siada gwałtownie. Z przerażeniem naciąga skórę na brzuchu i przygląda się zaczerwienieniu.

—Nie martw się — uspokajam go ze śmiechem. — Nie popsuje ci opalenizny. Pewnie obtarłeś sobie skórę torbą.

Popycham go na łóżko i całuję w to miejsce. Podnoszę głowę i widzę, że Jack, wyraźnie spięty, wpatruje się w sufit.

—Czy myślisz o tym samym co ja? — pytam.

—Nie wiem. A o czym myślisz?

—Że to najpaskudniejszy pokój hotelowy, w jakim kiedykolwiek byłam.

—Nie, ja myślałem o czymś innym.

—A mianowicie?

Jack siada i spuszcza nogi na podłogę.

—O jedzeniu. Umieram z głodu.

Sztuka hipnotyzerska Jacka rzeczywiście zdziałała cuda. Zjedliśmy ogromne śniadanie i humory wróciły nam na dobre. Jack ogłasza, że polityka wakacyjna składa się z maksimum zabawy i minimum czasu spędzanego w hotelu. Z początku ten pomysł niezbyt mi odpowiada i błagam go, żebyśmy zmienili hotel. Na mojej Wymarzonej Wyspie każde popołudnie spędzaliśmy w łóżku, w błogosławionym chłodzie klimatyzowanego pokoju, żeby o zmierzchu popijać martini na prywatnej plaży. Lecz Jack nie ma pojęcia o Wymarzonej Wyspie. I nawet nie chce słyszeć o przeprowadzce. Nie bardzo rozumiem, co w niego wstąpiło, ale on w ogóle o niczym nie chce słyszeć. To nie jest mój Jack — to Pan Gaduła.

—Olejmy hotel. Wiem, hotel to podstawa, ale tak właśnie go potraktujmy — jak bazę wypadową. Zwiedzajmy wyspę, badajmy ją. Zobaczysz, będzie fajnie — kusi.

—Ale...

—Och, nie. Tylko mi nie mów, że jesteś jedną z tych dziewczyn, co to marzą o spędzaniu każdego dnia na plaży z jakimś ckliwym romansidłem. Błagam, błagam, błagam, powiedz, że jesteś inna.

—Ja...

—No, to załatwione. Wynajmiemy skuter i objeździmy nim całą wyspę. Tu musi być kupa miejsc do zwiedzania. Przecież to Grecja. Kolebka sztuki. Kraina mitów, świątyń i takich tam. — Wymachuje rękami na wszystkie strony i uśmiecha jak idiota.

—Ale Jack...

—I nie bój się, że będę prowadził. Wiem, że bezpieczeństwo to podstawa, ale ja jestem wyjątkowo bezpieczny. Obiecuję.

—Nie chciałam...

—Wspaniale. Idziemy — mówi i wstając, podaje mi rękę. Patrzę na niego podejrzliwie. — Dobrze się czujesz?

— Całkowicie. Nigdy nie czułem się lepiej. Tylko chcę już iść. — Łapie mnie za rękę i moje palce automatycznie splatają się z jego. Na chwilę przymyka oczy i całuje moją dłoń. — Zobaczysz, to będą najlepsze wakacje. Masz moje słowo.

Po jakimś czasie Pan Gaduła trochę się uspokaja, aleja wciąż czuję, że nie do końca jest sobą. Nie chodzi o to, że zachowuje się wobec mnie dziwnie — nigdy nie schlebiał mi bardziej ani nie był taki taktowny i delikatny — lecz o to, że przez całe trzy dni ani razu się nie kochaliśmy. Traktuje mnie jak towarzyszkę zabaw, nie kochankę. Można by to kłaść na karb zmęczenia, jakie odczuwamy wieczorem po całym dniu szalonych eskapad. Pojedyncze łóżka i słoneczne poparzenia także nie zachęcają do miłosnych zapasów. Mimo to gdzieś głęboko tkwi we mnie obawa, że nie końca uwierzył we wszystko, co mówiłam o Nathanie.

Postanawiam nie naciskać i nie ponaglać go. W końcu to tylko facet. A znając Jacka, kwestią czasu jest, że hormony w końcu wezmą górę nad tym, co go gryzie, cokolwiek to jest. Zresztą ta niespodziewana abstynencja ma też i swoje dobre strony. Ponieważ Jack i ja rozmawiamy. Naprawdę rozmawiamy. I świetnie się przy tym bawimy. Wszystkie te chwile, które inaczej bez wątpienia upływałyby nam na kochaniu się,

spędzamy na poznawaniu. Nie tylko wyspy, z jej gajami oliwnymi i zakurzonymi drogami, ale także siebie nawzajem. W ciągu tych pierwszych dni Jack odmówił mi swojego ciała, dając w zamian coś znacznie cenniejszego — informacje. W małych tawernach, które odkrywamy podczas naszych wypraw, nad szklankami sangrii opowiada mi o sobie, o swojej wizji malarstwa, o niechęci do komercyjnych zamówień, które musi przyjmować, żeby mieć z czego żyć. Każdego wieczoru, kiedy umordowani ściągamy do hotelu, przekonuję się, że jako człowiek coraz bardziej przypada mi do gustu.

Lecz wszystko to ulega zmianie czwartego dnia. Wtedy właśnie nasze poszukiwania plaży idealnej dobiegają końca. Jadąc nadmorską drogą, oboje w tej samej chwili zauważamy niewielką zatoczkę. Niestety, w żaden sposób nie potrafimy znaleźć do niej drogi. W końcu postanawiamy porzucić skuter przy drodze i zejść na dół po skałach. Po pewnym czasie natrafiamy na wykute w skale, strome i krzywe stopnie, schodzące do zatoczki.

Docieramy nimi na dół i z zachwytu odbiera mi mowę.

Wymarzona Wyspa, możesz się wypchać. Znalazłam raj.

W ułamku sekundy rozbieramy się i pędzimy do morza. Woda jest szmaragdowa i tak niemożliwie czysta, że widzę w niej dokładnie moje paznokcie u stóp. Jack daje nura w fale, podpływa przede mną i wynurzając się, łapie mnie. Po raz pierwszy od wielu dni nasze ciała znalazły się tak blisko siebie. Obejmuję go w pasie nogami. Ma posklejane rzęsy, a w oczach odbijają mu się refleksy świetlne rzucane przez wodę. Uśmiecham się do niego.

— Och, jak wspaniale — wzdycham i spoglądam za siebie, w stronę brzegu. Nigdzie ani śladu żywej duszy.

— Ty jesteś wspaniała — mówi Jack.

Wsuwam mu palce we włosy i delikatnie całuję. Dłużej już nie wytrzymam. Ta abstynencja mnie zabija. Poza tym to może być niebezpieczne. Kto wie, ile szkód może wyrządzić stan permanentnego, niezaspokojonego podniecenia.

— Chodź ze mną — szepczę i ciągnę go za sobą.



—Dokąd? — pyta.

Widziałam 10. Widziałam *Na przekór wszystkiemu*. Nic mi nie przeszkodzi kochać się z nim w wodzie. Nawet gdybym musiała go zgwałcić.

Ale nie muszę. Z gwałtem nie ma to nic wspólnego. Zaczynamy się całować, fale obmywają nasze nogi i czuję, jak w Jacku coś pęka. Zupełnie jak gdyby namiętność, którą starał się przez te wszystkie dni okiełznać, wreszcie przerwała wszelkie tamy. Nie umiem powiedzieć, ile razy już się kochaliśmy, ale wszystko to okazało się niczym w porównaniu z tym, co dzieje się dzisiaj.

Jack się ze mną kocha. I robi to tak, jakby nagle wszyscy moi wyśnieni i wymarzeni kochankowie skupili się w nim jednym. Nieważne, że wszędzie jest piasek i jest gorąco. Kiedy jednak oboje jednocześnie doznajemy orgazmu, jest to chwila jedyna w swoim rodzaju.

To najlepsze bzykanko, jakie KIEDYKOLWIEK przeżyłam.

— O rany — jęknął Jack, kiedy nasze zmysły na powrót osiągnęły poziom ziemski. Całuje mnie w powieki, w nos i policzki, zupełnie jakbym była dla niego najcenniejszą rzeczą na świecie. Czując mój dotyk na twarzy, otwiera oczy. I wtedy, niczym zastrzyk adrenaliny, przeszywa mnie pewność.

Jack marszczy brwi. Wygląda, jakby za chwilę miał się rozpląkać. Odsuwa mi z czoła zapiaszczony kosmyk włosów.

—Amy ja...—zaczyna.

— Ciii... — Uśmiecham się i uciszam go, przykładając mu do ust palec. Ponieważ w tej chwili nie ma potrzeby, aby to mówił. Bo ja i tak wiem.

Odtąd cały czas. spędzamy na błogosławionej plaży. Jednego popołudnia, po powrocie do hotelu Jack wciera mi w ciało balsam po opalaniu. Ogarnia mnie cudowny spokój, czuję się absolutnie rozluźniona i nawet nie wiem kiedy, naga zasypiam na łóżku.

Budzi mnie jakiś dziwny, chroboczący dźwięk.

—Nie ruszaj się — słyszę głos Jacka. Sztywnieję cała.

—Tylko mi nie mów, że to jakiś pajak! Jack wybucha śmiechem.

—Nie. Po prostu leż spokojnie, już prawie skończyłem.

—Co skończyłeś?

—Zaczekaj, zaraz zobaczysz.

Chrobotanie rozlega się jeszcze przez jakiś czas, a kiedy ustaje, słyszę, jak Jack podchodzi do łóżka i siada koło mnie.

— Mogę się już ruszać?

— Tak — odpowiada, więc obracam się twarzą do niego. — Proszę. — Podaje mi kawałek papieru.

Podsuwa mi wykonany ołówkiem rysunek, na którym poznaję siebie. Jest prześliczny.

— Podoba ci się? — pyta.

Nachylam się i całuję go.

—Jest cudowny. Ile ci to zajęło czasu?

—Nie wiem, spałaś jakieś pół godziny.

Znowu patrzę na rysunek. Czy naprawdę wyglądam na taką szczęśliwą, kiedy śpię?

Jack przygląda się mojej twarzy.

— Nie całkiem mi się udało. Wyglądałaś tak pięknie. — Głaszczę mnie po policzku.

Nagle przypominam sobie, że przecież kiedyś malował Sally, i choć tego nie chcę, zastanawiam się, czy i z nią był wtedy tak blisko jak dzisiaj ze mną.

—Założę się, że to samo mówisz wszystkim dziewczynom. — Miało to zabrzmieć jak żart, nie udało mi się jednak ukryć w głosie napięcia.

—Nie ma żadnych innych dziewczyn. Już nie. Jesteś teraz tylko ty.

Odkładam rysunek na stół i przyciągam go do siebie. Leżymy obok siebie na łóżku i czuję, że mu wierzę. Całkowicie. Wierzę, że jest mój, i kiedy wdycham jego oddech, mam świadomość, że nigdy wcześniej nie byłam taka szczęśliwa.

Całujemy się i głaszczę go po włosach.

—Dziękuję — szepczę. — Chodź, zapraszam cię na kolację. Uśmiechając się do mnie, Jack siada na brzegu łóżka i nakłada

koszulę. Jeszcze raz chcę się przyjrzeć rysunkowi. Kiedy na niego patrzę, nie mogę się zdecydować, czy ucałować rysunek czy też jego autora — obaj tyle dla mnie znaczą.

Wszystkim wiadomo, że tydzień to zdecydowanie za krótko na wakacje. Ja pamiętam tylko, że minęło zaledwie pięć minut i już był piątek. Dopiero zaczynam naprawdę wypoczywać, opaliłam się w sam raz i już musimy wracać do domu. To nie fair.

W ostatni wieczór elegancko ubrani jemy kolację w naszej ulubionej tawernie.

— Nie chcę jeszcze wracać — jęczę. Siedzimy na tarasie, a pod nami rozciąga się zatoka. Jedyne światło pochodzi ze świec ustawionych na nakrytych kraciastymi obrusami stolikach i z wielkiego księżyca wiszącego nad nami niczym lampa.

— Ależ chcesz — śmieje się Jack. — Masz nową pracę, na którą się cieszysz, i piękną opaleniznę, której ci wszyscy pozazdroszą. Zobaczysz, będziesz zachwycona po powrocie.

Podchodzi kelner i chwilę z nim gawędzimy. Pyta nas o wakacje, a my zapewniamy go, że były fantastyczne. Na wieść, że już jutro wyjeżdżamy, udaje wielką rozpacz.

Odchodzi, a my, oparci o balustradę tarasu, podziwiamy rozpięte nad nami, iskrzące się od gwiazd niebo.

—Masz rację — wzdycha na koniec Jack. — Zlikwidujmy wszystko i zostańmy tu na zawsze.

—Masz głos — mówiąc to, siadam i obracam się twarzą do niego.

—Znajdziemy w górach jakiś dom. Ty zajmiesz się hodowlą kurzajek i wąsów — żartuje. — Ja będę rzeźbił kozie odchody.

— A jeśli się sobą znudzimy?

—Cóż, zawsze będę mógł się zainteresować którąś z kóz. Nie mam też wątpliwości, że znajdzie się niejeden młody rybak gotów zaspokoić twoje potrzeby.

—Wyśmienicie. Zostajemy. — Nachylam się i całuję go w policzek.

—Nic by z tego nie wyszło — szepcze Jack. — Musiałbym trzymać cię nieustannie w zamknięciu, żeby mieć cię tylko dla siebie.

Przykładam mu dłoń do policzka.

—Dziękuję za dotrzymanie obietnicy.

—Której?

— Że dasz mi najwspanialsze wakacje. — Całuję jego rękę. — Nie kłamałeś.

Przykłada mi palec do nosa i uśmiecha się.

— Nie rozczulaj się zanadto, mamy jeszcze przed sobą prawdziwą ucztę.

Wypijamy dwie karafki wina i nagle okazuje się, że północ dawno już minęła. Czuję się tak napchana jak faszerowane liście winogron, które właśnie zjadłam.

—Pora na nas — oświadcza Jack, gdy kelner wręcza nam rachunek. Jak zwykle, wychodzimy z knajpy ostatni.

—Nie chcę.

—No, co ty? Chyba nie chcesz przegapić dyskoteki FunSun. Poza tym mam zamiar spróbować swoich sił w karaoke.

—Nie odważysz się — wybucham śmiechem.

—Nie wiedziałaś? Masz przed sobą króla karaoke.

—Co zaśpiewasz? — pytam.

—No jak to? *Letnie noce*, ma się rozumieć.

W drodze do miasta, z policzkiem wtulonym w jego plecy, nucę sobie pod nosem. Och, jakaż jestem szczęśliwa. Ciepły wiaterek rozwiewa mi włosy i dopiero po dłuższej chwili zauważam, że nie jesteśmy na drodze wiodącej do hotelu.

—Dokąd jedziemy? — pytam.

—Zobaczysz — odpowiada, zatrzymuje skuter i spuszcza nóżkę.

Prowadzi mnie po skałach, aż wreszcie docieramy na skraj urwiska.

— Musiałem popatrzeć po raz ostatni — tłumaczy Jack. Pod nami, z rosnącymi po bokach dwoma drzewkami oliwkowymi, rozciąga się nasza plaża. Nigdy nie widziałam jej pod takim kątem. Stoję, oczarowana księżycem i srebrzystą poświatą na wodzie. Jack jest tuż za mną. W

pewnej chwili obejmuje mnie w pasie ramionami. Oddycham głęboko, a powietrze jest aż gęste od zapachów i śpiewu cykad.

Lepiej być nie może.

Odnalazłam to, czego tyle czasu szukałam.

—Jack? — szepczę.

—Hmm? — mruczy, wtulając nos w moje włosy.

— Czy ty także to czujesz? — pytam.

—Co takiego?

Serce wali mi jak oszalałe.

— Że tak właśnie powinno być. Że my powinniśmy być razem? Że to jest coś poważnego? — trudno mi uwierzyć, że właśnie wypowiedziałam tak ważne słowa, ale naprawdę wyrażają one to, co myślę. Bardziej niż wszystko inne, co do tej pory mówiłam.

Jack obejmuje mnie mocniej i przytula głowę do mojej szyi. Sięgam za siebie, żeby pogłaskać go po włosach, on jednak powstrzymuje mnie, chwytając za nadgarstek. Obracam się do niego i przyglądam się jego twarzy oświetlonej księżycowym blaskiem. Wiem, że zaraz to powie. Jest lepiej niż we wszystkich filmowych scenach, jakie sobie przypominam. Z dygoczącymi kolanami wstrzymuję oddech.

—Powinniśmy już jechać — mówi Jack, nie patrząc na mnie.

—Słucham?

Puszcza moją rękę. Wciąż nie patrzy na mnie.

—Jest już późno. Zbierajmy się.

Siadam za Jackiem na skuterze, z trudem nad sobą panując. Nie chwytam, o co chodzi. Dlaczego? Tylko to chcę wiedzieć. Co jest ze mną nie tak?

Wydawało mi się, że wszystko układa się wspaniale. Było nam ze sobą naprawdę wyśmienicie, rozśmieszaliśmy się nawzajem, w łóżku było fantastycznie, a on wciąż nie może się zdobyć na to, aby mi powiedzieć, że mu na mnie zależy.

Może za bardzo nalegałam. Może przeraża go myśl o związaniu się z kimś. Być może jeszcze do tego nie dorósł. A może po prostu uznał, że

nie jestem dla niego. Możliwe, że wszystko sobie tłumaczyłam opacznie, a on po prostu chce czegoś więcej. Tyle że ja nie mam już nic do dania. Ofiarowałam mu całą siebie, bez ograniczeń.

Cóż więc mam robić? Wzruszyć ramionami i najzwyczajniej w świecie go olać? Czy raczej kontynuować naszą znajomość na luźnych zasadach? Spróbować się zmienić?

Nie rozumiem, skąd ten kryzys. Jak to możliwe, że w jednej chwili wszystko układa się idealnie, a w następnej z hukiem się wali? Co ja takiego zrobiłam?

W głowie kłębi mi się od pytań i wątpliwości, nie zauważam więc w porę, że Jack jedzie coraz szybciej.

—Zwolnij! — wrzeszczę i chwytam się go kurczowo, gdy wchodzi w ostatni zakręt przed wjazdem do miasta. Niestety, łuk okazuje się zbyt ostry i czuję, jak Jack pręży się cały, usiłując wyhamować.

—Uważaj! — wyrywa mi się, jest już jednak za późno.

Kiedy dochodzę do siebie, spostrzegam, że leżę na ziemi z ramionami wyrzuconymi do przodu. Pod sobą mam piasek i czuję dotkliwy ból w łokciach. Wokół panują ciemności i jest bardzo cicho.

—Amy? — dobiega mnie stłumione wołanie Jacka, nie wiem jednak, skąd dochodzi. — Amy, nic ci nie jest?

Nie mogę mówić. Jack kuca koło mnie. Wygląda na przerażonego. — Obejmij mnie za szyję — szepcze, unosi moje ręce i zakłada je sobie na ramiona. Pomaga mi wstać. Dopiero wtedy zauważam, że płacze i że to raczej ja podpieram jego.

—Jack? — chrypię. — Jesteś cały?

—Myślałem, że cię zabiłem — szlocha. — Myślałem, że cię zabiłem.

—Ciii — uspokajam go i zmuszam, żeby na mnie spojrział. — Widzisz, nic mi nie jest. — On jednak potrząsa głową jak oszalały, aż zaczynam się go bać. — Jack, uspokój się. Wszystko jest w porządku. Wywróciliśmy się, ale nic się nie stało. Mnie się też nic nie stało.

Jack z trudem łapie oddech. Rękami chwytam się za głowę, szarpie włosy.

—Ty nic nie rozumiesz. Ja muszę ci coś wyznać. To mi nie daje spokoju. Zwłaszcza od kiedy spytałaś, co czuję... Czy uważam, że tak powinno być... A ja chciałem ci powiedzieć... Chciałem ci powiedzieć... Ale nie mogłem...

Przyciągam go do siebie, czując, jak zalewa mnie fala ulgi. Wszystko będzie dobrze, bo on jednak mnie kocha. Wiedziałam. Co prawda trzeba było aż wypadku, żeby oprzytomniał, ale w końcu do niego dotarło, a to najważniejsze.

Odsuwa się ode mnie i znowu zaczyna potrząsać głową.

—Powiedz mi — ponagliam go.

Szlocha tak gwałtownie, że nie mogę oprzeć się współczuciu. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś był tak przygnębiony.

—Spieprzyłem to. Spieprzyłem wszystko.

— Och, to nieprawda — uspokajam go. — Wszystko jest w porządku. Nie bój się mi tego powiedzieć. — Jack zanosi się od płaczu jak małe dziecko. — Uspokój się.

Kręci głową.

— McCullen. McCullen — krztusi się. — Dziewczyna z obrazu... Ta z imprezy u Chloe...

Milknie, próbując złapać oddech. Patrzy na mnie, a po policzkach płyną mu łzy. Wygląda, jakby za chwilę miał się załamać, ale instynkt to zdumiewające zjawisko. Odsuwam się od niego.

— Co z nią? — pytam, chociaż znam już odpowiedź, mimo że on jeszcze nie powiedział niczego.

Głośno pociąga nosem. — Coś się stało. W zeszły piątek. Myślałem, że jesteś z Nathanem, i wydzwaniałem do ciebie bez końca. Ale ciebie nie było. Zalałem się — wzdycha rozdzierająco. — I ona przyszła. Przepraszam... Cholera, tak strasznie mi przykro...

Nie słyszę już nic więcej. Wszystko w jednej sekundzie układa się w logiczną całość: jego spóźnienie na lotnisko; dziwne zachowanie po przyjeździe; to, że nie chciał się ze mną kochać; zaczerwienienie na brzuchu...

„Malinka" na jego brzuchu.

Wyczuwam, że się do mnie zbliża.

—To nie była moja wina. Miałem zamiar ci powiedzieć.

Nareszcie zrozumiałam, co znaczy „wpaść w furję”. Nie słyszę już ani słowa z tego, co do mnie mówi, bo moje pięści bezbłędnie lądują na jego twarzy.

Krzyczy z bólu i odskakuje jdo tyłu, ale ja biegnę. Biegnę najszybciej jak potrafię. Nieco dalej, na poboczu drogi odnajduję skuter. Silnik wciąż jeszcze pracuje. Potrzebuję wszystkich sił, żeby go podnieść, i wskakuję na siodełko dokładnie w chwili, gdy dogania mnie Jack.

RS



—Amy! — woła i próbuje mnie złapać.

— Odpierdol się! — wrzeszczę i z całej siły kopię go w krocze, po czym odjeżdżam.

Instynkt samozachowawczy to potężna i zadziwiająca siła. Choć wydaje mi się, że cały mój świat właśnie legł w gruzach, do Villi Stephano docieram zdrowa i cała. Spokojnie parkuję skuter. Właściciel baru, Vasos, zapowiada konkurs karaoke i wygląda na to, że wszyscy świetnie się bawią. Matka Darrena uszczęśliwia zgromadzonych koszmarną interpretacją *Karma Chameleon*, do taktu tańcząc z koleżanką kankana. Nie zauważona przechodzę przez bar i wspinam się na schody. Dlaczego niby miałabym zwrócić czyjąś uwagę? Przecież nie ma żadnych oznak zewnętrznych zszarganego stanu moich władz umysłowych.

Kiedy jednak przekraczam próg pokoju, nerwy mi puszczają. Najpierw tylko płaczę, szybko jednak tracę nad sobą panowanie. Wywrzaszkując sprośności, wyrzucam przez okno ubrania Jacka, aż wreszcie padam ze zmęczenia.

Od samego początku, już na lotnisku czułam, że coś jest nie w porządku. Powinnam się była domyślić.

Jak on mógł?

Jak mógł zrobić mi coś takiego?

Padam na łóżko i przyciskam ręce do piersi. Och, jak boli. Może moje serce pęka naprawdę.

Po jakimś czasie uspokajam się trochę, już tylko cichutko pojękuję, a z dołu dobiegają mnie odgłosy karaoke. Lecz myśleć mogę tylko o jednym:

Jak?

Co?

Gdzie?

Dlaczego?

Kiedy?

Nie wiem, jak długo siedzę tak po ciemku, wpatrując się tępo w ścianę i starając się znaleźć odpowiedzi na każde z tych pytań, kiedy nagle słyszę słabe pukanie do drzwi.

—Amy? — Za drzwiami jest Jack. — Wpuść mnie. Zaciskam z całej siły powieki.

— Nie odejdę stąd. Musisz mnie wpuścić — oznajmia i puka trochę mocniej.

Zatykam uszy.

—Daj spokój — głośniej tym razem. — Musimy porozmawiać. Wiem, że tam jesteś.

—Odejdź — wykrztuszam. Chcę umrzeć. Zwijam się w kłębek na łóżku. Nie chcę, żeby mnie teraz zobaczył.

—Amy, proszę — błaga Jack. Puka coraz mocniej.

Ignoruję go i marzę, żeby znaleźć się już w domu. We własnym łóżku. Chcę się poczuć bezpieczna. Żałuję, że byłam głupia i w ogóle zaczęłam się z Jackiem zadawać. Szkoda, że nie miałam dość rozsądku i zaufałam mu. Pozwoliłam mu się skrzywdzić. Chciałabym być kimś innym, gdzieś indziej, w innym miejscu i o innym czasie.

Później — choć nie wiem kiedy — dociera do mnie, że pukanie ustało.

Wiem, że Jack nie odszedł. Wiem, że tam jest, zupełnie jakbym go widziała. W tym cały problem — widzę go. Mam go cały czas przed oczami.

Widzę, jak całuje mnie na naszej plaży. Albo jak patrzy na mnie w świetle księżyca. Widzę, jak się śmieje, a wiatr rozwiewa mu włosy.

Widzę wszystko.

Tylko jego z Sally nie widzę.

Szarpnięciem otwieram drzwi. Jack skulony siedzi na schodach, z twarzą schowaną w dłoniach. Patrzy na mnie. Twarz ma poranioną, oczy nabiegłe krwią.

—Co to miało znaczyć, że coś się stało? Patrzy na mnie tępo.

—Mów. Co się stało? Siedzi bez ruchu.

—Nie pieprzyłem jej — szepcze. Dygoczę cała.

—A co robiłeś?

—Nic nie robiłem. Tylko ona. Ona robiła wszystko.

—POWIEDZ!

Znowu chowa twarz w dłoniach.

— Spałem. Obudziłem się, a ona mi obciągała. Przysięgam, do niczego więcej nie doszło.

—Och! Ona tylko ci obciągnęła! — krzyczę. — Biedactwo! Wstaje.

—To nie było tak.

—Więc powiedz mi! Jak było? Jak doszło do tego, że obudziłeś się z fiutem w jej ustach?

Nie potrafi wydusić z siebie słowa. Brzydzę się nim, jakby był wylewającym się z szamba gównem.

Bo teraz już widzę. Widzę grymas rozkoszy na jego twarzy. Rozkoszy, której dostarcza mu inna.

—Nie chcę cię już nigdy więcej widzieć—mówię gwałtownie.

Zatrząskuję drzwi i padam na łóżko. Przykrywam głowę poduszką, żeby nie słyszeć, jak Jack znowu dobija się do drzwi. Wykrzykuje moje imię tak głośno, że zagłusza chyba nawet dyskotekę FunSun. Słyszę jakiś hałas i czyjś głos, który każe mu się zamknąć.

Wreszcie zapada cisza. Nie wiem, czy ktoś Jacka wyprowadził, czy też wciąż tam jeszcze jest. Nic mnie to nie obchodzi.

Biorę ze stolika walkmana i nakładam słuchawki. Naciskam przycisk „play” i ustawiam głośność na pełną moc, byle tylko zagłuszyć własny płacz. Z głośniczków płynie piosenka Beatlesów *Chodźmy razem*.

Cholernie zabawne.

## ODRZUCONY

—Co zrobiła? — pyta Matt z niedowierzaniem, patrząc na moją poranioną twarz.

—Rzuciła mnie — powtarzam, po czym na wypadek gdyby mnie nie zrozumiał, dodaję: — Olała, puściła kantem, puściła w trąbę, kazała spadać, spuściła do kanału. — Kiedy to mówię, czuję się jak wyrzucony śmieć, i słusznie, bo kimże jestem, jeśli nie śmieciem? Gdyby w tej chwili do salonu Matta wkroczył karaluch, nie mam najmniejszej wątpliwości, że bez wahania skierowałby swoje kroki ku szczerze wam oddanemu i oznajmił, że oto właśnie znalazł się w domu.

Najwyraźniej jednak Matt ma pewne trudności z przyjęciem do wiadomości straszliwej nowiny. Opada na kanapę obok mnie.

—Przecież to niemożliwe.

Uwaga, w połączeniu z wyrazem konsternacji na jego twarzy, przez chwilę przypomina mi scenę, w której Spock na statku kosmicznym „Enterprise” napotyka naukową aberrację. Jego reakcja jest dla mnie w pełni zrozumiała. To, co się wydarzyło, rzeczywiście przeczy wszelkiej logice i pozostaje w niezgodzie z życiem, przynajmniej tym mnie znanym.

Och, chętnie przyznałbym Mattowi rację w tej materii. Szczerze. Dużo bym dał, by móc usiąść przy nim i zapewnić go, że w istocie niemożliwe jest, aby taka miła dziewczyna jak Amy postanowiła rzucić równie miłego gościa jak ja. Z radością bym go zapewnił, że skoro jest to tak oczywiście niemożliwe, ja w takim razie uległem chwilowej iluzji, z której jednak wkrótce się ocknę, by przekonać się, że w moim świecie wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ponieważ jednak nigdy nie byłem specjalnie dobry w zaprzeczaniu, mogłem mu jedynie oświadczyć, że: — Gówniane nieszczęścia chodzą po ludziach.

Ponieważ to prawda.

Wiem o tym.

Coś podobnego właśnie mnie się przytrafiło.

— Ale przecież wszystko układało się tak dobrze — dziwi się Matt.  
— Naprawdę wam na sobie zależało.

— Układało się i zależało nam. Chwilę na mnie patrzy, po czym do-  
rzuca:

— Więc?

— Więc co?

— Więc kto pogrywał nie fair?

— Co...

— Jedno z was musiało — zauważa. — Dlatego właśnie ludzie się  
rozstają. Przynajmniej w większości przypadków.

— To nieprawda — protestuję. — Ludzie się rozstają z miliona róż-  
nych powodów. — Czekaj, żebym kontynuował, co też czynię: — Na  
przykład jedno może chrapać, a drugie nie jest w stanie tego znieść. Al-  
bo na przykład każde kibicuje innej drużynie. Och, nie wiem... to może  
być cokolwiek. Mogą im się wyczerpać tematy do rozmowy.

— Więc to byłś ty — podsumowuje.

Nie ma sensu głupio się wypierać; za dobrze mnie zna. Poza tym  
przed kimś muszę się wygadać. Ktoś mi musi powiedzieć, że nie pora  
jeszcze, aby kładł krechę na swoim życiu.

— Tak. Kiwa głową.

— Tak myślałem. Chcesz mi o tym opowiedzieć?

I opowiadam. Wszystko po kolei. Zaczynam od tego, jak razem z  
Amy wywnętrzyliśmy się przed sobą nawzajem „U Zacka” i jakie to by-  
ło fajne uczucie, kiedy wszystko sobie wyjaśniliśmy. Potem dokładnie  
opisałem przebieg imprezy u Maxa, mój atak zazdrości, ultimatum i  
opór Amy. Potem przychodzi czas na Czarny Piątek, kiedy to Amy mia-  
ła randkę, a ja dostawałem świra. Ze szczegółami opowiadam, jak późną  
nocą zjawiała się McCullen, by rankiem obudzić mnie w tak brutalny  
sposób. Mówię mu, jak wy waliłem ją za drzwi z ostrzeżeniem, żeby się  
więcej u mnie nie pokazywała. Wreszcie opowiadam o naszych waka-  
cjach, o wypadku, o tym, co powiedziałem Amy, i co ona powiedziała  
mnie.

Gdy historia mojego nieszczęścia dobiega końca, pierwsze słowa Matta brzmią:

—Straszny kutas z tego Nathana.

To miłe, że Matt stara się mi dodać otuchy, nie bardzo mu się to jednak udaje. Mimo to, choć bardziej z przyzwyczajenia, niż wiedziony nienawiścią, kiwam głową i karbuje w pamięci, aby do mojej listy Rzeczy Przyjemniejszych niż Nathan dopisać ludzi zjadających własne kozy z nosa.

Ponieważ na pierwszą uwagę nie reaguję, Matt pyta:

— Dlaczego, do ciężkiej cholery, nie powiedziałaś Amy oS&M?

Spodziewałem się tego pytania. Podobne nasunęło mi się zaraz po wypadku, podczas krótkiego, aczkolwiek niezbyt miłego odcinka czasu pomiędzy ciosem wymierzonym mi przez Amy w twarz a kopniakiem w jaja. I od tamtej chwili zadaję je sobie nieustannie.

Przede wszystkim, nie musiałem jej o niczym mówić. Jasne, zawsze pozostałby cień niepokoju, że w jakiś sposób się dowie. Mógłbym na przykład wygadać się przez sen. Albo McCullen zaczęłaby sypać. Mógłbym też przystać do jakiejś sekty, w której istniałby przymus wyspowiadania się każdemu, kogo w swoim życiu zdarzyło mi się okłamać. Lecz prawdę powiedziawszy, zarówno wtedy, jak i teraz mało jest prawdopodobne, aby któryś z tych scenariuszy się sprawdził. Faktem natomiast pozostaje bezspornym, że gdybym trzymał język za zębami, upiekłoby mi się.

Podobnie jak mi się to udawało przez całe życie.

Konsekwencje zaś byłyby oczywiste i bardzo korzystne.

Uniknęlibyśmy, na przykład, kraksy. Ominęłaby nas też ponura podróż do domu samolotem, podczas której ona nie chciała ze mną nawet rozmawiać. Zamiast tych ponurości, stalibyśmy sobie we dwoje na zboczu, zapatrzeni w zalaną księżycowym światłem plażę pod nami. I to nie taką sobie, byle jaką plażę, ale naszą plażę — miejsce, gdzie się kochaliśmy. Tylko ona, ja i morze. Na miłość boską, byłoby zupełnie jak w poezji.

Ale — o nie — nie z Jackiem Rossiterem podobne numery. Jack Rossiter miał inne plany. Postanowił tam, na szczycie zbocza, zignorować ją, gdy pytała, czy on także to czuje. Mimo iż czuł. Po raz pierwszy od wielu lat. Mimo iż po raz pierwszy od wielu lat znalazł się w takiej sytuacji z dziewczyną, która była spełnieniem jego marzeń. Problem polegał jednak na tym, że było zbyt dobrze, aby mogło być prawdziwie.

—Chodziło o szczerość — tłumaczę. — Chciałem być wobec niej szczery.

—Szczerość? — upewnia się Matt. Patrzy na mnie, jakbym się skopcił.

—Właśnie, szczerość. Mówienie prawdy.

—Jack, ja rozumiem, co to słowo znaczy.

—Z czym więc masz problem?

— Z tym mianowicie, że nie bardzo wiem, jak się to ma do waszego związku.

—Od początku do końca — dodaję, bardzo już znużony. Przygląda mi się bez wyrazu.

—Nie, jeśli o mnie chodzi. I myślę, że podobnie jest u większości ludzi. — Jego spojrzenie staje się podejrzliwe. — Chyba nie czytałeś moich *Dziesięciu kroków do wiecznej miłości*?

—Czego?

Matt wstaje i podchodzi do okna.

—A, nic takiego.

—Nie chciałem jej wciskać kitu — ciągnę dalej. — To mi się wydawało nie w porządku. Ona mi zaufała, a ja ją okłamałem i im dłużej zwlekałem z wyznaniem prawdy, tym gorzej się z tym czułem.

Matt obraca się i mrużąc oczy, patrzy na mnie.

—Co, sumienie cię gryzło? — upewnia się. — Ilekroć na nią spojrzawsz, czułeś, jak trucizna zdrady zatruwa ci organizm? Za każdym razem, gdy ją całowałeś albo się kochaliście, czułeś, że zdradzasz ją od nowa? Zupełnie jak gdyby każde kolejne zbliżenie nic nie znaczyło, ponieważ opierało się na zdradzie?

—Właśnie — przytakuje, bo czuję, że Matt dotknął sedna sprawy. — Tak dokładnie było. — Przepętnia mnie uczucie ulgi. Najwyraźniej ktoś mnie jednak rozumie.

Okazuje się, niestety, że tym kimś nie jest Matt.

— Innymi słowy, zrobiłeś to, żeby poczuć się lepiej. Nie uważasz, że mądrzej byłoby samotnie uporać się z poczuciem winy, a z zajścia wyciągnąć tylko taką nauczkę, żeby nic podobnego więcej się nie powtórzyło? — pyta i wraca, żeby ponownie usiąść na kanapie.

Chwilę trwa, zanim udaje mi się przewyciężyć rozczarowanie, że w tej chwili nie połączyła nas męska solidarność i zrozumienie. Na szczęście, jakoś sobie radzę. Po pierwsze, przytulanie się do drzew nigdy nie było moją ulubioną zabawą — zdecydowanie za dużo mchu i wiewiórczych odchodów. Co do wspólnych polowań —jako dziewięciolatek zostałem wykopany z zuchów za palenie papierosów i nigdy tego nie żałowałem, lepiej więc będzie jak i teraz nie będę się zbytnio rozczulał. Myślę jednak, że tak łatwo się z tym pogodziłem, bo nie jestem na Matta wkurzony. Raczej na samego siebie.

Chodzi mi o to, że nie uważam jego reakcji na moje zachowanie za coś nienormalnego. Wręcz przeciwnie. Zlecono by mi, dajmy na to, przeprowadzenie szybkiej sondy ulicznej przed domem Matta i zadanie członkom społeczeństwa pozostającym w stałych związkach następujących pytań:

- a) Gdybyś po pijanemu przespał się z obcą osobą, której już nigdy więcej nie ujrzysz na oczy, czy powiedziałbyś o tym swojej partnerce?
- b) Gdybyś zaczął z kimś romansować, by wkrótce przekonać się, że tak naprawdę kochasz tylko swoją aktualną partnerkę, czy powiedziałbyś jej o tym chwilowym zauroczeniu?
- c) Gdybyś mógł się z kimś przespać, mając pewność, że ujdzie ci to na sucho (tak, tak, dotyczy to także gwiazd Hollywoodu), czy odrzuciłbyś taką okazję?

Nie przypuszczam, żeby ktoś udzielił odpowiedzi innych niż „nie”. W dzisiejszych czasach raczej mało kto spowiada się ze swojej niewierno-



ści. No, można o tym opowiedzieć kumplowi, ale na pewno nie kochance. Bo i po co niby? Chyba że szuka się pretekstu do zerwania.

Cóż, kiedyś tak właśnie myślałem. Nawet kiedy byłem z Zoe. Chociaż nigdy jej nie zdradziłem, przypuszczam, że gdyby nawet, i tak nie puściłbym pary z gęby. Z Amy mi to jednak nie wyszło. I stąd główna rola, jaką odgrywam teraz w klasycznym greckim melodramacie *Zwierzenia kierowcy skutera*. Najwyraźniej przegrałem ze szczerością. Podobnie jak Matt, nie popieram szczerości samej w sobie. To zbyt proste i zbyt łatwe. Jasne, szczerość jest ważna, ale dopiero jako symptom czegoś więcej. Szczerość sama w sobie stała się towarem niepełnowartościowym. Chyba że jest elementem wspomagającym. I to wspomagającym nie byle co, lecz — jak sobie właśnie uświadamiam — Rzecz Wielką. A w kwestii emocji jedno tylko uczucie na miano Rzeczy Wielkiej zasługuje. Zdumiewające, ile czasu potrzebowałem, żeby je wreszcie rozpoznać.

Patrzę Mattowi prosto w oczy.

— Kocham ją — mówię. — Powiedziałem jej o McCullen, bo ją kocham.

Matt podnosi rękę w ostrzegawczym geście.

—Wolnego, bracie, wolnego.

—Co?

— Dobrze wiesz, co. Wielkie słowo. Właśnie je wypowiedziałeś — grozi mi palcem.—Tylko się teraz nie wypieraj. Nawet nie próbuj udawać, że było inaczej.

— Nie będę.

Matt przekrzywia zdziwiony głowę.

—Nie będziesz?

—Nie, nie będę. Powiedziałem tak, bo tak jest. Kocham ją.

—Wysłuchuję się w dźwięk tych słów i dochodzę do wniosku, że brzmią nieźle. Tak dobrze, że chętnie wypowiem je jeszcze raz.

—Ja, Jack Rossiter — ogłaszam uroczyście — będący w pełni władz umysłowych...

—Rzecz względna — mruczy Matt.

—...kocham Amy Crosby. Matt długo mi się przygląda.

—Cóż, to tłumaczy wszystko — stwierdza na koniec.

—Co takiego?

—Dlaczego zachowujesz się jak kompletny dupek. — Patrzymy na siebie w milczeniu przez kilka długich minut.—Sądzę, że powinniśmy spróbować jakoś cię z tego bałaganu wyciągnąć

— podsumowuje mój przyjaciel.

Będąc prawnikiem, Matt podchodzi do problemu w typowo prawniczy sposób: zaczyna od faktów. Upewnia się co do kilku, po czym milknie, a ja zafascynowany przyglądam się wyrazowi absolutnego skupienia, jaki przybiera jego twarz. Wyobrażam sobie jego absolutnie logiczny umysł przy pracy: rozważa, analizuje, z różnych stron bada problem. Czuję przypływ dobrej wiary. Jeśli ktoś może znaleźć wyjście z tej matni, jest nim bez wątpienia Matt.

—Przypadkowy stosunek oralny — oznajmia na koniec. — Śliska sprawa.—Ze zmarszczonym czołem drapie się po brodzie.

— Można powiedzieć, nieprzyjemna wpadka. Nie takiego rozwiązania oczekiwałem.

—Nie, Matt — muszę go poprawić. — To nie jest wpadka. Wpadką możesz nazwać zgubienie portfela albo mandat za złe parkowanie. To natomiast jest całkowita, pieprzona klęska.

Matt czeka cierpliwie, aż się uspokoję.

—Istota sprawy — zauważa — tkwi w pytaniu: byłeś czy nie byłeś niewierny? Z technicznego punktu widzenia odpowiedź musi być twierdząca, ponieważ w istocie ci obciągnęła. Koniuszek jej języka w istocie dotykał końca twojego korzenia. To nas sprowadza do zamiaru. Choć w świetle prawa ignorancja nie jest wytłumaczeniem, można by się spierać, że znajdując się w stanie ograniczonej poczytalności, byłeś całkowicie nieświadomy, iż rzeczony język należy do kogoś innego niż twoja umiłowana Amy. Stąd wnioskuję, że przyjemność, jaką czerpałeś z ruchów tegoż języka, nie stanowi o niewierności emocjonalnej.

— Świetnie, stary — przerywam mu, nie kryjąc frustracji. — Spróbuj powiedzieć to Amy. Kochanie, to tylko zwykła pomyłka. Niezwykle

częsty przypadek. Nie ma o co kruszyć kopii. Tak, bracie, myślę, że to kupi i będzie zachwycona.

Matt spogląda na mnie z ukosa.

— Wiesz, naprawdę musisz się nauczyć ukierunkowywać swoją agresję. Bo wyraźnie nie wychodzi ci ona na zdrowie.

—Co ty gadasz?

—Weź głęboki oddech — radzi Matt.

—Co?

—Wyluzuj się. Uspokój. Daj się na chwilę unieść nurtowi. No, nie. W tej chwili naprawdę nie jestem w nastroju na te

hippisowskie bzdury — szczególnie jeśli wypowiada je prawnik z City, który nie potrafi odróżnić soczewicy od luffy.

— Wyluzować się? — mówię gwałtownie. — Jak się, do kurwy nędzy, mogę wyluzować? Na miłość boską, właśnie rzuciła mnie dziewczyna!

Matt daje mi kilka chwil, żebym się uspokoił, po czym orzeka:

—Stary, nic nigdy nie jest takie tragiczne, jak się na pierwszy rzut oka wydaje.

—Możesz się wyrażać ściślej?

Ściąga w zamyśleniu wargi, wreszcie oznajmia:

—Obiektywizm. Musisz spojrzeć na to obiektywnie.

—Obiektywizm? — pryham.

—Uhm — kiwa głową. — No wiesz, to tak, jak patrzeć na swoje miasto z odległego wzgórza. Wydaje ci się wtedy zupełnie inne niż zwykle, a to tylko dlatego, że zwiększyłeś dzielący was dystans.

—Matt — mówię. — Naprawdę szczerze wątpię, żeby spoglądanie z jakiegoś pieprzonego wzgórza mogło cokolwiek pomóc.

Zniecierpliwiony przewraca oczami.

—Wysłuchaj mnie, dobrze?

—Słucham.

Matt zapala papierosa i zaciąga się kilka razy.

—Obiektywnie rzecz biorąc — zaczyna w końcu — miłość twojego życia już cię nie chce. Odkryła, że za jej plecami wypychasz swojego ku-

tasa innej dziewczynie do buzi. W rezultacie czego, a także w konsekwencji zatajenia przed nią tego faktu, uznała, że jesteś nic niewarta, beznadziejną kupą gówna i zasługujesz na smażenie się w ogniu piekielnym po wieki wieków. Dość powiedzieć, że nie chce cię już nigdy więcej oglądać na oczy.

—Dzięki, Matt — wtrącam się, zaczynając jednocześnie poważnie wątpić w jego umiejętności doradcze. — Dlaczego nie wręczysz mi prostu brzytwy i nie napuścisz do wanny wody?

—Dobra, zostawmy na razie obiektywizm—godzi się Matt. — Masz rację, obiektywnie rzecz biorąc, masz przesrane. Mimo to — dodaje po chwili — mogłoby być o wiele gorzej.

Po raz pierwszy mówi coś z sensem.

—Owszem — przyznaję mu rację. — Mógłbym, na ten przykład, znaleźć się na środku Sahary bez kropli wody. Albo zostać żywcem pożarty przez robaki. Albo jeszcze gorzej, zostałbym zmuszony do obejrzenia wszystkich odcinków *Dynastii*, jakie kiedykolwiek powstały. Poza tym jednak nie bardzo wiem, co gorszego mogłoby mnie jeszcze spotkać.

Matt świadomie ignoruje głęboki sarkazm mojej wypowiedzi.

—Stary, mówię poważnie. Żyjesz. Podobnie jak ona. Nieszczęścia chodzą po ludziach. W końcu każdemu z nas choć raz w życiu przydarzyło się coś niemiłego, mam rację?

—Nie, Matt — wchodzę mu w słowo. — Chyba jednak nie. Na przykład nie przypominam sobie, żeby ciebie spotkało coś podobnego. No, Matt, mam rację, prawda? Popraw mnie, jeśli się mylę, wcześniej jednak odpowiedz: czy kiedykolwiek rzuciła cię dziewczyna, w której byłeś zakochany?

—Nie.

—No właśnie, więc jak widzisz, nie każdemu się to przytrafia. Tylko niektórym. I to przyjmuję do wiadomości. Podobnie jak nie na tym polega mój problem.

—Na czym więc on polega?

—A na tym, że nie mnie się to powinno było przytrafić — odpowiadam burkliwie.

- — Niby czemu?

Obejmuję głowę rękami.

—Ponieważ ja jej zaufałem, stary. I tak naprawdę to nie daje mi spokoju. Całe moje życie okłamywałem kobiety, nie mówiłem im wszystkiego. Z nią było inaczej. Jej zaufałem i wyznałem prawdę. Powiedziałem prawdę, ponieważ ją kocham. I co mi to dało? Rzuciła mnie. Nawet nie pozwoliła mi niczego wytłumaczyć.

—Naprawdę uważasz, że coś by to zmieniło, gdyby wysłuchała twojej wersji? — pyta Matt.

—Tak — mamrocze — jestem o tym przekonany. Tylko co z tego? Cały dzień do niej wydzwaniam, ale ona nawet nie podnosi słuchawki.

Matt kładzie mi rękę na ramieniu.

— Może potrzebuje trochę czasu, żeby się uspokoić — podsuwa. — Daj jej trochę luzu. Uwierz mi — przekonuje mnie. — Nie może cię znienawidzić na zawsze. — Patrzy przed siebie. — Jak to mówią— dodaje—jeśli kogoś kochasz, daj mu wolność. Wróci: będzie twój na wieki. Nie wróci: znaczy, że i tak nic by z tego nie było.

Jak na Matta, było to niezwykle głębokie. Ja mogę tylko dojść do wniosku, że potrzeba będzie prawdziwego geniuszu, aby pomóc mi się z tego wykaraskać.

## **GRA W CZEKANIE**

— Wiem, że mnie słyszysz — mówię. — Tak, Amy Crosbie, mówię do ciebie.

Czekam kilka chwil na odpowiedź, lecz na próżno. Ale nie wycofuję się. Mam tu do spełnienia misję jako Partyzant Serca. A Partyzantów Serca pierwsze oznaki oporu nie mogą odstraszyć. Jesteśmy w pełni oddani, nie wiemy, co to strach. Rozkoszujemy się wyzwaniem, albowiem wiemy, że gdy nadejdzie w końcu zwycięstwo, smakować będzie dwakroć lepiej.

— Świetnie — wołam głośno. — Możesz się ukrywać, jeśli chcesz, ale ja nie odejdę. Słyszysz mnie, Amy? Nie cofnę się, nawet na milimetr. Będę tu stał tak długo, aż w końcu zejdziesz i pozwolisz mi wszystko wytłumaczyć.

Nadal bez odzewu.

Moja stanowczość ulega nagle osłabieniu. Przysuwam usta jak najbliższej domofonu i szepczę:

— Amy, proszę. Ja cię kocham. Kocham cię i to mnie zabija. — Znowu czekam, ale odpowiedź wciąż jest taka sama: cisza.

Po przeciwnej stronie ulicy na ławce siedzi stary mężczyzna. Widząc moje poczynania, z politowaniem przewraca oczami i pociąga łyk jabola z butelki. Wydaje się, że takie rzeczy nie raz już zdarzyło mu się oglądać. A co mnie to obchodzi. Mówię to, co naprawdę czuję: kocham ją. Ona jest tą dziewczyną. Moją wymarzoną. Której szukałem przez całe życie.

Odkąd wczoraj wieczorem wyznałem Mattowi, że ją kocham, o niczym innym nie potrafię myśleć — zupełnie jakby wypowiedzenie tego na głos uświadomiło mi, że tak dzieje się naprawdę. Nie boję się mówić o tym głośno, bo chcę, żeby dowiedzieli się wszyscy, a Amy przede wszystkim.

I dlatego właśnie znalazłem się tu, przed jej domem.

Minęła jedenasta trzydzieści niedzielного poranka, a ja stoję na stopniach prowadzących do jej drzwi wejściowych. Jestem tu od dziewiątej. Jeśli nie liczyć starucha na ławce, ulica świeci pustkami. Ponieważ chodniki po obu stronach są remontowane, nie ma nawet samochodów. Nade mną, współgrając z moim pogrzebowym nastrojem, po raz pierwszy od wielu tygodni niebo zaciągnęło się szarymi chmurami. Cofam się kilka kroków i zadzieram głowę do góry, ku ostatniemu piętru, gdzie znajduje się mieszkanie Amy.

Znikąd najmniejszego śladu jawnej agresji. Z żadnego okna na oblegających nie leje się wrzący olej. Nigdzie nie czają się łucznicy. Ale też nie zanoszą się na rychłe pojednanie. Na wietrze nie powiewa biała chusteczka. Nie widać wzywającej mnie smukłej dłoni, nie opuszcza się gru-

by warkocz Rapunzeli. Nawet żadne okno się nie otworzyło. Nie szkodzi, i tak wiem, że tam jest. Mogę czekać. Jeżeli życzeniem jej jest, abym rozbił tu obóz i rozpoczął regularne oblężenie, spełnię je co do joty. Jeżeli potrzebuje dowodu mojej miłości — proszę bardzo, oto on. A jeżeli go nie chce — cóż, i tak go dostanie.

Wracam do drzwi i przyciskam guzik domofonu. Brzęczy jak roz-wścieczona osa. Nie puszczam i wyobrażam sobie Amy wsłuchującą się w ponagląący dźwięk. Musi doprowadzać ją do szału. O to mi właśnie chodzi. Może to brutalne, ale co tam. Zależy mi tylko na tym, żebym mógł przedstawić jej moją wersję całej tej historii. Przecież na tym w końcu polega demokracja. Nie skazuje się ludzi bez procesu. Sprawiedliwość wymaga, żeby mnie wysłuchała. Wiem, że schrzaniłem sprawę. Ale przecież błędy zdarzają się każdemu, no nie? A ja ze swojego wy-ciągnąłem nauczki. Już nigdy więcej nie dopuszczę do podobnej sytuacji, jaka miała miejsce z McCullen. Nigdy też nie okłamię Amy ani jej nie oszukam. Muszę tylko mieć szansę — jedną jedyną — żeby powiedzieć jej, że ją kocham, że należę do niej i z nikim poza nią nie chcę być. Już nigdy.

Nadal żadnej odpowiedzi.

Głowa do góry. Jestem od niej znacznie lepiej przygotowany na taki rozwój sytuacji. Przede wszystkim, jedzenie. Co ona będzie jadła? Znam ją. Spizarnia pełna zapasów nigdy nie była jej mocną stroną. Te dwa kartony długoterminowego mleka i tubka humusu, którego termin ważności skończył się chyba w zeszłym roku, na długo jej nie wystarczą. Poza tym jest jeszcze jej nowa praca. Przecież nie zrezygnuje z niej tylko po to, żeby uniknąć spotkania ze mną. Zbyt wiele dla niej znaczy. Nie, nie może się wiecznie ukrywać. Szybko się zmęczy, wpuści mnie albo w najgorszym razie sama zejdzie na dół i wysłucha wszystkiego, co mam jej do powiedzenia. Logika podpowiada, że przewaga jest zdecydowanie po mojej stronie. Zważywszy zwłaszcza na wysiłek, jaki włożyłem w przygotowania. Jako chwilowy specjalista od oblężeń, mam ze sobą podstawowy Zestaw Podtrzymania Związku:

a) Dwie różowe róże (zgoda, już trochę zwiędnięte, ale o jakim potencjale romantyzmu!).

b) Żywność: rodzinny zestaw kurczaka na zimno (poza tym w całodobowym sklepie przy stacji benzynowej nie było nic), ciasteczko miętowe (standardowe wyposażenie wojskowe) i dwie paczki smażonych orzeszków (bogate w proteiny).

c) Napoje: dwie puszki Toxoshocku (izotoniczny napój energetyzujący, zawierający kofeinę), plus jeden karton nutro-skake'ów (o smaku truskawkowym).

d) Ubiór: dżinsy i T-shirt (jedno i drugie Matta), buty trapery (idealne na trudny teren).

e) Inne: dwie paczki marlboro (light), jedna zapalniczka sztormowa (na benzynę).

Nie biorąc pod uwagę ubrania — spoglądam na niebo: zdecydowanie się zachmurzyło — jestem przekonany, że mogę utrzymać się na placówce przez długie godziny, jeśli nie dni. Innymi słowy, Amy, która nie zdoła skonstruować sznura z prześcieradeł i innych posiadanych w domu rzeczy i spuścić się po nim z dachu, szanse na ucieczkę ma raczej nikłe. Czyje się to podoba, czy nie, postawię na swoim.

Z pożegnalnym: — Wciąż tu jestem — puszczam przycisk domofonu i przysiadam na schodach. Czuję, że coś ląduje mi na twarzy. Spoglądam w górę i orientuję się, że właśnie zaczęło padać.

Przysuwam się bliżej drzwi i z plecaka wyciągam zestaw z kurczakiem. Chwilę przeżuвам kęs, ale raczej bez entuzjazmu, w końcu postanawiam zastąpić jedzenie papierosem. Gdzieś w oddali zaczynają bić dzwony kościelne, wzywając wiernych na poranną mszę.

Zmówcie i za mnie krótką modlitwę.

Zeszłej nocy nie spałem. Nawet nie zmrużyłem oka. Po prostu leżałem i patrzyłem, jak wskazówki na tarczy Tlustego Psa wolno suną do przodu. Nie muszę chyba mówić, że nie spałem z powodu Amy. A może raczej z powodu braku jej przy mnie. Ponieważ, co chyba oczywiste, nie było jej. A nie było jej dlatego, że mnie nienawidzi. Uważa za ostatnie-



go kutasa. Czemu niby miałyby być inaczej? Gdybym znalazł się na jej miejscu, myślałbym zapewne dokładnie tak samo. Psychologia odwrotności. Jakbym ja się czuł, gdyby ona powiedziała mi, że jakiś facet się na nią spuścił? Byłbym zły? Zazdrosny? Zdegustowany? Wszystko naraz. A przede wszystkim, zdradzony. Tyle tylko, że ja Amy nie zdradziłem. Nie chciałem jej skrzywdzić. Po prostu schrzaniłem sprawę. Przyznałem: postąpiłem źle. Co wcale nie poprawiło mi samopoczucia. Wręcz przeciwnie. Gdy tak leżałem, nie mogąc się nawet przytulić do poduszki — wciąż jeszcze śmierdziała McCullen — czułem się po prostu jak wypatroszony. Zmiażdżony. Przepuszczony przez maszynkę. Jakby ktoś żywcem rozerwał mi serce na dwoje.

Nawet mój wacek miał zepsuty humor. A to do niego raczej niepodobne. Obojętnie, koniunktura dobra czy zła (z wyjątkiem incydentu z Ellą Trent), on zawsze był w kondycji idealnej. Nigdy bym nie przypuścił, że może mnie w taki sposób zawieść. A mimo to leżał sflaczały pomiędzy moimi nogami, niczym zahibernowany stwór. Gdyby potrafił mówić, zapewne odbylibyśmy mniej więcej taką rozmowę:

Jack: Co się dzieje?

Wacek: Nic się nie dzieje. W tym cała rzecz. Jack: Jaka rzecz? Wacek: No właśnie.

Jack: Masz ochotę o tym pogadać?

Wacek: Nie mam ochoty na nic. Jestem zupełnie odrętwiały. Jack: Chodzi zapewne o Amy?

Wacek: Chyba nie sądzisz, że o McCullen? Zwłaszcza nie po tym żalnym wypadku z obciążaniem.

Jack: Nawet tego nie pamiętam. Było aż tak źle?

Wacek: Ujmijmy to w ten sposób: jeśli o obciążanie chodzi, było tragicznie — i nie mówię tego przez grzeczność. Właśnie się szykowałem do naprawdę mocnego, erotycznego snu. Snu jak marzenie. Siedzimy sobie — ty i ja — w saunie, wokoło kłębi się para, aż tu nagle pojawia się Amy w szkolnym mundurku...

Jack: Szkolnym mundurku? Przecież nawet nie wiem, jak on wyglądał.

Wacek: Licentia dramática. Odczep się. Jack: Rozumiem. I co było dalej?

Wacek: Zjawia się cholerna McCullen. Wkracza do akcji, nie czeka, aż Amy sobie pójdzie, tylko brutalnie ją odpycha i sama bierze się do roboty.

Jack: Tak strasznie to nie brzmi. Jak na marzenia senne, rzecz jasna.

Wacek: No właśnie, tu wychodzi cała twoja indolencja. Uwierz profesjonalście na słowo, Jack. Jeżeli ktoś się przyzwyczaił jeździć na co dzień rolls-royce'em, nie może być zadowolony, przesiadając się do mini. Ale nawet mimo to postanowiłem nie grymasić. „W porządku — pomyślałem — trzeba brać, co dają”. Ale — och, nie — to także ci nie odpowiadało. Nie wystarczyło ci, że wpuściłeś mnie w kanał z niewłaściwą dziewczyną. Nie, ty musiałeś posunąć się dalej. Kiedy wszystko znowu zaczynało nabierać kolorów, ty się wycofałeś. Wycofałeś się, Jack. To jest chore! Takie... nieprofesjonalne!

Jack: Wacek, spróbuj mi wybaczyć. To się już więcej nie powtórzy. Czy nie możemy znowu być przyjaciółmi, jak za starych dobrych czasów?

Wacek: Za starych dobrych czasów. O, tak, pamiętam je. Tylko ty, ja, butelka oliwki dla niemowląt i numer „Hustlera”. Nie zapominajmy też o jednorazowych numerkach, którymi mnie częstowałeś. Szybkie lądowanie w trójwymiarowym rajku, tylko po to, by już następnego ranka mnie go pozbawić. Rzeczywiście

dobrze czasy. Niemniej jednak wybac mi, że nie skaczę z radości, mając znowu taką perspektywę. Jack: Przecież już przeprosiłem.

Wacek: Wiem, wiem. Chodzi o to, że mi jej brakuje, Jack. Pasowała mi, wiesz? Dobrze się z nią czułem.

Musiałem przyznać, że po raz pierwszy w życiu mój wacek miał absolutną rację.

Zacząłem się zastanawiać nad radą, której udzielił mi Matt. O tym, że powinienem dać Amy trochę luzu. Tyle tylko, że wcale nie mam ochoty dawać jej luzu; ja chcę być przy niej cały czas. Mówił też jakieś bzdury, że jak się kogoś kocha, to powinno mu się zwrócić wolność. Świetnie,

pomysł nad wyraz słuszny, który jednak rozważyć mogę wyłącznie na gruncie teoretycznym. Mógłbym go zastosować w praktyce, ale w odniesieniu do ptaszków albo tygrysa. Rzecz jednak dotyczyła nie ulubionych zwierzków, lecz Amy. Kobiety, którą — jak właśnie zdałem sobie sprawę — kocham. I z mojego punktu widzenia, może bym się nawet zdecydował zwrócić jej wolność, ale dopiero po zapoznaniu jej z faktami. Podjęta przez nią decyzja była zdecydowanie jednostronna. A ja musiałem teraz przywrócić zasady demokracji. Jakiż bowiem sens w zwracaniu jej wolności, skoro nie miała nawet pojęcia, że pragnę tylko, aby do mnie wróciła? Mogłaby się bujać na wolności, co jednak dobrego by dla nas z tego wynikło? Ona straciłaby dom, ja pozostałbym w nim samotny. Podwójna tragedia. Nie chcę, żeby odzyskała wolność. Chcę, żeby wróciła. A skoro to oznacza, że muszę o nią walczyć — cóż, trudno. Będę walczył. Całe dziesięć rund. Jak Muhammad Ali. Jak motylek. Albo pszczołka.

Albo siedząc pod jej drzwiami.

W strugach deszczu.

Zamorzony głodem i przemarznięty.

Kulę się i zamykam oczy.

Kiedy się budzę, jest już piętnaście po trzeciej. W ustach mi zaschło, jakbym najadł się kleju do tapet. Kiedy jeszcze pracowałem w ProPixel, miałem okazję zapoznać się ze składnikami różnych produktów spożywczych, mogę więc spokojnie założyć, że uczucie to jest skutkiem ubocznym spożycia kurczaka z zestawu rodzinnego, którym się wcześniej posiliłem.

Z trudem wstaję i dłuższą chwilę staram się rozprostować nogi i uwolnić od skurczu, który mnie chwycił. Spoglądam na niebo, teraz już bezchmurne. Najwyraźniej czarne chmury znalazły schronienie w mojej głowie.

Obracam się i naciskam dzwonek domofonu. Amy jednak niezmiennie ignoruje jego dźwięk. Spoglądam na drugą stronę ulicy. Nic się nie zmieniło. Staruch, podobnie jak chodnikowe płyty i narzędzia, wciąż tkwi w tym samym miejscu. Twarz rozciąga mi się w pełnym nostalgii

uśmiechu, bo przypominają mi się wakacje, podczas których jako student pracowałem w ekipie drogowców. Kładliśmy kable telewizyjne i, podobnie jak tutaj, musieliśmy rozkopać drogę, ułożyć przewody, naprawić nawierzchnię i na nowo wymalować na niej pasy. Nagle przychodzi mi do głowy pomysł, od którego mój uśmiech staje się jeszcze szerszy.

— W porządku, Amy! — krzyczę do domofonu. — Chcesz grać ostro? No to patrz.

Przechodzę przez ulicę. Staruch, widząc, że ospały dotąd towarzysz zaczyna działać, odstawia butelkę i saltuje mi. Odwzajemniam się podobnym gestem, przecież faceci na całym świecie reagują tak samo. Zamierzam właśnie wydać niezmiernie ważne oświadczenie. Będę romantyczny, ale jednocześnie na luzie. Tego gestu pozazdrościłby mi każdy facet, żalując, że jemu na podobny zabrakło jaj.

Złamanie zabezpieczeń maszyny do malowania pasów zajmuje mi ledwie chwilę — wystarczy parę ciosów znalezionym w namiocie robotników łomem i pojazd jest mój. Opuszczam rączkę i robię na próbę kilka kroków. W porządku, jest uzbrojona: na asfalcie pojawiła się półmetrowej długości biała linia. Biorę się więc do dzieła: zaczynam wypisywać przesłanie, które, mam nadzieję, Amy przeczyta, gdy tylko wyjrzy przez okno. W grę wchodzi kilka wersji:

- a) Amy + Jack = WM (zbyt szczeniackie).
- b) Kocham cię (zbyt oczywiste).
- c) Przyjmij mnie z powrotem (zbyt cikliwe).

Mój wybór pada jednak na klasykę — kwestia, której nie powstydziliby się sam Cyrano de Bergerac. Pracowicie manipulując maszyną, litera po literze maluję na ulicy napis. Nie jest to łatwe. Maszyna przeznaczona jest do malowania linii prostych, muszę więc ciągle ją przestawiać. Ale powoduje mną miłość, a dla niej nie ma rzeczy za trudnych. Po upływie dwudziestu minut napis jest gotowy. Utrafiłem w sam raz, bo z

ostatnią literą w maszynie skończyła się farba. Ale napis jest czytelny, a przecież o nic więcej nie chodziło.

Odstawiam maszynę na miejsce. Wracam pod dom Amy i napawam się swoim dziełem. Wygląda dobrze. Co tam, dobrze. Wygląda wspaniale. Śmiało mogę powiedzieć, choć sam tego dokonałem, że zasługuje na miano dzieła sztuki. I nie tylko ja jestem pod wrażeniem. Podziało też na starucha. Kątem oka widzę, jak wstaje ze swojej ławki — chyba po raz pierwszy dzisiaj — robi kilka kroków, przystaje i wolno przesuwając głowę od lewej do prawej, przyglądając się memu arcydziełu. Potem podąża w moją stronę. Jak pszczoła do kwiatu. Widzi piękno mego tworu. Ale nie chce być zbyt ostentacyjny. Z obojętnym wyrazem twarzy spokojnie czekam na peany publiczności.

—W porządku, stary — oświadcza i wyciąga do mnie rękę.

— Jestem Clifford.

— Witaj, Clifford. — Wymieniam z nim uścisk dłoni. — I co o tym myślisz?

Clifford chwilę spogląda na ulicę w milczeniu. Rozumiem go; niełatwo spokojnie przejść koło czynu tak ambitnego. Otwiera usta, by przemówić, a mnie zawczasu przepelnia uczucie dumy.

Ciekawe, jak to wyrazi? Jakich słów użyje, by wyrazić emocjonalny wstrząs, jakiego doświadczył, czytając to krótkie i proste wyznanie?

Takich mianowicie:

— Pracujesz w mleczarni, synu?

Patrzę na niego. Potem przenoszę wzrok na opróżnioną do połowy butelkę jabola, którą trzyma w ręce. I znowu patrzę na niego. Wreszcie uśmiecham się, dając mu do zrozumienia, że podzielam jego spojrzenie na świat — choć osobiście szczerze w to wątpię.

— W mleczarni? — powtarzam za nim. — Nie, Clifford, nie pracuję w mleczarni.

Taksuje mnie spojrzeniem od stóp do głów i próbuje znowu.

—W takim razie w zakładach tłuszczowych?

—Dlaczego tak sądzisz? — pytam.

—Bo to, co tu wypisałeś, synu — tłumaczy — wygląda jak reklama, no nie? — Pociąga spory łyk z butelki. — Ser i tak dalej. Jeśli nie mleczarnia, to zostają tylko zakłady tłuszczowe.

—Doprawdy — mówię wielkodusznie. Nie oszukujmy się, w chwilach tak wzniosłych nie wypada się z nikogo wyśmiewać.

—Jasna sprawa, synu. Brzmi nieźle — zauważa, po czym dodaje: — Gdybym kupował w mleczarni i zobaczył taką reklamę, zaraz bym się przeniósł do zakładów tłuszczowych, słowo.

— O czym ty, do diabła, mówisz? — nie wytrzymuję. Patrzy na mnie jak na wariata.

— Przeczytaj sobie — ponagla i pokazuje palcem jezdnię.— O, tam. Podążam wzrokiem za jego ręką, ale dalej nie wiem, o co chodzi.

— Nie kumam. Clifford kręci głową.

— Przecież to musi być reklama. Inaczej nie ma sensu.

Dotąd byłem przekonany, że Clifford ma kłopoty z czytaniem. Im dłużej jednak spoglądam na litery, które z takim mozolem wypisałem na ulicy, tym bardziej dochodzę do wniosku, że chyba jednak nie ma. Wręcz przeciwnie. To nie Clifford ma kłopoty z czytaniem, tylko ja. Choć chyba nie z czytaniem, a raczej z pisaniem. Ponieważ gdy patrzę na swoje dzieło, oto, CO widzę:

CAŁYM SEREM NALEŻĘ DO CIEBIE Nie zaś: CAŁYM SERCEM NALEŻĘ DO CIEBIE. Gdzie podziało się wspaniałe wyznanie? To, co napisałem, pozbawione jest jakiegokolwiek sensu. W pierwszej chwili chce mi się śmiać. Przecież to niemożliwe. Jak mogłem pomylić się w takim słowie, pomijając jedną literę? Szybko jednak zapominam o wesołości. Clifford ma rację — to, co napisałem, rzeczywiście wygląda jak niezbyt udane hasło reklamowe mleczarni. Rzucam się do feralnego słowa, staram się zatrzeć je podeszwami butów; nic z tego. Próbuje raz jeszcze; nic nie psuje idealnie gładkiej bieli. Padam na czworaki i usiłuję dokonać zniszczenia rękami; także na darmo. A w maszynie nie została ani kropla farby.

Długą chwilę stoję jak skamieniały. Doprawdy trudno mi pojąć, jak mogłem spreparować podobnego gnioł. Potem obracam się do Clifforda i pytam:

— Mogę się napić? — Nie czekając na odpowiedź, wrywam mu z ręki jabola i wypijam do dna.

## REZYGNACJA

Poniedziałek mija we mgle wywołanej psychicznym i fizycznym wycieńczeniem po wydarzeniach weekendu. Większość czasu spędzam w łóżku, po części śpiąc, po części wpatrując się tępo w sufit i słuchając kompaktów. Nie golę się. Nie myję. Nie przebieram. Staram się nie myśleć o niczym. Gniję w samotności i ciszy, do pełnej degrengolady brakuje tylko, żebym zaczął się załatwiać pod siebie. Matt wyjechał w interesach, tym samym więc mój kontakt ze światem zewnętrznym ograniczony został do zera. Nie przeszkadza mi to jednak. Pragnę tylko, aby dni mijały tworząc pomiędzy mną a Amy coraz większy bufor, gdyż jest to jedyny sposób na stopniowe łagodzenie bólu, jaki wciąż jeszcze mnie dręczy.

We wtorek po południu żołądek domaga się należytej sobie daniny, zmuszając mnie do chwilowego wyjścia ze stanu pogłębiającego się nihilizmu. Zamawiam przez telefon pizzę. Przeżuwam ją powoli, kiedy nagle dociera do mnie, że może podchodzę do problemu w sposób błędny. Przecież pogrążanie się w rozpacz nie doprowadzi mnie donikąd. Kto powiedział, że chociaż niezbyt udane malowidło drogowe pod oknami Amy zmusiło mnie do odwrotu, każda inna próba odzyskania jej ma się równie nieszczęśliwie zakończyć? Na miłość boską, przecież prawie mi się udało. Ledwie jednej litery zabrakło. O tym muszę pamiętać. Nie o tym, jakim jestem nieudacznikiem, ale jak bliski byłem sukce-

su. Teraz potrzebny mi jest nowy plan. Nowe podejście. Biorę butelkę wódki i wracam do swojego pokoju, żeby spokojnie wszystko przemyśleć.

Nadchodzi wieczór, a ja wciąż siedzę w swoim pokoju — od tej chwili znanym raczej jako twórcze schronienie. Mam już plan. Jest tak genialnie prosty, że dziw doprawdy, iż wcześniej na niego nie wpadłem, zwłaszcza że rozwiązanie miałem wciąż przed oczami.

Moja gitara.

Stoi oto, oparta o szafę, nie ruszana od ubiegłego roku, kiedy to wziąłem kilka lekcji gry na niej. Przecież to oczywiste. Napiszę piosenkę. Serenadę, która uświadomi jej, ile naprawdę dla mnie znaczy. Idzie mi świetnie. Znacznie lepiej, niż się mogłem spodziewać. Z początku mam trochę kłopotu z dobraniem właściwych słów, szybko jednak zaczynają żyć własnym życiem. Melodia zaś jest po prostu fantastyczna— zważywszy na to, że znam zaledwie trzy chwyt. Atmosfera panuje idealna: palą się kadzidelka, z głośników Elvis dodaje mi otuchy, całości dopełnia bandana, którą zawiązałem sobie na głowie à la Springsteen.

Dochodzi jedenasta, a ja gotowy jestem do prawykonania. Odstawiam na wół wypitą butelkę na podłogę, żeby jej, broń Boże, nie potracić, biorę gitarę i stojąc w progu, zapowiadam.

— A teraz, proszę państwa, na żywo z Hollywood Bowl z dumą przedstawiamy jednego, jedyne go Jaaaackieeee Rossltera.

Przechodzę przez pokój i wskakuję na środek estrady mieszczącej się na łóżku.

—Zaśpiewam teraz kawałek — mówię z najlepszym akcentem Południowca, na jaki mnie stać. — Napisałem go dla jednej znajomej damy. Ma na imię Amy i bardzo ją kocham. — Dłonią przecieram czoło. — Zatytułowałem go *Myślę, że się chyba wścieknę*.

Kilka razy uderzam w struny i zaczynam:

*Myślę, że się chyba wścieknę,*

*Moje życie bez ciebie stało się piekłem.*

*Tak za tobą tęsknię,*



*Że mi zaraz serce pęknie.*

Teraz wchodzi chórek składający się z trzech kręcących biodrami kowbojek:

*Myślę, że on się chyba wścieknie,  
Bo odkąd odeszłaś, jego życie jest piekłem.  
To chyba nic trudnego  
Wrócić do Jacka twojego?*

Druga zwrotka. Naprawdę się rozkręcam.

*Myślę, że się chyba wścieknę,  
Nie widzę niczego wkoło poza piekłem.  
Uratuj mą duszę zgubioną,  
Ogniem rozłaki wypaloną.*

Do drugiego refrenu nie udaje mi się dojść, bo nagle słyszę: — Co ty, do ciężkiej cholery, wyprawiasz? Podnoszę wzrok i widzę stojącego w drzwiach Matta, na którego twarzy maluje się wyraz bezgranicznego zdumienia.

—Śpiewam — odpowiadam. — A co myślałeś? Chwilę się zastanawia, wreszcie stwierdza:

—Że chyba nadajesz się do leczenia zamkniętego.

—Masz prawo do swobodnego wyrażania opinii. Powoli rozgląda się po pokoju.

—Sądząc po wystroju, nie pogodziliście się.

—Słuszna uwaga.

—Pora więc spojrzeć prawdzie w oczy, Jack: już się nie pogodzicie.

—Potrząsa głową. — To koniec. Pogódź się z tym.

—Żaden koniec.

—Jutro będzie koniec.

—Co takiego?

—Jutro — informuje mnie. — Jutro skończy się to całe gównno. Koniec z pogrzebowymi pieśniami. Koniec z nienawiścią do samego siebie. — Jego wzrok pada na butelkę z wódką, potem na mnie. Nawet nie stara się ukryć obrzydzenia. — Koniec z zalewaniem się w trupa. Koniec z tym wszystkim, rozumiesz? —Milczę.—Uwierz mi, bracie—ostrzega mnie. — Tak właśnie będzie.

Z tymi słowami wychodzi, zatraskując za sobą drzwi. Chwilę za nim spoglądam, po czym uderzam w gitarę i zaczynam tam, gdzie mi przerwano. Nie mam pojęcia, która jest, gdy wreszcie padam, za to budzi mnie potężny kac i dochodzący z oddali głos Matta:

— Radiohead... Nick Cave i Bad Seeds... Portishead... Bob Dylan... Nick Drake... A to co, Smurfy? Nie, na szczęście nie. A to, czyżbym miał przed sobą zbiór kołęd w wykonaniu Chóru Młodzieżowego Kościoła pod wezwaniem Świętego Jerzego? Nie, znowu się pomyliłem. — Na sekundę otwieram oczy. Widzę światło i Matta, który kucając na podłodze, ogląda kompakt, których przez ostatnie dni słuchałem. — Na razie jednak — stwierdza na koniec — wszystko wskazuje na to, że mam do czynienia z rozczulającym się nad sobą, żalonym pijaczyną. — Klaszcze głośno w dłonie. — Ale szybko go wyprostuję. Wstawaj.

Pokój zalewa jaskrawe słoneczne światło. Otwieram oczy i widzę stojącego przy oknie Matta. Unoszę głowę i spoglądam na Tłustego Psa. Jest środa rano, godzina ósma. Z jękiem chowam głowę pod kołdrę.

— Nie żartuję — powtarza Matt i ściąga ze mnie okrycie. — Tak jak ci wczoraj powiedziałem, dzisiaj kończymy z tym gównem.

Dopiero teraz reaguję. Chwytam uciekający róg kołdry i usiłuję ją naciągnąć na siebie z powrotem. Z Mattem jednak nie mam szans.

—Odpierdol się — odparowuję i chowam twarz w poduszkę.

— Czarujące. — Przez chwilę panuje cisza, po czym znowu rozlega się głos Matta. — Możemy to załatwić w dwojaki sposób: albo prosto i bez komplikacji, albo na udry. To znaczy, że albo wstaniesz sam, albo ja cię do tego zmuszę. — Czeka na odpowiedź. Nic z tego, nie dam mu satysfakcji. — Świetnie — stwierdza. — Pójdziemy na udry.

Słyszę, że wychodzi z pokoju, i zaczynam się lekko niepokoić. Wiem, jaki potrafi być, kiedy coś sobie postanowi. Konsekwentnie i skutecznie dąży do celu. Zaraz jednak się uspokajam. Jeśli nie wróci tu z naładowanym pistoletem, to guzik może zrobić, żeby mnie do czegokolwiek zmusić. A do tego się przecież nie posunie, bo jako prawnik ma zbyt wiele do stracenia. Nie ma o czym mówić, blefuje i tyle. Nagle jednak przypominam sobie o bliźnie na czole, którą mam od czasu, jak postrzelił mnie z kapiszonowca, kiedy byliśmy dziećmi. Niestety jednak, nie dał mi czasu, żeby dłużej się nad tym zastanowić.

Woda, która na mnie ląduje, nie dość, że jest lodowata, to jeszcze w ilościach niewyobrażalnych. Pewnie bym wrzasnął, jednak zetknięcie z nią było dla mojego ciała takim szokiem, że całe powietrze uszło mi z płuc.

—Ty kupo gówna—warczę i rzucam się na niego. — Jestem cały mokry.

—Wcale mnie to nie dziwi — oświadcza Matt i niedbale kołysze pustym już teraz, plastikowym wiadrem.

Siadam, a po twarzy ścieka mi woda z włosów. Koszulka i džinsy, których nie zdejmowałem od soboty, są kompletnie przemoczone.

—Pewnie myślisz, że to strasznie zabawne? — Spoglądam na niego spode łba.

—Kawa — oznajmia, skinieniem głowy wskazując stolik przy łóżku. Niechętnie pociągam jeden łyk.

—Proszę bardzo — mówię. — Zadowolony?

—Nie o moje zadowolenie tu chodzi — zauważa. W milczeniu przygląda się, jak wypijam kawę do końca.—A teraz wstawaj — rozkazuje.

—Co?

Mruży oczy. — Rób, co mówię, Jack. Nie mogę się z tobą cackać przez cały dzień. Za godzinę muszę być w biurze.

Ponieważ wiem, że nie popuści, póki nie dostanie, czego chce, zrezygnowany wstaję.

—Popatrz, do jakiego się doprowadziłeś stanu — mówi.

Dostrzegam swoje odbicie w lustrze za jego plecami. Przyznaję, nie najpiękniejszy to widok. Przy szyi koszulka jest szara od potu i brudu. Paznokcie mam czarne, zupełnie jakbym gołymi rękami grzebał w ziemi. A to, co mam przyklejone do czoła, wygląda jak pepperoni, choć nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością. Ale tak naprawdę przerażają mnie własne oczy. Wyglądają, jakby jakiś szalony dzieciak pokolorował mi całe białka czerwoną kredką. Chociaż chyba nawet największy przygłup dwa razy by się zastanowił, zanim odważyłby się do mnie zbliżyć. Prędzej zawiadomiłby policję, że na wolności przebywa maniak morderca.

— Wyglądasz paskudnie — ocenia Matt, taksując mnie z góry do dołu pełnym obrzydzenia spojrzeniem. — Istne szkaradzieństwo. — Patrzy mi w oczy. — Brzydę się, że mieszkam z tobą pod jednym dachem. Czy masz coś do powiedzenia na swoją obronę?

Spuszczam wzrok i wbijam go we własne stopy.

—Niech ci będzie — bełkoczę. — Może rzeczywiście nie wyglądam w tej chwili najlepiej.

—Nie wyglądasz najlepiej! Ty nawet nie wyglądasz najgorzej. Wyglądasz tak, że nawet twój najgorszy wygląd skrzywiłby się na twój widok z obrzydzeniem.

— Dobra — pryham wściekle. — Wyglądam tragicznie.

—Tak lepiej — jest wyraźnie zadowolony. — Skoro wiesz już, że masz problem, istnieje szansa, że dojdiesz do siebie. A teraz powtarzaj za mną: nazywam się Jack Rossiter.

—Co ty... — zaczynam, ale ostrzegawczy błysk w jego oczach natychmiast przywołuje mnie do porządku. Przypominam sobie, że ten człowiek to bestia, zdolna do wszystkiego. — Nazywam się Jack Rossiter — powtarzam posłusznie, starając się jednak, aby mój głos zdradzał jak największe znudzenie.

Nie zwraca na to uwagi.

— Jestem człowiekiem — ciągnie dalej.

— Jestem człowiekiem — nie rezygnuję z tonu znudzonego robota.

—Jestem człowiekiem silnym i niezależnym —• mówi Matt.

—Jestem człowiekiem silnym i niezależnym.

—Kobieta nie jest mi potrzebna do samookreślenia.

—Kobieta nie jest mi potrzebna do samookreślenia.

—Bez niej też potrafię być szczęśliwy.

—Bez niej też potrafię być szczęśliwy.

— Jestem nie tylko człowiekiem, ale na dodatek bardzo brudnym człowiekiem.

Stwierdzam, że po raz pierwszy od wielu dni uśmiecham się.

— Jestem nie tylko człowiekiem, ale na dodatek bardzo brudnym człowiekiem — udaje mi się powtórzyć.

—I muszę się wykapać.

—I muszę się wykapać.

—I zmienić bieliznę.

—I zmienić bieliznę.

—Ponieważ cuchnę.

Tego już nie udaje mi się powtórzyć; za bardzo się śmieję. Matt wyciąga z kieszeni kostkę mydła i wciska mi do ręki. Następnie kieruje mnie w stronę drzwi i palcem pokazuje w głąb \ korytarza, gdzie znajduje się łazienka.

Później, gdy już wykąpany wycieram się ręcznikiem, zagłada przez drzwi.

—Wróć koło szóstej — informuje mnie. — I jeśli przyłapię cię, jak bawisz się w nieślubne dziecko Bon Joviego, Bóg mi świadkiem, roztrzaskam gitarę o twój tyłek.

—Nie martw się — uspokajam go. — Duch Hendriksa nie powstanie więcej.

Kiwa głową. — Aha, jeszcze jedno.

— Co takiego?

— Wczoraj dzwoniła Chloe. Dzisiaj o ósmej czeka na ciebie z kolacją. — Puszczą do mnie oko.—To także należy do twojego programu rehabilitacyjnego, więc się nie spóźnij.

Przez resztę dnia sprzątam pokój, a po południu postanawiam dokończyć *Studium w żółci*. Poranna sesja z Mattem okazała się na tyle skuteczna, że powstrzymałem chęć zamalowania go na czarno. Niestety, nie mogę uznać terapii za zakończoną. Nieustannie powracają myśli o McCullen. To chyba pobyt w atelier tak na mnie działa. Cały czas czuję, jak obserwuje mnie ze swojego portretu, który wcisnąłem w kąt. W końcu dochodzę do wniosku, że co za dużo, to niezdrowo, przechodzę przez pokój i wyciągam go. Otwieram drzwi do ogrodu i wychodzę.

Po chwili płonące płótno i farby zaczynają wydzielać przemiłą kombinację zapachów. Ani trochę mi nie żal. Zbyt dużo krył w sobie wspomnień. I to nie tylko tego, co zaszło pomiędzy McCullen i mną w noc poprzedzającą wakacje. Zbyt dużo wspomnień o mnie. I o tym, kim byłem. Był świadkiem wszystkich naszych rozmów. Moich knowań i manipulacji. Na nic się one nie zdały wtedy, a i teraz niewiele są warte, bo cały ten mój donżu-anizm nie pomógł mi zdobyć jedynej rzeczy, na której naprawdę mi zależy: przebaczenia Amy lub raczej jej samej. Ona już podjęła decyzję, i to nieodwracalną, z czym muszę się pogodzić. Nie zmuszę jej do zmiany zdania. Tylko taki głupiec jak ja mógł myśleć inaczej. Patrząc, jak płótno kurczy się, zwija i wreszcie przemienia w popiół. Wtedy odwracam się i idę do środka.

U Chloe zjawiam się punktualnie o ósmej.

—Matt nie żartował — mówi na mój widok.

—Na jaki temat?

—Na twój, moje biedactwo. Wyglądasz koszmarnie.

Na tyle zdały się moje kąpiele i golenie. Zdobywam się na słaby uśmiech.

—Dzięki — mówię i taksuję ją wzrokiem. — Ty za to wyglądasz wspaniale. — To prawda. Rzekłbym, olśniewająco nawet, w czymś krótkim i obcisłym. Chociaż w stanie, w jakim się aktualnie znajduję, nie robi to na mnie zbyt wielkiego wrażenia.

—Chodź tutaj — co mówiąc, obejmuje mnie i mocno ściska. Dobrą chwilę stoimy tak przytuleni, potem bierze mnie za rękę i prowadzi do jadalni. — Mam nadzieję, że jesteś głodny. — Nalewa mi kieliszek wina. —Bo nagotowałam tyle, że i z dziesięć osób by się najadło.

Wychodzi do kuchni, a ja w tym czasie rozglądam się po pokoju. Nie przesadziła. Oceniając wysiłek, jaki włożyła w przygotowania, można by pomyśleć, że wydaje proszone przyjęcie. Na pięknie nakrytym stole połyskują eleganckie srebra, z głośników sączy się łagodna muzyka, palą się świece. Patrzę na swoją pomietą koszulę i wypłowiałe dzinsy i zaczynam mieć cholerne wyrzuty sumienia. Zaraz jednak się uspokajam: przecież to tylko Chloe. Mógłbym mieć na sobie habit zakonnicy i kowbojski kapelusz, a ją i tak guzik by to obeszło. Zjawia się po chwili z przystawkami i uśmiechem szerokim jak Wielki Kanion. I zaczyna mówić, nie milknąc nawet na sekundę. Przez cały posiłek zgrabnie omija temat Amy. Nawet mnie udaje się na chwilę zapomnieć. Kiedy jednak siedzimy już na kanapie i popijamy kawę, zmora powraca i popadam w ponure milczenie.

—Hej, stary — zagaduje Chloe. — Gdzie się podział Super--Jack?

—Zniknął. Wyjechał — wruszam ramionami. — Co najmniej na cały szabasowy rok.

—Kiedy ma zamiar wrócić?

— Sam chciałbym to wiedzieć — z trudem dobieram słowa. — Wszystko się pozmieniało. Wygląda na to, że wszystkie zasady przestały obowiązywać.

—To znaczy?

—Bo ja wiem? Kobiety. Wydawało mi się, że nie mają przede mną tajemnic, że je rozgryzłem.

—A teraz zmieniłeś zdanie?

—Nie. Ale nie potrafię się w tym znaleźć. — Opowiadam jej, jak to Amy nie odpowiada na moje telefony, o niedzielnej krucjacie. Nawet o tym, na czym ostatniej nocy przyłapał mnie Matt.

—Och, będą inne — zapewnia mnie. — Podobasz się dziewczynom. Na pewno kogoś sobie znajdziesz.

Zamykam na chwilę oczy, ale jedyny widok, jaki mi się pojawia, to obraz Amy płaczącej na skraju drogi.

—Nie chcę nikogo. Żadnej innej.

Chloe przewraca oczami i szturcha mnie w bok.

—Och, przestań dramatyzować. Takie jest życie. Dostajemy kopa, ale podnosimy się i zaczynamy od nowa. Tak to działa. — Kładzie swoją dłoń na mojej. —Będziesz musiał się z tym uporać, Jack — wzdycha. — Nie przyjdzie ci to łatwo, ale prędzej czy później okaże się to jedynym wyjściem.

—Och, Chloe, to takie trudne. Cholernie trudne. Głaszcze mnie po włosach.

— Wiem, kochanie — przyznaje.—Wiem dobrze. Ale jakoś sobie z tym poradzisz.

—Nie bardzo tylko wiem jak. Milczymy przez chwilę, potem ona dodaje:

—Jeśli chcesz, mogę ci pomóc.

Obracam się do niej. Jej twarz znajduje się tuż obok mojej.

—Jak?

Zbliża się jeszcze bardziej i szepcze:

—Na przykład tak. — I całuje mnie w usta.

— Przestań — ucinam i odsuwam ją od siebie. — Nie o to mi chodzi.

Chyba ją przekonałem. Prostuje się i nie patrząc na mnie, zapala papierosa.



— Przepraszam — mówi i obraca się do mnie. Wyraźnie się zaczerwieniła.

—Chloe, przecież jesteśmy przyjaciółmi — przypominam najłagodniej, jak potrafię. — Dobrymi przyjaciółmi. Ale nic poza tym.

—Wiem. Jestem głupia. Chyba za dużo wypiałam. — Jakby na dowód, wstaje, chwyta swój kieliszek i napełnia go po brzegi. — Jeszcze raz przepraszam.

—Nie ma sprawy — zapewniam ją szczerze. — To się nigdy nie wydarzyło.

—Tyją autentycznie kochasz, prawda? — pyta, gdy wypala papierosa do końca.

—Tak, naprawdę.

— W takim razie napisz do niej. Powiedz jej, co czujesz. Może to ci coś pomoże. Warto spróbować, skoro wszystko inne zawiodło.

—Tak zrobię.

—Obiecujesz?

—Obiecuję. Zrobię to jeszcze dzisiaj, a jutro wyślę. Chloe podchodzi, nachyla się i całuje mnie w policzek. Potem prostuje się i z uśmiechem kręci głową.

— Nieślubne dziecko Bon Joviego. Słowo daję, Jacku Ros-siter, co z ciebie za cholera?

Kiedy wracam, Matt jeszcze nie śpi, ale siedzi w kuchni i czyta gazetę.

— Wcześniej wróciłeś — zauważa. — Myślałem, że przegadacie całą noc.

Przysiadam na krawędzi stołu. Nie mam zamiaru opowiadać mu, co zaszło u Chloe. Sprawa uznana jest za niebyłą. Zresztą to i tak nie miałyby sensu. — Jestem wykończony.

— Zapewne przez to nocne koncertowanie?

Uśmiecham się do niego.—Wybacz. I dzięki za doprowadzenie mnie do stanu używalności. Przydał mi się porządny kopniak w tyłek.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Bacznie mi się przygląda. — Doszedłeś już do siebie?

Kiwam głową. — Tak. Nie, ale tak to bywa. Potrzebuję czasu.

— A tymczasem?

— Tymczasem?

— Tymczasem — oświadczają — zabawimy się.

— Zabawimy?

— Tak jest. Chyba jeszcze pamiętasz, co to znaczy? Gdzieś wyjdziemy. Pośmiejemy się. Może coś poderwiemy.

— Prawdę mówiąc, Matt, to ostatnia rzecz, na jaką mam w tej chwili ochotę.

— Nie mówiłem o tobie. Z taką gębą nie miałbyś szans nawet u Dzwonnika z Notre Dame. Mówiłem o sobie.

Wstaję i ziewam. — Wszystko jedno, stary. Pozwolisz, że przez jakiś czas nie będę ci towarzyszył.

— Nie ma sprawy. Daję ci czas do soboty. Ponieważ w sobotę wychodzisz. Razem ze mną. Ruszamy na knajpy, a ja postaram się ci przypomnieć, co to znaczy dobrze się zabawić.

Na górze siadam przy biurku z piórem w ręku. Przede mną leży kartka papieru. „Kochana Amy” — zaczynam. Patrę na arkusik. W porównaniu z tym, co chcę napisać, wydaje się taki malutki. Mimo to nie poddaję się. Lecz każda kolejna próba kończy się niepowodzeniem. Ponieważ nie wiem nawet, jak zacząć pisać o mojej miłości do niej, o tęsknocie ani jakimi słowami wytłumaczyć, co tamtej nocy naprawdę się wydarzyło. Jest jeszcze jedno: nie chcę tego kończyć. A ten list oznacza właśnie koniec. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Ja się poddaję. Cokolwiek się dalej wydarzy, zależy już tylko i wyłącznie od niej.

## AMY

— Jeżeli sądzisz, że uda ci się mnie wyciągnąć do jakiegoś klubu w sobotę, to jesteś w wielkim błędzie — powtarzam po raz ostatni.

H obejmuje ustami szyjkę butelki z piwem i z desperacją spogląda na mnie z drugiego krańca stołu.

— Nie będę dobrym kompanem. Nie jestem w nastroju do zabawy — tłumaczę dalej, jednocześnie kładąc resztkę kormy na kawałek chlebka i pakując to wszystko do ust.

Siedzimy na dywanie w moim pokoju, pomiędzy nami walają się pozostałości po indyjskim jedzeniu na wynos. H uparła się wcześniej, żebyśmy coś zjadły, bo według niej za bardzo schudłam po tragicznych wydarzeniach minionego tygodnia.

Nie miałabym nic przeciwko temu.

H głośno czka i odpina guzik w dzinsach.

—O czym dyskutowaliśmy przez ostatnią godzinę? — pyta, ale nie czeka, aż jej odpowiem. — O tym, że musisz żyć dalej. Nie możesz wiecznie tkwić zawieszona w próżni.

—Wcale nie tkwię — protestuję ze znużeniem. Opieram się o kanapę i wbijam wzrok w sufit.

—Otóż tu się mylisz. Cały boży czas spędzasz w pracy...

—Przecież to moja nowa praca! — przerywam jej.

—Bzdury! Po prostu unikasz w ten sposób myślenia o Jacku. Musisz się z tym jakoś uporać. A najbardziej pomaga w tym wyjście między ludzi i dobra zabawa. Patrz, wejście jest za darmo.

To jakiś nowy bar, z muzyką i tańcami. Musimy tam iść, bo zabawa na pewno będzie przednia.

Podciągam kolana pod brodę i obejmuję je rękami. H przez cały czas tokuje. Zaczyna mi się robić niedobrze. Być może dlatego, że właśnie pochłonęłam ilość jedzenia zdolną wykarmić całą populację Milton Keynes, choć możliwe też, że jest to kolejny atak mdłości, jaki odczuwam za każdym razem, gdy ktoś przy mnie wspomni o Jacku.

Nie mam do H pretensji za jej praktyczne podejście. To zrozumiałe, że tak usilnie namawia mnie do wyjścia. Przez cały ostatni tydzień gnęłam jak zapomniana resztką jedzenia pod kuchenką. Gdyby role się odmieniły i to H stała na krawędzi przepaści, zachowywałabym się tak samo jak ona w tej chwili. Też bym ją namawiała do utopienia wszystkich smutków. Ale dlaczego tak się uczepliła tego cholernego baru?

Wolę pożreć własną głowę.

Wiem, że jestem podła, ale H nie jest tak do końca altruistką. Po prostu Gav gdzieś wyjeżdża i H postanowiła nie dopuścić, żeby bawił się lepiej niż ona. Oznajmił niespodziewanie, że jego firma organizuje tygodniową wyjazdową imprezę dla pracowników. Ma to im pomóc lepiej się poznać i wzajemnie do siebie zbliżyć, H jednak podchodzi do tego nad wyraz sceptycznie. Twierdzi, że wycieczki rowerowe i rozgrywki w golfa są dla frajerów.

Ja myślę, że jest po prostu zazdrosna.

Skończyło się na tym, że kiedy wróciłam z WzPR (Wakacji z Piekła Rodem), H postanowiła zająć się wszystkim. Naprawdę uwielbiam ją ponad życie i cenię sobie jej pomoc, tym razem jednak wołałabym, żeby się ode mnie odczepiła i dała mi święty spokój. Wcale nie chcę poprawiać sobie nastroju. Wręcz przeciwnie, chciałabym umrzeć. Ona jednak nie przyjmuje tego do wiadomości.

Nie ma o niczym pojęcia.

Po pierwsze, skąd jej przyszło do głowy, że staram się nie myśleć o Jacku? Przecież ja przez cały tydzień nic innego nie robię, tylko o nim myślę. Prawdę mówiąc, wkurza mnie, że ani na ułamek sekundy nie mogę o nim zapomnieć. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy nie przydałaby mi się terapia elektrowstrząsowa.

Jest ze mną przez cały dzień, w nocy także mnie nie opuszcza. Próbowałam już wszystkiego, żeby się go pozbyć. Rzuciłam się na nową pracę niczym matador na szalejącego po arenie byka, żeby jednak wykonać najprostszą rzecz, muszę się maksymalnie koncentrować. Wystarczy chwila nieuwagi, a wszystko natychmiast wraca.

Jak w tej chwili.

—Och, kochanie — H wzdycha z rozpaczą. Nachyla się i ujmuje mnie za rękę. — Przestań.

—Przepraszam, ale nic nie mogę na to poradzić — mówię przez łzy, które znowu zaczynają mnie dławić. Skąd tyle ich się bierze? Bardzo chciałabym wiedzieć. Przecież to niemożliwe, żeby jeden człowiek nosił w sobie taką obfitość wody.

—Posłuchaj. Właśnie dlatego wszystko musimy zaplanować. Przecież nie możesz siedzieć tu i zapłakiwać się przez cały weekend.

—Mogę — szlocham, zupełnie już nad sobą nie panując.

—Zajechałaś już na śmierć *Winner Takes It All*. Pociągam głośno nosem.

—Lubię Abbę.

H robi do mnie krzywą minę.

—Powinnaś więcej wychodzić.

—Zamknij się.

Wzdycha hałaśliwie, co jest wyrazem głębokiej troski.

— Wiesz co, założę się, że Jack nie czuje się nawet w połowie taki nieszczęśliwy.

Znowu wkracza na wojenną ścieżkę. Zachowanie Jacka potraktowała jako osobistą zniewagę. Przestałam nawet żałować, że nie zdążyli się poznać. Gdyby, nie daj Boże, natknęła się na niego w miejscu publicznym, jestem pewna, że co najmniej by go zgarotowała. Już sobie wyobrażam artykuł w „Evening Standard:”

MEŹCZYŻNA ZAATAKOWANY  
W KOLEJCE DO KASY

Dzisiaj, w godzinach rannych dwudziestosiedmioletni rozpustnik, Jack Rossiter, został brutalnie pobity paczką mrożonego groszku w hipermarkecie Tesco. Pozbawiona jakichkolwiek wyrzutów sumienia Helen Marchmont z Brook Green zaprzeczyła, jakoby cierpiała na chwilową niepoczytalność. „Zasłużył sobie na to”, krzyczała do wstrząśniętych kupujących, gdy policja eskortowała ją na posterunek na Shepherd's Bush. Po trwającej dwie godziny operacji usunięcia mrożonych warzyw z ciała, Jack Rossiter został zwolniony ze szpitala. Lekarze obawiają się, że może utykać już do końca życia. Mimo to, pod wpływem słów panny Marchmont, rozwścieczony tłum, uzbrojony w różnego rodzaju warzywa, zebrał się w pobliżu miejsca schadzki kochliwego kawalera i trzeba było wzywać siły szybkiego reagowania...

Potakuję głową i wycieram nos, żeby jakoś uspokoić H. Zasłaniam twarz ręcznikiem kuchennym po części również dlatego, że nie chcę dopuścić, aby H zgadła, co tak naprawdę myślę. Ponieważ nie chcę się do tego przyznać, podobnie jak nie chcę jej powiedzieć, że Jack czuje się równie nieszczęśliwy jak ja—mogę się założyć o wszystko. A może nawet cierpi dziesięć razy mocniej. I mimo iż zranił mnie bardziej, niż sama przypuszczam, myśl, że on cierpi, unieszczęśliwia mnie jeszcze bardziej.

Wyzwolona kobieta lat pięćdziesiątych? Chyba nie do końca.

— Nie chcę rozmawiać o Jacku — oznajmiam. — Zostawmy to.

H jednak jeszcze nie skończyła.

—Jakoś nie skomli pod twoimi drzwiami i nie błaga cię o przebaczenie — zauważa.

—To prawda, ale...

—Kilka razy zadzwonił i potem co? Nic. Więcej nie próbował. Złamał ci serce i gównu go to obchodzi. Według mnie, szacunek należy się każdemu, a jego zachowanie z szacunkiem niewiele ma wspólnego.

Zwieszam głowę w milczeniu. Ma rację, ja nie mam żadnych argumentów, ale mimo to i wbrew sobie wciąż zajmuję pozycję obronną.

H o tym wie.

—Halo? Amy? Przecież cię zdradził.

—Nie spał z nią.

—Ach, więc wszystko jest w porządku? Chcesz, żeby wrócił?

Przyciskam dłonie do skroni. Jak mogę odpowiedzieć na to pytanie? Ponieważ moje serce krzyczy TAK. Pewnie, że chcę, aby wrócił. Od powrotu z Grecji przeszłam wszystkie stadia emocjonalne od niepohamowanej wściekłości, poprzez oburzenie, aż do totalnej depresji, nie zmienia to jednak faktu, że za nim tęsknię. I kocham go.

Poprawka.

Kochałam.

Mimo to chcę, żeby wrócił. Ale żeby wrócił Jack, z którym kochałam się na plaży. Jack, który w nocy trzymał mnie w objęciach. Jack, który rozśmieszał mnie do łez i sprawiał, że wszystko było wspaniałe.

Nie chcę natomiast Jacka, który potrafił przespać się z Sally McCullen, po czym przez cały tydzień mnie okłamywać.

I tu jestem w kropce.

Ponieważ obydwaj Jacki to jedna i ta sama osoba. H marszczy brwi.

—Jeżeli zrobił to raz, na pewno nie raz jeszcze powtórzy — ostrzega.

— Z takimi facetami to normalka.

—Wiem.

Teraz oczywiście zrobi wykład o chorej miłości.

—Jeżeli marzy ci się związek, w którym nie możesz facetowi zaufać, proszę bardzo, wal jak w dym. Ale nie przychodź się do mnie wyplakiwać, kiedy coś będzie nie tak.

—Przecież wiesz, że wcale tego nie chcę.

—Nie ma nic ważniejszego od zaufania — peroruje dalej H — Bez niego każdy układ jest poroniony. A Jack właśnie je zabił tak sobie, po prostu. Wiem, ciężko się z tym pogodzić, ale z czasem będzie coraz mniej bolało.

—Naprawdę?

—Jasne.

— Dlaczego w takim razie jestem taka skołowana?

—Ponieważ wydaje ci się, że za nim tęsknisz. Ale tak naprawdę brakuje ci tylko tego, z czym ci się jego obecność kojarzyła: poczucia bezpieczeństwa i takich tam.

—Och — mruczę. Mam wrażenie, jakby właśnie wytłumaczyła mi matematyczną zagadkę, a ja dalej niczego nie kapuję. Potrafi być naprawdę wkurzająca, kiedy ogarniają zapał terapeutyczny, a wszystko wskazuje na to, że dopiero się rozkręca.

H wstaje. Chwyta mnie za rękę i podrywa na nogi.

—Hej, co wyprawiasz? — protestuję. Wlecze mnie do łazienki i zapala światło.

— Proszę bardzo — mówi ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Głową pokazuje lustro nad umywalką. — Co widzisz?

Widzę w nim odbicia nas obu. Ja mam opuchnięte oczy i generalnie wyglądam, jakby ktoś twarzą przeciągnął mnie po żywopłocie. Na dodatek na brodzie wyrósł mi pryszcz wielki jak cały Manchester.

—H, to głupie — jęczę.

—Wcale nie.

Przewracam oczami i patrzę na nią w lustrze.

— Co chcesz, żebym powiedziała?

Nie reaguje na moje pytanie. Ona też się na mnie gapi.

—Proszę państwa, oto Amy Crosbie, dziewczyna, która uwielbia, jak ktoś nasra jej na głowę, ponieważ znacznie bardziej przerażają samotność. Zgadza się chodzić z kłamliwym draniem, który nie potrafi wyznać, że ją kocha, zabiera ją na wakacje i wreszcie nieomal pozbawia życia, po czym, żeby ulżyć swojemu sumieniu...

—Przestań! — przerywam jej, bo czuję jak narasta we mnie wściekłość. — Przecież się z nim rozstałam, no nie?

H przygryza od wewnątrz policzki.

—Dokładnie.

Przez bardzo długą chwilę mierzymy się wzrokiem. Wracam myślami do wakacji, ale Jack ograbił mnie ze wszystkich dobrych wspomnień, ponieważ to, co zrobił, sprawiło, że najlepszy tydzień w moim życiu stał się nieważnym, nic nie znaczącym epizodem. A co było w tym wszyst-



kim najgorsze? Zachowałam się jak kompletna idiotka, której nawet przez myśl nie przeszło, że jej facet nosi w zanadrzu bombę mogącą rozzerwać nas na strzępy. Wreszcie zaczynam rozumieć, o co H chodzi.

—Masz rację — mówię.

—On na ciebie nie zasługuje. Wzdycham i kiwam głową.

—To prawda.

H obejmuje mnie i długo do siebie tuli. Potem wracamy do pokoju, gdzie H usuwa w kąć wszystkie opakowania po naszej kolacji.

— OK. To by było na tyle. Moja panno, nie życzę sobie więcej żadnych smutnych min — oświadcza, podchodzi do wieży i nastawia płytę.

— Specjalnie dla ciebie — mówi i podkreśla głośność. — Kiedy się bałam, byłam przerażona — śpiewa i wykrzywia się, naśladując Toma Jonesa.

Wie, że jej terapia poskutkowała, ale żeby nie zostawiać niczego przypadkowi, robi to co zwykle. Rozśmiesza mnie.

—Och, tyle nocy się nad sobą rozczulałam — wyznaję i czuję, że w tej chwili bardzo ją kocham. H wskakuje na kanapę i wciąga mnie za sobą. Wydzieramy się, przedrzeźniając Glorię Gaynor i tańcząc szalony taniec, choć miejsca jest zdecydowanie niewiele.

—Odejdź teraz! Wyjdź, nie obracaj się, już cię tu nikt nie chce! — Grozimy sobie nawzajem palcami. Nastrój mi się poprawia niesamowicie.

—Czy to nie ty chciałeś mnie swymi kłamstwami zranić? — śpiewam i przykładam rękę do serca. — I co? Czy się załamalam? Umarłam?

Śpiewamy „Przeżyję” tak głośno, że nie od razu słyszę dzwonek domofonu. Zeskakuję z kanapy i ściszam muzykę. Pot zalewa mi oczy.

—Słyszałaś dzwonek? — pytam H i pędzę do domofonu.

—Nie.

Chwilę wydzieram się do domofonu, ponieważ jednak nikt nie odpowiada, zbiegam po schodach do drzwi wejściowych. Kiedy je otwieram, jestem prawie bez tchu. Wyglądam na ulicę, nikogo jednak nie widzę. Zamykam drzwi i na nowo zapalam czasowe światło na schodach. Na wycieraczkę leży list.

Wracam z nim do mieszkania, a serce mi tłucze jak oszalałe.

— Co to jest? — pyta H. Wyraźnie przestraszona, włącza wieżę. W mieszkaniu nagle robi się dziwnie cicho.

— List — odpowiadam. — Od Jacka. Patrę to na list, to na nią.

Ręce mi się trzęsą.

Mogłam się była domyślić, że dopadnie mnie, gdy zacznę do siebie dochodzić.

— On ci to dał? — pyta H.

— Nie. Znalazłam go na wycieraczce.

H podchodzi i obie przyglądamy się kopercie. Jest na niej napisane charakterem pisma Jacka: *A. CROSBIE, MIESZKANIE NA NAJWYŻSZYM PIĘTRZE*. Napisał to zielonym długopisem.

A. Crosbie.

Nie Amy Crosbie.

Albo tylko Amy.

Nawet nie narysował znaczka.

A. Crosbie — to może być każda Crosbie.

Nawet mój bankier adresuje listy do mnie A.L. Crosbie. Amy Lauren. (Kiedy się urodziłam, tata miał lekkiego bzika na punkcie Lauren Bacall.)

Wpatruję się w list, starając się odgadnąć jego treść. Obracam go. Na odwrocie nie ma nic. Wącham kopertę. Nawet nie pachnie wodą po goleniu.

To tyle, jeśli chodzi o moją pachnącą męczyzną korespondencję.

— Przeczytasz? — pyta H.

— Nie wiem.

Bo nie wiem. Nie wiem, co robić. Nie jestem pewna, Oljfniosę to, co Jack ma mi do powiedzenia. Przecież mogę się wtedy poczuć jeszcze gorzej. Chyba nie mam siły przeczytać, że podjęłam właściwą decyzję. Podobnie jak tego, że właśnie zaczął się spotykać z Sally McCullen. Nie chcę też poznać żadnych plugawych, śliskich szczegółów. Nie chcę mieć do czynienia z niczym, co sprawi, że znowu wyda mi się realny.

H dotyka mojego ramienia.

—Zastanów się. Czy może w tym liście być coś, co sprawi, że poczujesz się lepiej?

Gdyby nawet było, i tak jest nieprawdopodobne: „Amy, kochanie, kłamałem. Z Sally do niczego nie doszło... To był tylko żart”.

Gdyby nawet jednak wszystko odszczekał, nie na wiele by się to zdało. Wycierpiałam tak wiele, że nie mogłabym myśleć o nim inaczej, jak o głupim dupku.

—Nie — odpowiadam zdecydowanie. — Zresztą, jeżeli ma mi coś do powiedzenia, powinien zrobić to osobiście. — Celowo zapominam, że nie dałam mu szansy na powiedzenie czegokolwiek osobiście. Ale to szczegół bez znaczenia.

Chodzi o zasadę.

—Doskonale. — H zaciera ręce. — Czas na dokonanie egzorcyzmów. Pozbędziemy się go na dobre. Przynieś piwo. No, rusz się. Będziesz mi asystować. — Wyrywa mi list z ręki i idzie z nim do kuchni. Ze zlewomywaka bierze gumowe rękawice. — Patelnia! — rozkazuje jak chirurg przy stole operacyjnym.

Wyciąga rękę, więc zrywam patelnię z wieszaka i podaję jej. Nie patrzy na mnie.

—Benzyna do zapalniczek — mówi dalej. Kiedy bierze butelkę z półki na przyprawy, zaczynam chichotać. H rzuca list Jacka na patelnię. Spogląda na mnie przelotnie, a ja w jej oku dostrzegam diabelski błysk.

Kiwam głową.

H odkręca butelkę z benzyną i polewa cały list.

—Zapałki!

Wręczam jej pudełko z zapałkami, czując się przy tym, jakby ona była Thelmą, a ja Louise. H zapala zapałkę i dramatycznym gestem wrzucają do patelni. List Jacka bucha płomieniem. Odskakujemy i kurczowo się nawzajem obejmujemy.

—Nie wierzę, że to zrobiłaś! — mówię przez ściśnięte gardło.

—Wyrzuciłyśmy go z twojego życia na dobre — oświadcza H i stuka się ze mną butelką z piwem. — Na wieki wieków.

—Na wieki wieków — powtarzam za nią, chociaż w głębi ducha wcale nie jestem taka szczęśliwa, jak na zewnątrz udaję. Co prawda odprawiłyśmy właśnie nasze białe czary, ale w środku wciąż dwie Amy — feministka, pożeraczka męskich serc i heroina melodramatu — walczą między sobą o lepsze.

Pożeraczka: Jestem kobietą wyzwoloną. Jestem wolna. Jack Rossiter nie jest mi do niczego potrzebny. Należy już do historii.

Heroina: Był tu dzisiaj. Stał przed moimi drzwiami. Oddychaliśmy tym samym powietrzem.

Pożeraczka: Już kiedyś byłam sama. Teraz też mogę. Mam swoje zasady, a Jack Rossiter nie potrafi im sprostać.

Heroina: Tęsknię za nim. Czy on za mną także? Co napisał w swoim liście?

Pożeraczka: Pozwolił, żeby Ta Suka Sally McCullen mu obciągnęła. Cóż więcej mogę powiedzieć? Z tego się nie wywinie, choćby nawet był poetyckim laureatem Nobla.

—Cieszę się — zapewniam głośno.

Lecz jakiś czas później, po wyjściu H, kiedy myję zęby, dochodzę do wniosku, że wcale się nie cieszę. Idę do kuchni i spoglądam na patelnię. Wkładam pokrytą pianą szczołeczkę do ust i biorę zwęglony list do ręki. Odrywają się od niego czarne płatki i łagodnie wypływają przez otwarte okno.

Dlaczego postąpiłyśmy tak bezmyślnie? Przecież chcę wiedzieć, co Jack napisał. Ciekawi mnie, jak starał się wytłumaczyć. Pragnę, aby jego głos zabił ciszę panującą w tym mieszkaniu, choćby wypowiedane słowa były nie wiem jak bolesne. Jakaś część mnie ma świadomość, że moja słabość wynika z samotności, lecz instynkt okazuje się silniejszy od zdrowego rozsądku. Po raz pierwszy od powrotu z Grecji robię to, czego poprzysięgłam sobie nie zrobić nigdy więcej. Podnoszę słuchawkę telefonu i dzwonię do operatora. Kiedyś odkryłam, że wystarczy przed właściwym numerem wykreć 141 i wtedy ten, do kogo się dzwoni, nie ma szansy dojść, jaki numer chciał się z nim połączyć. Robię tak teraz.

Dzwonię do Jacka, chociaż nie wiem, co powiem. Nie mam pojęcia, jak mu wytłumaczę, dlaczego spaliłam list. Ale chcę usłyszeć jego głos.

Odbiera po pierwszym sygnale i, jak podejrzewałam, na dźwięk jego głosu serce podskakuje mi do gardła.

— Halo? — mówi. Brzmi podejrzanie normalnie. Nie łka rozdzierająco, nie przechodzi załamania nerwowego. Nawet nie sprawdza, kto dzwoni. Czy to znaczy, że się czyjś telefonu spodziewał?

— Czy to ty? — pyta cicho po krótkiej pauzie. Ty? Kto to jest „ty”, do cholery?

Jestem tak wstrząśnięta, że dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, że może chodzi o mnie. A jeśli „ty” znaczy „ja”, jak „śmie” tak jawnie demonstrować samozadowolenie? Cóż on sobie wyobraża? Że podrzuci mi list pod drzwi i zaraz wszystko będzie jak dawniej? Że do niego zadzwonię i od razu przebaczę? Nagle mi się przypomina, że usta mam pełne piany, więc tylko gulgoczę głośno i z hukiem odkładam słuchawkę. Przynajmniej się nie dowie, że to ja dzwoniłam.

Dzięki Ci, Boże, za technologię.

Makijaż nie pomaga! Tragedia!

Jest piątek rano. Nałożyłam tyle warstw korektora pod oczy i na nos, że wyglądam jak Mrówka Z, a wory pod oczami jak były, tak są. Dlaczego nie mogę spać? To nie fair. Kiedyś potrafiłam zasnąć zawsze i wszędzie. Wszystko przez tego cholernego Jacka. Jeśli ta bezsenność nie minie, będę musiała sięgnąć po valium.

Wykrzywiam się do swojego odbicia w lustrze. To bez sensu. I tak wyglądam jak dziewczyna z antynarkotykowych plakatów.

Biorę klucze i kiedy mam już wychodzić do pracy, dzwoni mama.

— Kochanie, jak się czujesz?—pyta. Wyczuwam, że gotowa jest na poranną porcję *Zrozpaczonych córek*, opery mydlanej z życia wziętej.

Chociaż jej intencje są dobre, nie potrafię opanować irytacji. Pocieram czoło, myśląc, jaka byłam głupia. Wiedziałam, że tak się to skończy. Nie powinnam była, niczym rozhisteryzowana trzynastolatka, gnać do niej prosto z lotniska. Wtedy jednak bardzo mi to pomogło. Po rozstaniu z

Jackiem nie potrafiłabym pójść nigdzie indziej. Mama jest jedyną osobą na świecie, która w takich chwilach potrafi człowieka ukoić.

A moja stawiała czoło wyzwaniu z nieskrywaną radością.

Zrobiła mi gorącą czekoladę, zapakowała do mojego starego łóżka i uśpiła monologiem o wszystkich nieszczęściach ludzkości. W niedzielę pozwoliła mi spać do późna, potem przyniosła do łóżka śniadanie, wyprała wszystkie rzeczy i futrowała przez cały dzień, aż j edynym moim marzeniem stała się ucieczka. Kiedy w niedzielę wieczorem wróciłam do domu, miałam w sobie dość siły, by na nowo rzucić światu wyzwanie.

Jestem jej bardzo za to wszystko wdzięczna, chociaż teraz żałuję trochę, że tak bez reszty wtajemniczyłam ją w swój emocjonalny kryzys. W końcu mam dwadzieścia pięć lat, wystarczająco dużo, żeby samej rozwiązywać swoje problemy.

—Bardzo dobrze — mówię. — Naprawdę.

— Jesteś pewna? Jeśli chcesz, możesz przyjechać do domu na weekend.

—Nie, mam tu trochę spraw do załatwienia. Nie słucha mnie.

— Złap dzisiaj po pracy pociąg i przyjeżdżaj. Ugotuję coś dobrego — kusi.

Wszystko już sobie zaplanowała. Zamykam oczy i staram się być miła. Nie potrzebuję już chronić się pod płaszczykiem jej troski. To zbyt klaustrofobiczne przeżycie. Poza tym najgorsze, mam już za sobą, prawda?

Ale nie mogę być dla niej niegrzeczna. Odkąd dostałam prOfij zaczęło się między nami lepiej układać i przestała mnie zadrećczać Nie chcę tego popsuć, rozdrażniając ją.

Poradzę sobie.

—Przepraszam cię, ale naprawdę nie mogę. Obiecałam, że jutro wyjdę razem z H. Myślę, że trochę rozrywki dobrze mi zrobi.

Zadziwiająca, z jakim przekonaniem to powiedziałam. W zasadzie to już kombinowałam, jakby tu się wykręcić od planów H, ale wobec propozycji mamy nagle wydały mi się one wprost idealne.

—Kochanie, jesteś pewna?

—Jasne, ale i tak dziękuję. Jesteś bardzo kochana — dodaje.

—Od czego ma się matkę? — dodaje, wyraźnie zadowolona, a mnie się upiekło.

Zamykam właśnie drzwi, kiedy spotykam Peggy, moją sąsiadkę. Peggy ma co najmniej ze sto pięćdziesiąt lat i jest nałogową okienną podglądaczką. Można powiedzieć, że stała się zawodową Strażniczką Sąsiedzka. Mam wrażenie, że czyhała na mnie od paru dni.

—Kochanie, ten wariat się jeszcze odezwał? — pyta.

—Jaki wariat?

—No, ten obszarpaniec, co się tu kręcił całą niedzielę.

—Co za obszarpaniec? — pytam, bo wciąż nie bardzo wiem, o co tym razem jej chodzi.

—Och! Wyglądał okropnie! — wyjaśnia pogardliwie, poprawiając jednocześnie farbowaną na niebiesko fryzurę. — Był kompletnie przemoczony. I wydzierał się do domofonu. Powiedziałam Alfowi. Mówię mu: „Trzeba się go pozbyć”. Wystaje tu przez cały dzień. Myślisz, że się ruszył? Gdzie tam! Cały czas gapi się w to cholerne pudło!

Wspaniale, o niczym innym nie marzę, tylko o poznaniu telewizyjnych upodobań Alfa.

—Nic mi o tym nie wiadomo — zapewniam, usiłując ją wyminąć.

—W takim razie musiał chyba pomylić domy. — Peggy nie poddaje się łatwo. — No i jeszcze to graffiti. Chciałam nawet dzwonić do rady miejskiej. Kiedyś to była taka miła okolica.

Uśmiecham się do niej blado. Pewnie chodzi jej o ten bzdurny napis, wymalowany przez jakiegoś idiotę na jezdni.

—Och, Peggy, te dzieciaki dzisiaj — stwierdzam i umykam. W drodze do pracy cały czas myślę o rewelacjach Peggy.

A jeśli to Jack wydzierał się do domofonu? Mimo wszystko budzi się we mnie poczucie winy. Przypominam sobie, jak kopnęłam go w jaja. Przed oczami staje mi jego podrapana twarz i to, jak nie chciałam z nim rozmawiać. Przypomina mi się, jak wymazywałam z sekretarki wszyst-

kie zostawione przez niego wiadomości i wreszcie zemstę ostateczną — wykreślenie numeru jego telefonu z listy Przyjaciół i Rodziny w British Telecom. Na koniec widzę scenę palenia listu.

Zaraz jednak słyszę jego głos w telefonie i słowa H. Nie powinnam czuć się winna. Dlaczego, po tym, co zrobił, miałabym mu uwierzyć, nawet gdyby w swoim liście wyznał mi dozgonną miłość?

Za późno na to.

Zdecydowanie za późno.

Mimo to wciąż miotają mną sprzeczne uczucia. Czemu wszystko musi być takie skomplikowane? Czemu życie nie może być proste?

Ponieważ łatwe jest tylko w teorii.

W teorii życie dzieli się na trzy kategorie: kariera zawodowa, życie uczuciowe i życie w ogóle (to znaczy dom, kumple etc.) Problem polega na tym, że jednocześnie z tych trzech góra dwa mogą układać się pomysłnie. To jak żonglerka. Kiedy byłam z Jackiem, życie uczuciowe i życie w ogóle nic nie pozostawiały do życzenia, kariera zawodowa natomiast wyglądała katastrofalnie. Teraz kariera kwitnie, życie w ogóle jest OK, życia uczuciowego za to nie ma wcale.

Koszmar!

Czy kiedyś będę miała wszystko?

Dopiero bezpieczna za swoim biurkiem trochę dochodzą do siebie. Uwielbiam tę pracę. Przez cały tydzień Jules pojawiał się i znikał, co w zupełności mi odpowiadało. Nie zaglądał mi przez ramię, dzięki czemu miałam czas nieco okrzepnąć w nowej roli. Dzisiaj czeka mnie z nim spotkanie, na którym mamy wreszcie wszystko ustalić. Prosił, abym zebrała swoje pomysły, i teraz, kiedy nadaję im ostatni szlif, czuję się naprawdę szczęśliwa. Przecież to moja pierwsza stała praca!

Nareszcie.

Mam etat.

I zamierzam na nim zostać jak najdłużej.

(Trzymam kciuki, że i Jules będzie podobnego zdania.)

Jestem tak pochłonięta pracą, że nie zauważam stojącej obok mnie Jenny. W ten weekend wybiera się na bal przebierańców i właśnie nało-



żyła kostium, który przygotowuje dla niej Sam. Ma na sobie śmieszna perukę a la Kleopatra i bardzo seksowne koronkowe body.

— Jak wyglądam? — pyta i okręca się przede mną na pięcie.

— Niesamowicie! — mówię ze śmiechem. — Na bank kogoś pode-rwiesz. — Zauważam, że na biurku stoi mój aparat. — Nie ruszaj się.

Jenny przybiera różne pozy, a ja robię jej zdjęcia. Po trzecim kończy się film. Przewijam go, a Jenny tymczasem ściąga perukę i mierzwi so-bie włosy. Przysiada na brzegu biurka i konspiracyjnie się ku mnie na-chyla.

— Mam na oku świetnego dwudziestotrzylatka — szepcze. — Istny Leonardo Di. — Z komiczną miną krzyżuje na piersiach ramiona. — Myślę, że co nieco uda mi się z niego uszczknąć.

— Jesteś okropna — śmieję się.

— Zawsze byłam, zawsze będę — uśmiecha się do mnie. Chwilę mi się przygląda. — A ty? Lepiej się dzisiaj czujesz?

Jenny i Sam były naprawdę fantastyczne w tym tygodniu. Pewnie to bardzo z mojej strony nieprofesjonalne, że od razu pierwszego dnia opowiedziałam im wszystko o Jacku, dziewczynom jednak wcale to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, robiły, co tylko się da, żebym nie po-padała w przygnębienie. Andy nazywa nas czarownicami i za każdym razem, gdy wracamy z przerwy na papierosa, wrzeszczy jak oszalały: „Kryjcie się, chłopaki! Tylko patrzeć, jak wampoobcinajajaja!” My od-powiadamy demonicznym wrzaskiem i świetnie się bawimy, zwłaszcza od czasu, gdy Andy wpadł Sam w oko. Wyjmuję z aparatu film i patrzę na Jenny.

— Wczoraj wieczorem podrzucił mi list. Wykrzywia się.

— I?

— Spaliłam go. Nie czytając.

— Moja dziewczynka — uśmiecha się i przybija ze mną piątkę. — Wiedziałam, że nie jesteś głupia. W twoim wieku nie ma sensu łamać sobie serca, zwłaszcza że można się tak świetnie zabawić.

— Nie martw się, biorę przykład z ciebie — mówię. — Jutro wycho-dzę.

—Super—kiwa z aprobatą głową.—Tylko pamiętaj: lepsza śmierć niż kompromis.

Za to ją podziwiam. Nie daje sobie wciskać żadnego kitu. Robi, na co ma ochotę, i nie ulega wpływom. Ma już chyba ze trzydzieści lat, ale nigdy nie słyszałam, żeby rozpaczała z powodu braku faceta czy wpadała w panikę przez tykający nieubłagane biologiczny zegar. A jeśli ona się nie denerwuje, ja tym bardziej nie mam powodu.

Ja też mogę być jak Jenny.

Albo nawet lepsza.

I to o niebo.

W biurze panuje radosna, bo piątkowa atmosfera. Po raz pierwszy od powrotu z Grecji czuję, że znowu jestem sobą, i nie zostaję w tyle we wzajemnych przygaduszkach i żarcikach.

O wpół do dwunastej Jules wzywa mnie do siebie. Długo omawiamy przygotowane przez mnie projekty, które wyraźnie mu się podobają. Zdradza mi swoje plany związane z Friers, z których część zbieżna jest z moimi pomysłami, co bardzo dodaje mi wiary w siebie.

Moje akcje zdecydowanie rosną.

— Chodźmy coś zjeść — proponuje na koniec Jules. — Umieram z głodu.

Już mam przyjąć zaproszenie, gdy dzwoni jego żona. Zaczynam zbierać swoje rzeczy.

— Nie mogę — mówi Jules do telefonu. — Zabieram moją sekretarkę na lunch. Zobaczymy się później. Kocham cię.

Dlaczego mnie nie może się trafić ktoś taki jak on? Dlaczego nie mogę znaleźć faceta uczciwego i przyzwoitego, który nie boi się swoich uczuć? Przecież gdzieś tacy muszą być, czego Jules jest chodzącym dowodem. Tylko gdzie?

W związkach małżeńskich. Oto gdzie.

Podobne myśli towarzyszą mi jeszcze, gdy zajmujemy miejsca w modnej restauracji na Soho. Zjawia się maître d'hôtel, żeby osobiście obsłużyć Julesa.

—Witam pana. Co mam podać do picia? — pyta. Jules uśmiecha się do mnie.

—Myślę, Tom, że szampana.

—Co to za okazja? — chcę wiedzieć.

—Przeżyliśmy nasz pierwszy tydzień.

Kiedy zjawia się szampan, Jules rozsiada się wygodnie.

—Jak leci?

— Wspaniale — odpowiadam. — Jestem autentycznie zachwycona.

Jules rozkłada sobie na kolanach serwetkę.

—Daj spokój, Amy. Obserwowałem cię przez cały czas. Ze zdziwienia otwieram usta.

—Wszystko jest w porządku — ciągnie. — Nie podpuszczam cię. Pracujesz wspaniale. Po prostu martwię się o ciebie, to wszystko.

Nie wierzę własnym uszom. Ilekroć był w pobliżu, ze wszystkich sił starałam się wyglądać na najszcześniejszą na świecie.

—To aż tak widać?

—Niestety. Nigdy nie wiadomo, może uda mi się jakoś pomóc, w końcu też jestem człowiekiem — mówi, do przesady podkreślając swój amerykański akcent.

Potrząsam głową. Jest moim szefem, nie terapeutą. Poza tym jest facetem. Cóż on może wiedzieć?

—E, nie chcę cię zanudzić — tłumaczę.

—Spróbuj.

Cóż, skoro i tak już wie, należy mu się przynajmniej wyjaśnienie. Biorę głęboki oddech, chwilę patrzę na niego i wreszcie opowiadam mu wszystko o Jacku, naszych wakacjach i o tym, jak się od tego czasu czuję. Staram się, żeby nie brzmiało to zbyt poważnie, kiedy jednak zaczyna zadawać mi pytania, wyjawiam mu wszystkie, nawet te najgorsze szczegóły.

—Co cię bardziej wkurza? Fakt, że to zrobił, czy też raczej, że ci nie powiedział? — pyta Jules.

—Trudno stwierdzić. Wiem tylko, że ponieważ mi nie powiedział, całe nasze wakacje — nasz związek — przestały cokolwiek znaczyć.

—W końcu ci jednak wyznał, a z tego, co wiem, żeby się na coś podobnego zdobyć, trzeba mieć nie lada jaja.

Powinam się była domyślić. Typowo męska odpowiedź. Nie mam ochoty wysłuchiwać, jakie to Jack ma jaja. Z tego, co ja wiem, okazał się zwykłym tchórzem.

Podają nasze przystawki.

—Ja też kiedyś miałem romans — oznajmia Jules po chwili. Prawie się udławiłam. Jules? Ten rodzinny człowiek? Pan

Deklaracje Miłości Do Żony W Biurze (przed lunchem)? On także?

—Ann wie o wszystkim.

—Powiedziałaś jej? — pytam z niedowierzaniem.

—Jasne, że tak.

—Jak to było? To znaczy — natychmiast się reflektuję — nie musisz mi mówić.

—Mój romans był o wiele gorszy niż ten Jacka — przyznaje Jules. — Sypiałem z inną kobietą przez sześć tygodni, a kolejnych sześć zbierałem się, żeby powiedzieć Ann.

—Dlaczego wszystkiego nie przemilczałaś? — staram się, żeby w moim głosie nie wyczuł oburzenia.

—Co chcesz przez to powiedzieć? Że znowu zdradzisz żonę?

— Nie — milczy przez chwilę. — Chociaż nie żałuję tego, co się stało. Dzięki temu wiem, co naprawdę czuję. Poza tym zrozumiałem, że nad związkiem dwojga ludzi trzeba nieustannie pracować, a nie pograżać się w błogim samozadowoleniu.

Składam razem nóż i widelec na talerzu. Jestem kompletnie skołowana.

—To proste. Kochasz go? — pyta Jules.

—Ale...

— Jeśli go kochasz, musisz się pogodzić, że jest tylko człowiekiem. Przykro mi, Amy, ale to nie film.

Po powrocie do domu rozpakowuję zakupy i zbieram siły, żeby obejrzeć zdjęcia z wakacji. W przerwie na lunch Jenny wywołała film i

przez całe popołudnie dręczył mnie widok pliku zdjęć. Zanim jednak zdobędę się na ich przejrzenie, muszę się wzmocnić kieliszkiem wina. Sama sobie obiecuję, że się nie rozkleję.

Ledwie jednak je wyjmuję, zaczyna mi się robić miękko w dołku. Oglądam je, jakby były nie z tego świata. Wydaje mi się niemożliwe, żeby były prawdziwe. O, tu jest Jack na skuterze, pięknie opalony, a tu ja na plaży, śpię. Wstrzymuję oddech, zdecydowana wytrzymać do końca. Jednak każde kolejne zdjęcie rani coraz głębiej.

Obejrzałam już prawie wszystkie i gotowa jestem sobie pogratulować, kiedy nagle trafiam na fotografie, na których jesteście oboje. I wtedy puszczałam wszelkie hamulce. Ponieważ na zdjęciach jesteście razem.

Razem tak naprawdę.

Zupełnie jak gdybyśmy mieli już tak zostać na zawsze.

Stoimy przed tawerną, Jack obejmuje mnie jedną ręką, a w drugiej, wyciągniętej do przodu trzyma aparat. Byłam pewna, że te zdjęcia nie wyjdą. Myliłam się. Kiedy mam je teraz przed sobą, serce pęka mi z bólu, bo na nich Jack patrzy mi w oczy, a moje uczucia aż widać w przestrzeni, jaka dzieli nasze twarze. On się uśmiecha, stykamy się nosami, i nie mogę już więcej patrzeć. Ponieważ czuję dotyk jego ręki na moim ramieniu i zapach jego skóry. Danej sobie obietnicy nie udaje mi się dotrzymać.

Na mojej twarzy zamieszkał wodospad Niagara.

Płacz chyba mnie uspił, bo kiedy budzi mnie dźwięk telefonu, jest już bardzo późno. Na wpół przytomna łudzę się, że to Jack. Niestety, dzwoni Nathan i chyba jest nieźle wlany.

Opowiada mi, jak to rzucił swoją hiszpańską dziewczynę dla argentyńskiej mistrzyni polo, potem o jakiejś paniencie z Glasgow. Dość długo trwa, zanim dociera do niego, że ja nie mówię nic. Dochodzi do wniosku, że na pewno jestem strasznie na niego obrażona, zaczyna mnie więc gorliwie przeproszać, że nie mógł zjeść ze mną kolacji.

— Nie ma sprawy — mówię.

— Super — w jego głosie słyszę ulgę, że tak łatwo mu się upiekło. Słyszę, jak zaciąga się papierosem. — Wakacje z kochaniem się udały?

—Rozstaliśmy się. Chwila ciszy.

—O rany! To fatalnie!

Milczę. Wiadomość najwyraźniej „złamała” mu serce.

—Spójrz na to z dobrej strony...

—A która to mianowicie? — przerywam mu nad wyraz grzecznie.

—Nie był do końca w twoim typie.

Uświadamiam sobie, że Nathan nie wiedziałby, kto jest w moim typie, nawet gdyby ten ktoś walnął go głową w żołądek. Prawdę powiedziawszy, nawet by nie wiedział, czego ja chcę. Pewnie by mu nawet nie przyszło do głowy zapytać. Ponieważ od czasu wyjazdu bardzo się zmienił. Chociaż nie, on jest wciąż taki sam, zawsze był arogancki. To ja się zmieniłam. I chociaż niełatwo mi to przyznać, zmieniłam się dzięki Jackowi.

—Skąd możesz wiedzieć? Przecież nawet z nim nie rozmawiałeś — stwierdzam rozzłoszczona.

—Nie bardzo miałem o czym — broni się.

—A kto o tym zdecydował?

—Hej! Nie wyżywaj się na mnie. Przepraszam, w porządku?

—Wszystko jedno. Słyszę, jak zaciska zęby.

—Chyba niezbyt dobrze trafiłem. Zadzwoń kiedy indziej. Dłuższą chwilę trwa, zanim wreszcie się rozłącza. Cieszę się, że zrobił to pierwszy; zaoszczędził mi wysiłku.

—Cieniarz! —krzyczę i z hukiem odkładam słuchawkę. Jestem wściekła.

Jak on śmie osądzać Jacka? Co on wie? Zresztą to i tak wszystko jego wina. Gdyby nie zachował się w tak obrzydliwie niegrzeczny sposób, Jack nie byłby zazdrosny. A gdyby nie był zazdrosny, nie wylądowałby z Sally.

To jednak żadne wytłumaczenie.

Mężczyźni!

Fuj!

Okropna z nich banda neandertalczyków. W ewolucji nie posunęli się ani o krok. Potrafią myśleć tylko o swoich fiutach i o swoich ego, co zresztą jest jednym i tym samym.

Kręcę głową, nie mogąc nadziwić się własnej głupocie. Nawet jeśli spojrzę na Nathana oczami Jacka, tego ostatniego to nie rozgrzesza. Wszyscy oni, co do jednego, są tak cholernie do siebie podobni. Nathan, Jack... Nawet Jules nie potrafił nad swoim kutasem zapanować.

Czy jest jeszcze choć cień nadziei?

Popijam spory łyk wina prosto z butelki. Opieram łokcie na kolanach i chowam w dłoniach twarz. Na dywanie leży zdjęcie, a na nim Jack, oparty o skuter.

Biorę je z podłogi i długo się w nie wpatruję.

Nic dziwnego, że jest taki cholernie zadowolony. Nie tylko ta dziwka Sally najadła się do syta; on także ani przez chwilę sobie nie żałował.

—Od dawna to planowałeś, Jack? Od czasu, gdy malowałeś ją naga, udając, że wszystko to w imię sztuki? Pewnie cały czas miałeś na to ochotę, co?

Wciąż ten sam kretyński uśmiech.

Znowu piję wino.

— No, powiedz, bardzo chciałabym wiedzieć, co się stało? Zaprosiłeś ją, prawda, bo wiedziałeś, że ja jestem z Nathanem? I co robiłeś? Ugotowałeś coś dobrego? Zabawiałeś ją rozmową? Częstowałeś winem? Trzymałeś ją za rękę i patrzyłeś głęboko w oczy? I co mówiłeś? Nie, nie, zaczekaj, sama zgadnę.

Kolejny spory łyk wina.

— „Jesteś piękna, jesteś niezwykła, masz najwspanialszy uśmiech na świecie”. Tak mówiłeś, Jack? Mówiłeś jej wszystko te rzeczy, które wcześniej opowiadałeś mnie, bo byłeś napalony? Tak było? Chciałeś się z nią pieprzyć, bo jesteś mężczyzną i wszędzie musisz zostawić swoje nasienie? O to chodzi?

On się uśmiecha.

— A ona? Co robiła? Niechcący się przewróciła i wylądowała z twoim fiutem w ustach?

Zdjęcie zaczyna dygotać w moich rękach. Przyglądam się jego ustom.

— A jak się ją całowało? Bo całowałeś ją, prawda? I co jeszcze robiłeś? Pewnie ręce trzymałeś schowane za plecami. Na pewno wcale nie miałeś ochoty jej dotykać, pieścić każdego miejsca, które malowałeś? Nie, ty byś tego nigdy nie zrobił, Jack, przecież nigdy nie myślisz o tym, żeby kobietę zadowolić, nie uważasz, że to równie ważne, jak zadowolenie siebie samego. I co, jak smakowała? Czyjej skóra była miła w dotyku?

Serce stoi mi w gardle i oddycham z trudem. Patrzę na zdjęcie i robi mi się niedobrze.

— Porównywałeś nas obie, Jack? Czy kiedy kilka godzin później tuliłeś mnie, myślałeś o niej? Tak było?

Oczy mam pełne łez, które ocieram ze złością. Jednym haustem wypijam wino do końca i wstaję. Niezbyt pewnie trzymam się na nogach.

— Aleja nie powinnam sobie zaprzętać tym swojej ślicznej główki, prawda? Ponieważ to nie była zdrada, bo ty wcale z nią przecież nie spałeś. A ja, głupia, tak się przejmuję.

Kretyński uśmiech nawet nie drgnął.

— Ty DRANIU! — Drę fotografię i z furią ciskam na podłogę. Potem drę wszystkie pozostałe, strzępy wrzucam na kosza i na koniec wymierzam mu solidnego kopniaka. Tym razem jestem naprawdę wściekła. Nie obchodzi mnie, co mówi Jules. Może się wypchać z tym swoim psychoanalitycznym bajdurzeniem o zaufaniu. Ja już nigdy nikomu nie zaufam. Nie warto. Od tej chwili podpisuję się obiema rękami pod wszystkim, co twierdzi Jenny. Będę wykorzystywać mężczyzn. Ja także nie będę sobie żałować. Jeżeli wydaje się komuś, że może się do mnie zbliżyć, niech się lepiej ODPIEPRZY od razu!

W sobotę rano głowę rozsadza mi potworny kac, ale poza tym ogarnia mnie błogosławione poczucie spokoju i wyciszenia. Ból, jaki do tej pory odczuwałam, w przedziwny sposób się oddalił. Nie zniknął, ale nie jest już tak bezpośredni. Wczorajszy atak szału okazał się chyba punktem przełomowym.



Dzisiaj zaczynam wszystko od nowa.

Od dzisiaj znowu jestem tą samą co kiedyś Amy Crosbie. Koniec z rozczulaniem się i mazganiem. Nie ma pożeraczki męskich serc.

Zostałam tylko ja.

Spokojna.

Wyciszona.

Mądra.

Dzisiaj odzyskam tę swoją część, w której dotąd niepodzielnie panował Jack. Od tej chwili będzie ona wypełniona wyłącznie myślami o mnie samej.

O MNIE.

O MNIE.

O MNIE.

Odkopuję gdzieś taśmę z nagranyimi odgłosami wielorybów, którą kupiłam w przelotnym okresie New Age w roku 1990, i przygotowuję sobie wielką kąpiel. Pora doprowadzić umysł do porządku. Rozpryskuję wkoło siebie mydliny, wsadzam wielki palec u nogi w kran i pozwalam płynąć swoim myślom swobodnie. Ilekroć zbliżam się niebezpiecznie do obszarów nawet minimalnie związanych z nim, natychmiast włączają się syreny ostrzegawcze, a ja szybciotko się wycofuję.

Z początku nie przychodzi mi to łatwo. Ostrożnie, na paluszkach zwiedzam zakamarki swojego umysłu, pilnując się, aby nie otworzyć żadnych drzwi wiodących do zakazanych obszarów pamięci. Szybko jednak odkrywam, że mogę myśleć o tysiącach interesujących rzeczy, jak na przykład o akcji w *Eastenders*, konkursie piosenki Eurowizji, kolorach, na jakie mogłabym pomalować ściany, i wreszcie o zakupach.

Zakupy są kluczem.

Po kąpielu długie godziny szykuję się do wyprawy z wszechpotężną kartą Visa. Depiluję nogi, wyskubuję brwi, nakładam na twarz maseczkę, maluję paznokcie, godzinami suszę i układam włosy, a kiedy nareszcie jestem gotowa, czuję się na nowo jak człowiek.

I wyglądam jak człowiek.

Nie, wyglądam wspaniale.

Chyba rzeczywiście, bo faceci usuwający graffiti z jezdni przed moim domem gwizdzą na mój widok z nieskrywanym uznaniem. Ale na mnie nie robi to najmniejszego wrażenia. W końcu to tylko faceci. Nie liczą się.

— Spadać!—krzyczę do nich.

Muszę przyznać, że marny ze mnie kupujący. Zazwyczaj wszystkie moje zakupy były raczej nie przemyślane, dlatego też wolałam sobotnie popołudnia spędzać inaczej, na przykład w pubie albo włócząc się z byłym chłopakiem. Ale dzisiaj i to się zmieni. Dzisiejszy dzień jest wyłącznie mój. I spędzę go na zakupach.

Po przejściu pięciu sklepów wydałam z mojej Visy więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek uda mi się zwrócić, ale co tam.

Komu potrzebni są mężczyźni, skoro wszędzie tyle pięknych toreb na zakupy?

Jestem właśnie na New Bond Street, całkowicie pogrążona w rozmyśleniach nad pokazowo kosztowną sukienką, kiedy wszystko bierze w łeb. Trzymam sukienkę przed sobą i przeglądam się w lustrze, gdy nagle dostrzegam za swoimi plecami znajomą twarz.

Zamieram.

To Chloe.

Nie mam szans, jeśli się poruszę, ona natychmiast mnie zauważy. Patrzę na nią, nie mając odwagi nawet mrugnąć.

Jak zwykle jednak jej szósty zmysł pracuje na pełnych obrotach. Dostrzega mnie prawie od razu.

—Witaj — rozpromienia się na mój widok.

—Cześć — udaje mi się wykrztusić przez zaciśnięte zęby. Podziwia sukienkę.

—Rany, wyglądasz w niej super.

Jestem jak zamurowana. Wszystkie mięśnie odmawiają mi posłuszeństwa. Jak idiotka trzymam przed sobą sukienkę, modląc się w duchu, żeby zniknąć, zapaść się pod ziemię.

— Koniecznie musisz ją sobie kupić — dodaje Chloe. Najwyraźniej wygłosiła zaklęcie zdejmujące ze mnie czar.

Sukienka osuwa się na podłogę.

—Może rzeczywiście... — płaczę się. Schylam się, żeby podnieść sukienkę, ale ręce mam jak z waty.

—Co u ciebie? — pyta.

—W porządku, dziękuję — staram się zyskać na czasie. — Mam nową pracę.

Wolno kiwa głową, nie zdejmując ze mnie baczego spojrzenia.

—I jak ci idzie?

—Wspaniale. Jest po prostu fantastycznie. A co u ciebie?

—OK.

Nasze oczy się spotykają i na chwilę zapada milczenie.

—Słyszałam — mówi cicho. — Bardzo mi przykro. Tylko kiwam głową, niezdolna wypowiedzieć choćby słowa.

Wcale nie jest jej przykro. Zaciskam wargi i delikatnie przewieszam sukienkę przez ramię.

Ona wie, co u niego słyhać. Zna odpowiedzi na wszystkie pytania, o których, żeby zapomnieć, ja musiałam potwornie się wycierpieć i wydać majątek. I chociaż oddałabym wszystko, zapłaciła jej, byleby tylko mi je wyjawiała, duma zwycięża.

Jest coś fałszywego w jej pełnym troski spojrzeniu, co zakazuje mi się przed nią otworzyć. Niech mnie szlag trafi, ale nie pokażę jej, że jest mi przez niego smutno. A kiedy o wszystkim mu doniesie — co do czego nie mam najmniejszych wątpliwości — poza tym, że wyglądam świetnie, nie będzie mogła mu nic więcej powiedzieć. Chyba tylko, że świetnie się czuję. Że przeżyłam i jestem ponad.

I wszystko to będzie prawdą.

— Wiesz co, chyba rzeczywiście ją kupię — mówię, wskazując na sukienkę.

Chloe wyraźnie jest zaskoczona. Ha, przechytryłam ją. I ona dobrze o tym wie.

—Na jaką to okazję? — pyta na widok moich zakupów.

—Wychodzę dzisiaj wieczorem.

Nie myśl sobie, Jack. Mam swoje życie. Dzisiaj wyruszam w miasto.

— A gdzie dokładnie?

Cóż to ma znaczyć „A gdzie dokładnie”? Nie jej interes.

—Do „Zanzibaru” — mruczę niechętnie.

—Na Beak Street?

—Uhm — kiwam głową.

—Powiedz mi, jeśli okaże się coś wart.

—Jasne.

—Musimy kiedyś wyskoczyć gdzieś na drinka — dodaje z pytającym uśmiechem.

—Nie ma sprawy — udaje mi się wykrzesać resztkę dobrych manier.

Nachyla się i całuje mnie w policzek.

— Odezwę się — mówi na odchodnym.

Po całym tym spotkaniu mam dosyć mieszane uczucia. Na wpół przytomna płacę za sukienkę i taksówką wracam do domu.

Kiedy do niego docieram, jestem kompletnie przybita. Zakupy nie na wiele się zdały; żałuję, że w ogóle się na nie wybrałam.

Rzucam wszystko w przedpokoju, ściągam buty i padam na łóżko. Dzięki Chloe pojawiło się tysiąc nowych pytań:

Czy powie Jackowi o naszym spotkaniu?

Co mu powie?

A jeśli mu nie powie?

Jeśli on się nigdy nie dowie, jaka jestem cool?

Jeżeli tak będzie?

Czy jeszcze kiedyś go zobaczę?

Czy spaliłam za sobą wszystkie mosty?

Czy nic mnie już z nim nie łączy?

Za wiele tego. Moj a karma j est fatalna. Przede mną życie pełne szarpaniny i pytań bez odpowiedzi. To nie w porządku.

Zjawia się H, a ja siedzę nieruchomo i gapię się na *Randkę w ciemno*.

— Wyglądam świetnie, czuję się wspaniale — ćwierka i wywija mi przed nosem butelką wódki.—Wyglądam świetnie, czuję się... Co ci jest? — pyta.

Opadam bezwładnie na krzesło.

—Widziałam się z Chloe. H sznuruje wargi i chrząka.

—Co mówiła?

—Nic.

—Nic?

—Nie dałam jej szansy.

H wspiera się pod boki. Już widzę, że rozważa, czy kontynuować tę rozmowę. Nie obchodzi mnie to i ignoruję ją całkowicie.

—Pokaż, co kupiłaś — mówi niespodziewanie.

—Słucham?

—Pokaż, co kupiłaś. Chcę obejrzeć.

Skinieniem głowy wskazuję na walające się w przedpokoju torby.

— Same śmieci. Kosztowały majątek.

H oblizuje wargi i wysypuje wszystko na dywan. Dalej nie zwracam na nią uwagi. Przegląda po kolei ciuchy, na koniec chwyta sukienkę i przerzuca ją sobie przez ramię. Następnie maszeruje do kuchni.

Wraca z dwoma kolosalnymi wódkami, z których jedną mi wręcza. — Pij.

Wydymam policzki.

—Pij! — mówi ostrzegawczym tonem. Upijam łyczek.

—Do dna.

Nie spuszcza ze mnie wzroku, póki nie wypijam wszystkiego. Czuję, jak wódka pali mnie w gardle.

— A teraz słuchaj. Jest sobota wieczór i nie mam ochoty na żadne bzdury. Rozumiesz? Żadne! — Rzuca we mnie sukienką. — Masz piętnaście minut.

„Zanzibar” pęka w szwach. Na widok wszystkich tych ludzi mam ochotę obrócić się i wziąć nogi za pas, H jednak w porę chwyta mnie za

ramię i wciąga do środka. Wypijamy kilka drinków, chwilę tańczymy, ale jakoś nie mogę się rozgrzać. Zupełnie nie czuję bluesa, a ruszam się, jakbym miała dwie lewe nogi.

Jakaś godzinę później, po wyjściu z klopa nie mogę nigdzie dojrzeć H. Parkiet jest zapchany po brzegi i ogarnia mnie panika, że ją zgubiłam. Mam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą, a ja nie mam nikomu nic do powiedzenia.

—Amy! Tutaj! — Dostrzegam ją wreszcie, jak macha do mnie ręką. Z ulgą odpowiadam skinieniem.

—Znalazłam nam dwóch facetów — oznajmia z błyskiem podniecenia w oczach.

—H! — protestuję z oburzeniem.

—Spokojnie — mityguje mnie. — Rozmawiałam z jednym z nich przy barze. Jest naprawdę miły. I przyszedł z nieszczęśliwym kumplem!

—Stokrotne dzięki!

—Są na górze. Kupują nam coś do picia — co mówiąc chwyta mnie za rękę, ale odtrącam ją ze złością.

—Jeśli masz zamiar wyswatać mnie z jakimś smutasem, zabiję cię.

—No co ty? Nawet go nie widziałam. Chcę, żebyś poznała tego przy barze. Jest słodki.

—Nie!

— Och, tylko się przywitasz. Zrób to dla mnie. Co ci szkodzi? Wyjdziemy, jeśli się nam nie spodobają.

Zagryzam wargi, ale daję się jej prowadzić przez zatłoczony parkiet w stronę schodów. Na ostatnim stopniu zahaczam o coś obcasem i obracam się, żeby się odczepić. H macha do mnie ręką.

—Są tam — pokazuje. Prostuję się i idę za nią do boksu pod ścianą.

—Proszę bardzo — oświadcza H, bardzo z siebie zadowolona, kiedy ją doganiam. — To jest Matt. — Patrzy na niego. — A to Amy.

?!?

Nie mogę oddychać.

Nie mogę oddychać, ponieważ mam przed sobą nie jakiegoś tam Matta, ale Matta Jackowego.

Najdziwniejsze jest jednak nie to, że spotykam go w takim miejscu, lecz brak jakiegokolwiek zdumienia na jego twarzy.

Chloe.

To musi być sprawka Chloe. Nie da się inaczej wytłumaczyć jego obecności w tym miejscu.

O co jej chodzi? Chce postawić mnie w głupiej sytuacji? Wziąć odwet za dzisiaj?

Jak mogła?

H nie ma najmniejszego pojęcia, co się święci. Wsuwa się na miejsce obok Matta i zachęca mnie, żebym poszła w jej ślady. Potrząsa mnie za rękę i groźnie marszczy brwi, po czym siłą zmusza, żebym usiadła. Z hukiem ląduję na poduszkach kanapy.

Wszystko wokół mnie zamiera.

Czas przestaje płynąć.

Ponieważ tam, gdzie jest Matt, zwykle można spotkać też Jacka.

I wtedy go dostrzegam.

Idzie ku nam od baru, niosąc cztery kufle piwa, od których ani na chwilę nie odrywa wzroku.

— Proszę, oto nasz śliczny chłopaczek — mówi Matt i zaciera rękę.

Wszystko we mnie krzyczy: „Uciekaj!”, ale siedzę jak skamieniała.

Już za późno.

Jack dochodzi do stolika i stawia na nim kufle. Dopiero wtedy podnosi wzrok i zauważa mnie. Obraca się gwałtownie i spogląda na Matta.

—Co tu się dzieje? — pyta.

Z twarzy odpływa mu cała krew, co pozwala mi przypuszczać, że jeżeli Chloe maczała w czymś palce, nie tylko H nie została w to wtajemniczona.

Matt jest ucieleśnieniem niewinności.

—Nic, stary. To są dziewczyny, o których ci mówiłem.

—Cześć, słodziutki — grucha H. — Jestem Helen. Chwilę trwa, zanim Jack ujmuje jej wyciągniętą na powitanie dłoń.

—Miło mi — mamrocze.

— A to Amy — wtóruje jej Matt. Czeka, aż Jack się odezwie, ten jednak milczy. — Cóż to, stary, nie przywitasz się? Gdzie twoje manie-ry?

Jack siada i po raz pierwszy spogląda na mnie. Prosto w moje oczy.

— Witaj, Amy — mówi. Ale ręki nie wyciąga. H patrzy na Jacka i podnosi swój kufel.

—Zdrówko. Zapewne ty jesteś ten nieszczęśliwy. — Szturcha mnie w bok. — Chociaż bardziej wygląda na takiego, co unieszczęśliwia.

—Nie, to pierwsze było prawdziwe — oznajmia Jack.

—Amy jest ekspertem od tych spraw, prawda, złotko? — H strzela gafę, nie zauważając jednak kamiennego wyrazu twarzy Jacka. — Ma-cie ze sobą wiele wspólnego.

Matt krztusi się piwem, z hukiem odstawia kufel, pozorując nad wyraz gwałtowny atak kaszlu. Jack wali go w plecy tak mocno, że tylko czekam, kiedy wypluje wszystkie zęby.

Świetnie. A więc Matt ma ochotę się zabawić? Proszę bardzo.

— Cóż to za tragiczna historia? — pytam ze wzrokiem wbitym w Jacka.

—Rzuciła mnie dziewczyna — odpowiada.

—Uuu, bardzo przykre. Była piękna, co? — wtrąca się Matt.

—Wyjątkowa. Drugiej takiej już nigdy nie spotkam. H musi dorzucić swoje trzy grosze.

—Kochaniutki, z tobą jest tak samo źle jak z Amy. Ale nie poddawaj się. Niejedna rybka w stawie.

—Takich jak ona nie ma — dodaje Jack. Jego wymowne spojrzenie mnie nie peszy.

—Dlaczego cię rzuciła? — pytam.

— Uwielbiam to. Zatańczymy? — wtrąca Matt, zwracając się doH. Ona jednak kręci głową.

—Teraz nie możemy odejść, właśnie będzie najciekawsze.

—Chrześć to — mówi Matt. — Znając go, będzie smucił do rana. Chodź, niech wymienią poglądy.

H wstaje. Zanim rusza za Mattem, nachyla się i szepcze mi do ucha:



—Zawołaj mnie, jeśli okaże się, że to świr. Zostajemy sami.

—Więc? — pyta on.

—Myślę, że winien mi jesteś odpowiedź.

—Jaką? Dlaczego mnie rzuciła?

—Na początek wystarczy. Bierze głęboki oddech.

—Ponieważ zrobiłem GOŚ bardzo głupiego. Popełniłem błąd.

—Tylko błąd?

— Nie, to było coś znacznie gorszego. Zawiodłem ją. A kiedy zacząłem jej o tym opowiadać, ona nie chciała słuchać.

— Masz do niej o to pretensje?

— Jasne, że nie. To byłby cud, gdyby po tym, co usłyszała, chciała jeszcze ze mną gadać.

—I co zrobiłeś?

— Wydzwaniałem do niej. Potem poszedłem do jej domu i czekałem na nią, ale ona nie otworzyła drzwi. Więc napisałem list, w którym wszystko jej dokładnie wyjaśniłem, ale ona nie odpowiedziała.

Czuję, jak łyzy podchodzą mi do gardła.

— Może go po prostu przeczytała — mówię cichutko. — Może czuła się tak zraniona i zła, że pozwoliła, aby jej najlepsza przyjaciółka spaliła ten list na patelni?

Jack jest przerażony. Bardzo wolno przesuwając sobie ręką po policzku.

— W takim razie nie ma pojęcia, jak się czułem i co się naprawdę stało.

—W takim razie co się stało? Naprawdę. Jack patrzy mi prosto w oczy i zaczyna mówić.

—Zasnąłem obok innej dziewczyny. Nie powinienem był, ale byłem zalany i wściekły. A kiedy się obudziłem, tamta dziewczyna mi obciągała. Dostałem szału. Odepchnąłem ją. I wyrzuciłem za drzwi.

—I spodziewałeś się, że twoja dziewczyna ci uwierzy?

—Tak. Bo to prawda — milknie, ale nadal patrzymy sobie w oczy. — Najgorsze jednak w tym wszystkim było to, że ją okłamałem. I to nie dawało mi spokoju, bo nagle coś sobie uświadomiłem.

—A mianowicie?

Jack wyciąga rękę i dotyka mnie jednym palcem.

— Że ją kocham. Cały czas. Do szaleństwa. I że najbardziej na świecie pragnę z nią być. Ale żeby jej o tym powiedzieć, najpierw musiałem jej wyznać prawdę, nawet gdybym miał ją z tego powodu utracić.

Przypomina mi się wszystko, co sobie przez cały miniony tydzień myślałam. Przypominam sobie o radzie, jaką dostałam, i o mieszanych uczuciach, które mną miotają. I nagle pojmuję, że, działo się tak, ponieważ nie słuchałam własnego serca. Chciałam przestać wierzyć w Jacka, a to było niemożliwe, ponieważ go kocham. I teraz, kiedy poznałam całą prawdę, wszystko nabiera sensu. Moje serce nie myliło się ani przez sekundę.

Zanim jednak zdążyłam to wszystko wypowiedzieć na głos, H i Matt wracają.

—Dobrze się czujesz? — pyta H.

—Nawet lepiej niż dobrze. — Uśmiecham się i biorę Jacka za rękę. — Właśnie zostałam poproszona do tańca.

## **SPIS TREŚCI**

### **PODZIĘKOWANIA**

**1.JACK**

**Ideał**

**Początek**

**Przyjęcie urodzinowe Matta**

**2.AMY**

**3.JACK**

**Rozmowa telefoniczna**

**Góra McCullen: obóz pierwszy**

**Wyjście**

**Bycie**

**4.AMY**

**5.JACK**

**6.Świt nowego dnia**

**W parku**

**Gadające obrazki**

**6.AMY**

**7.JACK**

**Bagaż**

**Impreza**

**Skok w bok**

**8.AMY**

**9.JACK**

**Odrzucony**

**Gra w czekanie**

**Rezygnacja**

**10.AMY**